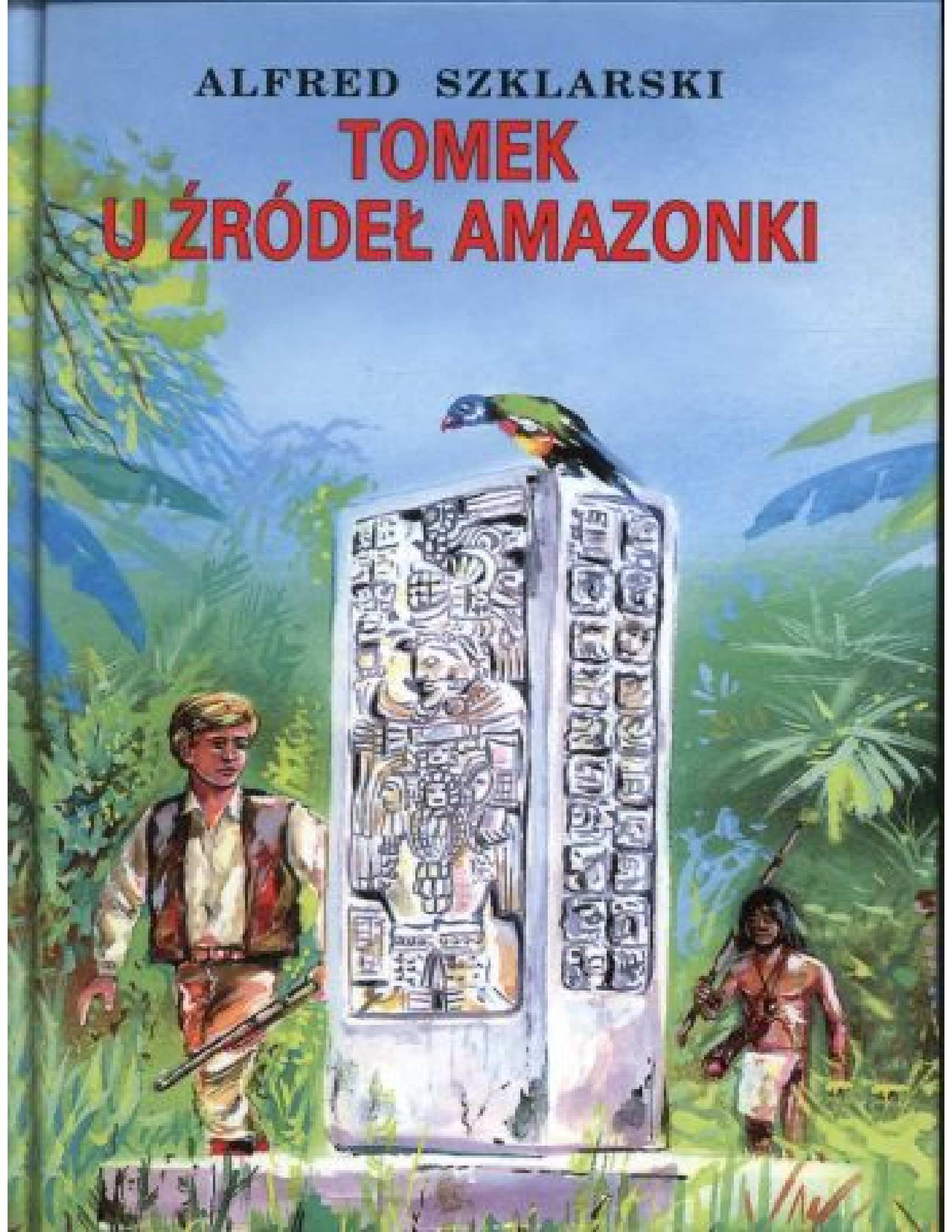


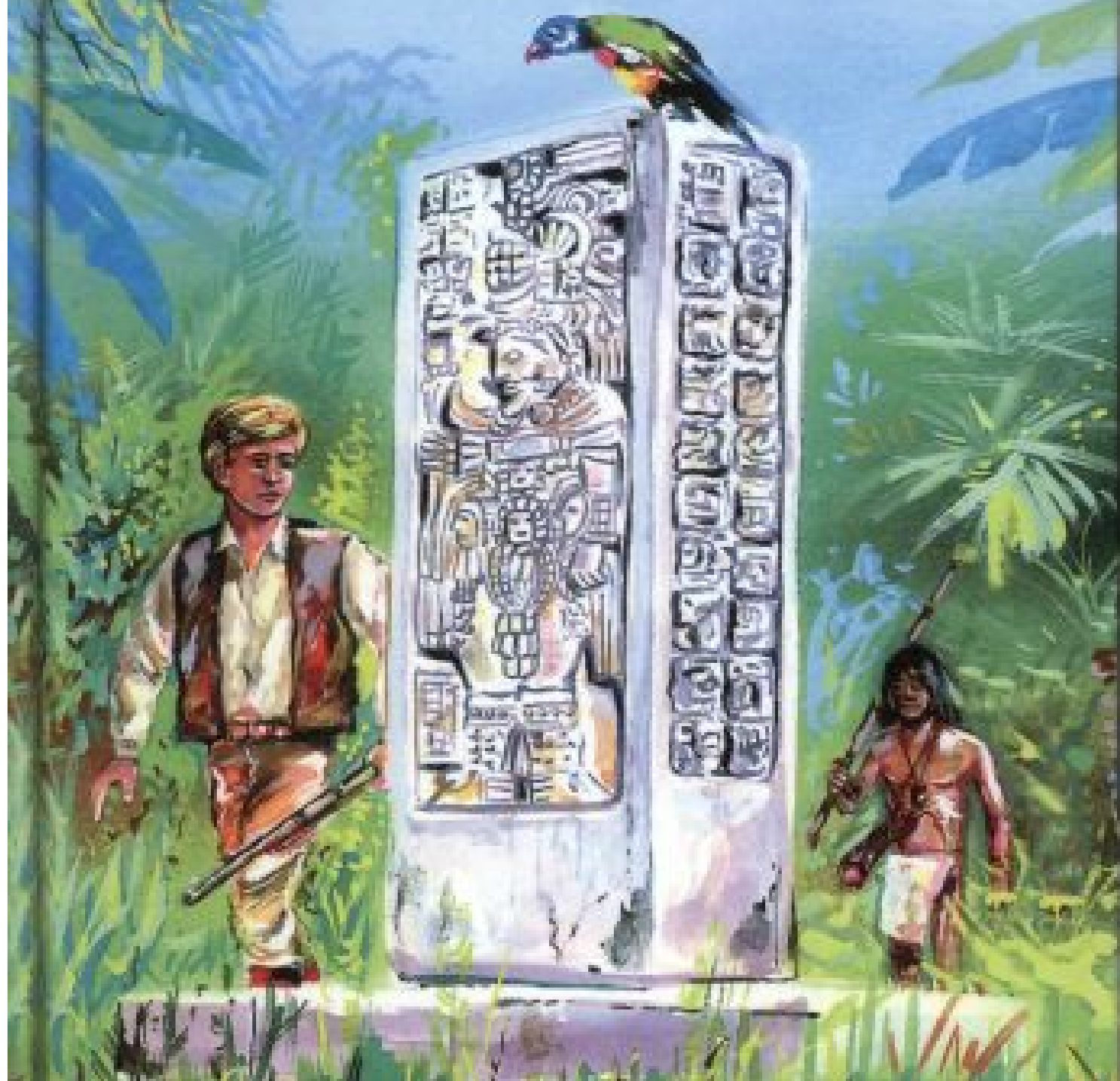
ALFRED SZKLARSKI

TOMEK U ŹRÓDEŁ AMAZONKI



ALFRED SZKLARSKI

TOMEK U ŹRÓDEŁ AMAZONKI



Alfred Szklarski

Tomek u źródeł Amazonki

Konwersja do formatu Epub:



PROLOG – NAPAD O ŚWICIE

Nad północno-zachodnią Brazylią, niemal u zbiegu jej granic z Peru i Kolumbią, czarne, ciężkie chmury przedwcześnie zakryły zachodzące słońce. Duże krople deszczu zaszeleściły w gęstwinie amazońskiej selwy[1]. W tej właśnie chwili nagle zamilkło monotonne brzęczenie cykad [2]i świerszczy, zamarły przedwieczorne rozhowory papug. Gwałtowny podmuch wichru zakołysał koronami drzew, targnął poroślami zwisającymi jak festony.

W obozie zbieraczy kauczuku[3], zbudowanym w pobliżu brzegu rzeki Putumayo[4], zaczęła się gorączkowa krzątanina. Pospiesznie umacniano mieszkalne szałas, chowano sprzęty, aby nadciągająca zawierucha nie wyrządziła zbyt wielkich szkód.

Rozgardiasz w obozie i deszcz mocno już szeleszczący w liściastym poszyciu dachu przerwały drzemkę smukłemu młodzieńcowi, spoczywającemu na drewnianej pryczy. Ociężale uniósł się na łokciu. W izbie było mroczno, spojrzał więc w otwór drzwiowy, osłonięty gęstą, drucianą siatką: na dworze również już pociemniało.

John Nixon, bo tak właśnie zwał się ów młody mężczyzna, dłonią odgarnął moskitierę zawieszoną wokół pryczy, po czym wstał z legowiska. Chwiejnym krokiem podszedł do progu i otworzył ażurowe drzwi. Najpierw spojrzał w kierunku baraku, w którym gromadzono zbiory kauczuku. Wrota były zamknięte. Prawie nadzy Indianie w milczeniu krzatali się przy szałasach, w których zapewne już skryły się przed burzą ich kobiety i dzieci.

- Aukoni! - zawołał lekko ochrypłym głosem John Nixon.
- Sim, senhor! [5]- odparł Indianin, zbliżając się do progu chaty.
- Gdzie są capangos? [6]- zapytał Nixon.
- Jedzą kolację w baraku - wyjaśnił Indianin.

Nixon gniewnie zmarszczył brwi. Na płatnych dozorcach można było polegać jedynie wtedy, gdy sami czuli bat nad sobą. Po chwili znów zagadnął - Czy wszyscy seringueiros [7]powrócili z selwy? Burza nadciąga!

- Wrócili, kauczuk złożony w magazynie - odpowiedział Aukoni, który przewodził grupie Indian z plemienia Cubeo, zbierających lateks dla kompanii "Nixon - Rio Putumayo".

- Czy wydałeś wszystkim racje żywności?
- Sim, senhor, zaraz także każę przynieść panu kolację - odpowiedział Aukoni.
- Do diabła z jedzeniem! - gwałtownie wybuchnął Nixon. - Nie jestem głodny! Idź już sobie!

Ani jeden mięsień nie drgnął w twarzy Indianina wyrażającej kamienny spokój, tylko jego wzrok nieznacznie przesunął się po zwierchniku. Poznał, że biały znów pił alkohol. Po krótkiej chwili namysłu szepnął - Senhor Wilson odszedł, źli ludzie blisko, nie pij

więcej...

Biały jednak nie usłyszał ostrzeżenia, bowiem jaskrawozielony, metaliczny błysk szeroko przeciął czerń nieba i potężny huk pioruna zagłuszył życzliwe słowa. Wichura targnęła dzunglą, sypnęła liśćmi i kawałkami gałęzi. Burza wkrótce rozszalała się na dobre.

John Nixon z trzaskiem zamknął zewnętrzne drzwi zbite z przeciętych wzdłuż pni bambusowych. Po omacku dobrnął do drewnianej skrzyni zastępującej stół. Zapalił naftowy kaganek. Ćmy natychmiast wychywały z mrocznych kątów izby i rozpoczęły harce wokół światła. Jedna z nich musnęła twarz Nixona. Wstrząsnął nim dreszcz wstrętu. Czuł obrzydzenie do owadów i robactwa, od których rola się amazońska selwa. Nie mógł przywyknąć do wilgotnego lasu, milczącego i pozornie pozbawionego życia w czasie dnia, a w ciemnościach nocy ożywiającego się tysięcznymi, tajemniczymi głosami. Któż mógł wtedy odróżnić głosy zwierzęce od ludzkich? Może to właśnie czerwonoskórzy, dzicy łowcy ludzkich głów lub gorsi nawet od nich biali łowcy niewolników zwoływali się do napadu? Na domiar złego coraz gęstsze deszcze zwiastowały zbliżanie się zimy, czyli pory deszczowej, która wkrótce miała zmienić selwę w bagnisty labirynt jezior i zalewów.

Nixon usiadł na ławie, przygnębiony wsłuchiwał się w szumiące za ścianami chaty potoki deszczu. Po chwili nieco uspokojony mruknął- Podczas burzy nie trzeba obawiać się napadu, wyśpię się przynajmniej...

Sięgnął po butelkę rumu. Nalał pełną szklanekę i wypił. Nieco oszołomiony legł w ubraniu na pryczy, zasłonił moskitierę, wsunął rewolwer pod poduszkę i zaczął rozmyślać. Niebawem już marzył o dniu, w którym nareszcie będzie mógł opuścić głuszę amazońską. Chciał jak najprędzej powrócić do rodzinnego domu w Chicago, gdzie w myśl obietnic stryja miał objąć kierownictwo filii kompanii "Nixon - Rio Putumayo". Oby tylko stryj uznał, że przyszły współwłaściciel jest już dostatecznie wtajemniczony w sprawy przedsiębiorstwa! Tymczasem jednak musiał dalej tkwić w mrocznej selwie w towarzystwie czterech brutalnych capangów oraz milczących, podejrzliwych Indian i wciąż czuwać, wciąż mieć się na baczności. Awanturnicze bandy organizowane przez spekulantów kauczukowych siały gwałt i rozbój w okolicach Rio Putumayo.

Młody Nixon z cichym westchnieniem wspominał Jana Smugę, prawą rękę stryja. Ten sławny podróżnik, odważny aż do zuchwałości, nie znał uczucia strachu. W bezdrożnym lesie czuł się jak w swoim żywiole. Gdy przebywał w obozie zbieraczy kauczuku, wszystko szło jak z płatka: nie było swarów, nikt nie stawiał oporu, wszyscy czuli się bezpieczni. Smuga z jednakową swobodą obcował z na pół dzikimi ludźmi w selwie, jak i z bardziej cywilizowanymi mieszkańcami Manaos[8], gdzie mieściły się biura kompanii oraz główne magazyny kauczuku. Podczas ostatniego pobytu w obozie Smuga przyrzekł Nixonowi, że wpłynie na jego stryja, aby go jak najprędzej odwołał z Putumayo.

W skrytości ducha Nixon zazdrościł Smudze daru zjednywania sobie ludzi. Wiedział również, że Indianie pogardzali białymi, którzy nie umieli skrywać swych uczuć. Mimo to nie mógł opanować odruchów powodowanych wstrętem czy strachem. Dlatego też, gdy teraz wysłał swego pomocnika, Wilsona, do obozów kompanii położonych w pobliżu rzeki Japura, trudno mu było utrzymać w ryzach leniwych capangów oraz Indian, u których nie

zdołał wyrobić sobie autorytetu zwierzchnika.

Z pobliskiego baraku dochodziły odgłosy gry na gitarze. Smętne tony zamierały chwilami w ostrym szumie tropikalnej ulewy. To zapewne grał dozorca Mateo, Metys o bujnej i niezbyt chlubnej przeszłości. Słuchając jego niskiego, drgającego namiętnością głosu, wprost trudno było uwierzyć w zimne okrucieństwo, z jakim posługiwał się bykowcem i nożem.

John Nixon coraz leniwiej łowił uchem dźwięki gitary. Myśli rwały się, mieszały z urojeniami. Zapadał w drzemkę. Wydawało mu się, że gdzieś w głębi selwy głucho odezwały się tam-tamy. Nie wzbudziło to w nim obaw. W tej części Amazonii często napotykało się ślady wpływów murzyńskich, zakorzenionych przez dawnych niewolników, sprowadzanych z Czarnego Łądu. Oddech młodego Nixona stawał się coraz głębszy, bardziej miarowy. W końcu biały człowiek zasnął twardym snem...

Pod osłoną nocy gromada zbrojnych ludzi skradała się w lesie okalającym obóz poszukiwaczy kauczuku. Gdy burza ostatecznie umilkła, już przyczajeni w gęstym poszyciu tropikalnego lasu otaczali karczowisko wąskim pierścieniem. Byli to Indianie z plemienia Yahua, o jasnobrązowych ciałach, okrytych tylko sutymi spódnicami z rafii[9], sięgającymi niemal do stóp. Na głowach nosili olbrzymie peruki, splecione również z żółtej rafii, które luźno opadały im na ramiona i plecy, aż poniżej pasa. Niektórzy przystroili swe peruki barwnymi piórami papug, zasuszonymi ptakami i myszami. Na szyjach mieli naszyjniki z suszonych nasion roślin. Uzbrojeni byli w łuki oraz długie świstule[10] z bambusa, służące do wydmuchiwania małych, często zatrutych strzał. Południowoamerykańscy Indianie przeważnie używali dmuchawek do celów myśliwskich, lecz gdy brali je na wyprawę wojenną, stanowiły w ich rękach broń straszną, powodującą niemal natychmiastową śmierć ofiary. Na wschodnim horyzoncie wychyliło się słońce. Po burzliwej nocy nastawa! dzień prawie nie poprzedzony świtem. Jeden z Indian, zapewne wódz, pochylił się ku dwóm białym mężczyznom, towarzyszącym czerwonoskóрым wojownikom i gardłowym głosem szepnął w narzeczu Yahua- Jarimeni iarenumuyu[11], daj znak! Biały przyłożył palec do ust.

- Unjui... [12]- ostrzegł Indianin.

Biały gniewnie zmarszczył brwi. On również spostrzegł kundla, który wysunął się z indiańskiego szałas. Jeśli pies zwęszy obcych, na pewno ostrzeże uśpionych zbieraczy kauczuku. Wtedy misternie uknuty plan napadu weźmie w łeb. Biały mężczyzna szybko odwrócił się do wodza Yahuan i wzrokiem wskazał mu dmuchawkę. Porozumieli się tym jednym, krótkim jak błysk, spojrzeniem.

Indianin wydobyl z plecionki małą strzałę, wsunął ją do bambusowej rury i uszczelniał kłębkim bawełny. Teraz jeden koniec dmuchawki, oprawiony w grubszą nasadkę, przytknął do ust, mierząc wylotem rury w kierunku psa. Głęboko zaczerpnął powietrza i dmuchnął.

Dotąd ospały kundel nagle drgnął, wstrząsnął się i upadł na bok jak rażony piorunem.

Sztywniejącymi łapami tylko przez chwilę drapał ziemię, po czym zdechł nie wydawszy głosu.

Biały sojusznik Yahua zerknął na straszliwego strzelca. Twarz Indianina nie wyrażała jakichkolwiek uczuć, lecz zuchwałe błyski w jego oczach oraz charakterystyczny wykrój ust, znamionujący okrucieństwo, nie mogły budzić zaufania. Biały mężczyzna instynktownie oparł dłoń na rękojeści rewolweru. W tej jednak chwili otworzyły się drzwi baraku. Jeden po drugim wyszli trzej capangowie. Biały odetchnął z ulgą. Natychmiast pochylił się ku wodzowi Yahuan i zawołał:

- Zaczynaj!

Poranny wrzask papug w selwie i przeciągły, bojowy okrzyk Yahuan, rozbrzmiały niemal jednocześnie. Nieszczęśni capangowie nie zdążyli nawet cofnąć się do baraku. Naszpikowani strzałami z łuków zwalili się jak kłody. Zgraja wojowników Yahua z piekielnym wyciem wyskoczyła z zarośli, wtargnęła do szałasów, w których zaraz rozległy się okrzyki trwogi i bólu.

Dwaj biali sojusznicy Yahuan przyczajeni na skraju zarośli bacznie obserwowali pole bitwy, trzymając w pogotowiu karabiny. Toteż od razu spostrzegli Johna Nixona, który kopnięciem otworzył drzwi chaty i z rewolwerem w dłoni stanął na progu. Przekrwionymi, jeszcze zaspanymi oczami obrzucił obóz. Poblądł straszliwie widząc pogrom swych ludzi. Uniósł rewolwer mierząc do nadbiegającego Indianina. Nie zdążył wszakże pociągnąć za spust. Jeden z białych sojuszników Yahuan błyskawicznie przyłożył karabin do ramienia. Zanim dyni rozwiął się po wystrzale, John Nixon padł martwy u progu chaty. Wódz Yahua podbiegł do niego wywijając ostrym, bambusowym nożem.

Biały morderca i jego towarzysze odwrócili się plecami do Indianina, łowcy ludzkich głów. Widowisko było zbyt odrażające nawet dla nich. Podążyli więc do baraku, skąd ich czerwonoskórzy sojusznicy wynosili już zbiory kauczuku.

Zaledwie w pół godziny od rozpoczęcia walki napastnicy szybko uchodzili w dżunglę z cennym łupem. Zabrali również do niewoli zbieraczy kauczuku razem z ich kobietami i dziećmi. Nikt nie oglądał się na splądrowany obóz, w którym płonęły baraki.

PEDRO ALVAREZ ATAKUJE!

Ciche pukanie do drzwi przebudziło Jana Smugę. Otworzył oczy. Nie wstając z leżaka osłoniętego moskitierą, zawołał: - Proszę wejść!

Do pokoju pogrążonego w półmroku nieśmiało zajrzała młoda kobieta.

- Bardzo przepraszam, nie chciałam przerywać panu sjesty, lecz przyszedł chłopiec z biura - usprawiedliwiła się. - Mówi, że przysłał go pan Nixon w bardzo pilnej sprawie.

- Dobrze zrobiłaś, Nataszo, już wypocząłem - pochwalił Smuga; - Może nareszcie nadeszły wiadomości znad Rio Putumayo. Proszę wpuścić posłańca.

Wysunął rękę spod moskitiery po blaszane pudełeczko z tytoniem leżące na stoliku. Nabił fajkę i zapalił.

Po chwili do pokoju wszedł rezolutnie wyglądający bosy chłopiec, ubrany tylko w kolorową, perkalową przepaskę biodrową oraz w przydługą, luźno opuszczoną, rozpiętą koszulę. Mógł mieć około czternastu lat. Brązowa skóra, czarne, twarde włosy obcięte równo dookoła głowy, nieco skośne oczy i wystające kości policzkowe od razu zdradzały jego indiańskie pochodzenie.

- Bom dia, senhor![\[13\]](#) - odezwał się po portugalsku.

- Bom dia, Gogo! Odsłoń żaluzje w oknach - powiedział Smuga i dodał po polsku: - Nataszo, czy mógłbym prosić o szklankę herbaty?

- Zaraz przygotuję - odparła młoda kobieta uśmiechając się do opiekuna.

Indianin podniósł zasłony w oknie i drzwiach wiodących na werandę. Jaskrawe, tropikalne światło słoneczne wtargnęło do pokoju. Chłopiec stanął teraz przed Smugą i rzekł- Senhor Nixon kazać iść po senhor Smuga. Żli ludzie napadli na acampamento [\[14\]](#) nad Rio Putumayo. Zabili primo [\[15\]](#)senhora Nixona.

Smuga energicznie odgarnął ręką moskitierę; sprężystym ruchem powstał z leżaka.

- Czy to pewna wiadomość?! - krótko zapytał.

- Przyjechał jeden człowiek z obozu - potwierdził Indianin.

- A więc zaczęło się! Biegnij do pana Nixona i powiedz, że niebawem przyjdę!

Chłopiec natychmiast wyszedł z pokoju. Smuga zbliżył się do wieszaka, zdjął pas z rewolwerami i zaczął starannie nabijać broń.

Natasza pobladła obserwując złowróżbne przygotowania. Od czasu przyjazdu do Manaus nie mogła pozbyć się obawy, że właśnie tutaj spotka ją coś złego. Nawet pulsujące życiem miasto sprawiało na niej upiorne wrażenie. Manaus, odległe o 1690 kilometrów od najbliższego wschodniego brzegu morza, przylegało do jedyne w tej części kontynentu gościńca - olbrzymiej, majestatycznej i zarazem groźnej Amazonki, w której mlecznożółtych, mętnych nurtach śmierć czyhała na człowieka. Jak wszystkie miasta w stanach Amazonas i Para, Manaus było odcięte od wnętrza kraju. Z wyjątkiem brzegu Rio

Negro zawsządotaczała je pierwotna, bagnista puszcza - siedlisko malarii, trądu, jadowitych węzów, dokuczliwego robactwa i dziwnych zwierząt oraz nie ujarzmionych dotąd plemion indiańskich, stroniących od białych ludzi.

Do portu Manaus codziennie zawijały statki, barki i łodzie zwozące z głębi dżungli sok drzew kuczukowych, przetworzony w czarne kule lub płaty. Tutaj wymieniano kuczuk na szczerze złoto. Toteż miasto rozrastało się z dnia na dzień i wrzało niczym mrowisko. W podrzędnych szynkach pili szampana bankierzy, handlarze, awanturnicy wraz z wynędniałymi robotnikami, którym oprócz życia udało się wynieść z zielonego piekła pieniądze zarobione krwawym trudem.

W bezdrożnym lesie panowało dotąd prawo silniejszego. Dla zdobycia robotników spekulanci kuczukowi często organizowali corrierias, czyli wyprawy po indiańskich niewolników. Kto raz popadł w niewolę, pozostawał w niej aż do śmierci. Toteż Indianie, pierwotnie przyjaźnie usposobieni do białych ludzi, teraz zaszywali się coraz dalej w niedostępne puszcze. Znienawidzili białego człowieka, który stał się dla nich uosobieniem przemocy, zła i okrucieństwa.

Zaledwie półtora roku temu, podczas wyprawy do Nowej Gwinei[16], Natasza marzyła o osiedleniu się w jakimś uroczym, egzotycznym zakątku świata. Wtedy właśnie ojciec Tomka Wilmowskiego tłumaczył jej, że tak sielsko na pierwszy rzut oka wyglądające kraje tropikalne wcale nie są w rzeczywistości tym wymarzonym rajem ziemskim. Dopiero jednak w Manaus Natasza przyznała mu słusność. Ten szlachetny mężczyzna nie przejaskrawił tragicznej prawdy. Natasza pragnęła obecnie jak najprędzej opuścić egzotyczną Brazylię. Widok zła tak rozrzutnie rozsiewanego przez ludzi jej rasy, napełniał ją głębokim smutkiem.

Po zakończeniu łowów w Nowej Gwinei młode małżeństwo - Tomek Wilmowski i Sally - udało się do Anglii kontynuować studia. Ojciec Tomka i kapitan Nowicki przebywali w Hamburgu, gdzie opracowywali dla Hagenbecka projekt urządzenia nowego działu w muzeum etnograficznym.

Kuzyn Tomka, Zbyszek Karski, jeszcze podczas pobytu w Australii ożenił się z młodą Rosjanką Natasza, która razem z nim uciekła z syberyjskiego zesłania. Zbyszek pragnął pójść w ślady Tomka, chciał podróżować i marzył o udziale w jakiejś nowej wyprawie.

Właśnie w tym czasie Jan Smuga, towarzysz wypraw Tomka, otrzymał propozycję wyjazdu do Brazylii. Kompania "Nixon - Rio Putumayo" chciała powierzyć mu zorganizowanie zbrojnej ochrony dla swych robotników, zbierających kuczuk w brazylijskiej selwie. Kompania Nixona nie stosowała przemocy wobec indiańskich robotników i sumiennie wypłacała zarobki. Z tego też powodu popadła w ostry zatarg z konkurentem, Pedrem Alvarezem, którego ludzie również zbierali kuczuk w okolicach Putumayo i często umykali od bezwzględnego spekulanta do obozu Nixona.

Smuga lubił niebezpieczne przygody. Skorzystał więc z przerwy w wyprawach łowieckich z przyjaciółmi i przyjął propozycję Nixona. Zbyszek zwrócił się do Smugi o znalezienie mu zajęcia w kompanii kuczukowej. Dzięki jego wstawiennictwu sprawa

została pomyślnie załatwiona. W ten sposób młode małżeństwo już prawie od roku mieszkało w Manaos.

Wkrótce po przybyciu do Brazylii Karscy zrozumieli, dlaczego wzrost zapotrzebowania na kauczuk spowodował tyle tragicznych następstw dla tubylców. Drzewa kauczukowe rosły w amazońskiej selwie. Sok z tych drzew potrafili wydobywać tylko Indianie, nie nawykli jednak do najemnej, ciężkiej pracy. Tymczasem prócz Indian innych ludzi nad Amazonką prawie nie było[17]. Toteż spekulanci kauczukowi, żądni wzbogacenia się za wszelką cenę, urządzali krwawe polowania na krajowców, porywali ich, palili osady i siłą zmuszali do niewolniczej pracy. Wprawdzie w 1775 roku Indianie w Brazylii zostali zrównani pod względem prawnym z wolną ludnością, a w 1888 ostatecznie zniesiono niewolnictwo, lecz mimo to w głuszach amazońskiej puszczy nadal bat i kula ustanawiały prawo. Dziesiątki tysięcy indiańskich niewolników zginęły w czasach gorączki kauczukowej, a biali spekulanci zazdrośnie strzegli swych interesów i walczyli między sobą o najlepsze tereny.

W tej sytuacji Natasza szczególnie niepokoiła się o Zbyszka, który nieco młodzieńczo ulegał złudnemu nieraz urokowi wielkiej przygody. Doświadczony Smuga roztaczał nad nim opiekę, ale gdyby go zabrakło, Zbyszek mógłby znaleźć się w matni. Instykt ostrzegał Nataszę, że teraz właśnie nadeszła krytyczna chwila. Smuga w milczeniu sprawdzał broń. Groźne błyski w jego szarych oczach nie wróżyły niczego dobrego. Natasza wierzyła w jego rozważę i celność strzału, lecz czy obecnie nie podejmował zbyt ryzykownego zadania?

Smuga tymczasem nie rozmyślał o niebezpieczeństwie. Od dawna był zdecydowany odpowiedzieć ciosem na cios. Przygotowując broń układał plan działania. Nim minął kwadrans, wstał z krzesła i założył na biodra pas z rewolwerami. Zdjął z wieszaka pilśniowy kapelusz z szerokim rondem.

- Czy mogę pójść z panem? - nieśmiało zagadnęła Natasza. Smuga spojrział na nią, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o jej obecności. *Zaraz* też rozchmurzył się i uśmiechnął.

- Do biura Nixona możemy pójść razem - odparł. - Zapewne jesteś ciekawa alarmujących wieści? Dziękuję za herbatę.

Podszedł do stolika.

- Może dolać trochę rumu? - zaproponowała Natasza.

- Dziękuję, nie mam tak tęgiej głowy jak kapitan Nowicki. Jemu nie zadrży ręka nawet po całej butelce!

Serce zamarło w Nataszy. A więc nadeszło najgorsze! Smuga pijąc herbatę obserwował spod oka młodą kobietę.

- Proszę się nie obawiać. Zbyszkowi nic nie będzie groziło - uspokoił ją. - W Manaos zachowuje się jeszcze pozory praworządności, a nad Rio Putumayo nie wezmę go ze sobą.

- Pan wszystko najgorsze zawsze bierze na siebie - cicho odparła Natasza. - Boję się... Jaka szkoda, że nie ma tu reszty naszych przyjaciół!

- To prawda - przytaknął Smuga. - Szczególnie kapitan i Tomek są nieocenieni w takich sytuacjach. Chodźmy, Nixon czeka!

Wyszli z domu. Miasto leżało na wzgórzu, wąskimi, krętymi uliczkami opadało ku portowi na brzegu rzeki. Południowy upał wyludniał ulice. Zamożni biali mieszkańcy zażywali sjesty w swoich willach o czerwonych dachach, ocienionych pióropuszcami smukłych palm. Wokół ich wygodnych domostw słały się kobierce barwnych kwiatów. Tubylcy natomiast przeważnie gnieździł się w pływających, drewnianych chatkach z dachami krytymi trzcina lub słomą, zbudowanych na prymitywnych tratwach, przymocowanych do nabrzeża rzeki. Ponad miastem górowały białe wieżycy kościoła i frontony kilku dużych gmachów. Wzniesiono je może zbyt pośpiesznie, licząc na dalszy szybki rozwój miasta[18].

Natasza zasepiona szła obok Smugi. Tego dnia nie zwracała uwagi ani na wspaniałe budynki, ani na robotników wylegujących się w cieniu magazynów. Uliczkami opustoszałymi o tej porze tylko od czasu do czasu przemykał jakiś mężczyzna w wielkim kapeluszu ze słomy i z bronią u pasa.

Tuż za placem stał parterowy budynek. Żaluzje w oknach były zasłonięte z powodu upału. Przy drzwiach wejściowych znajdował się szyld z napisem Nixon - Rio Putumayo. Smuga otworzył drzwi, przepuścił przed sobą Nataszę i sam wszedł za nią. Po chwili obydwój znaleźli się w gabinecie Nixona. Zastali tam również Zbyszka Karskiego i dwóch innych pracowników.

Na widok Smugi Nixon wyjął z ust wygasłe cygaro i rzekł- Przyjechał Wilson z Putumayo. Przywiózł bardzo złe wiadomości. Napadnięto na obóz, mój bratanek został zabity. Część naszych Indian porwano do niewoli, reszta zbiegła w selwę.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia, panie Nixon - poważnie powiedział Smuga. - Kiedy to się stało?

- Dokładnie dwadzieścia dni temu - pośpieszył z wyjaśnieniem Wilson. - Wyruszyłem ku Amazonce zaraz po wypadku.

- Gdzie znajdował się pan w czasie napadu? - indagował Smuga.

- Pan John wysłał mnie do obozu nad Japurą. Jeden z naszych Indian przybiegł tam do mnie z wiadomością o napadzie. Zaskoczono ich po gwałtownej burzy. Gdy padł młody Nixon, a nasi poszli w rozsypkę, Indianin natychmiast ruszył po mnie. Szedł całą noc mimo uprzedzeń Indian do nocnych wędrówek po selwie. Dzięki temu znalazłem się na miejscu napadu następnego dnia w południe.

- Czy czaty były rozstawione, tak jak poleciłem? - zapytał Smuga.

- Niestety, zaniechano tej ostrożności...

- Wilson nie chce powtarzać przykrej dla mnie prawdy - wtrącił Nixon. - Mój bratanek

pił alkohol tego wieczoru. Gdybym nie ściągnął pana do Manaos, prawdopodobnie uniknąłbym nieszczęścia.

- Ostrzegałem pana, że ten młody człowiek źle znosi długi pobyt w puszczy - powiedział Smuga. - Prosiłem też, żeby pan odwołał go stamtąd.

Nixon opuścił głowę na piersi i milczał.

- Gdzie pochowano zamordowanego, panie Wilson? - dalej pytał Smuga.

- W obozie... miał odciętą głowę... Uczynili to Indianie, którzy brali udział w napadzie pod wodzą dwóch białych.

- A więc łowcy głów...! Czy ktoś rozpoznał tych białych?

- Nie! - zaprzeczył Wilson.

- Postaram się odszukać morderców. Nietrudno domyślić się, kto zorganizował napad. Jutro wyruszam nad Putumayo.

-Jadę z panem! - oświadczył Nixon! - Pan Karski zastąpi mnie tutaj.

- Może ja mógłbym pojechać zamiast pana? - wtrącił Zbyszek.

- Zostaniesz w Manaos - kategorycznie oświadczył Smuga. - Teraz, panie Nixon, pójdziemy porozmawiać z Pedrem Alvarezem. Ten chciwy Metys na pewno maczał w tym palce.

- Idę z panem! - odezwał się Zbyszek. - W razie awantury mogę się przydać.

- Ja także pójdę! - zawtórował Wilson.

- Dobrze! - zgodził się Smuga. - Zabierzcie broń! Strzelać wolno tylko na mój wyraźny rozkaz. Nataszo, zostań w biurze. Idziemy!

Było około piątej po południu. O tej porze Pedro Alvarez przebywał zazwyczaj w "Tesouro", jednym ze swoich szynków, gdzie bawił się do późnej nocy. Tam też poprowadził Smuga swoich towarzyszy. Wkrótce zatrzymali się przed parterowym budynkiem; z okien zasłoniętych żółtymi kotarami płynęły krzykliwe dźwięki muzyki.

- Zbyszku i panie Wilson, stańcie przy drzwiach. Pilnie obserwujcie wszystkich - rozkazał Smuga.

Pchnął drzwi wahadłowe i wszedł pierwszy. Zaraz spostrzegł Alvareza. W towarzystwie rozweselonych kompanów siedział przy stoliku w pobliżu orkiestry. Właśnie grano murzyńską sambę.

Smuga wolno zbliżał się ku Metysowi.

W szynku tym zbierali się poplecznicy Pedra Alvareza, którzy dobrze orientowali się w jego zatargach z Nixonem. Toteż wejście czterech przedstawicieli konkurencyjnej kompanii zostało od razu zauważone. Znano tutaj strzelecką sławę Smugi, dlatego tańczące pary skwapliwie ustępowały mu z drogi. Smuga zatrzymał się przed stolikiem Metysa. Orkiestra przerwała grę. W sali zaległa cisza.

Smuga przez krótką chwilę mierzył przeciwnika surowym wzrokiem, po czym zagadnął- Boa tarde[19], senhor Alvarez!

Śniada twarz Metysa poszarzała. Błysnął oczami w kierunku Indianina, który natychmiast oparł dłoń na rękojeści tkwiącego za pasem noża. Smuga spostrzegł to, lecz nie wykonał najmniejszego ruchu. Z opuszczonymi wzdłuż bioder rękoma stał lekko pochylony nad Alvarezem.

- Boa tarde, senhor! - powtórzył.

- Boa tarde, senhor Smuga! - niepewnie bąknął Metys. - Czego pan chce ode mnie?

- Nie lubię, gdy ktoś na mój widok kładzie dłoń na rękojeści noża. Rozkaż twemu pachołkowi, by siedział spokojnie, lub szybko stracisz jednego zucha!

Alvarez rzucił kilka słów w miejscowym narzeczu. Ręka Indianina opadła na stolik.

- Nie uderzam bez ostrzeżenia - odezwał się Smuga. - Dlatego tu przyszedłem. Na nasz obóz nad Putumayo dokonano napadu i popełniono morderstwo. Jadę tam jutro, aby upewnić się, czy moje domysły są słuszne. Gdy zdobędę dowód, jeden z nas zginie. Strzeż się, Alvarez!

Smuga odwrócił się i wolnym krokiem wyszedł z Nixonem na ulicę. Za nimi wycofali się z szynku Wilson i Zbyszek.

NA TROPIE ZDRADY

Dziesiąty dzień mijał od chwili przybycia Smugi do splądrowanego obozu nad Rio Putumayo. Smuga przez cały czas prowadził mozolne badania w celu wykrycia sprawców napadu. Nie było to łatwe zadanie. Przez kilka tygodni, jakie minęły od napaści, prawie wszystkie ślady uległy zatarciu. Z czterech dawnych capangów ocalał jedynie Metys Mateo, lecz niewiele można było się od niego dowiedzieć. Jak twierdził, zbudzony wrzawą bitewną umknął w las, widząc swoich trzech towarzyszy naszpikowanych strzałami napastników. Kilkunastu zbieraczy kauczuku z plemienia Cubeo [20] również zdołało się uratować z rąk oprawców. Teraz powrócili do obozu, ale i oni mało mogli powiedzieć.

Był wczesny ranek. Smuga przysiadł na pniu na uboczu polany. Zamyślony wodził wzrokiem za Indianami krzątającymi się przy budowie nowego baraku. Rosły Mateo dwoił się i troił przynaglając robotników do pracy, często groził ciężkim bykowcem. Odpoczywano jedynie w najgorętszych godzinach dnia. Toteż obok baraku, w którym umieszczono administrację, już stał odbudowany magazyn na zbiory kauczuku. Teraz wykańczano tylko pomieszczenia dla seringueirów i ich rodzin.

Nixon z Wilsonem przebywali od samego świtu w baraku administracyjnym. Omawiali sposób rozliczeń i odstawiania zbiorów kauczuku. Po tragicznej śmierci swego bratanka Nixon powierzył Wilsonowi kierownictwo obozu nad Rio Putumayo. Eksploatację kauczuku można było wznowić lada dzień, bowiem do niedobitków ocalałych po napadzie dołączono obecnie część robotników z obozu nad rzeką Japurą.

Smuga wolno pykał z fajki i obserwował pracujących. Jednocześnie rozmyślał o nikłych wynikach śledztwa. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości, że napadu dokonali Indianie Yahua. Kim jednak byli towarzyszący im biali przywódcy? Czy na pewno zostali nasłani przez Pedra Alvareza? Dlaczego napaść miała miejsce podczas nieobecności przezornego Wilsona, który przecież bardzo rzadko pozostawiał samego, niedoświadczonego Nixona w obozie? Smuga wciąż daremnie szukał odpowiedzi na dręczące go pytania. Zniechęcony sięgnął do kieszeni po pudełko z tytoniem, aby na nowo nabić fajkę. Wtem wydało mu się, że czuje na sobie czyjś wzrok. Natychmiast odwrócił głowę. W cieniu olbrzymiego palisandru zobaczył przyczajone brązowoooliwkowe Indianiátko o czarnych, gęstych włosach równo przyciętych naokoło głowy. Chłopiec, zaledwie ujrzał zachęcający uśmiech na twarzy Smugi, natychmiast zbliżył się do niego.

- Co powiesz, Mały Tropiciele? - po portugalsku zagadnął podróżnik.
- Senhor, nad rzeką dużo kapibar[21].
- Widzę, że masz ochotę wybrać się na polowanie! - powiedział Smuga.
- Sim, senhor! Weź strzelbę, zaprowadzę!

Smuga zastanawiał się przez chwilę. Zwierzyna nie była zbyt pożądana. Mięso starych kapibar jedli tylko Indianie i Murzyni. Jedynie poledwica młodych sztuk była smaczna. Smuga zerknął na chłopca, który wyczekująco na niego spoglądał. Rodzice młodego Indianina zostali porwani do niewoli podczas napadu. On sam ocalał ukryty w rumowisku

szalasu. Nie miał dokąd pójść, więc pozostał w obozie. Po przybyciu Smugi nad Rio Putumayo krążył za nim jak cień. Instynktem dziecka natury wyczuwał w białym podróżniku człowieka prawego, który zawsze staje w obronie pokrzywdzonych. Doświadczony Smuga orientował się, że osierocony chłopiec szuka jego pomocy i przyjaźni.

Mały przepadał za polowaniami, ustawicznie włóczył się po lesie w poszukiwaniu śladów zwierzyny. Czy można było teraz odmówić mu tej drobnej rozrywki?

- Zapolujemy! - odezwał się Smuga. - Czekaj na mnie przy baraku.

Podniósł się zaraz i ruszył po sztucer, gdyż znając sposób życia tych największych gryzoni świata wiedział, że zazwyczaj żerowały od zmierzchu do świtu.

Wkrótce obydwaj myśliwi podążali przez leśny gąszcz. Była to najbardziej ożywiona pora w tropikalnej puszczy. Nocne zwierzęta i ptaki spieszyły do kryjówek na odpoczynek, natomiastienne wyruszały na poranny żer. Toteż dżungla rozbrzmiewała różnymi krzykami, pomrukami i szelestami. W koronach owocowych drzew trzepotały się bajecznie kolorowe, olbrzymie ary czerwone i błękitne, oraz mniejsze od nich ary czerwonoczelne [22]. Potężnymi, zakrzywionymi w dół dziobami miażdżyły z łatwością twarde jak kamień owoce różnych palm i skorupy ulubionych orzechów. Jeszcze więcej wrzawy czyniły zielone papugi jara [23] o czołach i kań tarkach jasnoniebieskich, żółtych gardzielach i skrzydłach czerwonych w zgięciach. Przelatywały z głośnym trzepotem i z wrzaskiem opadały na drzewa obwieszane owocami.

Obydwaj myśliwi doskonale znali tajniki tropikalnej puszczy, toteż niewiele zwracali uwagi na rozgwar panujący wokół nich. Szli szybko, lecz rozważnie wybierali oparcie dla swych stóp. Puszcza błyszcząca poranną rosą jeżyła się wokół niewidocznymi na pierwszy rzut oka zasadzkami: wewnątrz butwiejącego, kruchego pnia zwałonego drzewa zazwyczaj zamieszkiwały tysiące niebezpiecznych owadów, z niechęcią potrąconej ramieniem gałęzi można było spodziewać się ataku kąśliwych os lub pasożytniczych kleszczy, często wielkości zaledwie łebka szpilki, a liana swobodnie zwisająca z konaru drzewa mogła okazać się czyhającym na łup jadowitym wężem.

Mały Tropicielel wysforował się o kilka kroków przed Smugę. Dumny był, że prowadzi na polowanie tak znamienitego łowcę. Toteż sam starał się zachowywać jak dorosły mieszkaniec tropikalnej puszczy. Szedł elastycznym krokiem zręcznie omijając przeszkody, uważnie penetrował wzrokiem okolice, czujnie nasłuchiwał. Smuga z uznaniem obserwował zachowanie młodego przewodnika, bowiem również posiadał doskonały wzrok i słuch oraz od dawna wyrobił sobie orientację w nieznanym terenie. Wiedział jednak, że nigdy nie zdoła dorównać pierwotnym mieszkańcom puszczy, którzy wskutek ćwiczeń od dziecka i nabytej wprawy mieli bardziej wyostrzone zmysły i wiele, wiele innych cech obcych ludziom cywilizowanych krajów. Tak wielką sprawność fizyczną mógł osiągnąć tylko człowiek, którego życie wciąż zależało od czujności wszystkich zmysłów.

Indianin szedł coraz ostrożniej, prawie bezszelestnie. Było już słyhać szum płynącej

rzeki. Wkrótce też ukazał się jej brzeg, jeszcze bardziej ożywiony niż gąszcz dżungli. Smuga przyczaił się za krzewem. Naraz, gdzieś w koronach wysokich drzew rozległo się głośnie, charakterystyczne klekotanie, podobne do bocianiego. Potem z gwałtownym trzepotem skrzydeł tukany pomarańczowe [24]uciekły na widok myśliwych. Opodal, nad brzegiem rzeki złośliwe, swarliwe czaple [25]przybierały najdziwaczniejsze pozy, wypatrując ryb w wodzie. Skradającym się krokiem chodziły jakby na szczudłach. Szyje trzymały głęboko wciągnięte między skrzydła, by w odpowiedniej chwili wyprostowawszy je gwałtownie, niby celnie rzuconym oszczepem, uderzyć w zdobycz.

Indianin dał Smudze znak. Niebawem przykucnęli za pniem drzewa. Mały Tropicielec w milczeniu wskazał ręką. Na brzegu rzeki buszowało kilka zwierząt pokrytych szczeciniastą sierścią o barwie brunatnej z odcieniem rudawym. Jedne skubały trawę i objadały korę z młodych drzewek, inne siedziały nad wodą na tylnych nogach, podobnie jak czynią to psy. Głosy kapibar przypominały chrząkanie świń. Długość tułowia dorosłych sztuk dochodziła do jednego metra, a wysokość w karku do około pięćdziesięciu centymetrów. Kapibary biegały niezbyt szybko, lecz Smuga wiedział, że przestraszone potrafią uciekać błyskawicznymi susami. Nie tracił więc czasu. Wypatrywał młodszej sztuki. Wkrótce uniósł sztucer. Nacisnął spust. Celnie trafione zwierzę padło na ziemię, pozostałe natychmiast rzuciły się do rzeki i, wspaniale nurkując, rychło zniknęły z pola widzenia.

Zanim myśliwi zdążyli podejść do zdobyczy, nadleciały wielkie urubu[26], czyli czarnogłowe sępy o częściowo nagiej głowie i szyi. Posępne, ociążałe ptaszyska z trzepotem dużych skrzydeł opadły na gałęzie drzew, a niektóre nawet wprost na ziemię w pobliżu martwej kapibary. Pojawienie się Smugi z Indianiakiem zmusiło żarłoczne sępy do cierpliwego oczekiwania na swoją kolej w rozpoczęciu uczy.

Smuga postanowił zabrać do obozu całą kapibarę, której skóra nadawała się do wyrobu siodeł i pasów, a wytopiony tłuszcz miał podobno właściwości lecznicze. Indianin, pożyczonym od Smugi nożem uciął grubą gałąź, a następnie lianami przymocował do niej upolowane zwierzę. W ten sposób łatwiej mogli nieść łup, który ważył około pięćdziesięciu kilogramów.

Smuga zamyślony obserwował pracującego chłopca. Zamierzał powierzyć go opiece Wilsona, a później zatrudnić w kompanii w Manaos. Wiedział, że większość Indian lubi trzymać w swych domach różne zwierzęta i ptaki, toteż chcąc, aby chłopiec nie czuł się tak bardzo osamotniony, zagadnął- Słuchaj, Mały Tropicielec, czy nie chciałbyś mieć własnego psa? Mam zmyślnego szczeniaka w Manaos. Mogę ci go podarować!

Krótki błysk radości zajaśniał w oczach chłopca, lecz zaraz został zamaskowany obojętnym wyrazem twarzy. Chłopiec umiał już skrywać swe uczucia, jak dorosły Indianin.

- Sim, senhor, chciałbym - odparł powściągliwie.

- A więc dobrze, psiak jest twój. Przyślę go tutaj z najbliższym transportem żywności. Na tego psa wołam Nero, lecz możesz nazwać go według swego upodobania. Młody jeszcze, szybko się przyzwyczai.

- Czy on lubi Indian? - zaciekał się Mały Tropiciel.

- Dlaczego miałyby nie lubić takiego miłego chłopca jak ty? - pytaniem odparł Smuga.

Mały Tropiciel umilkł, dopiero po dłuższej chwili szepnął- Pies senhora Mateo nienawidził Indian. Nie mogłem nawet podejść do niego.

- Widocznie wytresowano go w ten niemądry sposób - odparł Smuga i urwał rozmowę. Rozmyślał przez chwilę, po czym znów zagadnął: - Co zrobił Mateo z tym psem? Prócz indiańskich psów nie widziałem innego w obozie.

- Zabrał go do lasu na polowanie - wyjaśnił chłopiec. - Potem po powrocie powiedział, że pies mu uciekł.

- Mateo na pewno bardzo gniewał się z powodu tej ucieczki - rzekł Smuga i roześmiał się, jakby uważał historię za zabawną. Wiedział, że cudze niepowodzenia zazwyczaj śmieszyły Indian.

- Tak, ale on tylko udawał złość - odpowiedział Indianin. - Przecież sam odwiązał psa z arkanu i odegnał w las.

- Chyba przyśniło ci się to wszystko - zażartował Smuga. - Nie mogłeś tego widzieć. Mateo na pewno nie zaprosił cię na polowanie!

- Nie, nie, senhor! Nie zabrał mnie. On także nienawidzi Indian. Ale ja akurat tropiłem jeżozwierza, gdy senhor Mateo nadszedł ze swoim psem. Ukryłem się w gąszczu i wszystko widziałem. Przymocował jakiś przedmiot do obroży psa, a potem odwiązał go z arkanu i odegnał w las.

- Czy pamiętasz może, kiedy to się stało? - zapytał Smuga, coraz bardziej zaintrygowany.

- Pamiętam, było to właśnie na jeden księżyc przed napadem na obóz.

Smuga odczuł jakiś nieokreślony niepokój. Naraz drgnął, jakby nieoczekiwanie dokonał niezwykłego odkrycia. Zaraz jednak udał, że śledzi lot urubu kołujących w powietrzu nad padliną. Dopiero po dłuższym czasie odezwał się obojętnym tonem- Czy Mateo zawsze chodził na polowanie z tym swoim psem?

- W jaki sposób mógłby zawsze z nich chodzić, skoro miał go zaledwie kilka księżyców!
- oburzył się chłopiec, bowiem sądził, że biali zawsze powinni wszystko wiedzieć bez pytania.

- No tak, masz rację - potaknął Smuga i uśmiechnął się. - Od kogo dostał tego psa?

- Nie wiem, przywiózł go znad Amazonki, gdy odbierał ze statku transport żywności.

- Cóż to za przedmiot przywiązał Mateo do obroży psa? - zagadnął Smuga.

- Nie spostrzegłem, nie mogłem podkraść się zbyt blisko. Bałem się, że pies mnie zwęszy.

- Czy ten pies więcej już nie powrócił do obozu?

- Nie, nie wrócił. Pewno też bał się senhora Mateo. To zły człowiek!

- Może nawet bardzo zły - potwierdził Smuga. - Nie mów mu nigdy o tym, że go wtedy śledziłeś. Mógłby zrobić ci krzywdę.

- Nie powiem, senhor. Boję się go.

Smuga przerwał rozmowę. Nabił fajkę tytoniem, po czym zapalił i począł rozmyślać. Starał się wpleść przypadkowo zdobytą informację w nikłe ślady zebrane podczas śledztwa. Dopiero późnym popołudniem powrócił z chłopcem do obozu. Tego wieczora długo nie mógł zasnąć.

Następnego ranka, jak zwykle, wstał o świcie. Szybko zjadł śniadanie, a następnie założył na biodra pas z rewolwerami i wyszedł z baraku. Zaraz natknął się na Nixona, który zawołał- Hallo! Właśnie chciałem z panem porozmawiać. Czas już wracać do Manaos. Mateo sprytny chłop, podgonił robotę. Wilson może rozpoczynać zbieranie kauczuku. Nic tu po mnie.

- Kiedy chce pan wyruszyć? - zapytał Smuga.

- Jutro o świcie. Czy wraca pan ze mną? Nic więcej pan tu chyba nie wywęszy. Za wiele czasu minęło od napadu. Nie mamy żadnych dowodów przeciw Alvarezowi. Więc co, jedziemy razem?

- Odpowiem panu po południu - odparł Smuga. - Teraz chciałbym pokazać Mateowi miejsce na brzegu rzeki dogodne do zbudowania nowej przystani dla łodzi.

- Stara jeszcze nadaje się do użytku...

- Ma pan rację, ale przy tej okazji chcę pogadać z Mateem.

- Czyżby pan jeszcze miał nadzieję dowiedzieć się czegoś nowego?

- Chcę porozmawiać z nim na osobności.

- Jak pan uważa. Nie mogę mieszać się w pana kompetencje. Ale to chyba strata czasu.

- Być może. Mimo to porozmawiam. Wrócimy wkrótce.

Smuga podszedł do grupy Indian wykańczających mieszkalny barak. Mateo ochrypłym od ciągłego krzyczenia głosem ponaglał robotników. Smuga znał przysłowiowe lenistwo Metysów, więc wydało mu się, że Mateo przyspiesza pracę, aby tym samym jak najprędzej pozbyć się nadzoru zwierzchników. Uważnym wzrokiem obrzucił Metysa. Na jego biodrach zwiślał pas z rewolwerem. Zza spodni wystawała rękojeść noża.

- Mateo! - zawołał Smuga.

- Sim, senhor! - odparł Metys podchodząc bliżej.

- Czy dzisiaj skończycie ten barak?

- Już prawie gotowy.

- To dobrze, wobec tego masz trochę czasu. Pójdziemy nad rzekę. Pokażę ci, gdzie

należy zbudować nową przystań.

- Czy zaraz mamy pójść?

- Tak będzie najlepiej. Jutro zamierzamy z panem Nixonem wracać do Manaos - odpowiedział Smuga nieznacznie obserwując Metysa. Zdawało mu się, że Mateo ukrył uśmiech zadowolenia, pospiesznie strzepując pył ze spodni.

Ruszyli w las na przełaj ku rzece. Smuga milczał i szybko prowadził przez bezdroża. Po półgodzinnym marszu Mateo zdziwiony zagadnął.

- Zabłądziłeś senhor! Nie idziemy najkrótszą drogą do rzeki. Tak odległa od obozu przystań nie będzie dla nas przydatna.

- Nie obawiaj się, nie zabłądziłem - odparł Smuga i przyspieszył kroku. Po kwadransie stanęli na brzegu. Mateo parsknął gardłowym śmiechem i rzekł- A jednak zabłądziłeś! To jeden z dopływów, a nie Rio Putumayo!

- Wiem o tym! - lakonicznie odparł Smuga.

Odwrócił się twarzą w twarz do Metysa. Mierzył go zimnym wzrokiem, ale naprawdę wcale nie był tak spokojny. Wiele by dał, żeby mieć już tę okropną rozmowę za sobą.

- Po co mnie tu przyprowadziłeś? - gniewnie warknął Metys, rozglądając się wokół.

Smuga odczekał dłuższą chwilę zanim odparł- Chcę z tobą porozmawiać.

- O czym?

- O napadzie na obóz.

- Mówiłem już, jak było.

- A może chciałbyś jeszcze coś dodać?

- Powiedziałem wszystko, nic więcej nie wiem. Wracajmy do obozu!

- Nie spiesz się tak bardzo. Musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań^ Błyski gniewu zamigotały w oczach Matea. Smuga postąpił krok ku niemu.

- Z czterech naszych capangów tylko ciebie jednego oszczędzili mordercy - odezwał się.
- Powiedz, dlaczego pozwolili ujść ci z życiem?

- Mówiłem już, przycupnąłem w baraku, a potem uciekłem w las - odparł Metys. -
Więcej nie wiem!

- Słuchaj, Mateo, tylko podlec ucieka, gdy mordują jego towarzyszy.

- Było ich dużo, zaskoczyli nas we śnie, sam jeden nic bym nie zdziałał. Smuga jeszcze bardziej przybliżył się do Matea. Cichym głosem rzekł- Chciałbyś, żebym uwierzył w twoje podłe tchórzostwo. Nic z tego, Mateo. Znam prawdę! Jesteś nikczemnym zdrajcą. Sądziłeś, że nigdy nie dowiem się o psie, którego w przeddzień napadu wysłałeś z wiadomością do swych kompanów. Tyś zawiadomił ich o nieobecności Wilsona w obozie. Ty również wysłałeś z baraku swoich trzech podwładnych dozorców, wiedząc, że zginą bez szans

obrony.

Mateo poszarzał z wściekłości. Nagłym ruchem chwycił rękojeść rewolweru. Stali na małej łasze piaskowej nad brzegiem rzeczki. Smuga błyskawicznym kopnięciem obsypał twarz Matea piachem. Metys wprawdzie zdążył pociągnąć za cyngiel, lecz oślepiiony chybił. W tej chwili mocny cios w podbródek powalił go na ziemię. Padając upuścił broń.

- Wstań, Mateo! - rozkazał Smuga. - Przyznałeś się do strasznej winy.

Metys już nie odważył się na sprzeciw. Stalowszare oczy przeciwnika spoglądały bezlitośnie. Wiedział, że jego życie zawisło na włosku.

- Teraz odwróć się tyłem i złóż dłonie na plecach - powiedział Smuga. Wydobył z kieszeni rzemieniem skrępował przeciwnika. Przez jakiś czas milczał, jakby zbierał się w sobie. W końcu nachmurzony odwrócił Metysa twarzą do siebie.

- Przegrałeś, Mateo! - odezwał się. - Wyznaj wszystko!

Szarość nie schodziła z twarzy jeńca, ale pełen nienawiści wzrok był jedyną odpowiedzią.

- Milczysz! Tym gorzej dla ciebie! - powiedział Smuga. - Wkrótce będziesz prosił, żebym chciał słuchać twego wyznania.

Popchnął Metysa na sam brzeg rzeki, przeciągnął mu rzemień pod pachami, opasując piersi. Wolny koniec arkanu przerzucił przez konar zwisający nad wodą. Po chwili Mateo kołysał się w powietrzu nad wodą, a Smuga przywiązał drugi koniec sznura do pnia drzewa. Teraz usiadł na brzegu i zapalił fajkę. Minęło nieco czasu, zanim wytrząsnął popiół i powstał.

- No, Mateo, mów! Cierpliwość moja już się skończyła - odezwał się do Metysa.

Mateo tylko splunął w odpowiedzi. Smuga wydobył rewolwer. Huknął strzał. Jeden z sępów bujających w powietrzu upadł na ziemię.

Smuga podniósł go i wrzucił do wody prosto pod nogi jeńca wiszącego na sznurze. W kilka chwil nadpłynęła ławica krwiożerczych piranii[27] zwabiona zapachem krwi. Martwy sęp, jak gdyby nagle ożył, szarpany silnymi szczękami małych rybek uzbrojonych w ostre jak noże zęby. Wkrótce tylko czarne pióra zaczęły spływać z prądem rzeki.

Smuga bez słowa odwiązał koniec arkanu od pnia drzewa. Powoli zaczął opuszczać Metysa, dopóki jego stopy niemal nie dotknęły powierzchni wody.

Mateo krzyknął straszliwie; gwałtownie uniósł nogi zginając je w kolanach. W tej pozycji nie mógł jednak trwać długo, a krwiożercze ryby kotłowały się pod nim.

Pot dużymi kroplami spływał po twarzy Matea, wykrzywionej grymasem przerażenia. Czuł, że siły go opuszczają.

- Podciągnij mnie do góry! - zawołał.

Smuga odczekał chwilę nie wypuszczając arkanu z rąk, po czym zapytał- Kim byli

dowódcy Yahua?

- To ludzie Pancho Vargasa! Podciągnij, spiesz się, już nie mogę! Smuga zdumiał się i nie dowierzał. Słyszał wprawdzie o walce Vargasa o tereny kauczukowe i o jego handlu niewolnikami indiańskimi, lecz człowiek ten przebywał daleko, gdzieś w okolicy rzeki Tambo.

- Kłamiesz, Mateo! - powiedział.

- Przysięgam na moje życie! - gorączkowo wołał Metys. - To ludzie Vargasa: Jose i Cabral. Napadli za namową Alvareza! Zapłacił im! Podciągnij mnie!

Wkrótce na pół omdlały jeniec siedział na ziemi.

- Kto zabił młodego Nixona? - surowo zapytał Smuga.

- Cabral.

- Dlaczego nas zdradziłeś?

- Kilka miesięcy temu byłem w Manaos. Dużo przegrałem w karty. Alvarez pożyczył mi na zapłacenie długu. Powiedział, że nie muszę zwracać, jeśli oddam mu przysługę. Gdy odbierałem na Amazonce ostatni transport żywności, przyłączyli ci dwaj - Cabral i Jose. W imieniu Alvareza *zaządali*, abym namówił Nixona do wysłania Wilsona z obozu i zawiadomił ich o tym. Dali mi w tym celu swego psa.

- Podle postąpiłeś, Mateo, wielka jest twoja wina - odparł Smuga.

- Powiedziałem wszystko, co chciałeś. Uwolnij mnie teraz! - rzekł Mateo już nieco pewniejszym tonem.

Smuga surowo popatrzył na niego, po czym odezwał się- Mogłem dowiedzieć się prawdy od ciebie, a potem puścić koniec sznura. Do tej pory już tylko twoje kości leżałyby na dnie rzeki. Czy wiesz, dlaczego jeszcze żyjesz, nikczemny zdrajco?

- Senhor, daruj życie!

- Żyjesz, bo to byłaby dla ciebie zbyt łagodna kara - ciągnął Smuga. - Człowiek, który szybko umiera, nie ma czasu zdać sobie sprawy z wielkości swej winy.

- Czego jeszcze chcesz? - zapytał drżącym głosem Mateo.

- Najpierw zaprowadzisz mnie do Yahuan, którzy okaleczyli martwego Nixona. Potem wspólnie odszukamy Cabrala i jego kompana, a następnie odwiedzimy Pedra Alvareza.

Metys milczał zasepiony. Dopiero po dłuższej chwili cicho powiedział- Muszę zrobić to, czego żądasz. Jednak nie mów prawdy w obozie. Cubeowie natychmiast by mnie zabili!

- Gdybyś spróbował ucieczki, odnajdę cię, choćbym nawet miał na to poświęcić resztę mego życia, a wtedy... Pamiętaj!

Przeciął jeńcowi więzy, po czym rozładował jego rewolwer i razem z nożem rzucił mu pod nogi.

- Bierz i idź przede mną! - rozkazał.

SPOTKANIE Z INDIANAMI TIKUNA

Po powrocie do obozu Smuga odbył poufną naradę z Nixonem i Wilsonem. Obydwaj byli głęboko wstrząśnięci zdradą, jakiej dopuścił się Mateo.

- A to niktzemny łotr! - zawołał Nixon. - Zawsze okazywałem mu tyle zaufania. Nawet i teraz...! Jaki dureń ze mnie! Gdyby nie pan, mogłoby dojść do nowego nieszczęścia!

- Podły! Bez skrupułów wydał nieszczęsnego Johna w ręce morderców - zawtórował Wilson. - Zasłużył na najsurowszą karę. Nie rozumiem, dlaczego od razu nie wpakował mu pan kuli w łeb!

Smuga, do którego były zwrócone te słowa, zmarszczył brwi i odparł- Nie jestem katem, panie Wilson!

- Skoro dla wydobycia zeznań nie zawahał się pan torturować go jak Indianin, to obowiązkiem pana było również wymierzyć mu zasłużoną karę - zapalczywie dodał Wilson.

-Najpierw pokonałem Matea w równej walce, posiadał broń tak jak ja! - odpowiedział Smuga. - Potem wprawdzie postraszyłem go piraniami, ale nie jestem pewny, co bym zrobił, gdyby dalej milczał uparcie!

- Niech pan nie obraża pana Smugi porównaniem z dzikimi Indianami - surowo wtrącił Nixon. - Okrutna zemsta już nie przywróci życia biednemu Johnowi.

- Naprawdę nie chciałem pana urazić, bardzo przepraszam... - natychmiast odezwał się Wilson zmieszany, lecz Smuga przerwał mu, mówiąc- Zapomnijmy o tym, nie obraziłem się wcale. Nie uważam Indian za ludzi gorszych od nas. To właśnie biali sprawili, że życie ich stało się piekłem. Jeśli jednak może się pan zdobyć na dokonanie samosądu nad bezbronnym jeńcem, to proszę wziąć mój rewolwer i zastrzelić Matea. Na pewno na to zasłużył. Jest zamknięty w pana pokoju, ma związane ręce i nogi.

Rzucił broń na stół, a Wilson zawstydzony pospiesznie rzekł- Zasłużyłem na to, co pan powiedział. Jeszcze raz przepraszam. Cóż jednak teraz zrobimy z Mateem? Przecież nie może mu to ujść na sucho!

- Możemy oddać go pod sąd w Manaos, na pewno zostanie ukarany - doradził Nixon.

- To byłoby przedwcześnie. Alvarez ma znaczne wpływy - powiedział Smuga. - Proszę nie zapominać, że Mateo jest nie tylko współwinnym zbrodni, lecz również w tej chwili jedynym świadkiem, którego zeznania, poparte innymi dowodami, umożliwią osiągnięcie właściwego inspiratora napadu. Musimy zebrać więcej świadków.

- Co pan więc zamierza? - zapytał Nixon.

- Najpierw chciałbym dotrzeć do Yahuan, którzy brali udział w napadzie i okaleczyli zwłoki Johna. Może uda mi się odkupić od nich to makabryczne trofeum. Niech głowa nieszczęsnego młodego człowieka spocznie w ziemi razem z jego ciałem.

- To bardzo szlachetnie, że pomyślał pan o wyświadczeniu Johnowi tej ostatniej

przysługi - odezwał się wzruszony Nixon. - Obawiam się tylko, czy wojowniczy Yahuanie zechcą pertraktować z nami w tej sprawie.

- Pośrednikiem będzie Mateo, którego przecież znają - wyjaśnił Smuga. - Potem zamierzam odszukać bezpośredniego mordercę, Cabrala i jego kompana. Zmuszę ich do złożenia zeznań. Wtedy będziemy mogli policzyć się z Alvarezem. Czas już położyć kres jego zbrodniczemu intrygom.

- A co z Mateem? - odezwał się Wilson.

- Zabiorę go z sobą. Nie będzie to dla niego najweselsza wyprawa - odpowiedział Smuga.

- Nie upilnuje go pan w dżungli. Umknie przy pierwszej okazji - zafrasował się Wilson.

- Nie pozwolę, aby pan sam wchodził wilkowi w paszczę - zaproponował Nixon. - Pójdziemy razem! Pan Zbyszek da sobie radę w Manaos. Zaraz napiszę dla niego polecenia. Wilson dopilnuje pracy w naszych obozach. Wyprawa przecież nie potrwa zbyt długo.

- Nie, nie, panie Nixon. To nie byłoby zbyt rozsądne - odezwał się Wilson. - Jako bliski krewny zamordowanego nie potrafi pan zachować spokoju i rozwagi podczas pertraktacji z Yahuanami. Poza tym nieobecność pana, jako kierownika przedsiębiorstwa, mogłaby spowodować wiele kłopotów. Ja będę towarzyszył panu Smudze, a pan pozostanie tutaj, w obozie. Stąd łatwiej kontaktować się z panem Zbyszkiem w Manaos. Lepiej znam selwę niż pan. Tym samym pan Smuga będzie miał ze mnie większy pożytek.

- Wilson ma słuszość, tak będzie najlepiej - zauważył Smuga.

- Cabral i Jose pracują dla Vargasa, a z nim trzeba postępować ostrożnie.

- Pan decyduje w tych sprawach - rzekł Nixon. - Słyszałem co nieco o Vargasie. Rzeka Tambo daleko stąd. Niebezpiecznie tam. Siłą niewiele wskóracie.

- Podobno Vargas dysponuje setkami ludzi - dodał Wilson.

- Do licha, czy dla zdemaskowania Alvareza warto się tak narażać?

- zapytał Nixon.

- Nie tylko sprawa Alvareza skłania mnie do odwiedzenia Vargasa

- odparł Smuga. - Jego poplecznicy uprowadzili naszych Indian. Gdyby udało się choćby tylko część z nich wykupić z niewoli, zyskalibyśmy większe zaufanie pracowników. Gra warta ryzyka. Poza tym uważam to za nasz obowiązek. Pracując dla nas popadli w niewolę, która dla nich oznacza śmierć.

- Teraz rozumiem, dlaczego ludzie tak garną się do pana! Uczciwy z pana człowiek - odezwał się Wilson. - Pójdę z panem na tę wyprawę i... może pan na mnie liczyć.

- Nie chcę przeciwstawiać się tym zamiarom. Argumenty pana Smugi są przekonujące - przyznał Nixon. - Będziecie potrzebowali pieniędzy. Nie mam ich przy

sobie. To zajmie trochę czasu...

- Nie możemy czekać tutaj na pieniądze. Do Vargasa należy dotrzeć jak najprędzej, jeżeli chcemy ocalić naszych Indian - wyjaśnił Smuga.

- Według relacji Matea plemię Yahua, które brało udział w napadzie, zamieszkuje gdzieś nad Solimoes[28], a więc po drodze do Iquitos[29], skąd popłyniemy Ukajali do rzeki Tambo. W Iquitos bez trudności podejmiemy w banku potrzebną gotówkę.

- Dobrze, dam czek - oświadczył Nixon. - Powinniście również zabrać kilku zaufanych ludzi.

- Myślałem już o tym, lecz nie jestem pewny, czy ktoś z naszych Indian odważy się zapuścić w obce, odległe tereny - odparł Smuga. - Co pan na to, Wilson?

- Dobra zapłata mogłaby zachęcić kilku śmiazków, ale niewielki będzie z nich pożytek. Nie potrafią obchodzić się z bronią palną.

- To najmniejszy kłopot, szybko się nauczą. Do tego mają talent - odpowiedział Smuga. - Niech im pan powie, że szukamy czterech ochotników i wyjaśni, o co chodzi.

- Dobrze, zaraz się zakrzątnę. Kiedy wyruszamy?

- Za dwa dni. Zdąży się pan przygotować?

- Zdążę!

- A więc do dzieła!

Wilson nie miał trudności ze zwerbowaniem Indian na wyprawę. Na wieść, że Smuga zamierza wykupić brańców z niewoli, pierwszy zgłosił się Haboku, mężczyzna o wielkich wpływach, i czynem swym ośmielił innych. Haboku był łowcą jaguarów, które budziły powszechny strach wśród Cubeów. Wierzyli oni, że jaguar jest niebezpiecznym czarownikiem lub jego psem. Stąd też nieliczni łowcy jaguarów cieszyli się wielkim szacunkiem wśród swoich. Jako symbol godności i odwagi Haboku nosił naszyjnik z zębów jaguara oraz przepaskę biodrową ze skóry pancernika.

W ślad za odważnym Haboku jeszcze dziesięciu Cubeów wyraziło chęć wzięcia udziału w wyprawie. Wilson wybrał trzech najsprawniejszych w wiosłowaniu, bowiem do osiedli wojowniczych Yahuan mogli dotrzeć tylko wodą, a i dalej, z Iquitos w górę Ukajali, statki bardzo rzadko płynęły w głąb dzikich krain. Należało więc przygotować się do samodzielnej żeglugi. Smuga uzbroił ochotników w karabiny i już po kilkugodzinnych ćwiczeniach potrafili posługiwać się bronią palną.

Nim minęły dwa dni, ukończono przygotowania do drogi. Trzeciego dnia o świcie Nixon z gromadą Cubeów odprowadził towarzyszy na brzeg Rio Putumayo. Znajdowała się tam prymitywna przystań. Do niej to była przywiązana na sznurze z lian długa, wąska łódź, wyłobiona w pniu mahoniowego drzewa. Ostro zakończony dziób i rufa wystawały ponad wodę. Wielką zaletę łodzi stanowiła jej lekkość, dzięki czemu mogła być przenoszona po lądzie w miejscach, gdzie progi rzeczne [30] uniemożliwiały żeglugę. Haboku przysiadł na rufie jako sternik, a trzech pozostali Indianie razem z Mateem, usadowieni w szeregu, mieli

wiosłować. Smuga z Wilsonem zajęli miejsca pomiędzy sternikiem i wiosłarzami. Na przodzie łodzi ułożono bagaże. Po krótkim pożegnaniu Smuga dał znak do odjazdu. Łódź odbiła od przystani i popłynęła w górę Rio Putumayo.

Cubeowie byli w wesołym nastroju. Za udział w wyprawie mieli otrzymać sowite wynagrodzenie, a obecność nieustraszonego Smugi dawała im poczucie bezpieczeństwa. Toteż wprawnie sterowana łódź szybko mknęła pod prąd w pobliżu brzegu, gdzie drzewa selwy rzucały na wodę ożywczy cień.

Szczep Cubeo zamieszkiwał od niepamiętnych czasów [31] nad brzegami rzeki Uaupes i jej dopływów. Nic więc dziwnego, że wszyscy mężczyźni z tego szczepu byli doświadczonymi wiosłarzami. Od dzieciństwa żyli z wodą, która w ich życiu odgrywała niepoślednią rolę. Gościńcami łączącymi spokrewnione klany, czyli wspólnoty, były rzeki. Mężczyźni łowili w nich ryby, polowali na ich brzegach i budowali przystanie dla łodzi. W nadbrzeżnych chaszczach ukrywali święte bębny, w których takt kąpali się o brzasku, aby zaczerpnąć sił od sławnych, zmarłych przodków, przebywających, w myśl wierzeń, w toni życiodajnej rzeki. Z tego względu rzeki stanowiły uświęcony teren dla każdego klanu. Wykonywanie wszelkich obrzędów religijnych należało jedynie do mężczyzn, wobec czego rzeki były ich wyłączną domeną działania, natomiast do kobiet należały poletka, na których uprawiały maniok, trzcinę cukrową, kukurydzę, pataty i melony.

Już po kilku godzinach żeglugi Smuga upewnił się, że dobór załogi był właściwy. Łódź wciąż z jednakową prędkością mknęła w górę rzeki, a wiosłarze nie okazywali zmęczenia. Siedzieli niemal nieruchomo jak posągi z brązu i jedynie szybkimi, krótkimi ruchami przedramion równomiernie posuwali łódź pod prąd. Byli też w dobrym nastroju.

- Hę ee ee...! - wołał któryś z nich do ptaków bujających w powietrzu. - Dokąd fruniecie?! Jeśli uniosę moją strzelbę, zaraz zakończycie swój lot!

Wtórowały mu śmiechy towarzyszy. Potem chóralnie nucili jakąś pieśń we własnym narzeczu, ani na chwilę nie przerywając wiosłowania łopatkowymi, krótkimi wiosłami indiańskimi o wypalonych, oryginalnych wzorach. Jednak gdy bok łodzi czasem niemal ocierał się o brzeg, a rozłożyste konary drzew zakrywały niebo, natychmiast ustawały żarty i śpiewy, Indianie bowiem zachowują w lesie milczenie.

W nadbrzeżnym gąszczu panowała prawie niczym nie zmacona cisza. Czasem tylko rozbrzmiewał głuchy trzask padającego leśnego olbrzyma lub rozpaczliwy krzyk ginącego zwierzęcia. W pozornie martwej ciszy głuszy leśnej wciąż trwała w przyrodzie bezlitosna walka na śmierć i życie.

Koryto rzeki usiane było mnóstwem wysepek, piaszczystymi wydiami i mieliznami. Na piasku wyłożonym słońcem różowiły się wspaniałe flamingi [32], to znów drzemały małe, zielone krokodyle. Po mieliznach brodziły białe czaple, a stada dzikich kaczek podrywały się do lotu na widok łodzi.

Dwa dni żeglugi na północny zachód minęły bez niezwykłych wydarzeń. Trzeciego dnia, wkrótce po wyruszeniu w drogę, Cubeowie przerwali śpiew i badawczym wzrokiem

zaczęli przepatrywać nadbrzeżne gąszcze.

Smuga i Wilson natychmiast zauważyli zwiększoną ostrożność i niepokój Indian. Od razu domyślili się, że wpłynęli na tereny zamieszkiwane przez jakieś wojownicze plemię. Wilson oparł dłoń na leżącym na dnie łodzi karabinie, a Smuga począł uważnie śledzić obydwie brzegi. Przez jakiś czas szybko płynęli zachowując milczenie. Naraz sternik Haboku wydał cichy, ostrzegawczy okrzyk i wskazał ręką na lewy brzeg. W zakolu rzeki znajdowała się mała kanu, czyli łódź wyłobiona w drzewie, w której Indianin na stojąco polował harpunem na ryby.

Samotny rybak był niezwykle muskularnym mężczyzną średniego wzrostu. Jego ciemnobrązowe ciało okrywała jedynie wąska przepaska biodrowa z włókien drzewnych, zabarwionych na czerwono sokiem achioty[33], oraz nałożona na szyję jakby obroża z tych samych włókien, posiadająca sute frędzle zwisające luźno na piersi i plecy. Na przegubach rąk i nóg nosił obcisłe bransolety z łyka. Na barwnie tatuowaną twarz o wybitnie mongolskim typie opadały czarne, twarde, lśniące włosy przycięte w grzywkę.

Rybak pochylony nad wodą wypatrywał łupu. W tej właśnie chwili nagłym ruchem wznosił ramię uzbrojone w harpun, by ugodzić rybę i wtedy spostrzegł dużą, obcą łódź wypływającą na zakole rzeki. Ramię wzniesione do góry nie zadało ciosu. Indianin rzucił broń na dno łodzi, po czym porwał wiosło i szybko płynąc ku brzegowi coś wołał gardłowym głosem. Było to zapewne ostrzeżenie lub wezwanie o pomoc, gdyż wkrótce gromada Indian uzbrojonych w łuki wybiegła z zarośli na brzeg rzeki. Zaledwie ujrzeli nadpływających obcych ludzi, część z nich pędem ruszyła w kierunku łodzi wyciągniętych na łachę piaskowca.

Na widok zbrojnej gromady Mateo poruszył się niespokojnie i krzyknął półgłosem- Do wszystkich diabłów, szybciej. To Indianie Tikuna!

- Tikuna! - potwierdził Haboku.

Tikunowie tymczasem już odbijali od brzegu. Niektórzy pospiesznie nakładali strzały na cięciwy łuków. Widząc to Mateo odwrócił się do Smugi i powiedział- Gdyby nas dogonili, nie mów im nic, senhor, że płyniemy do Yahuan. Oni się wzajemnie nienawidzą! W ucieczce najpewniejszy ratunek!

Haboku i jego towarzysze zachęceni przykładem Mateo jeszcze ostrzej uderzyli wiosłami o wodę. Łódź zaczęła szybko oddalać się od brzegu.

Ucieczka i pogoń trwały już około dwóch godzin. Kilka łodzi z przygotowanymi do ataku Tikunami powoli, lecz systematycznie zbliżało się do uciekających. Smuga coraz częściej odwracał się ku nim i wzrokiem uważnie mierzył odległość, aż w końcu odezwał się- Chyba nie unikniemy walki. Mają więcej wiosłarzy i są mniej zmęczeni...

- Ostudźmy ich zapal kulami - zaproponował Wilson.

- Zła rada - karcąco odezwał się Haboku. - Jeśli choć jeden z nich padnie, wtedy już na pewno nie przerwą pogoni. Wkrótce będzie noc i burza nadciąga. Może uda się uciec!

- Awantura nie przyniesie nam niczego dobrego - przyznał Smuga. - Lepiej wszyscy bierzmy się do wiosła!

Łódź zwiększyła szybkość. Odległość między uciekającymi i pogonią chwilowo przestała się zmniejszać.

Przewidywania Haboku sprawdziły się niebawem. Zanim zapadł wieczór, ciężkie, ołowiane chmury przysłoniły zachodzące słońce. Najpierw duże krople deszczu spadły na ziemię, a potem porywisty wiatr targnął nadbrzeżną dżunglą. Przy blasku pierwszych błyskawic Tikunowie zawrócili łodzie i pogrążyli się w szybko zapadającym zmroku.

Haboku natychmiast zaczął sterować łodzią w kierunku brzegu. Był już najwyższy czas na szukanie schronienia na lądzie. Na mętnej i wzburzonej rzece coraz częściej pokazywały się pnie powyrywanych drzew i duże kępy trzcin, grożące łodzi wywróceniem, a nawet rozbiciem.

Zaledwie łódź dobiła do brzegu, Cubeowie wyciągnęli ją na ląd, a następnie, wykorzystując pnie drzew jako główne filary, rozpoczęli budować obszerny szałas, by schronić się w nim przed ulewą. Burza już szalała na dobre, gdy podróżnicy przemoknięci do suchej nitki znaleźli się w szałasie, sporządzonym z gałęzi, liści i lian. O rozpaleniu ogniska nie mogło być nawet mowy, więc Wilson wydzielił racje suchego prowiantu. Długo posilali się w milczeniu, albowiem wszyscy byli wygłodniali i wyczerpani całodzienną żegluga oraz ucieczką przed Tikunami. Potem porozpinali swe hamaki w szałasie i ułożyli się do snu na wilgotnych posłaniach.

Smuga długo leżał z otwartymi oczami wsłuchując się w odgłosy płynące z puszczy. Po jakimś czasie wichura nieco się uspokoiła i tylko deszcz głośno szeleścił w gęstym poszyciu lasu. Wokół Smugi rozbrzmiewały oddechy śpiących towarzyszy. Tuż obok z prawej strony znajdował się hamak Matea. Smuga nie skrępował go na noc. Wszyscy przecież byli bardzo zmęczeni i powinni należycie wypocząć przed wyruszeniem w dalszą drogę, która mogła przynieść wiele różnych niespodzianek. Smuga leżał więc i czuwał obawiając się jakiegoś nowego podstępu ze strony Mety są.

Czas wolno upływał... Smuga uśmiechał się do siebie rozmyślając o swych młodych przyjaciółkach, Sally i Tomku, którzy przebywali w Londynie oddaleni o tysiące kilometrów. Tomek Wilmowski właśnie kończył pisanie pracy etnograficznej o Papuasach zamieszkujących Nową Gwineę. W ostatnim liście do Smugi ojciec Tomka szeroko rozwiódł się na ten temat, ponieważ kilku członków Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, cieszącego się wielkim autorytetem naukowym, okazało duże zainteresowanie dziełem młodego Polaka.

Smuga cieszył się sukcesem Tomka, którego lubił jak własnego syna. Przecież to właśnie Tomek pragnął go we wszystkim naśladować, by stać się równie sławnym podróżnikiem. Z niemałym wzruszeniem wspominał pierwszą ich wspólną wyprawę do dalekiej Australii, kiedy młody wówczas chłopiec wręcz mu to wyznał. Żałował, że teraz nie ma Tomka przy sobie. Na Tomku zawsze można było polegać. Posiadał niezwykły dar zjednywania sobie ludzi oraz intuicję, dzięki której podczas wypraw łowieckich

niejednokrotnie cało wychodzili z różnych trudnych sytuacji. Świadomość, że Tomek przybyłby na każde jego wezwanie nie zważając na nic, sprawiała mu wiele radości.

Rozmyślając o młodym przyjacielu Smuga wsłuchiwał się w oddechy śpiących towarzyszy. Z sąsiedniego hamaka rozległo się mocne chrapanie. W tak burzliwą noc nie należało już obawiać się napadu Tikunów. Poza tym przesądni Indianie w ogóle nie mieli zwyczaju wędrować po lesie po zachodzie słońca. Wierzyli, że wtedy krążyły po nim różne złe duchy, których bardzo się obawiali. Skoro więc Mateo spał w najlepsze, Smuga również mógł trochę odpocząć przed świtem. Przymknął oczy. Z wolna zapadał w drzemkę.

Naraz przebudził się, lecz jak człowiek przyzwyczajony do niebezpieczeństw, nie wykonał najmniejszego ruchu. Wolniutko uchylił powiek. Burza ucichła i deszcz przestał padać. W szałasie panował półmrok; jasna poświata księżycowa wpełzała przez otwór wejściowy. Przez chwilę czujnie nasłuchiwał. Wokół słyhać było głębokie oddechy śpiących. Smuga pomyślał, że obudził go zapewne krzyk jakiegoś nocnego ptaka. Nie mógł jednak ponownie zasnąć, nurtował go jakiś wewnętrzny niepokój. Nagle pojął, co go przebudziło: Mateo przestał chrapać. Smuga wyteżył słuch...

Wydawało mu się, że słyszy nikły szelest, jakby ktoś przesuwiał dłonią po pniu drzewa, na którym zawieszony był jego hamak. Od razu uzmysłowił sobie, że tam właśnie, na sęku, powiesił pas z rewolwerami.

"Mateo kradnie broń" - pomyślał.

Jeśli nawet tak było, nie mógł temu zapobiec. Zanim zerwałby się z hamaka, Metys miałby czas pchnąć go nożem lub zastrzelić. Leżał więc spokojnie i oddychał równomiernie jak człowiek pogrążony w głębokim śnie.

Spod uchylonych powiek pilnie wpatrywał się w rozjaśniony światłem księżycy otwór wejściowy szałas. Nagle zrobiło się zupełnie ciemno.

"Mateo wychodzi - rozumował Smuga. - Zasłonił sobą otwór".

Po krótkiej chwili poświata księżycowa znów rozjaśniła mrok. Smuga bezszelestnie zsunął się z hamaka na ziemię. Jeden ruch ręką upewnił go, że Mateo opuścił swe posłanie. Potem szybko przesunął dłonią po pasie z rewolwerami zawieszonymi przy własnym hamaku. Pochwy były puste.

Ostrożnie zbliżył się do wyjścia. Nie budził nikogo. Każda chwila, zwłoki mogła ułatwić Mateowi ucieczkę. Nadstawił ucha. Usłyszał szelest w zaroślach nadrzecznych. Domyślił się, że Mateo zamierza uciec łodzią. Był to doskonały pomysł, bowiem pościg łądem nie miał jakichkolwiek szans na dogonienie uciekiniera. Poza tym Mateo nie pozostawiłby śladów ułatwiających tropienie.

Smuga wysunął się z szałas, po czym chyłkiem pobiegł ku brzegowi, gdzie pozostawili łódź wyciągniętą na ląd. Zdumiał się ujrawszy, że ciężka, długa łódź była już niemal do połowy zepchnięta na wodę. Nie docenił przedtem siły Metysa. Nie było czasu do stracenia. Jeśli Mateo znajdzie się na rzece w łodzi, umknie bez trudności. Smuga nie mógłby nawet powstrzymać go strzałem, gdyż w pośpiechu nie zdążył zabrać broni.

Mateo właśnie pochylił się nad rufą łodzi, ujął ją od spodu dłońmi i zaczął spychać na wodę. Smuga dopadł uciekiniera. Uderzeniem w kark powalił go na łódź. Mateo dźwignął się i klęknął. Widocznie poznał napastnika, gdyż ręka jego bez wahania sięgnęła do pasa, za którym miał zatknięte rewolwery. Smuga pięścią uderzył go w podbródek. Mateo przetoczył się na plecy. Zanim stanął na nogi, przeciwnik zwałił się na niego całym ciężarem swego ciała. Smuga posiadał niemałe doświadczenie w walce wręcz. Toteż wkrótce prawa ręka Mateo wykręcona do tyłu zatrzeszczała w stawie. Mateo jęknął z bólu..

Teraz Smuga wyciągnął mu rewolwer z za pasa, po czym rzekł- Głupi jesteś, Mateo! Żywy nigdy mi nie uciekniesz! - przyłożył mu rewolwer do pleców. - Wstań! - rozkazał.

Metys postępując podniósł się z ziemi. Smuga bez trudu odebrał mu drugi rewolwer.

- Jeśli jeszcze raz spróbujesz uciekać, to oddam Yahuanom twoją głowę za głowę Johna Nixona - ostrzegł. - A teraz kładź się spać, bo najdalej za dwie godziny ruszamy w drogę!

NA RIO PUTUMAYO

Smuga niewiele spał tej nocy. Zaledwie księżyc skrył się za drzewami po drugiej stronie rzeki, Haboku dotknął jego ramienia. Smuga natychmiast otworzył oczy. W szalasie panował mrok. Mateo jeszcze postękiwał przez sen obok na hamaku.

- Czas już na nas - szepnął Haboku. - Wkrótce nastanie dzień...

- Zbudź wszystkich, ruszamy - odparł Smuga.

Wyszedł z szalasu. Wilson wydzielał racje suchego prowiantu.

- Dzień dobry! - zawołał. - Śniadanie gotowe! Trochę zasnął pan dzisiaj!

- Dzień dobry, istotnie nie słyszałem jak wstawaliście - odparł Smuga, nic nie wspominając o nocnej próbie ucieczki Mateo.

- Niech pan dopilnuje, żeby wszyscy byli za kwadrans w łodzi. Ja tymczasem rozejrzę się po okolicy.

Wkrótce przystanął na brzegu Putumayo, która nieco dalej w kierunku na zachód przekraczała granicę Kolumbii[34], wdzierającej się tutaj wąskim pasem pomiędzy terytoria Brazylii i Peru. Była to najkrótsza droga do Yahuan, zamieszkujących w pasie przygranicznym Peru na brzegu Rzeki Świętej Teresy, dopływu Putumayo.

Rzeka jeszcze kryła się w nocnej, gęstej mgle. Nadbrzeżne drzewa roztopiały się w sinawych oparach. Gdyby nawet Indianie Tikuna czaili się do napadu gdzieś w pobliżu, teraz nic by nie mogli przedsięwziąć. Pora była doskonała do przekroczenia cichaczem granicy kolumbijskiej.

Smuga nie tracąc czasu powrócił do obozu, gdzie jego towarzysze już kończyli posiłek.

- W drogę! - krótko rozkazał.

- Jesteśmy gotowi - odparł Wilson pakując do podręcznej torby śniadanie dla Smugi, podczas gdy Haboku z wioślarzami już przenosili bagaże nad brzeg rzeki. Niebawem wszyscy zajęli miejsca w łodzi.

Płynęli w milczeniu około godziny. Naraz pojaśniało na wschodzie. Światłość dzienna szybko rozpraszała mgłę. Na czyste, lazuruwe niebo wychyliło się palące słońce. Nadbrzeżna selwa natychmiast rozbrzmiała krzykiem ptactwa. Parami bądź stadkami przelatywały nad rzeką głośno kracząc papugi, których barwne upierzenie błyskało wszystkimi kolorami tęczy. Na piasku na brzegach wylegiwały się nieruchomo krokodyle i wielkie żółwie. Stada wrzaskliwych małp rozpoczęły harce na drzewach.

Była to już druga połowa pory suchej [35] toteż prócz krokodyli i żółwi inne zwierzęta również pojawiały się na brzegach rzeki w poszukiwaniu życiodajnej wody.

Bystrooki Haboku wkrótce wypatrzył wielkiego mrówkojada trójpalczastego[36], pokrytego czarnobrunatnym, gęstym, dość sztywnym włosem, który na grzbiecie tworzył rodzaj grzywy, a dalej na ciele zwieszał się na boki.

Łódź właśnie płynęła blisko brzegu. Niespodziewanie wynurzyła się spod zwisających konarów drzew. Zwierzę zaledwie ją spostrzegło, przysiadło na tylnych nogach, a przednie, uzbrojone w potężne pazury, mocniejsze od pazurów jaguara, uniosło do obrony. Nie atakowane przez żeglarzy zerwało się do ucieczki i machając puszystym ogonem, przypominającym pióropusz, ociężałym galopem zniknęło w lesie.

Podróżnicy płynęli dalej bez chwili wytchnienia. Zbliżało się południe. Haboku naraz wydał cichy okrzyk i zaczął ostro kierować łódź ku brzegowi. Jeden z Cubeów rzucił wiosło na dno łodzi i zaraz podjął łuk oraz strzały. Zbudzeni z drzemki Smuga i Wilson ujrzeli znaczne stado pekari[37] przepływające się przez rzekę. Smuga natychmiast poznał, że były to pekari białobrode, różniące się od pekari zwykłych dużą białą plamą na dolnej szczęce. Żyły one we wszystkich lesistych okolicach podzwrotnikowej Ameryki Południowej. Wędrowały po lasach przeważnie stadami i z łatwością przebywały napotykaną rzekę.

Pekari właśnie już dopływały do brzegu. Przestraszone widokiem ludzi pospiesznie wspinały się na ląd. Indianin ostrożnie stanął w łodzi. Nałożył strzałę na cięciwę łuku, po czym baczny wzrokiem obrzucił stado. Upatrzył młodszą sztukę i zabił ją dwoma celnymi strzałami. Po umieszczeniu zdobyczy na dziobie łodzi podróżnicy popłynęli dalej w górę rzeki.

Zanim nadszedł wieczór Wilson oznajmił Smudze, że już znajdują się na terytorium Peru. Mateo, który dobrze znał te okolice, potwierdził jego słowa. Smuga był pełen podziwu dla Indian, którzy przez cały dzień wiosłowali prawie bez wytchnienia oraz posiłku, a mimo to nie okazywali wyczerpania i jeśli tylko bezpieczeństwo żeglugi pozwalało, nucili pieśni bądź żartowali[38].

Teraz jednak był już najwyższy czas na odpoczynek. Toteż wypatrywali odpowiedniego miejsca, dogodnego na rozłożenie obozu.

Wkrótce przybili do brzegu. Wyciągnęli łódź na małą piaszczystą plażę, po czym Cubeowie rażno przystąpili do budowania szałasów. Smuga z Wilsonem przysiedli na krawędzi łodzi.

- Mateo był dzisiaj niezwykle ponury - zagadnął Wilson. - Czyżby spotkanie z Yahuanami tak bardzo było mu nie na rękę?

Smuga uśmiechnął się, popatrzył na Metysa, który właśnie przygotowywał pekari do upieczenia.

- Poprzedniej nocy usiłował po cichu rozstać się z nami - odparł po chwili. - Zwędził mi rewolwery i próbował czmychnąć łodzią. Na jego nieszczęście zbudziłem się w porę. Trochę oberwał ode mnie.

- A to by nas urządził! Dlaczego mówi pan o tym dopiero teraz?

- zdumiał się Wilson. - Popełniliśmy wielką nieostrożność! Po burzliwym wieczorze posnęliśmy jak susły! Czy oprócz pana nikt z Cubeów nie przebudził się?

- Nie, ale niech się pan im nie dziwi - powiedział Smuga.

- Przecież oni nie wiedzą o zdradzie Matea, a burza i później mgła na rzece dostatecznie zabezpieczyły nas przed przykrymi niespodziankami.

- To prawda, lecz czy obecnie nie powinniśmy ostrzec Cubeów przed tym podstępny Metysem?

- Nie, jeszcze nie! - oponował Smuga. - Łatwiej nam teraz upilnować Matea, niż potem ochronić go przed słuszną zemstą Indian, którzy nigdy nie wybaczą wyrządzonej im krzywdy. Jeśli dowiedzą się prawdy, życie Matea nie będzie warte nawet funta kłaków.

- Niewątpliwie ma pan słusność - przyznał Wilson. - Wobec tego musimy obydwaj czuwać na zmianę.

- Właśnie dlatego powiedziałem panu o jego próbie ucieczki. Zbliżamy się do terenów Yahuan. Być może Mateo pozostaje z nimi w lepszej komitywie, niż się do tego przyznaje. Jeśli nie będziemy przezorni wiele złego może nas spotkać.

- Teraz wiem, dlaczego zasnął pan dzisiaj rano. Pewno nie zmrużył pan oka w nocy? Dzisiaj ja pierwszy będę czuwał - rzekł Wilson.

- Zgoda, zbudzi mnie pan o pierwszej.

Noc minęła spokojnie. Smuga, który po Wilsonie pełnił straż do rana, zbudził towarzyszy przed wschodem słońca. Dzień zastał ich już w drodze. Niebawem dotarli do Rzeki Świętej Teresy.

Płynęli nie rozmawiając i uważnie rozglądali się po obydwóch brzegach; według zapewnień Matea znajdowali się w pobliżu osiedli Indian Yahua.

Przez dłuższy czas łódź cicho przemykała pod osłoną konarów drzew zwisających nad wodą. Wytrawni wiosłarze bezgłośnie zanurzali łopatkowate wiosła w toni, nikt nie odzywał się ani nie wykonywał zbędnych ruchów. Toteż nie płoszona zwierzyna często ukazywała się na brzegach. Cubeowie tylko zerkali na nią i ani na chwilę nie przerywali wiosłowania. W pewnej wszakże chwili ciche parsknięcia rozbrzmiały w pobliżu. Indianie posłyszawszy je, jak na komendę wciągnęli wiosła do łodzi i położyli w poprzek na burtach, po czym zastygli w bezruchu.

Tymczasem tuż na brzegu rozległo się jakby głośnie szczeknięcie. "Girrk! Girrk! Girrk! - brzmiało coraz natarczywiej. Pojawiły się jakieś dziwne, odważne zwierzątka pływające w rzece w pobliżu łodzi. Zamiast parskać z zadowolenia, jak poprzednio, poczęły szczekać. Były to wydry olbrzymie^[39], ten właśnie gatunek popularnych na całym świecie zwierząt żyje wyłącznie w Ameryce Południowej.

Wydry już otaczały bezwładnie kołyszącą się na falach cichą łódź i płynąc wokół niej podniecone głośnie szczekały. Indianie zachowywali milczenie i dyskretnie nie zwracali uwagi na pływające wokół łodzi zwierzęta. Cierpliwie czekali, aż wydry samorzutnie się od nich oddalą.

Mateo, aczkolwiek uważał się za białego człowieka, zachowywał się tak jak Indianie.

Widocznie nie zerwał jeszcze z miejscowymi zwyczajami. Smuga i Wilson dostosowali się do towarzyszy. Wiedzieli, że te powszechnie występujące w Brazylii zwierzęta nigdy nie są napastowane przez Indian Cubeo. Zapewne wiązało się z tym jakieś wierzenie lub przesąd.

Wydry tymczasem dawały prawdziwy popis swych niedoścignionych umiejętności pływackich. Ich ciemnobraunatne, gęste, połyskujące futerka to pojawiały się na powierzchni, to znów niknęły pod wodą. Wśród stadka były dorosłe okazy o długości ciała razem z ogonem do półtora metra, a także i młode znacznie niniejsze.

Biali podróżnicy z upodobaniem obserwowali zwierzęta trudne do upolowania ze względu na ich bardzo wyostrzone zmysły. Widocznie nie zetknęły się jeszcze dotąd z największym swym wrogiem - człowiekiem, gdyż były tylko podniecone i nie uciekały od razu na widok ludzi. Jedynie samiec na brzegu, który pierwszy ostrzegł pływające stadko, okazywał zaniepokojenie. Biegał tu i tam przypominając szybkim chodem po ziemi pełzanie węża, to znów niezgrabnie wspinał się na drzewa, co stanowiło jaskrawy kontrast z doskonale pływającymi i znakomicie nurkującymi wydrami w wodzie.

Po dłuższej chwili stadko pogrążyło się w rzece i zniknęło. Samiec pełniący straż na brzegu również zsunął się do wody i wspinałym nurkiem popłynął za swoimi.

Indianie ujęli wiosła, łódź znów pomknęła pod prąd rzeki.

Około południa Mateo zaczął uważnie rozglądać się po okolicy. Po jakimś czasie odwrócił się do Smugi i rzekł- To już niedaleko! Radzę nie chwycić za broń na widok Indian. Oni tego nie lubią, a białych się nie boją!

- Dziękujemy za radę - odparł Smuga. - Gdy spotkamy Yahuan, nie odchodź ode mnie ani na krok! Będiesz mi potrzebny jako tłumacz.

Mateo spojrział spode łba. Słowa Smugi nie wywarły na Cubeach specjalnego wrażenia. A więc Smuga nic im nie powiedział o jego zdradzie i próbie ucieczki! Był to dla niego dobry znak.

Cubeowie nie okazali obawy usłyszawszy, że zbliżają się do osiedli Yahuan, którzy dokonali na nich napadu. Jedynie za przykładem Smugi starannie sprawdzili zamki karabinów i spokojnie dalej wiosłowali. Teraz Smuga był już całkowicie pewny, że w gorących chwilach może polegać na swej załodze. Informacje Wilsona, że Cubeowie znani są z opanowania i odwagi, potwierdzały się na każdym kroku.

Łódź ostrożnie popychana wiosłami cicho płynęła wzdłuż brzegu. Nikt teraz nie śpiewał ani nie rozmawiał. Przemykali niemal bezszelestnie pod konarami ocieniającymi szerokie pasmo wody.

Naraz tuż ponad głowami płynących rozległy się przeraźliwe okrzyki. W pierwszej chwili podróżnikom zdawało się, że za chwilę spadnie na nich z ukrycia ulewa strzał z luków. Gdy jednak oczekiwany w napięciu atak nie nastąpił, a przejmujące dreszczem krzyki ucichły, odetchnęli z ulgą.

- Przeklęte wyjce[40]! - wybuchnął Wilson.

- A jakże, całe stado buszuje na drzewach ponad nami - rzekł Smuga spoglądając w górę. - Teraz mają uciechę, że napędziły nam strachu!

- Wziąłem ich za wojowniczych Yahuan - odparł Wilson i roześmiał się głośno.

Smuga mu zawtórował.

Cubeowie i Metys nie dzielili wesołości białych towarzyszy wyprawy. Nadal siedzieli cicho i niepewnie spoglądali na siebie.

- Ruszajcie w drogę! - rozweselony zawołał Wilson. - Nie ma się czego trwożyć, na szczęście były to tylko wyjce!

Haboku spojrział na niego karcącym wzrokiem i odparł cierpko- Nie ciesz się, senhor, przedwcześnie. Na atak Yahuan odpowiedzielibyśmy kulami z karabinów. Walka nigdy nie *przeraza* Cubeów. Pamiętaj jednak, że wycie mały zawsze zwiastuje jakieś nieszczęście!

- To prawda - przytaknął Metys. - Na pewno ktoś z nas zginie. Mały wyczuwają to nieomylnie!

- Wobec tego miej się na baczności - rzekł Smuga zaglądając Metysowi w oczy. - Złe wróżby przeważnie spełniają się ludziom, którzy mają nieczyste sumienie...

Mateo spochmurniał. Jakiś przesądny strach przed Smugą zaczął wkradać się w jego serce. Może ten biały posiadał nadnaturalną moc? Bo czyż w innym przypadku mógłby natrafić na ślad psa, który był dowodem winy? Czy mógłby dwukrotnie pokonać takiego siłacza jak on, nie używając broni? Gdyby nie Smuga, nikt nie przeszkodziłby mu w ucieczce. Teraz znów przepowiadał mu śmierć...

Cubeowie ciekawie zerkali na zasepionego Matea. Zastanawiali się, dlaczego ten niezwykle biały człowiek mówił, że wyjce wróżyły śmierć właśnie Metysowi? Może naprawdę wiedział...? Cubeowie wierzyli we wróżby, tajemne moce i złe leśne duchy. Ci nieustraszeni w boju wojownicy drżeli zawsze na samą myśl o czarach, czarownicach i truciznach. Każdy zgon spowodowany jakąkolwiek chorobą przypisywali czarom rzuconym przez złego człowieka. Za naturalną śmierć uważali tylko utratę życia podczas walki, wskutek nagłego wypadku lub z powodu starości. Skoro ten biały mówił, że wyjce przepowiadały Mateowi śmierć, to na pewno tak się stanie.

ŁOWCY GŁÓW

Było parne, wczesne popołudnie. Mateo w skupieniu coraz uważniej rozglądał się po brzegach rzeki. Wkrótce też rzekł półgłosem- Już niedaleko do wioski Yahuan, poznaję okolicę!

Za załomem rzeki podróżnicy ujrzeni pień olbrzymiego drzewa ogołocony z gałęzi, który przerzucony w poprzek ponad wodą łączył przeciwległe brzegi. Przy obydwóch końcach tego prymitywnego mostu widniały ścieżki wydeptane przez ludzi. Ginęły one w nadbrzeżnych chaszczach.

- Przybijaj do lewego brzegu! - powiedział Mateo, a odwróciwszy się do Smugi, dodał: - To już tutaj, senhor!

Łódź zbliżyła się do stromego wybrzeża. Cubeo, który siedział najbliżej dzioba wyskoczył na brzeg, po czym wciągnął za sobą przód łodzi.

- Stąd już blisko do wioski Yahuan, teraz musimy iść pieszo - oznajmił Mateo.

- Dobrze, najpierw tylko ty pójdziesz ze mną - odparł Smuga rozglądając się po okolicy.

Mateo skinął głową. Smuga przewiesił przez ramię podręczną torbę, a następnie z karabinem w dłoni wysiadł na brzeg. Odwrócił się do towarzyszy i powiedział- Wilson, pan i Cubeo wie pozostaniecie w łodzi. Dwa strzały rewolwerowe z mojej lub waszej strony będą oznaczały wezwanie o pomoc.

- Będę miał oczy i uszy otwarte na wszystko, może pan być spokojny - zapewnił Wilson.

Smuga z Mateem wspięli się na brzeg dość stromo w tym miejscu opadający ku rzece. Weszli w dżunglę. Smuga zachowywał ostrożność, gdyż kręta ścieżka co chwila niknęła w gąszczu. Nagle tuż za ostrym zakrętem natknęli się na samotnego Indianina. Zapewne podążał na polowanie, w rękach trzymał bowiem długą świstulę, a do pasa miał przytroczone podłużną plecionkę na strzały. Ubrany był w sutą spódnicę z rafii, zwisającą z bioder niemal aż do ziemi, oraz w dużą perukę na głowie, która niby peleryna, luźno opadała na ramiona i plecy. Na samym czubku głowy nosił przypięty do peruki, okrągły, wyplatany z rafii, płaski wieniec, przypominający aureolę, jaką widuje się u świętych na obrazach.

Na widok obcych Indianin znieruchomiał w pozornie biernej postawie, lecz doświadczony Smuga doskonale się orientował, że było to pełne skupionej uwagi napięcie, które mogło nagle rozładować się w przyjazny lub wrogi sposób. W takiej sytuacji czasem nawet jakiś mało znaczący bądź niezręczny ruch ze strony przybyszów mógł spowodować zgubne następstwa.

Smuga uśmiechnął się przyjaźnie i powoli ruszył ku Indianinowi. Ten zaś szybko cofnął się i uniósł do góry ręce odwracając ku obcym otwarte dłonie, jakby usiłował ich powstrzymać lub odepchnąć od siebie.

- Stój, senhor, stój! - pospiesznie ostrzegł Mateo. - Taki ruch oznacza: "Nie zbliżaj się

do mnie!"

- Wiem - spokojnie odparł Smuga. Przystanął, po czym sięgnął ręką do torby przewieszanej przez ramię. Wydobył z niej małą paczuszkę i podając ją Indianinowi, rzekł:
- Samiki [41] dla ciebie od przyjaciół!

Indianin cofnął się jeszcze o krok nie opuszczając rąk. Smuga wyjął z kieszeni fajkę, nabił ją tytoniem z paczuszki przeznaczonej dla Indianina i zapalił. Wypuścił kłęb dymu, a następnie znów podał tytoń Indianinowi, mówiąc- Samiki!

Indianin opuścił ręce, czającym się krokiem podszedł do Smugi i ostrożnie wziął tytoń. Nie spuszczać wzroku z obcych powąchał podarunek, a następnie wyjął z małej torby wiszącej przy pleciance na strzały pękata fajeczkę. Nałożył do niej tytoniu. Nie okazał strachu, gdy Smuga podał mu zapaloną zapalną. Był to znak, że stykał się już z białymi ludźmi.

Indianin i biały pykali z fajeczki stojąc naprzeciwko siebie. Naraz Indianin schował fajkę i zapytał łamaną hiszpańszczyzną- Czego chcecie?

- Przybyliśmy do twojego wodza - odparł Smuga. - Przynosimy podarunki.

- Czy macie tivi[42]? - zaciekawiał się Indianin.

- Sól mamy również - potwierdził Smuga.

- Nie wiem, czy wódz Tunai będzie z wami mówić.

- Czy jest w wiosce?

- Jest, ale... To nie wasza sprawa!

- Zaprowadź nas do niego, sami go zapytamy!

- Daj tivi!

Smuga wydobył woreczek i wysypał trochę soli na rękę Indianina, ten zaś dłonią dał znak, aby szli za nim.

Według zwyczaju Indian południowoamerykańskich przewodnik szedł szybkim i krótkim, elastycznym krokiem. Wkrótce znaleźli się na obszernej leśnej polanie. Na jej skraju, w cieniu wysokich drzew, stało kilka domów zbudowanych na palach.

Dwaj przybysze spowodowali wśród mieszkańców wioski duże poruszenie. Mężczyźni siedzący na pniach drzewnych przerwali pogawędki. Przenikliwym wzrokiem mierzyli białego i Metysa. Dzieciarnia z piskiem zaczęła się kryć pod podłogami domów, a kobiety również zdradzały wielką chęć do ucieczki. Z jednego domu zeskoczył na ubitą ziemię rosły Indianin, którego peruka z rafii przyozdobiona była barwnymi piórami papug, zasuszonymi ptakami i myszami. Jego prawe ramię przepasywała bransoletka z trawy, za którą zatknięte miał trzy połyskliwe pióra.

Na jego widok Mateo przytrzymał Smugę za ramię i szepnął- To właśnie jest wódz Tunai...

- Czy zna ciebie? - zapytał Smuga.

- Tak, już mnie widział...

- Więc powitaj go teraz, ale pamiętaj: jedno nieopatrzone słowo, a zastrzelę cię natychmiast!

- Pamiętam, senhor - zapewnił Mateo.

Smuga bacznie obserwował Metysa. Jego pewna mina świadczyła wymownie, że czuł się bezpieczny wśród wojowniczych łowców głów.

Tunai tymczasem przybliżył się na kilka kroków i stanął wyczekująco.

- Bom dia, compadre[43]! - odezwał się Mateo.

Tunai mierzył go przenikliwym wzrokiem. Drwiący uśmiech pojawił się na jego ustach, po czym rzekł po hiszpańsku- Buenos dias! [44]Czy sami tu przybyliście?

- Buenos dias, Tunai! - odezwał się Smuga. - Nasi towarzysze czekają w łodzi nad rzeką. Chcemy z tobą pomówić. Przywieźliśmy podarki.

- Nie potrzebuję więcej niewolników - pogardliwie odparł Tunai. Słowa te mieszały Mateo, bowiem w ten sposób wódz Yahuan potwierdził jego winę.

- Nie o napad chodzi... tym razem - odpowiedział Smuga. - Mam pewną sprawę do ciebie, wodzu, którą możemy całkowicie załatwić tutaj.

- Skoro przychodzisz z compadre Mateem, porozmawiamy... później - zgodził się Tunai.

- Później, to znaczy kiedy? - zapytał Smuga.

- Jutro, dzisiaj wybieramy nowych wojowników.

- Czy możemy rozłożyć obóz w pobliżu wioski?

- Compadre Mateo może, więc i wy też. Witajcie, skoro przyszliście do nas jako przyjaciele.

W dwie godziny później podróżnicy rozbili namioty na uboczu wioski Yahua. Wilson doglądał Cubeów przygotowujących posiłek, a Smuga w towarzystwie Mateo wręczył Tunai upominki. Były to: stalowy nóż myśliwski z pochwą skórzaną, tytoń i parę sznurów szklanych, barwnych koralu. Tunai przyjął dary i w zamian ofiarował Smudze bambusową dmuchawkę oraz plecionkę z krótkimi strzałami.

Gdy Smuga zaciekawiony oglądał oryginalny kołczan, Tunai uśmiechnął się i ostrzegł- Bądź ostrożny, strzały są zatrute kurarą[45]!

Yahuanie nie okazywali przybyszom wrogości, lecz mimo to śledzili ich czujnym, podejrzliwym wzrokiem. Smuga ani na krok nie odstępował Matea. Znajdowali się przecież wśród wrogów, z którymi Metys utrzymywał przyjazne stosunki. Jedno jego słowo mogło obrócić przeciwko nim kilkudziesięciu okrutnych wojowników. Smuga polecił Wilsonowi i Cubeom, aby nie oddalali się z obozu, a sam z Mateem myszkował po wiosce.

Większość mężczyzn robiła przygotowania do uroczystości, podczas której najsprawniejsi chłopcy mieli być jakby "pasowani" na wojowników. Był to swego rodzaju oryginalny bezkrwawy turniej. Mianowicie kilkunastu młodzieńców miało parami kolejno zmagać się na olbrzymim pniu drzewa, położonym w poprzek głębokiego rowu. Zrzucenie przeciwnika z pnia oznaczało zwycięstwo. W ten sposób tylko najsilniejsi i najzręczniejsi wchodziłi do grona wojowników. Mateo wyjaśnił Smudze, że dawniej ten bezkrwawy bój toczyli kandydaci na wodza plemienia, którym obierany był ostateczny zwycięzca.

Dzięki przedsięwzięcznemu rozgardiaszowi Smuga mógł bez przeszkód rozglądać się po indiańskiej wiosce. Korzystał więc z okazji i śmiało zerkał nawet do wnętrza chat, które przewiewnie budowane, niczego nie ukrywały przed obcymi. Przede wszystkim zwracała uwagę pewna staranność w urządzeniu domostw, przypominających wyglądem raczej jakieś nadziemne werandy zbudowane na palach palmowych, odpornych na niszczącą działalność termitów. Domy nie posiadały bocznych ścian; jedynie dwuspadowe, strome dachy kryte liśćmi chroniły mieszkańców przed deszczem. Do tych nadziemnych mieszkań wchodziło się po pochyło położonych pniach, których jeden koniec opierał się o ziemię, a drugi o podłogę werandy. Wszędzie spotykało się oswojone małpki i papugi hodowane do zabawy dla dzieci.

Kobiety i dzieci przeważnie chodziły nago. Jednak z powodu obecności białych ludzi w wiosce, dorosłe niewiasty pozakładały na szyje i biodra ogoniaste zasłony z rafii.

Kobiety, jak zwykle u ludów pierwotnych, wykonywały wszystkie cięższe prace. Uprawiały poletka maniokowe[46], lepily z gliny naczynia, wyplatały maty z włókien palmowych i sporządzały naszyjniki z suszonych nasion roślin, nosiły wodę z rzeki, gotowały strawę, a także karmiły niemowlęta i wyszukiwały im wszy we włosach. Dzieciarnia bawiła się bądź też urządziła polowania na duże mrówki oraz larwy, uchodzące wśród Yahuan za wielki przysmak. Chłopcy strzelali ze świstul do celu, pomagali starszym w łowieniu ryb, a w wolnych chwilach przykucali na uboczu przy gawędzących mężczyznach.

Wojownicy ochraniałi swą wioskę przed napadami wrogich plemion, organizowali wojenne wyprawy lub uprawiali łowy na zwierzynę. Byli też bardzo odważni i nieraz zdobywali się nawet na atakowanie jaguara uzbrojeni jedynie w nóż. Lecz mimo to zazwyczaj polowali nie narażając się na niebezpieczeństwo; po prostu podkradali się do zwierzyny i strzelali do niej z ukrycia. Posiadali doskonały wzrok i słuch oraz wprost niesamowity węch, który pozwalał im wyczuć obecność zwierza na znaczną odległość.

Smuga był spostrzegawczym obserwatorem. Toteż rychło zwrócił uwagę na widoczne pozostałości wpływów afrykańskich Murzynów. W dawniejszych czasach zwożono ich licznie do Ameryki do niewolniczej pracy na plantacjach, z których często uciekali do selwy, gdzie łączyli się z nienawidzącymi białych plemionami indiańskimi. Zapewne niegdyś również przebywali wśród mieszkańców tej wioski, bowiem u niektórych Yahuan spostrzegano się cechy tak charakterystyczne dla rasy murzyńskiej. Widoczne były one zwłaszcza u kobiet, które w przeciwieństwie do mężczyzn nie nakrywały głów wielkimi perukami z rafii. Głowy czystej krwi Indian porastały twarde, proste i grube czarne włosy.

Tymczasem niektórzy Yahuanie mieli włosy wijące się w loki oraz szerokie nosy i grube, mięsiste wargi. Jeszcze bardziej jaskrawe w tej części Ameryki Południowej były wpływy murzyńskie na zwyczaje. Yahuanie, a także plemiona Witoto, Cocama i inne używały, tak typowych dla Afryki, tam-tamów do porozumiewania się na odległość oraz posiadały muzykę i tańce oparte na własnych i murzyńskich motywach.

Smuga skrzętnie notował w pamięci te niezwykle ciekawe spostrzeżenia, pragnąc w odpowiednim czasie podzielić się nimi z Tomkiem Wilmowskim i jego ojcem. Obserwując dzieciarnię zwrócił uwagę na grupkę chłopców, którzy obrawszy sobie pień ściętego drzewa za cel, strzelali do niego z dmuchawek. Malcy aż wyginali plecy do tyłu i opierali łokcie na brzuchach z trudem unosząc do ust długie świstuły z bambusu.

- Spójrz, Mateo! - zagadnął rozbawiony. - Ile wysiłku wkładają ci chłopcy w tę zabawę w dorosłych.

- W zabawę? - zdumiał się Metys. - Nie, senhor, oni wcale się nie bawią. Czy nie zauważyłeś tego starucha, który udziela im wskazówek? Yahuanie już od dzieciństwa zaprawiają się do strzelania ze świstuł. Dlatego też są niezawodnymi strzelcami. Większość z nich trafia w małą monetę z odległości trzydziestu kroków, a z pięćdziesięciu nikt z nich nie chybi do zwierzęcia lub człowieka.

Metys umilkł i zamyślony coś rozważał. Potem ujął Smugę pod ramię i rzekł cichym głosem- Alvarez oddał mi złą przysługę płacąc mój dług karciany. Teraz załuję mego postętku. Więcej już nie będę próbował uciekać. Pomogę ci odszukać mordercę i zeznam wszystko o Alvarezie. Od tej nocy możesz spać spokojnie, senhor.

- Skąd mogę mieć pewność, że znów nie kłamiesz? - zapytał Smuga.

- Nie lubisz pastwić się nawet nad pokonanym przeciwnikiem - odparł Mateo. - Przy tobie nikomu nie stanie się krzywda, zrozumiałem to teraz. Nie powiedziałaś Cubeom o mojej zdradzie ani o próbie ucieczki.

- Czy jesteś tego pewny?

- Dobrze znam Indian, senhor. Gdyby wiedzieli prawdę, już bym nie żył... Tymczasem oni odnoszą się do mnie tak jak dawniej. Za to właśnie odpłacę ci równą monetą. Gdy jestem przy tobie, nic ci tutaj nie grozi, lecz na wszelki wypadek uważaj, żeby nikt z Yahuan nigdy nie znajdował się poza twoimi plecami. Oni są naprawdę bardzo niebezpieczni.

- Dlaczego właśnie ty możesz być dla mnie rękojmią bezpieczeństwa wśród Yahuan?

- Powiem ci, senhor. Yahuanie wywodzą się z bardzo groźnego plemienia Indian Auca. Moja babka była Aucanką, a matka Yahuanką.

- Krótko mówiąc: jesteś wśród swoich...

- Teraz znasz prawdę. Pomogliby mi, gdybym tego zażądał. Mógłbym na przykład wskoczyć w tę grupę wojowników i krzyknąć, że jesteś moim wrogiem. Już byś nigdy więcej nie mógł wyrzucić mi krzywdy.

- Mateo, czy zapomniałeś, że z rewolweru strzelam tak celnie, jak Yahuanie ze swoich świstul? - spokojnie zapytał Smuga.

- Pamiętam o tym - zapewnił Mateo. - Powiedziałem ci o moim pokrewieństwie z Yahuanami dlatego, żebyś uwierzył mi, że już naprawdę nie zamierzam knuć przeciwko tobie. Daruj mi winę, a będę służył ci wiernie.

Smuga spojrział Mateowi prosto w oczy. Uspokoił się, wyczytawszy w nich niemałą prośbę.

- Byłeś bardzo lekkomyślny, Mateo, ale może naprawdę jeszcze nie znikczemniałeś do szczytu. Trudno potępić cię, widząc zło panoszące się wokoło. Ja ani pan Nixon nie dybiemy na twoje życie. Byłeś tylko małym kółkiem w potężnej maszynie bezprawia. Okaż uczciwie, że szczerze żałujesz nikczemnego postępu, a potem... zobaczymy!

- Dziękuję ci, senhor! To wystarczy. Wiem, że mi przebaczysz. Teraz chodźmy do obozu. Zaraz zaczną się uroczystości.

Smuga bez sprzeciwu podążył za Metysem. Najbezpieczniej było nie narzucać się krajowcom. Jeśli Yahuanie nie będą mieli nic przeciwko obecności przybyszów na uroczystości plemiennej, to wódz zaprosi ich na nią. Tak też się wkrótce stało. Przez kilka godzin podróżnicy przyglądali się próbom siły i zręczności. W końcu ośmiu młodzieńców zostało przyjętych do grona dorosłych wojowników i z tej okazji odbyła się ogólna huczna uczta.

W całej wiosce zapanowała wesoła atmosfera, Yahuanie żartowali i śmiali się przy obfitym posiłku, na który przygotowano upieczone w całości mały, świnki morskie, dwa mrówkojady, zółwie i jaszczurki. Na deser były opiekane w gorącym popiele duże mrówki i delikatne larwy oraz miód, a potem banany, melony i orzechy. W końcu podano napój, który wkrótce zamącił w głowach rozochoconym Yahuanom. Wtedy Smuga i jego towarzysze szybko wycofali się do swego obozu.

Tej nocy Smuga z Wilsonem czuwali aż do świtu. Smuga korzystając z okazji opowiedział o skrusze Metysa. Długo naradzali się, ponieważ nie byli pewni, czy teraz mogą mu całkowicie zaufać. Musieli liczyć się z częstą zmiennością nastrojów u Indian, z których Mateo pochodził. Gawędząc przysłuchiwali się odgłosom uczty. Gra na bębnach i bambusowych fletach, które Yahuanie przejęli od dawnych niewolników murzyńskich, rozbrzmiewała niemal do wschodu słońca. W jej takt Yahuanie tańczyli tańce oparte na wzorach indiańskich i afrykańskiej sambie. Dopiero gdy cisza zapanowała w wiosce, ułożyli się na spoczynek.

Jeszcze przed południem Tunai zawiadomił Smugę, że teraz może odbyć z nim rozmowę. Smuga z Mateo natychmiast udali się na oczekiwane spotkanie. Zastali wodza i kilku znaczących Yahuan przed jego domem na palach, siedzących na kłodach lub dużych liściach, bowiem Yahuanie nigdy nie siadali bezpośrednio na ziemi w obawie przed szkodliwymi insektami. Wódz wskazał przybyszom miejsce obok siebie. Smuga poczęstował wszystkich tytoniem. Nabili fajki i palili w milczeniu. Smuga świadom miejscowych zwyczajów nie spieszył się z rozpoczęciem rozmowy.

Minęła bardzo długa chwila, zanim Tunai zatknął wygasłą fajkę za pasek spódniczki z rafii i odezwał się- Chciałeś ze mną rozmawiać, biały człowieku. Teraz mogę cię wysłuchać.

Smuga wolnym ruchem schował swoją fajkę, po czym odparł- Opowiem ci najpierw o pewnym zwyczaju białych ludzi, wtedy łatwiej zrozumiesz cel mego przybycia do mężnych Yahuan. Wielu białych ciekawi nie znany im świat, w którym żyją różne ludy. Nie wszyscy jednak mogą odbywać podróże przez ogromne wody. Toteż biali w swoich miastach budują specjalne domy, w których gromadzą różne przedmioty, ułatwiające wszystkim poznanie i lepsze zrozumienie innych ludzi. Zakładają też ogrody dla zwierząt zwożonych z dalekich krajów. Ja właśnie trudnię się zbieraniem ciekawostek do tych domów, nazywanych u nas muzeami.

Smuga umilkł i zerknął na Tunai. Gdy wódz Yahuan przed chwilą odezwał się do niego, przypomniał sobie rozmowę Tomka z Australijczykami podczas ich pierwszej wspólnej wyprawy. Rozmową tą Tomek mimo woli przełamał nieufność Australijczyków i zjednał wyprawie łowieckiej ich przychylność. Teraz właśnie Smuga spróbował sposobu Tomka.

Ku radości Smugi, Tunai nie okazał zdziwienia. Obrzucił mówiącego poważnym spojrzeniem i potaknął- Wiem, że są tacy ludzie jak ty. Jeden z nich już był u nas. Mieszka dalej na zachodzie, w Iquitos. Ci, co z nim przyszli, mówili, że w swoim domu posiada bardzo wiele rzeczy kupionych od Indian, a w swoim ogrodzie ma różne zwierzęta... U nas szukał trofeów wojennych[47].

- Zapewne ludzkich głów? - wtrącił Smuga.

Tunai poważnie skinął głową, ale zaraz uśmiechnął się drwiąco, mówiąc- Orejowie oszukali go. Sprzedali mu głowy, które robią z głów ludzi umierających zwykłą śmiercią. Inne plemiona też oszukują. Głowy małp sprzedają jako ludzkie!

- Mateo zapewnił mnie, że jeśli z nim przyjdę do ciebie, kupię dobry towar - powiedział Smuga.

- Jeśli chcesz kupować ludzkie głowy, to idź do plemienia Witoto, ale u nich miej się na baczności. Oni jedzą ludzkie mięso, a głowa białego ma podwójną wartość - doradzał Tunai spod oka obserwując, czy jego słowa sprawiają na Smudze odpowiednie wrażenie.

- Nie zamierzamy płynąć w strony zamieszkałe przez Witoto - odparł Smuga. - Udajemy się wprost do Iquitos, a stamtąd na rzekę Ukajali.

- Z Iquitos już nie tak daleko do Jivarow. Oni noszą głowy zdobyte na wrogach przywiązane za włosy do pasa. Po tym zaraz poznasz u nich prawdziwe - doradzał Tunai.

- My musimy popłynąć rzeką Ukajali - powtórzył Smuga.

- Jeden z naszych rozmawiał z takim, co był w niewoli u Jivarow. Oni podobno mają pomniejszone nawet głowy białych ludzi. Te głowy są bardzo, bardzo stare... - zachęcał Tunai. - To mieli być biali, którzy pierwsi spotkali Jivarow. Czarownicy przechowują te głowy.

Smuga z coraz większą uwagą przysłuchiwał się słowom Tunai. Być może wódz Yahuan nie fantazjował. Smuga czytał kiedyś w starych kronikach z hiszpańskich podbojów w Ameryce Południowej o wyprawie Pedro de Alvarado, która natknęła się na dzikich łowców ludzkich głów i poniosła duże straty. Było to w roku 1534, a więc wkrótce po wdarciu się hiszpańskiego konkwistadora Franciszka Pizarra do wnętrza Ameryki Południowej. W czasie gdy Pizarro podbijał Peru, szereg ekspedycji wyruszyło do wnętrza kontynentu w poszukiwaniu legendarnego El Dorado, czyli Kraju Złota. Jedną z nich pod dowództwem hiszpańskiego awanturnika Pedro de Alvarado, który uprzednio zapoczątkował podboje na południowy wschód od Meksyku, natknęła się nad rzeką Maranon na wojownicze i okrutne plemię Jivarow, łowców ludzkich głów. W dymiących oparach dziewiczych dżungli Hiszpanie padali w dzień i w nocy, rażeni strzałami ukrytych w gęstwinie Jivarow. Indianie odcinali zabitym Hiszpanom głowy, a potem pomniejszali je do rozmiarów dwóch pięści dorosłego mężczyzny. Takie było pierwsze zetknięcie się białych ludzi z Indianami Jivaro[48].

Sprytny Tunai z zadowoleniem spostrzegł wrażenie, jakie wywarła na białym wzmianka o Jivarach. Zachęcony tym mówił dalej- Jeśli zbierasz różne indiańskie przedmioty, to idź do Jivarow. U nich mężczyźni, zamiast kobiet, przędą i tkają materiały oraz ubrania, robią bębny sygnalizacyjne, oszczepy zakończone ludzką kością, świstuchy i wojenne tarcze. Kobiety natomiast lepią z gliny ozdobne garnki, w których podwójnych dnach grzechoczą magiczne kamyczki odstraszające złe duchy. Wszystko to możesz otrzymać od nich za... dobre karabiny. Bronią palną łatwiej upolować człowieka i zdobyć jego głowę.

- Chętnie skorzystałbym z twojej rady, Tunai, ale mam mało czasu, a Jivarowie mieszkają na trudno dostępnych terenach i podobno są bardzo wrogo usposobieni do białych - odparł Smuga. - Do ciebie przybyliśmy, gdyż twój compadre Mateo zapewnił nas, że możemy obdarzyć cię pełnym zaufaniem. Dlatego też proszę cię o odstąpienie jednej pomniejszonej głowy ludzkiej. Jeśli mi dasz to, czego szukam, ofiaruję ci w zamian... nowoczesny karabin.

Tunai opuścił powieki, zapewne aby ukryć błysk pożądania. Pochylił się ku swoim doradcom i szeptem porozumiewał się z nimi. Dopiero po dłuższej chwili odwrócił się do Smugi i rzekł- Dobrze, dam ci taką jedną głowę! Chodźcie!

Smuga i Mateo udali się za wodzem Yahuan na skraj wioski. Przed nadziemną chatą siedział na posłaniu z liści Indianin przy wolno tłącym się ognisku. W jego żarze stały dwa duże gliniane gary, nieco zwężające się ku górze. W jednym z nich bulgotał wrzący, gęsty płyn, w drugim podgrzewał się miarki piasek.

Na widok białego Indianin zmarszczył brwi, lecz porozumiewawcze spojrzenie Tunai uspokoiło go natychmiast. Usiedli przy ognisku. Smuga wydobył woreczek z tytoniem. Przez jakiś czas palili nic nie mówiąc. Z bulgoczącego gara unosił się silny odór. Smuga wkrótce wyjął chusteczkę i wysuszył czoło zroszone potem. Zerknął na Matea. Śniada twarz Metysa poszarzała; po jego czole spływały wielkie krople potu. Smuga pochylił się ku wodzowi Yahuan i przyciszonym głosem zapytał- Tunai, cóż to za wywar przygotowuje

ten człowiek?

Twarz wodza ani na chwilę nie utraciła kamiennego wyrazu. Siedział sztywno wyprostowany jak figura z brązu. Tylko spod półprzymkniętych powiek wzrok jego śledził przybyszów.

- Ten biały jest przyjacielem compadre Matea - odezwał się gardłowym głosem. - Szuka skurczonych głów ludzkich zdobytych na wrogach. Pokaż mu, żeby mógł swoim za wielką wodą opowiedzieć o tobie...

Indianin ujął bambusowy pręt, zanurzył go w odurzającym wrzątku, ostrożnie zamieszał i wyjął z powrotem. Smuga przymrużył oczy. Na końcu pręta tkwiła skóra z ludzkiej głowy. Gęstawa ciecz spływała po długich, czarnych włosach.

- Poszukujesz u Indian interesujących rzeczy. Ponieważ jesteś przyjacielem Matea, więc patrz i zapamiętaj - mówił Tunai. - Dzisiaj już niewielu Indian potrafi pomniejszać ludzkie głowy. Najpierw z odciętej głowy wyłupuje się kości. Potem skórę gotuje się w wywarze trujących roślin, aby robactwo nie miało do niej przystępu. Dopiero wtedy można rozpocząć pomniejszanie głowy. Robi się to napełniając skórę wiele razy bardzo gorącym piaskiem. Skóra prażona w ten sposób kurczy się coraz bardziej, a zręczny człowiek umiejętnymi ruchami palców nadaje jej odpowiednie kształty.

Smuga spojrział na niemo siedzącego Indianina. Preparowanie i pomniejszanie ludzkich głów należało już do coraz rzadziej spotykanych umiejętności. Przecież wiele wojowniczych plemion całkowicie wyginęło, inne zaszyły się w niedostępne dżungle. Smuga uważnie przyjrzał się niezwykle "artyście". Jego palce nosiły liczne ślady poparzeń gorącym piaskiem.

- Dziękuję ci, Tunai, za ciekawe wyjaśnienia - odezwał się Smuga.

- Chciałeś otrzymać ode mnie jedną taką głowę. Chodź! - odparł Tunai.

Poprowadził ich do swej chaty. Weszli do niej po pomoście z pnia. Jedno cicho wypowiedziane przez Tunai słowo opróżniło chatę z kobiet i dzieci. Tunai przystanął w szczytowej części domu, gdzie znajdowało się jego posłanie z mat. Wokół na słupach wisiała broń: świstuły, łuki, dzida i tarcze. Tunai wolnym ruchem podniósł rękę ku powale.

- Obiecałem ci, więc wybieraj! - rzekł cicho.

Na poziomej belce wisiało w jednym rzędzie kilka mumii ludzkich głów. Długie, czarne włosy lekko falowały poruszane wiatrem. Rysy martwych twarzy nie wykazywały zniekształceń. Były to po prostu jakby miniatury głów dorosłych mężczyzn. Mumie miały usta, oczy i otwór szyi zaszyte specjalnym "świętym" włóknem palmowym, aby duch zabitego nie mógł mścić się na zwycięzcy.

Smuga jak urzeczony wpatrywał się w jedną głowę. Różniła się ona od innych krótkimi, jasnymi włosami. To była głowa Johna Nixona. Gdyby nie długie, cienkie pasma włókna zwisające ze zszytych warg, można by było pomyśleć, że jest to odbicie twarzy żywego

Nixona, przeglądającego się w pomniejszającym zwierciadle.

- Wybieraj! - ponownie rozbrzmiał cichy głos Tunai.

Smuga wolno odwrócił się do wodza Yahuan. Obok niego stał Mateo zasłaniając twarz rękami. Prawa dłoń Smugi bezwiednie spoczęła na rękojeści rewolweru. Zaraz jednak oprzytomniał.

Wódz Yahuan mierzył go przenikliwym wzrokiem.

- Od razu domyśliłem się, po co tu przyszedłeś, biały człowieku - odezwał się po chwili.
- Nie chciałeś, żeby duch twego przyjaciela uwięziony w jego głowie błąkał się po indiańskiej chacie. Rozumiem ciebie, przyjaźń zobowiązuje. Skoro przybyłeś do nas z compadre Mateem, mogłeś zaraz mi to wyznać. Nie zabiłem tego białego. Daruję ci jego głowę i odejdziesz w spokoju...

TCHNIENIE ŚMIERCI

Nie ufaj temu dzikusowi, senhor - szepnął Mateo nachylając się ku Smudze. - Już od południa nie spostrzegłem śladów pozostawionych przez uciekinierów.

- Ja również zwróciłem na to uwagę - odparł Smuga. - Pytałem go, dlaczego zboczył z widocznych dotąd tropów. Powiedział, że domyśla się, dokąd oni podążają. Prowadzi skrótami. W ten sposób mamy szybciej ich dogonić.

- A jeśli wciągnie nas w zasadzkę?

Smuga zrazu nic nie odpowiedział. Przenikliwym wzrokiem wodził po posępnej okolicy. Las rzedniał. Poprzez drzewa przeświecały golizny, czyli tak zwane pajonale. Na wschodzie i na zachodzie na tle błękitnego nieba rysowały się pojedyncze łańcuchy gór. Po dłuższej chwili Smuga odezwał się- Nie ma rady, musimy zaufać Kampie[49]. Na tym bezdrożu sami nie odnajdziemy uciekinierów.

- To dziki kraj, senhor!

- A jednak Vargas już zapuszczał się w tę niedostępną głuszę po indiańskich niewolników.

- Tak, ale grasuje tylko na skraju Pajonalu[50], i to w zaufanej, dobrze zbrojonej gromadzie!

- Niewątpliwie masz rację, lecz Cabral i Jose śmiało umykają w stepy zamieszkałe przez wojownicze plemiona.

- To co innego, senhor! Wiedzą, że przyszedłeś zemścić się. Oni uciekają przed śmiercią...

Smuga znów umilkł. Zastanowił się, co powinien uczynić. Do tej pory szczęście mu sprzyjało. Po wykupieniu od Yahuan głowy Johna Nixona doprowadził wyprawę bez przeszkód do Iquitos. W tym właśnie czasie wyruszał stamtąd statek do obozów zbieraczy kauczuku nad górną Ukajali[51]. Smuga natychmiast skorzystał z tej dość rzadkiej tutaj okazji. Przebycie drogi indiańską łodzią zajęłoby dużo czasu i naraziłoby wszystkich uczestników wyprawy na wiele niebezpieczeństw. Ukajali nie była łatwa do żeglugi. Toteż nie zważając na znaczne koszty zaokrętował wyprawę na parowcu. Dzięki temu w ciągu dwudziestu dni znaleźli się w osadzie La Huaira, położonej na prawym brzegu Urubamby, która w tym miejscu łączyła się z rzeką Tambo.

La Huaira należała do osławionego Franciszka Hernandeza Vargasa, współwłaściciela domu handlowego "Casa Hernandez & Co." w Iquitos, który zajmował się eksploatacją naturalnych bogactw puszczy leżącej nad rzeką Urubamba. Vargas był patronem, czyli opiekunem, a raczej właścicielem setek Indian osiedlonych dobrowolnie bądź przymusowo wokół La Huairy. W całej Montanii[52] było wiadomo, że Vargas handlował niewolnikami indiańskimi, których chwycił podczas zbójeckich wypraw.

Na szczęście dla Smugi władca La Huairy znajdował się w kłopotach z powodu podejrzania o zabójstwo Karola Scharfa, z którym miał zatarg o tereny kauczukowe.

Zapewne też z tego względu okazał Smudzewiele ustępliwości. Nie tylko zgodził się na zwrócenie Cubeów porwanych z obozu nad Putumayo, lecz również skłonny był wydać swych popleczników - Cabrala i Josego. Jak się okazało jednak, ci dwaj na wieść o przybyciu Smugi umknęli z osady. Vargas niby to *zarządził* pościg za nimi, lecz jego zaufani Indianie z plemienia Pirów, którymi się otaczał, powrócili po jednodniowych poszukiwaniach i oświadczyli, że uciekinierzy skryli się w Grań Pajonalu. Wtedy Vargas zaczął odradzać Smudze dalsze poszukiwanie morderców Johna Nixona. Grań Pajonal był dziką, rozległą krainą, zamieszkaną jedynie przez wojownicze plemiona Kampów.

Smuga nie dowierzał handlarzowi niewolników. Dokonana w porę ucieczka morderców dawała wiele do myślenia. Vargas *zarzekał* się, że nie miał nic wspólnego z napadem nad Rio Putumayo i na dowód tego gotów był wydać Cabrala i Josego, ale Smuga nie miał pewności, czy jego słowa i czyny były szczere.

Smuga pragnął unieszkodliwić podstępnego Pedra Alvareza. Zeznania Cabrala i Josego, którzy dokonali napadu na jego polecenie, stanowiłyby niezbity dowód winy. Postanowił więc za wszelką cenę ująć uciekinierów. Nie zważając na perswazje i sprzeciwy Wilsona, wyprawił go w drogę powrotną wraz z dotychczasową eskortą i Cubeami wykupionymi od Vargasa, a sam z Mateem wyruszył w pościg. Na czele maleńkiej grupki przez trzy dni coraz dalej wdzierali się w dziką krainę nie tkniętą jeszcze stopą białego człowieka. Zaledwie pięciu ludzi towarzyszyło Smudze w ryzykownym pościgu. Z poprzedniej eskorty pozostawił przy sobie tylko Matea. Poza nim szli trzej Pirowie ofiarowani przez Vargasa jako tragarze oraz Indianin z plemienia Kampa, który samorzutnie zaproponował swą pomoc.

Vargas gromadził w swej osadzie Indian pochodzących z różnych plemion, często nienawidzących się wzajemnie. W ten sposób zabezpieczał się przed ewentualnym buntem niewolników, bowiem jedni drugich szpiegowali i pilnowali. Vargas zdawał się być zaskoczony postępkiem Kampa, który twierdził, że podsłuchał rozmowę uciekinierów. Smuga zauważył zdumienie, a może nawet i niepokój Vargasa. To właśnie skłoniło go do nalegania, aby pozwolił mu zabrać Kampa jako przewodnika. Yargas początkowo oponował, jakoby podejrzewając, iż Indianin pochodzący z Grań Pajonalu po prostu szuka okazji do ucieczki. Wtedy Smuga zaproponował odszkodowanie za niewolnika i Yargas w końcu ustąpił.

Kampa okazał się dobrym tropicielem. Dał również dowód, że owo podsłuchanie rozmowy Cabrala i Josego nie było tylko wytworem jego wyobraźni. Sprawnie odszukał tropy dwóch białych oraz pięciu Indian, którzy z nimi umknęli i przez przeszło trzy dni wciąż nieomylnie je odnajdował. Uciekinierzy jednak mieli około dwóch dni przewagi nad pościgiem. Toteż Kampa domyślając się, gdzie mieli zamiar szukać schronienia, zboczył z tropów i poprowadził pościg krótszymi przejściami.

Przewodnik właśnie przystanął na skraju lasu. Obie dłonie zacisnął na długiej lufie swojej kapiszonówki[53], której kolbę oparł na ziemi. Kamienny wyraz jego twarzy nie zdradzał uczuć ani myśli. Tuż przy nim przykucnęła jego żona, również wykupiona z niewoli przez Smugę. Ubrana była tak jak mąż w brązową kuźmę[54]. Mężowską broń,

którą kobiety noszą tam podczas wędrówek, a więc łuk, kołczan ze strzałami z chikotzy [55] oraz plecionkę z żywnością położyła obok siebie na trawie.

Trzej tragarze z plemienia Pirów jak na komendę zatrzymali się, kładąc bagaże pod drzewem. Z zawiścią spoglądali na Kampe, bowiem im Yargas nie pozwolił zabrać żon na wyprawę, aby w ten sposób zapewnić sobie ich powrót.

Smuga z Mateem zatrzymali się o kilka kroków od przewodnika. Metys pochylił się do Smugi i szepnął- Spójrz, senhor, dokąd ten Kampa nas przyprowadził!

Smuga powiódł wzrokiem po okolicy. Stali na brzegu rzadkiego lasu, który tutaj ustępował miejsca kamposom [56], czyli swego rodzaju sawannie o przeważającej wysokiej roślinności trawiastej i rozproszonych, niskich drzewach. Posępny widok kamposów sprawiał na Smudze wrażenie karłowatego sadu o pokrzywionych drzewach.

Smuga zbliżył się do przewodnika i zapytał- Czy w dalszym ciągu jesteś pewny, że idziemy w dobrym kierunku? Dlaczego się zatrzymałeś?

Indianin wolno odwrócił się do Smugi, po czym odparł- Musimy odpocząć przed zmierzchem. Będziemy szli całą noc. O świcie znów odnajdziemy ślady uciekinierów. Jutro, nim słońce skryje się za góry, będziesz miał ich w swoich rękach.

- Chcesz iść w nocy po tym bezdrożu? - zdumiał się Smuga.

Indianin zatoczył ręką szerokie półkole od wschodu poprzez północ na zachód.

- To odwieczna ziemia Kampów. Tutaj znam wszystkie przejścia, mogę prowadzić o każdej porze dnia i nocy - wyjaśnił.

- Jesteśmy w pobliżu gór. Jeśli w nocy spadnie deszcz, nie odnajdziemy śladów - zauważył Smuga.

- Bądź spokojny, tutaj rzadko padają deszcze - odparł Kampa.

Uwaga Indianina była słuszna. Smuga posiadał zbyt wiele doświadczenia podróżniczego, aby bezkrytycznie polegać na przewodniku. Toteż od chwili wyruszenia w pościg bacznie obserwował mijane okolice, chcąc zachować orientację w bezdrożnym terenie. Dzięki temu zauważył, że deszcze skąpo zraszały Grań Pajonal. Wymownie świadczył o tym suchoroślowy krajobraz kamposów, urozmaicony jedynie na górskich zboczach i w dolinach strumieni przez rzadkie lasy, przypominające wyglądem zagajniki. Nieliczne w kamposach drzewa miały drobne liście przeważnie o podwiniętych brzegach, a czasem porosłe gęstymi włoskami. Niektóre zamiast liści posiadały ciernie i kolce. Pomiedzy drzewami spotykało się niewysokie palmy, a od czasu do czasu kaktusy i wilczomlecze. Kamposy przez cały rok zachowywały zieloność. Jedynie pobrązowiała, wysoka i gęsta trawa świadczyła, że deszcz dawno już nie padał.

- Czy na pewno wiesz, dokąd morderca i jego wspólnik uciekają? - po dłuższej chwili milczenia zapytał Smuga.

- Oni dążą ku Górze Syna Słońca. Idą indiańskimi ścieżkami. Doścignemy ich nocą. O świcie prawdopodobnie znajdziemy ślady nocnego obozowiska.

- Dobrze, teraz odpocznijmy przed wyruszeniem w drogę - odpowiedział Smuga i polecił Mateowi rozdzielić prowiant.

Wszyscy posilali się w milczeniu. Smuga i Mateo nieznacznie obserwowali swych indiańskich towarzyszy. Kampa z żoną przysiedli na uboczu. Kobieta obsługiwała męża, który jadł wolno nie zwracając uwagi na nikogo. Tragarze z plemienia Pirów trzymali się z dala od wszystkich. Jedząc szeptali między sobą i spoglądali to na białego, to na Kampę.

- Dziwne, senhor, ci Pirowie zupełnie jawnie stronią od Kampy - zauważył Mateo. - A wiem przecież, że te dwa plemiona na ogół żyją w zgodzie.

- Vargas wspominał, że ten Kampa niedługo przebywał u niego - odpowiedział Smuga. - Może jeszcze się nie zżyli.

- Za mało w nim uległości wobec białych. Nawet do ciebie mówi jak do równego sobie, a przecież wykupiłeś go z niewoli...

- Uległość czy też unizoność nie jest dodatnią cechą człowieka. Ten Indianin zachowuje się z godnością, a to raczej dobrze o nim świadczy. Gdy tylko wykupiłem go od Vargasa, zaraz oznajmiłem mu, że jest wolny. Wie, że odejdzie z żoną, dokąd zechce, gdy schwytamy uciekinierów.

- Źle uczyniłeś, senhor! Trzeba było trzymać go w niepewności!

- Tobie też obiecałem przebaczenie nie czekając na wypełnienie wszystkich warunków...

- Pamiętam o tym! Jeśli jednak chodzi o Kampę, to myślę, że Vargas miał rację. On zgłosił się na przewodnika, bo chciał powrócić do swoich!

- Nie mogę brać mu tego za złe! Każdy na jego miejscu chciałby wyrwać się z niewoli.

- Ciekawe, czy nie skłamał mówiąc o podsłuchaniu konszachtów Cabrała i Josego?

- Wszystko świadczy o tym, że wie, dokąd uciekają - odparł Smuga. - Przez trzy dni stale odnajdowaliśmy ich ślady! Zresztą jeszcze tylko jedna noc niepewności. Jutro mamy schwytać morderców.

- Odetchnę dopiero, gdy znajdziemy się z powrotem w Iquitos - rzekł Mateo ciężko wzdychając. - Nie wierzę temu Kampie i nie ufam Pirom ofiarowanym przez Vargasa. To jego ludzie. Uważaj, senhor, na nich, stale naradzają się po cichu. Czy nie wydaje ci się podejrzane, że Vargas tak szybko zgodził się na wydanie Cabrała i Josego? Czy to nie on przypadkiem kazał im uciekać przed tobą?

- Przypuszczam, że tak! - potwierdził Smuga. - Dlatego też Kampa popsuł mu szyki.

- Miej się na baczności, senhor! Wszyscy wiedzą, że Vargas ma długie ręce... Uważaj na jego Pirów, gdy dogonimy zbiegów!

- Dziękuję za dobre rady, Mateo! Staralem się przewidzieć wszystkie możliwe niespodzianki. Przed nami znajduje się dwóch białych i pięciu Indian. Ze mną jest trzech Pirów, jeden Kampa, jedna kobieta i... ty. Brałem nawet i to pod uwagę, że podczas tego

pościgu mogę mieć wszystkich was przeciwko sobie.

Wyraz zdumienia, a potem niemal uwielbienia odmalował się na twarzy Metysa. Po długiej chwili szepnął- Jesteś niezwykle odważny, senhor... Musisz być bardzo pewny swego oka i ręki.

- Jestem pewny, Mateo! - spokojnie odparł Smuga.

- Miej się na baczności, senhor, a może uda nam się wyjść cało z tej opresji...

- Teraz odpocznijmy przed wyruszeniem w drogę - zakończył Smuga. - Jutrzejszy dzień przyniesie nam wiele wrażeń.

Zaraz też legł na przygotowanym przez Pirów posłaniu z suchej trawy. Wkrótce, niby to przez sen, przewrócił się na bok i spod półprzymkniętych powiek zaczął obserwować towarzyszy. Nie ufał nikomu. Trzej Pirowie byli zaufanymi Vargasa. Zaofiarował ich jako tragarzy, lecz nie ulegało wątpliwości, że potajemnie otrzymali specjalne rozkazy do wykonania. Od nich mógł Smuga spodziewać się w każdej chwili pchnięcia nożem w plecy.

Smuga także nie był pewny, jak zachowa się Mateo na widok swych dawnych współników napadu. Licząc się z jakimś niespodziewanym odruchem z jego strony nie dał mu dotąd nabojów do karabinu i rewolweru. Tajemniczy Kampa i jego żona również stanowili wielką niewiadomą. Wszyscy już zasnęli, tylko przewodnik siedział na wzgórku i spoglądał w dal na północny zachód.

Słońce skryło się za górami. Ciemność nocy opadła na las, zakryła góry rysujące się na dalekim horyzoncie. Obóz rozpląwał się w mroku, bowiem Kampa nie pozwolił rozpalić ognia.

Smuga usiadł na posłaniu, po czym ostrożnie powstał. W jedną rękę wziął torbę z amunicją, w drugą karabin. Nie powodując jakiegokolwiek szmeru podkradł się do pobliskiego drzewa, siadł przy nim opierając plecy o jego pień. Z tego miejsca miał cały obóz przed sobą. Czujnie nasłuchiwał, czy ktoś nie podkradnie się do jego legowiska.

Czas wolno mijał... W końcu gwiazdy zajaśniały na niebie, a wkrótce księżyc wychylił się zza gór. Srebrzysta poświata z wolna wpełzła pomiędzy zarośla.

Smuga nadstawił uszu i wyteżył wzrok. Ktoś zbliżał się do jego posłania. Smuga cicho powstał. Lewą dłoń oparł na rękojeści rewolweru. Kilkoma skokami stanął za pochyłającym się nad posłaniem.

- Czego szukasz? - zapytał.

Indianin wyprostował się i odwrócił. Stali teraz twarzą w twarz. Smuga przybliżył się jeszcze. Indianin okryty w długą szatę trzymał prawą dłoń wsuniętą w fałdy na wysokości pasa. Smuga przesunął po niej ręką. Pod szorstkim materiałem wyczuł pięść zaciśniętą na rękojeści noża.

- Czego chcesz? - ponownie zapytał.

- Zaszedłeś mnie z tyłu... - odparł Kampa, starając się zapanować nad drzeniem głosu. -

Chciałem ci powiedzieć, że czas ruszyć w drogę.

- Więc ruszajmy, obudź wszystkich!

Kampa odwrócił się i odszedł. Zza pnia drzewa tuż przy Smudze wysunęła się barczysta postać.

- Przebiegły i czujny jesteś, senhor... - szepnął Mateo.

- Dlaczego nie śpisz?

- Wcale nie spałem. Gdy ściemniło się, postanowiłem czuwać przy twoim posłaniu. Podejrzywałem, że Kampa tutaj przyjdzie. Miał szczęście, gdyby nie twój podstęp, pchnąłbym go nożem.

- Popełniłbyś wielki błąd, Mateo - odpowiedział Smuga. - Gdybyś zabił przewodnika, już na pewno nie mógłbym schwytać uciekinierów. A może dążysz do tego?

- Nie mów tak, senhor, myślałem jedynie o twoim życiu!

- Sam potrafię ustrzec się przed niebezpieczeństwem. Ruszamy w drogę!

- Sim, senhor...

Mateo odszedł, zaczął popędzać Pirów, a Smuga odszukał torbę z amunicją, przewiesił ją na pasie przez ramię, po czym stanął przy przewodniku na skraju lasu.

- Idziemy! - odezwał się Kampa. - Pilnuj Pirów i Metysa, noc sprzyja ucieczce...

- Dobrze, prowadź!

Kampa, a za nim jak cień jego żona ruszyli pierwsi. Smuga poczekał chwilę, dopóki nie nadeszli tragarze z Metysem.

- Idźcie tuż za mną - rozkazał. - Mateo, będziesz szedł ostatni. Gdyby ktoś próbował uciekać, strzelaj!

- Sim, senhor...

Smuga oczywiście wiedział, że Mateo nie będzie mógł wykonać polecenia, gdyż nie miał nabojów. Chodziło mu tylko o nastraszenie Pirów, którzy podejrzanie trzymali się na uboczu.

Księżyc już całkowicie wychylił się zza gór. Na niebie błyszcząły gwiazdy. Rzadko rozrzucone na pół suche drzewa przybierały fantastyczne kształty. Ich огоłoczone z liści gałęzie niczym macki polipów wyciągały się ku wędrowcom, czasem chwytaly kolcami za odzienie, ciągnęły ku sobie. Na szczęście noc znacznie pojaśniała...

Co pewien czas przewodnik przystawał, rozglądał się po szczytach gór czerniejących w dali na tle jasnego nieba. Potem znów ruszał szybkim krokiem nie odzywając się do nikogo. Od czasu do czasu ciszę nocną rozdzierał krzyk drapieżnego ptaka.

Tylko raz w ciągu nocy zatrzymali się na krótki odpoczynek, po czym szli dalej, aż księżyc znów skrył się za górami. Tuż przed świtem nieprzenikniona ciemność otuliła

ziemię. Wtedy Kampa przysiadł na małym wzgórkowi i rzekł:

- Poczekamy, zaraz dzień...

- Dobrze, odpoczniemy, wszyscy zmęczeni - odparł Smuga. Usiedli na ziemi. Sucha trawa zachęcała do ułożenia się do snu, lecz nikt nie zasnął. Pirowie spoglądali spode łbów. Mateo również był zasepiony.

Ciemność nocy szybko rozpraszała się w mrok, a wkrótce słońce zajaśniało na horyzoncie.

Mateo wciąż rozmyślał. Jego prawa dłoń dotykała rękojeści noża tkwiącego za pasem. Smuga obserwował go spod oka. Nadchodzący dzień miał przynieść odpowiedź, kto był wrogiem, a komu mógł zaufać.

Smuga nie lekceważył niebezpieczeństwa. Był przekonany, że Pirowie zdradzą go, gdy dojdzie do walki z uciekinierami. Taką zapewne rolę wyznaczył Vargas trzem swoim zaufanym. Cabral i Jose również mieli przy sobie pięciu ludzi handlarza niewolników. Czy mógł polegać na Mateo i Kampie?

Przewodnik podniósł się i rozglądał po okolicy. Niebawem odwrócił się do towarzyszy i powiedział- Idziemy!

- Czy nie zbłądziłeś w nocy? - zapytał Smuga.

- Chyba nie, zaraz odnajdziemy ścieżkę... Idziemy!

Już podczas nocnej wędrówki Smuga zauważył, że wygląd okolicy uległ zmianie. Drzewa rosły coraz rzadziej, a trawa stała się bujniejsza, teraz o wschodzie słońca ciekawie rozejrzał się wokoło. Aż do linii horyzontu na północnym wschodzie leżał lekko falisty, suchy step. W nocy znacznie oddalili się od wschodnich pasm górskich, natomiast zachodnie łańcuchy o strzelistych wierzchołkach znajdowały się o wiele bliżej. Na ich stokach zieleniły się lasy. Kampa nieco zwolnił kroku. Coraz częściej wyciągał szyję wypatrując czegoś na stepie. Po jakimś czasie znów zaczął iść szybciej.

- Spójrz, senhor, tam na lewo widać kamienie! - zawołał Mateo dogoniwszy Smugę.

- Zauważyłem je! - odpowiedział Smuga. - Nasz przewodnik już od dłuższej chwili zbacza ku nim.

- To znaki, na pewno jakieś znaki! - mówił Mateo.

Szybko zbliżali się do kilku głazów leżących na stepie. Kampa przystanął przy nich zaledwie rzuciwszy na nie wzrokiem. Teraz spoglądał ku górom.

Smuga i Mateo obeszli głazy dookoła. Spostrzegli na nich jakieś wgłębienia i rysy, lecz trudno było powiedzieć, czy uczyniła je ręka człowieka. Smuga podszedł do przewodnika i zagadnął- Co mówią znaki na tych kamieniach?

- Znaki? - zdumiał się Kampa. - Czy znalazłeś na nich jakieś znaki?! Smuga zmierzył przewodnika przenikliwym spojrzeniem. Nie mógł odgadnąć, jakie myśli ukrywał Indianin pod obojętnym wyrazem twarzy.

- Od samego świtu rozglądałeś się po stepie szukając tych głazów, a teraz nie wiesz, co mówią wyryte na nich znaki - odezwał się po chwili.

- Skąd możesz wiedzieć, że to człowiek pozostawił znaki? - odpowiedział Kampa. - Może to tylko czas uczynił?

- Ktoś musiał przynieść tutaj te głazy.

- A czy wiesz, kto przyniósł tutaj trawę, krzewy, a tam dalej na stoki gór zielony las? Te głazy leżały w tym miejscu już za czasów, kiedy ojcowie moich ojców zamieszkiwali tę rozległą krainę.

- Być może, ale szukałeś ich i obecnie zatrzymałeś się przy nich.

- Nie mylisz się, bo od tych głazów na zachód znajduje się ścieżka, której szukamy - wyjaśnił Kampa. - Tylko tyle wiem, a jeśli nawet są jakieś znaki na tych kamieniach, to nikt nigdy nie potrafił ich odczytać.

- Daleko jeszcze do ścieżki?

- Już blisko. Ruszamy!

- Kłamie ten Kampa! - wybuchnął Mateo. - Nawet pyłu nie ma na tych kamieniach! Ktoś musiał przynieść je tutaj, wyryć znaki i stale pilnuje, aby były widoczne!

- Jeśli przeżyjesz do zachodu słońca, to przekonasz się, czy mówię prawdę - odrzekł Kampa mierząc Metysa pogardliwym spojrzeniem.

- Grozisz mi?!

- Milcz, Mateo! Nie pora na zwady! - ostro powiedział Smuga, bowiem Kampa i Metys już zaciskali dłonie na rękojeściach noży. - Idziemy!

Nim minęła godzina, przewodnik odnalazł ścieżkę. Smuga bez trudu odkrył na niej ślady dwóch białych i pięciu Indian. Wkrótce też natrafili na miejsce noclegu uciekinierów. Wokół wygaszonego ogniska trawa była zdeptana. Popiół był jeszcze ciepły.

- Co teraz powiesz, Mateo? - zagadnął Smuga. - Uciekinierzy opuścili obóz nie więcej jak godzinę temu. Przewodnik dotrzymał obietnicy.

- Tak, senhor, masz rację, cofam zarzut zdrady wobec tego Kampy! Przewodnik odwrócił się do Metysa.

- To obojętne, co myśli o mnie taki parszywy pies jak ty! - rzekł nie podnosząc głosu. - Nie jesteś ani białym, ani Indianinem. Sam nosisz piętno zdrady na swoim czole!

Metys poszarzał z wściekłości. Wyszarpnął nóż z pochwy, ale Kampa nie sięgnął do broni.

- Gdybyś mnie zabił, wszyscy bylibyście zgubieni - spokojnie powiedział. - Tylko ja znam powrotną drogę... Biały człowieku, weź tego parszywego psa na sznur, jeśli zależy ci na życiu!

- Słuchaj, Mateo, jeśli jeszcze raz wywołasz awanturę, połamię ci kości - zimno

powiedział Smuga. - A ty, przewodniku nie musisz nam grozić. Bez twojej pomocy również odnajdę powrotną drogę.

- Więc już mnie nie potrzebujesz? Dobrze, odchodzę! - powiedział Kampa.

Smuga podszedł do Indianina. Prawą dłoń położył na jego ramieniu, podczas gdy w lewej błysnął rewolwer.

- Gdy wykupiłem cię od Vargasa, powiedziałem, kiedy będziesz mógł swobodnie odejść - odezwał się przyciszonym głosem. - Dotrzymam słowa..., ale zapamiętaj, że do tej pory masz milczeć i słuchać. Jeszcze jeden odruch oporu, a... zabiję! Teraz prowadź!

Kampa widocznie zrozumiał, że groźba nie była rzucona na wiatr lub też przypomnienie umowy przywołało go do porządku, ponieważ bez słowa skinął głową i ruszył ścieżką, na której pełno było śladów uciekinierów.

Pasma górskie coraz to było bliższe. Mimo że słońce już nieźle prażyło, ożywczy wiatr wiejący od gór łagodził upał. Po dwóch godzinach ostrego marszu ukazały się pierwsze drzewa. Wkrótce też pościg wkroczył w podgóorską dżunglę.

Zaledwie znaleźli się w lesie, Smuga zwolnił kroku. Teraz musiał zwracać baczniejszą uwagę na tragarzy i Matea, którzy szli coraz wolniej. W lesie panowała głucha cisza; słońce mocno już przygrzewało. Smuga w skupieniu rozglądał się po gąszczu. Okolica miała dość ponury wygląd. Wśród dużych, gładkich i prostych jak świece drzew rosły również pochyłe, jakby garbate, a obok nich sterczały kolczaste palmy. Ścieżka stale niknęła w chaszczach i wciąż trochę pięła się pod górę.

Naraz za załomem ścieżki Smuga natknął się na przewodnika. Razem z żoną wpatrywali się w coś leżącego na ziemi. Smuga odsunął Kampę i stanął jak wryty. W poprzek ścieżki leżał Indianin. Z pleców jego wystawał koniec trzciny strzały, która przebiła go na wylot. Smuga pochylił się i dotknął dłoni leżącego. Była jeszcze ciepła. Niestety już nie żył. Strzała trafiła prosto w serce. Po twarzy pokrytej tatuażem, wyobrażającym dwa sine węże i pomalowanej czerwoną farbą, biegały duże, czerwone mrówki.

Smuga powstał i spojrzał na towarzyszy. Trzej Pirowie cicho rozmawiali spoglądając na zamordowanego.

- Co oni mówią? - zapytał Smuga.

- Mówią, że to jeden z Pirów, którzy umknęli z Cabralem i Jose - wyjaśnił Mateo.

UPIORNY LAS

Masz o jednego wroga mniej! - odezwał się Kampa. Smuga spojrzął na przewodnika. Indianin stał oparty rękami o swoją kapiszonówkę i z filozoficznym spokojem spoglądał na zamordowanego Pira.

- Senhor, tragarze mówią, że takich strzał do łuków używają Kampowie - wtrącił Mateo.

- Łatwo to sprawdzić! - odpowiedział Smuga.

Zbliżył się do żony przewodnika, która niosła jego łuk i kołczan. Kobieta szybko cofnęła się, gdy wyciągnął do niej rękę, ale mąż uspokoił ją wzrokiem. Smuga wyjął z kołczanu jedną długą strzałę. Była podobna jak dwie krople wody do tej, która przeszła Pira na wylot. Smuga zwrócił strzałę Indiance, po czym zaczął przepatrywać las po obydwóch stronach ścieżki. Nie znalazł choćby najmniejszego śladu, domyślił się więc, że napastnik strzelał z ukrycia. Nikt z uciekinierów również nie szukał tajemniczego strzelca. Ślady dwóch białych oraz pozostałych czterech Pirów nie zbaczały ze ścieżki. Smuga wkrótce przerwał poszukiwania. Nie miał czasu na dokładne przetrząśnięcie lasu w promieniu około dwustu metrów od ścieżki, czyli na donośność dobrego indiańskiego łuku. Strzelec lub strzelcy mogli ukrywać się w zasadzce na drzewach, co jeszcze bardziej utrudniało znalezienie ich śladów.

- Czy odkryłeś coś, senhor? - zaniepokojonym głosem zapytał Mateo.

- Nie, poszukiwania zajęłyby za wiele czasu - wyjaśnił Smuga. - Lepiej nie zwlekać z dogonieniem uciekinierów.

- Tak, senhor, te czerwonoskóre diabły mogą jeszcze czaić się w pobliżu - mruknął Mateo, trwożliwie rozglądając się wokoło. - Może mają kryjówki na drzewach?

- W drogę! - zawołał Smuga. - Idźcie tuż za mną!

Ślady uciekinierów były teraz znacznie wyraźniejsze. Widać było, że przyspieszali kroku. Smuga zdjął z pleców karabin i szedł za przewodnikiem z bronią gotową do strzału.

Szli już około godziny. Ścieżka początkowo wiodła wzdłuż górskiego zbocza, a potem zaczęła opadać ku rozległej dolinie. W miarę jak pościg schodził w dolinę, las stawał się mniej gęsty i bardziej mroczny. Drzewa osłonięte od wiatru wysoko pięły się w górę. Poprzez korony splecione lianami przesączały się tylko nikle smugi światła. Toteż na ziemi niemal brak było podszycia, które zamierało z powodu niedostatecznego nasłonecznienia.

Aromat charakterystyczny dla górskich lasów unosił się w powietrzu.

Kampa ostrzegawczo uniósł rękę. Wszyscy natychmiast przystanęli. O kilkanaście kroków przed nimi ktoś leżał na ścieżce. Smuga gestem nakazał milczenie, po czym wysunął się do przodu. Szedł wolno trzymając palec na spuście karabinu. W głębi lasu rozbrzmiewał rozdzierający krzyk ptaka. Smuga przystanął i nasłuchiwał, lecz głucha cisza znów zapanowała wokoło. Krok za krokiem przybliżał się do leżącego człowieka, który

zaciskał dłonie na strzale tkwiącej w jego lewej piersi, jakby chciał ją wyrwać z siebie. W szeroko otwartych oczach zamarł wyraz przerażenia.

Jak wskazywał tatuaż na twarzy Indianina, należał zapewne, tak jak poprzednia ofiara, do plemienia Pirów.

Smuga ostrożnie zaczął rozglądać się po obydwu stronach ścieżki. Naraz ujrzał jeszcze jednego Pira. Prawdopodobnie próbował uciec w las, gdy strzała ugodziła jego towarzysza. Być może w przestkach wpadł na drzewo, które jeszcze teraz kurczowo obejmował ramionami, klęcząc u jego stóp. Długa strzała wystająca z jego pleców wprost przyszpiliła go do pnia.

Smuga wyszedł na ścieżkę i przywołał towarzyszy. Widok nowych ofiar wywołał trwożliwe komentarze. Tylko Kampa i jego żona zachowywali milczenie.

- Senhor, coraz dalej wchodzimy w zasadzkę - gorączkowo tłumaczył Mateo. - Przeklećci Kampowie czają się wokoło!

- Nie iść, tam śmierć! - doradzali Pirowie. - Wszyscy zginąć... Smuga przysłuchiwał się ostrzeżeniom i radom, a jednocześnie nie spuszczał oka z przewodnika. W końcu uciszył towarzyszy i zwrócił się do Kamy - A co ty radzisz uczynić?

Indianin nie zmieszał się pod badawczym spojrzeniem.

- Chciałeś ująć tamtych dwóch, więc prowadzę - odpowiedział. - Już wkrótce ich ujrzysz!

- Czy jesteś jeszcze tego pewny? Przecież w każdej chwili możemy zginąć jak ci Pirowie!

- Tylko śmierć może wyzwolić Indianina z niewoli u białych ludzi - odparł Kampa. - Zapłaciłeś za mnie i obiecałeś wolność pod warunkiem, że pomogę ująć tamtych dwóch. Indianin zawsze dotrzymuje przyrzeczenia. Chodź, jestem gotów!

Smuga zastanawiał się, jak ma postąpić. Sam od dawna był zdecydowany ścigać zbiegów bez względu na grożące mu niebezpieczeństwo. Nie chciał jednak ryzykować życia towarzyszy. Żał mu było nawet Matea, który zachował się tak nikczemnie wobec Nixonów. Po chwili namysłu odezwał się - Słuchaj, Mateo! Czy trafiłbyś stąd do głazów na stepie?

- Tak, senhor, przecież wystarczy iść po naszych śladach.

- To dobrze! Zabierz Pirów i wracajcie. Przy głazach rozbijcie obóz. Jeżeli do jutra do zachodu słońca nie przyjdę tam do was, ruszajcie do La Huairy. Stamtąd, Mateo, proszę cię, wróć do obozu nad Putumayo i zawiadom pana Nixona o tym, co tu się wydarzyło. Niech mnie nie szuka, bo jeżeli nie przyjdę do obozu przy głazach, będzie to znaczyło, że nie żyję. Ciebie, przewodniku, również już nie potrzebuję. Możesz z żoną wracać razem z Mateo lub też odejść, dokąd chcesz. Pragnąłeś odzyskać wolność, więc teraz jesteś wolny. Nie przeklinaj wszystkich białych. Wielu z nich szanuje każdego człowieka. Mateo, pomóż mi zapakować trochę żywności i ruszajcie w drogę. Starajcie się prędko wyjść z tego lasu.

Wszyscy milczeli zaskoczeni słowami Smugi. Nawet tak doskonale panujący nad sobą

Kampa zdawał się być poruszony. Pierwszy ochłonął Mateo. Podszedł do Smugi i z niedowierzaniem zapytał- Czy naprawdę pozwalasz mi odejść, senhor? Czy też może chcesz wystawić mnie na próbę?!

- Nie trać czasu na głupią gadaninę! - ofuknął go Smuga. - Ruszaj z powrotem jak najszybciej! *Zabierz* naboje do rewolweru i karabinu. Tutaj są w torbie.

- Senhor, czy to ma oznaczać, że już przebaczyłeś mi tamto wszystko?

- Tak, Mateo, chcę wierzyć, że więcej nie popełnisz podłości.

- Nie zawiedziesz się na mnie, senhor. Zaraz ci to udowodnię. Powiedziałeś mi, że tylko podlec pozostawia towarzyszy w niebezpieczeństwie. Źle postąpiłem tam nad Putumayo, ale nie jestem tchórzem. Idę z tobą! Albo razem ocalimy się, albo razem zginiemy!

- To nie ma sensu! Nie osłonisz mnie przed strzałą wysłaną z ukrycia. Sam nawet łatwiej mogę wymknąć się z zasadzki.

- Idę z tobą! - z uporem oświadczył Mateo.

- Jak chcesz, nie życzyłem ci zguby! No, zbierajcie się! Pirowie bez słowa zawrócili i zniknęli w lesie.

- Dlaczego nie odszedłeś z nimi! - zwrócił się Smuga do Kampa.

- Wspaniałomyślnie darowałeś mi wolność - odparł przewodnik. - Dziwny jesteś, biały człowieku! Będę przy tobie do samego... końca!

- Wracaj, ocal swoją żonę!

- Nie kłopotz się o nią, towarzyszy mi zawsze, nawet na wojennej ścieżce. Ruszajmy, czas nagli!

Uszli zaledwie kilkadziesiąt kroków. Naraz w lesie za nimi rozległy się okrzyki przerażenia.

- Napadli Pirów! - zawołał Mateo.

Smuga odwrócił się, by biec im na pomoc, lecz Kampa przytrzymał go za ramię.

- Stój! Już za późno... - wyrzucił z siebie jednym tchem Okrzyki jakby zdławione zamarły. W lesie zapanowała cisza.

- Jesteśmy otoczeni... - szepnął Mateo.

- A więc odwrót odcięty! - powiedział Smuga. - Słuchaj, przewodniku! Dokąd prowadzi ta ścieżka?

- W dolinę, która leży przed nami.

- Wobec tego wiedzie na zachód?

- Nie mylisz się!

- Dobrze, teraz ja poprowadzę. Chodźcie za mną!

Zboczył ze ścieżki i ruszył w las. Po kilkuset krokach zawrócił na zachód. Teraz szli równolegle do ścieżki osaczonej przez niewidzialnego wroga. Smuga nie sądził, że w ten sposób wymknie się z pułapki, lecz swoim manewrem zmuszał przeciwników do zmiany taktyki, a tym samym do wyjścia z ukrycia.

Szybko idąc rozważał sytuację. Był już pewny, że Mateo go nie zawiedzie, lecz Kampie teraz nie ufał. Indianin zbyt śmiało zapuszczał się w ten tajemniczy las. Czyżby był pewny, że śmierć nie czyha na niego? Nie zabrał głosu, gdy radzono nad odwrotem. Nie okazywał również zaskoczenia na widok napotykanych trupów. To wszystko dawało wiele do myślenia. Jedno było pewne: Kampa nienawidził białych i pogardzał Metyse, który z nimi współdziałał.

Upłynęło sporo czasu, a niewidzialny wróg nie dawał znaku życia. Smuga orientował się, że szybki marsz po bezdrożu utrudnia pościg i osaczenie. Wtem gdzieś z prawej strony rozbrzmiały strzały rewolwerowe.

- To Cabral i Jose walczą z Indianami! - krzyknął Mateo. Smuga z miejsca zawrócił w kierunku ścieżki i biegł ile tylko tchu starczyło mu w piersi. Nie oglądał się nawet na towarzyszy. Strzały wprawdzie szybko umilkły, lecz w zamian rozległ się ludzki głos rozpaczliwie wzywający pomocy.

Smuga z karabinem w dłoniach wypadł na ścieżkę. Szybko też odnalazł proszącego o ratunek. Leżał na lewym boku pod drzewem opierając się o nie plecami. Obydwie dłonie obficie zbroczone krwią przyciskał do piersi. To był biały człowiek. Smuga przyklęknął przy nim.

- To ty nas ścigałeś, prawda? - odezwał się ranny, po czym grymas bólu pojawił się na długo nie golonej twarzy.

Smuga znał hiszpański. Odparł więc po chwili- Ścigam morderców Johna Nixona. Ty prawdopodobnie jesteś jednym z nich?

- Ja nie zabiłem Nixona... To Cabral strzelił do niego, a teraz... do mnie.

- Ty jesteś Jose, czy tak?

Ranny skinął głową. Widać było, że nie ma już ratunku dla niego.

- Spróbuję powstrzymać upływ krwi - powiedział Smuga rozrywając mu koszulę na piersiach.

- Zostaw... umieram...

- Dlaczego Cabral strzelał do ciebie? - zapytał Smuga. Jose ostatkiem woli opanował słabość.

- Zabili wszystkich Pirów... - wyjaśnił. - Chciałem zawrócić. Woląłem wpaść w twoje ręce, niż zginąć od indiańskiej strzały. Ale Cabral wiedział, że ty zapłacisz mu za Nixona... Nazwał mnie zdrajcą i zaczął strzelać. Sam poszedł dalej...

Mateo i Kampa, którzy przybiegli za Smugą, teraz również pochylali się nad

konającym. Słyszeli jego wyznanie. Jose odetchnął głębiej i uniósł głowę. Mimo woli spojrzął na Kampę. Błysk wściekłości ożywił na krótką chwilę jego oczy już zachodzące mgłą śmierci.

- To ten Kampa doradził nam skryć się tutaj przed tobą... - zawołał. - Przeklęty! To on wysłał nas w zasadzkę...!

- A więc moje podejrzania były słuszne! - warknął Mateo. - To on uknuł to wszystko. Zgubił ich i nas! Jest w zмовie z dzikimi Kampami. Giń i ty, czerwony diable!

Wyszarpnął rewolwer z za pasa. Smuga poderwał się i podbił mu dłoń, lecz mimo to kula ugodziła przewodnika. Kampa osunął się na ziemię. W tej chwili Mateo stęknął głucho, bezwładnie padł w ramiona Smugi. Żona Kamy wbiła mu w plecy nóż aż po rękojeść. Cios wymierzony był prosto w serce.

Smuga położył Metysa na ziemi.

- Poszaleli wszyscy w tym upiornym lesie... - szepnął. Indianka przyklękała przy mężu. Żył jeszcze. Smuga wydobył z torby opatrunki i pomógł założyć bandaż.

- Rana chyba nie jest śmiertelna, zawołaj swoich... - odezwał się do Indianki. Podniósł karabin i poszedł ścieżką w dół zbocza.

W lesie znów zaległa cisza. Smuga jakby zapomniał o Indianach czających się w gąszczach. Odnalazł na ścieżce wyraźne ślady ostatniego zbiega, wiedział, że teraz już szybko go dogoni.

Przez jakiś czas stale przyspieszał kroku, ale w końcu zaczęło go ogarniać znużenie. Czuwał przecież przez wiele nocy nie ufając swym towarzyszom, a przez ostatnich kilkanaście godzin ani na chwilę nie przerywał pościgu.

Nieoczekiwanie ujrzał Cabrala na ścieżce, o jakieś dwieście kroków przed sobą. I on także musiał być wyczerpany. To biegł, to przystawał dla zaczerpnięcia tchu. Co chwila spoglądał za siebie.

Smuga zdecydował się zakończyć ten opętany pościg. Mógł dosięgnąć zbiega kulą z karabinu, ale nigdy nie zdobyłby się na strzał w plecy. Zrozumiał, że w tej sytuacji karabin był bezużytecznym obciążeniem. Bez wahania odrzucił go w las. Potem wydobył rewolwer z pochwy, zatknął go za pasek od spodni, a następnie pozbył się pasa z drugim rewolwerem. Teraz poczuł się raźniej. Zaczął biec za Cabralem. Wkrótce znacznie przybliżył się do niego. Już nawet słyszał jego ciężki, urywany oddech.

Cabral obejrzał się, ujrzał Smugę tuż za sobą. Broń błysnęła w jego dłoni. Huknął strzał. Chybił! Strzelił ponownie i znów chybił. Ogarnięty przerażeniem skoczył w las pomiędzy drzewa.

Smuga pobiegł za nim.

Cabral, jakby mu nagle sił przybyło, trochę powiększył odległość między sobą i goniącym go Smugą, ale wkrótce osłabienie zaczęło ogarniać go ze zdwojoną mocą. Poprzez drzewa prześwitywała mała polanka. Chwiejnym krokiem wybiegł na nią. Potknął

się, upadł. Powstał ociężale. Odwrócił się twarzą do Smugi. Postanowił błagać o litość, ale zaledwie ujrzał wybiegającego na polanę, nadzieja wstąpiła w jego serce. Smuga nie miał karabinu, ani pasa z rewolwerami. Był bezbronny. Olbrzymi wysiłek przyćmił wzrok pozbawionemu skrupułów Cabralowi. Nie spostrzegł rękojeści rewolweru wystającej Smudze zza paska. Zebrał się w sobie. Uniósł rewolwer starając się zapanować nad drżeniem dłoni.

Smuga wpił wzrok w oczy przeciwnika i wolno zbliżał się ku niemu.

Cabral nacisnął spust.

Kula niemal otarła się o głowę Smugi. Przystanął. Nie dobywając rewolweru odezwał się:

- Rzuć broń! I tak nie trafisz, drży ci ręka.

Cabral dopiero teraz spostrzegł, że Smuga nie był bezbronny. Pobladł jak płótno. O sprawności strzeleckiej Smugi wiele nasłuchiwał się w szynkach Manaos. Strach przed nieuchronną śmiercią zjeżył mu włosy na głowie. Zdławionym głosem zawołał- Nie zabijaj!

- Pójdiesz ze mną do Manaos! Razem z Alvarezem będziesz się tłumaczył ze swych zbrodni - powiedział Smuga. - Rzuć broń!

Rewolwer wysunął się z dłoni Cabrala.

W tej chwili długa trzciniowa strzała ze świstem śmignęła nad głową Smugi i głęboko wbiła się w pierś Cabrala. Ten zatoczył się, klęknął, a potem z głuchym jękiem padł na ziemię.

Złowroga cisza otoczyła Smugę. Wiedział, że to śmierć nadchodzi. Nie bał się jej, bo uczucie strachu zawsze było mu obce. W tej ostatniej chwili pomyślał o swych przyjaciółach. Przymknął oczy... Ujrzał poważną twarz Tomka, jego żonę, poczciwego Nowickiego i innych... Uśmiechnął się do nich.

Naraz instynkt ostrzegł go, że już nie jest sam na polanie. Otworzył oczy. Twarze przyjaciół zniknęły jak płomień zgaszonej świecy, rozczulenie uleciało bezpowrotnie. Spokojnie spoglądał na półnagich wojowników otaczających go szerokim kołem. Ich twarze i ciała były pokryte fantastycznymi malowidłami. Na głowach nosili korony uplecione z włókien palmowych. W rękach trzymali długie, czarne łuki, na których ciężki mieli nałożone pierzaste strzały.

Wszelka obrona była beznadziejna. Smuga miał rewolwer i mógł zabić kilku napastników, ale to przecież nie zmieniłoby jego położenia. Kilkudziesięciu Kampów i tak musiało wygrać walkę. Poza tym Smuga nie żywił wrogości do czerwonoskórych wojowników. Rozumiał, że ich nienawiść do białych ludzi była uzasadniona. Oni przecież widzieli w nim tylko białego człowieka, który sprowadził na nich tyle nieszczęść.

Oczekując na śmiertelny cios Smuga wydobyl z kieszeni fajkę, włożył w nią szczyptę tytoniu i zapalił. Gdy wydmuchnął w powietrze pierwszy kłęb dymu, Indianie mocniej

napięli cięciwy łuków. Dziesiątki długich strzał wymierzyli prosto w jego pierś.

TOMEK PRZYBYWA DO BRAZYLII

Niech pan spojrzy, drogi kapitanie! Nasz Tomek tak się wpatruje w morską wodę, jak indyjski fakir w węża, którego usypia - zawołała Sally, a zwracając się do swego męża żartobliwie dodała: - Mój kochany, nie wychylaj się tak przez poręcz, bo jeszcze wpadniesz do wody!

- Ha, zawsze mówiłem, że będzie z niego dobry marynarz - powiedział kapitan Nowicki. - Płyniemy już prawie trzy tygodnie, a jemu wciąż mało widoku morza! Nie żałuj mu, sikorko, niech się napatrzy. Tak drogo zapłaciliśmy za przejazd do Ameryki Południowej, że nie warto skąpić mu widoku morskiej wody, którą tak polubił!

Tomek nie odwracając się do żony i przyjaciela odparł- Dla Sally każda woda jest tylko wodą, ale panu się dziwię, kapitanie! Niech pan uważnie przyjrzy się oceanowi, a zaraz przestanie pan pokpiwać ze mnie.

Nowicki stanął przy przyjacielu. Za ledwie rzucił okiem na wodę, klepnął Tomka w ramię i pochwalił- No, no, znasz się na *rzeczy*, brachu! Dobra nowina!

Sally zaintrygowana również wychyliła się za burtę, ale po chwili zawiedziona powiedziała- Nic nie widzę! Pewno obydwaj chcecie zabawić się moim kosztem!

- Spójrz jeszcze raz! - doradził Nowicki.

- Nic nie widzę prócz mętnej, żółtawej wody!

- A jaki kolor miał ocean wczoraj o zachodzie słońca? Tak się nim zachwycałaś! - pytał Nowicki.

- Powiedziałaś nawet, że chciałabyś mieć sukienkę w takim kolorze - dodał Tomek.

Sally klasnęła w dłonie i zawołała- Tak, tak, już sobie przypomniałam! To był kolor srebrnobłękitny!

- A jakie zabarwienie ma woda dzisiaj? - cierpliwie indagował Nowicki.

- Brudnożółte!

- No, nareszcie! - mruknął Tomek. - Czy jeszcze w dalszym ciągu sądzisz, że nie warto było przyglądać się oceanowi?

- Hm, więc chodzi wam o zmianę zabarwienia wody? A co to oznacza?

- A to właśnie, że Amazonka mówi nam: dzień dobry! - z humorem wyjaśnił Nowicki.

- To już naprawdę jesteśmy w Brazylii?

- Tylko jedną nogą, sikorko! W tej chwili znajdujemy się o jakieś trzysta, czterysta kilometrów od stałego lądu, ale mimo to już żeglujemy po wodach Amazonki - wyjaśnił marynarz.

- Tak, tak szanowna pani! - utyskiwał Tomek. - Od kiedy poświęciłaś się archeologii, geografia poszła w ką!

- Nieprawda! Podstępni jesteście obydwaj. Najpierw zagadujecie mnie o sukienkach, a potem naśmiewacie się, że nie znam geografii.

- Widzisz, brachu, oberwaliśmy! - śmiał się kapitan.

- Zaraz jeszcze bardziej się zawstydzicie, bo już wszystko sobie przypomniałam. Słuchajcie! Amazonka, zwana również Królową Rzek, ma źródła w Andach Peruwiańskich. Długość jej wynosi pięć tysięcy pięćset kilometrów, jest więc trzecią pod względem długości rzeką na Ziemi, a pod względem wielkości dorzecza i zasobów wody, pierwszą[57]. No, co teraz powiecie?!

- Przede wszystkim dodam, że w olbrzymim dorzeczu Amazonki można by zmieścić połączone dorzecza Nilu i Missisipi. Amazonka oraz rzeki tworzące jej dorzecze przepływają przez co najmniej połowę kontynentu Ameryki Południowej. Poprzez Rio Negro i Casiquiare, jedną z najbardziej znanych na świecie rzek bifurkujących[58], Amazonka bifurkuje z Orinoko, a przy wysokim stanie wód również łączy się przez rzekę Guapore z dorzeczem Paragwaju.

O ilości wody wlewanej przez Amazonkę do Oceanu Atlantyckiego[59] najlepiej świadczy fakt, że wody jej wysładzają wodę oceaniczną jeszcze w odległości około trzystu kilometrów od ujścia, zaś muł niesiony przez nią z głębi tajemniczych dżungli Brazylii, Peru i Kolumbii zmienia srebrnobłękitną barwę oceanu na brudnożółtą.

- Krótko mówiąc, już zbliżamy się do Brazylii - pospiesznie wtrącił kapitan Nowicki, który znając zamiłowanie Tomka do geografii obawiał się obecnie dłuższego wykładu na temat Amazonki.

- A więc wkrótce ujrzymy Zbyszka i Nataszę, a może nawet i pana Smugę - ucieszyła się Sally.

- Kto wie, kochana sikorko! Może tak będzie - zawtórował Nowicki.

- Trudno mi uwierzyć, żeby taki stary wyga jak Smuga nie wygrzebał się nawet z najgorszych opresji!

- Ja również nie mogę sobie tego wyobrazić! - rzekł Tomek. - Pan Smuga niejednokrotnie zniknął na dłuższy czas.

- Święta racja, on chadza własnymi ścieżkami - dodał kapitan. - Jak bardzo obawialiśmy się o niego, gdy wezwał nas do Indii! Myśleliśmy, że już po nim, a w końcu odnaleźliśmy go w klasztorze w Hemis, skąd poprowadził nas na wyprawę w głąb Azji[60].

- Oby i teraz tak się stało - westchnął Tomek. - Może Zbyszek i Natasza naprawdę zbyt pochopnie zwrócili się do nas o pomoc?

- Nie będę miał o to żalu do nich, jeśli tylko w Manaos zastaniemy Smugę całego i zdrowego - rzekł kapitan. - Dawno już ich nie widzieliśmy. Uściskamy się, pogawędzimy i pozeglujemy z powrotem do waszego ojca!

- Tatuś na pewno bardzo się denerwuje - powiedziała Sally. - Tak chciał z nami spieszyć na ratunek panu Smudze!

- Dobrze mówisz, sikorko, ale trudno mu było w połowie- roboty wystawić Hagenbecka do wiatru. Kontrakt rzecz święta! Kary umowne zrujnowałyby nas, jak amen w pacierzu.

- To właśnie było największą przeszkodą - westchnął Tomek.

- Ojciec rzuciłby wszystko dla ratowania pana Smugi, gdyby stać nas było na pokrycie strat z powodu zerwania umowy. Ledwo udało mu się wytargować zgodę Hagenbecka na wyjazd pana.

- A może tak i lepiej? - mruknął kapitan. - Niezbyt to roztropnie wyrzucać od razu wszystkie koła ratunkowe za burtę!

- Co pan ma na myśli, drogi kapitanie? - zaciekawiała się Sally.

- Pomyśl dobrze, to zrozumiesz! - odpowiedział Nowicki. - Jeśli Smugi nie zastaniemy w Manaos, to znaczy, że przepadł w dzikim kraju. Jeżeli taki doświadczony podróżnik mógł tam zaginąć, to i nam także może przytrafić się coś złego. Wtedy szanowny twój teść, sikorko, rozwinie żagle i pospieszy nam z pomocą. Zrozumiałaś teraz?

- Widzę, kapitanie, że bierze pan pod uwagę wszystkie ewentualności, nawet i te... najgorsze - zafrasowała się Sally.

- Tylko żółtodziób zawsze liczy na sprzyjające wiatry!

Umilkli i zamyśleni spoglądali na mewy, które z żalonym piskiem kołowały nad statkiem. Po chwili Nowicki przerwał milczenie i rzekł- Głodne ptaszyska, a i mnie burczy w brzuchu. Wikt zapłaciliśmy z góry, więc chodźmy na śniadanie. Nic tak nie poprawia humoru, jak dobre jedzenie i szklaneczka jamajki.

Przeszli do ogólnej jadalni. Podczas śniadania omawiali plany na najbliższe dni, gdyż wkrótce mieli opuścić "Gwiazdę Południa", na której przepłynęli Ocean Atlantycki.

- Kończą się wasze wygody - właśnie mówił kapitan Nowicki.

- W Belem do Para[61] musimy zaokrętować się na jakiś statek rzecznej żeglugi. Zazwyczaj tłoczno na nich jak w beczce śledzi! Spotkamy wiele typków spod ciemnej gwiazdy.

- Słyszałam, że statki oceaniczne mogą żeglować po Amazonce - wtrąciła Sally. - Zaoszczędzilibyśmy czasu, gdyby nasz statek zawijał wprost do Manaos.

- Mógłby tam dopłynąć! Statki o tonażu do pięciu tysięcy ton mogą docierać do Manaos, a trzytysięczniki nawet do Iquitos w Peru. Cóż jednak z tego, skoro "Gwiazda Południa" kończy swój rejs w Belem!

- Dlaczego powiedział pan, że w Belem do Para spotkamy wiele typów spod ciemnej gwiazdy? - ciekawiła się Sally.

- Nie tylko tam, sikorko. W Brazylii i w Peru wciąż panoszy się gorączka kauczukowa. Kauczuk to teraz czarne złoto Ameryki Południowej. Parę lat temu byłem w Belem do Para. Wtedy jeden facet, który też szukał szczęścia w dżungli, opowiadał mi, że gorączka kauczukowa doprowadza ludzi nawet do większego szaleństwa niż gorączka złota w

Kalifornii, na Alasce, czy też w Klondike[62].

- Czy był pan kiedyś w kraju ogarniętym gorączką złota? - dalej pytała Sally.

- Raz zahaczyłem o Alaskę. Płynęliśmy wtedy z ładunkiem mąki. Poszukiwacze złota prawie umierali z głodu nad rzeką Jukon. Za prowiant płacili szczerym złotem! Wtedy nasłuchałem się niemało. Tam jednak w największym niebezpieczeństwie znajdowali się ci, do których uśmiechnęło się "złote szczęście".

- Czyżby w Brazylii było inaczej?!

- Inaczej? Prawdziwe piekło! Ten facet, o którym wspomniałem, tylko cudem umknął z życiem z obozu zbieraczy kauczuku w dżungli, gdzie przez dwa lata musiał harować niemal jak galernik. Po prostu rozbój i niewolnictwo!

- Przerazające historie pan opowiada - rzekła Sally. - Wobec tego nie mogę zrozumieć, dlaczego pan Smuga zgodził się tam pojechać, a w dodatku jeszcze zabrał Natkę i Zbyszka?

- Nasz Smuga jadał już chleb z niejednego pieca. Dla niego to nie pierwszyna. Tych dwojga młodych na pewno nie naraził na niebezpieczeństwo, sama się przekonasz.

- Również jestem tego pewny - wtrącił Tomek. - Żebyśmy tylko nie musieli zbyt długo czekać w Belem na statek w górę Amazonki. Trochę za wiele czasu upłynęło od zaginięcia pana Smugi!

- Zawsze trafi się jakaś okazja, już ja tam dobrze poniucham - odparł kapitan. - Czekajcie, ile to czasu minęło od przepadnięcia Smugi? Daj no list Zbyszka i Nataszy!

- Znam go na pamięć - powiedział Tomek. - Smuga wyruszył znad Putumayo w końcu czerwca. List pisany w październiku otrzymaliśmy w listopadzie. Teraz już za tydzień Boże Narodzenie, a więc pan Smuga nie daje znaku życia od sześciu miesięcy.

- Faktycznie kawał czasu - potaknął No wieki.

- O znalezieniu jakichś śladów nawet nie można marzyć - odezwała się Sally przygnębiona.

- Tak, to nie wchodzi w rachubę - potwierdził Tomek. - Nastąpiła przecież zmiana pory roku. Pan Smuga wyruszył w porze suchej, która trwa od kwietnia do października, a obecnie od dwóch miesięcy mamy w Amazonii porę deszczową, czyli zimę. Amazonka i jej dopływy zalały znaczne obszary kraju.

- Czy to może uniemożliwić nam wyprawę ratunkową? - coraz bardziej niepokoila się Sally.

- Raczej utrudni zbieranie informacji - odparł Tomek. - W okresach wysokiej wody ludzie, a nawet i zwierzęta odsuwają się od brzegów rzek. Tym samym niełatwo będzie odnaleźć tych, którzy mogliby coś powiedzieć o Smudze. Natomiast jeśli chodzi o sposób poruszania się wyprawy, to w Amazonii na wielu terenach zawsze podróżuje się na łodziach. Widzisz, Amazonka przez większość roku przelewa się przez brzegi i pewne okolice stale są przez nią zalewane. Dzieje się tak, gdyż pora deszczowa na półkuli

północnej występuje w innym czasie niż na półkuli południowej. Z tego powodu lewobrzeżne dopływy Amazonki wzbierają na zmianę z prawobrzeżnymi[63].

- Wspaniały jesteś, Tommy! - zawołała Sally. - Nigdy nie byłeś w Brazylii, a przecież znasz ją na wylot! Pokonamy wszelkie przeciwności! Ty i pan kapitan na pewno poradzicie sobie ze wszystkim.

Mówiąc to Sally obdarzyła obydwóch mężczyzn promiennym uśmiechem. Olbrzymi No wieki aż przymrużył oczy z zadowolenia, a i Tomek pokraśniał, gdyż obydwaj byli czuli na tego rodzaju pochlebstwa.

Dwa dni szybko minęły trójce przyjaciół. Przygotowywali się do opuszczenia statku po drugiej morskiej podróży, odwiedzali poczciwego Dinga, który przebywał w pomieszczeniu dla zwierząt, snuli domysły na temat losów Smugi i układali plany. Trzeciego dnia prawie od świtu czuwali na pokładzie, bowiem na zachodnim horyzoncie już rysowało się sinawe pasmo wybrzeża.

Początkowo nikły zarys lądu stopniowo rozrastał się, potężniał, przybierał coraz to realniejsze kształty, aż w końcu, około południa, północne brzegi Brazylii błysnęły tropikalnym urokiem. Zaborczy ocean z głuchym pomrukiem uderzał w przybrzeżną mieliznę, a potem bryzgając białą pianą łagodnie przetaczał się po złocistych, szerokich plażach. Gdzie indziej znów z wściekłością przenikał w gęszcze mangrowe, którymi zachłanna dżungla, schodząca niemal w toń oceanu, osłaniała się przed jego niszczycielską siłą. Tu i tam palmy kokosowe powiewały wspaniałymi pióropuszcami, jakby wabiły przybyszów zza bezmiernego oceanu w głąb malowniczego, a zarazem tajemniczego lądu.

- Jakiś statek podpływa do nas! - w pewnej chwili zawołała Sally. - Pewno przywozi pilota!

- Oczywiście, zaraz przyjmiemy go na pokład - potwierdził Nowicki.

- Więc już wpływamy na Amazonkę?! - dziwiła się Sally. - Przecież przed nami wciąż jeszcze rozciąga się ocean!

- Odgałęzienie rzeki, w które obecnie wpływamy, ma około sześćdziesięciu kilometrów szerokości - zauważył Tomek.

- Więc to jedynie odgałęzienie rzeki? - jeszcze bardziej zdumiała się Sally.

- A jakże, sikorko, szerokość całej Amazonki przy ujściu razem z deltą wynosi trzysta kilometrów. To najszersza rzeka na Ziemi - dodał Nowicki.

- Widzisz, Sally, ujście Amazonki tworzy potężny lej, rozwidlony przez liczne wyspy - uzupełnił Tomek. - Lej ten rozpoczyna się o trzysta pięćdziesiąt kilometrów od Oceanu Atlantyckiego. Nie jestem pewny, lecz wydaje mi się, że Amazonka tworzy przy ujściu trzy odgałęzienia?

- A jakże, nie mylisz się! - potaknął Nowicki. - Północne odgałęzienie ujścia Amazonki zwą Canal do Norte, środkowe Canal do Sul, a południowe Para.

- Którym odgałęzieniem popłyniemy? - zapytała Sally. - Południowym, oddzielonym

wyspą Marajo [64]. Tędy wiedzie główna droga. Północne i środkowe są niebezpieczne dla żeglugi.

Przyjaciele przerwali pogawędkę. W pobliżu wybrzeża ukazało się kilka niezwykle oryginalnych łodzi rybackich, wyplecionych z giętkich gałęzi lub trzciny. Wyglądem przypominały duże, podłużne kosze do bielizny zwężające się ku obydwom końcom. Każda łódź posiadała ogromny, jasnoniebieski lub pomarańczowy żagiel w kształcie trójkąta. Tomek i Sally z ciekawością przyglądali się im przez lornetki, gdyż, jak zapewniał Nowicki, tego rodzaju łodzie używane były do morskich, przybrzeżnych połowów od Recife [65] aż do Amazonki.

"Gwiazda Południa" tymczasem, już prowadzona przez pilota, śmiało płynęła po kanale. Toteż Sally nieco zawiedziona zauważyła - Drugiego brzegu wciąż jeszcze nie widać. Fala wysoka niemal jak na oceanie!

- Nic dziwnego, drugi brzeg leży o kilkadziesiąt kilometrów, a w dodatku płyniemy teraz na fali przyływowej - wyjaśnił Nowicki. - W tej chwili Amazonka i ocean wodzą się za łby!

- Nie rozumiem...?

- Potężna Amazonka wdziera się na setki kilometrów w Ocean Atlantycki, lecz podczas przyływu Atlantyk z powrotem wpycha olbrzymie masy wody w koryto rzeki. Dzięki temu na Oceanie Atlantyckim płynie się po wodach Amazonki, a na Amazonce po wodach oceanu. W czasie przyływu wysokie fale oceaniczne płyną pod prąd rzeki, zalewają i niszczą wszystko, co napotkają po drodze. Fale przyływowe sięgają na Amazonce aż siedemset pięćdziesiąt kilometrów w górę rzeki, czyli do miasta Obidos, które leży prawie w połowie drogi do Manaus.

- Czy to jest naprawdę możliwe? - nie dowierzała Sally.

- Tylko zerknij do podręcznika geografii, a zaraz przestanieś wątpić w słowa kapitana - wesoło wtrącił Tomek. - W Canal do Para pororoca, jak na Amazonce nazywa się falę przyływową, dochodzi do trzech metrów wysokości.

- Dobrze mówisz, brachu, w Canal do Norte i w Canal do Sul fale przyływowe są nawet znacznie wyższe i gwałtowniejsze. Dlatego też główna żegluga odbywa się po Canal do Para - dodał Nowicki.

- Moi drodzy, powiedzcie mi jeszcze, czy dzisiaj dopłyniemy do portu w Belem?

- Belem leży sto czterdzieści cztery kilometry w głębi delty, będziemy tam jutro o świcie - wyjaśnił Nowicki.

Jeszcze na kilka godzin przed zapadnięciem wieczoru coraz więcej małych wysp porośniętych dzunglą zaczęło pojawiać się na rzece. W gąszczu tropikalnej zieleni często było widać domki o spadzistych dachach, zbudowane na wysokich palach. Coraz też częściej w pobliżu statku przepływały prymitywne łodzie krajowców.

Sally i Tomek z zainteresowaniem przyglądali się panoramie Amazonki. Nawet nie

chcieli zejść do jadalni na obiad. Na szczęście dla zgłodniałego Nowickiego nadciągnął ulewny deszcz, który spędził wszystkich z pokładu. Była to już przecież brazylijska zima, w czasie której gwałtowne ulewy nadciągały regularnie prawie każdego popołudnia.

Następnego ranka "Gwiazda Południa" wpłynęła do zatoki, a wkrótce też przybiła do kamiennego molo w porcie Belem do Para, zwanym Bramą Amazonki.

NA AMAZONCE

Po opuszczeniu statku w Belem troje przyjaciół wynajęło pokoje w hotelu w nowoczesnej części miasta. Kapitan Nowicki zaraz powrócił do portu, aby zasięgnąć informacji o statkach odpływających w górę Amazonki, a Tomek z Sally wyszli przyjrzeć się miastu.

Belem, obok Manaus i Iquitos, należało do najważniejszych miast nad Amazonką, które swój błyskotliwy rozwój zawdzięczały kauczukowi. Do portu codziennie zawijały statki z ładunkiem kauczuku zbieranego w głębi błotnistych dżungli i stąd dopiero to "czarne złoto Brazylii" płynęło dalej w świat. Na ulicach panował ożywiony ruch. W najnowszej dzielnicy miasta mieściły się biura wielu przedsiębiorstw kauczukowych i banki. Miasto było naturalną "bramą Amazonki". Ktokolwiek zamierzał udać się w głąb kontynentu, musiał rozpocząć swą podróż w porcie Belem, gdyż w tej części Brazylii jedynym gościńcem była wszechwładna rzeka.

Tuż obok europejskiej dzielnicy lśniącej czystością i bogactwem, rozpościerało się stare miasto o krętych uliczkach i zaułkach, pełne brudu i nędzy. Tomek i Sally rozpoczęli zwiedzanie miasta od nadbrzeża rzeki, gdzie leżała najbardziej reprezentacyjna dzielnica. W niej właśnie znajdowały się domy handlowe, przedsiębiorstwa, urzędy, luksusowe hotele, restauracje, kawiarnie i wspaniałe sklepy, wabiące oko wystawami wypełnionymi najrozmaitszymi przedmiotami.

Ta część miasta mniej zaciekała Tomka i Sally. Toteż zaledwie przyjrżeli się szerokim, czystym bulwarom, skwerom i placom, natychmiast weszli w boczną ulicę wiodącą ku starymu miastu, zbudowanemu jeszcze w czasie kolonialnego podboju. Tutaj dominowały masywne, białe pałace, ponure świątynie przypominające twierdze obronne, gdyż tak portugalscy, jak i hiszpańscy konkwistadorzy mieczem i krzyżem starali się ujarzmić południowoamerykańskich Indian.

Tomek i Sally z zainteresowaniem spoglądali na stare budowle, których ponure mury przypominały historię krwawego podboju i beznadziejnej obrony. Obejrżeli zabytkową katedrę z XVIII wieku, po czym udali się do sławnego portu rybackiego Ver-o-Peso, przesiąkniętego charakterystycznym zapachem ryb. Był akurat dzień targowy. Przy brzegu rzeki czernił się las masztów rozmaitych stateczków, barek oraz indiańskich łodzi, na których przyływano do Belem na targi nawet z dość odległych zakątków Amazonii.

Targowisko przedstawiało niezapomniany widok. Na tle murowanych, niezbyt wysokich domów, zdobionych frontonami bądź wieżyczkami nakrytymi spiczastymi dachami, roił się różnokolorowy tłum. Jasnobrunatni Indianie, Metysi, Murzyni o odcieniach skóry od popielatej do czarnej jak heban, Mulaci, Japończycy, Chińczycy i biali przybywali na targ nie tylko, by coś sprzedać lub kupić, lecz także dla wspólnej wymiany nowinek i plotek. W amazońskiej głuszy osady, a czasem tylko pojedyncze domostwa były oddalone od siebie o setki kilometrów niedostępnych puszczy. Toteż na targowisku nikt się nie spieszył ani nie niecierpliwił, każdy chętnie wdawał się w pogawędkę.

Młode małżeństwo spędziło sporo czasu na Ver-o-Peso. Sally kupiła kilka drobiazgów

dla przyjaciół w Manaos, a potem myszkowali po placu, ciekawie obserwując barwny tłum. Niektórzy sprzedawcy rozłożyli stragany, inni natomiast kładli swój towar wprost na kamiennym nabrzeżu. Można tam było nabyć ryż, bulwy maniokowe lub tartą z nich gruboziarnistą mękę zwaną "farinha", castanha do Para, czyli sławne orzechy brazylijskie, kakao, kokosy, banany, ananasy, ryby od najmniejszych do olbrzymów, a obok wielu produktów spożywczych także cenne skóry krokodyli, węży i jaguarów, przedziwne wyroby ze skrzydeł przepięknych motyli, naszyjniki z suszonych nasion, koronki z włókien palmowych oraz wiele, wiele różnych okazów indiańskiego rękodziela. Nie brakło również zbiorów motyli, pęków zasuszonych kolibrów, nawet żywych papug, umiejących wymawiać pewne słowa portugalskie i hiszpańskie, małpek, a czasem trafiła się żywa anakonda i jaguar.

Na zwiedzaniu miasta minęło prawie całe przedpołudnie. Tomek miał jeszcze ogromną ochotę dokładniej zwiedzić stare Belem, zamieszkane głównie przez Metysów i Mulatów, gdzie kręte, wąskie uliczki kończyły się już na moczarowatych przedpolach tropikalnego lasu, lecz Sally przypomniała mu o Dingu pozostawionym w hotelu.

Nowicki już powrócił z portu i czekał na nich w pokoju popijając swoją ulubioną jamajkę. Dingo uradowany machnął ogonem, a kapitan zagadnął- Co tam nakupiłaś, sikorko?!

- To upominki dla pana Smugi, Nataszy i Zbyszka - wyjaśniła Sally.

- Chciałam kupić dla pana gadającą papugę, ale Tommy powiedział, że teraz byłaby zbyt kłopotliwym upominkiem.

- Gadającą papugę, mówisz? - rzekł Nowicki. - A wiesz, że nawet chciałbym mieć takiego zmyślnego ptaka!

- Właśnie o to gadanie najwięcej mi chodziło - wtrącił Tomek.

- Wprawdzie potrafiła wymawiać: bom dia, compadre, czyli dzień dobry, kumie, ale były to jedyne przyzwoite słowa poza portugalskimi klątwami.

- Hm, faktycznie sprawiałaby kłopot w przyzwoitym towarzystwie - przyznał Nowicki.

- Ofiaruję panu taki upominek przed wyjazdem z Ameryki - obiecała Sally, po czym zapytała: - Czego dowiedział się pan w porcie?

- Spotkałem kumpla z braci marynarskiej. Kiedyś pływaliśmy razem na jednym starym pudle - odparł kapitan. - Równy chłop, tylko chrapie niemilosiernie!

- Drogi panie kapitanie, czy dowiedział się pan także czegoś o statkach odpływających w górę rzeki? - niecierpliwie wtrąciła Sally.

- Ostatnio jesteś w gorącej wodzie kapana - skarcił ją Nowicki.

- Właśnie chciałem wyjaśnić, że ten kumpel obecnie jest kapitanem na statku kursującym po Amazonce. Jego "Santa Maria" odpływa o świcie do Manaos.

- A to wspaniała nowina! - zawołała Sally, po czym uściskała marynarza.

- Naprawdę doskonała wiadomość - ucieszył się Tomek. - Kiedy przenosimy się na statek?

- Zaraz po deszczu - wyjaśnił Nowicki.

- Przecież nie pada! - zaproponowała Sally.

- Nie martw się, deszcz pewny. W zimie zawsze tu leje po południu. Teraz mamy czas na obiad i drzemkę. Przed zmierzchem zaokrętujemy się na "Santa Marię".

Tuż przed zachodem słońca znaleźli się w porcie. "Santa Maria" była małym dwukominowym parowcem o dużym kole łopatkowym umieszczonym z tyłu. Kilkunastu Mulatów właśnie kończyło załadunek wielkich szczap drewna, którymi podgrzewano kotły na statku.

- Więc to jest "Santa Maria"! - szepnęła Sally.

- Nie martw się, sikorko! - pocieszył ją Nowicki - Dla nas znajdzie się jakaś kabina.

Weszli po pomoście na dolny pokład zatłoczony ludźmi, workami, koszami, byłem i drobiem. Sally zacisnęła dłoń na obroży głucho warczącego Dinga i z żalem pomyślała o przestronnej, wygodnej "Gwieździe Południa", którą stąd doskonale było widać, lecz w tej właśnie chwili z drugiego pokładu zbiegł po schodkach mężczyzna średniego wzrostu, o szerokich barach i z głęboką blizną na lewym policzku. Szerokim ruchem ramion rozgarnął ciżbę ludzką i stanął przed trójką przyjaciół.

- To jest Fred Slim, kapitan tego starego pudła - oznajmił Nowicki, a potem dodał: - Oto Tomasz Wilmowski z żoną, moi przyjaciele, i nasze psisko, Dingo! Czy przygotowałeś dla nas kabinę?

- Ay, ay, kapitanie! - po angielsku odpowiedział Slim unosząc dłoń do daszka czapki zsuniętej z czoła, po czym podał Tomkowi sękatę łapsko, ukłonił się Sally i rzekł: - Wyrzuciłem jedno towarzystwo z kabiny pierwszej klasy, którą przeznaczyłem dla pana Wilmowskiego i jego pięknej żony. Ty, kapitanie, rozgość się w moim apartamencie jak we własnym domu. Widzisz, jak tu wszędzie tłoczno.

- Dobrze, tylko na noc wynoś się na mostek, bo wiesz, że chrapanie denerwuje mnie - powiedział Nowicki. - Każ wnieść nasze manatki, stoją na molo na wózku!

- Hej, Ramon! - krzyknął kapitan Slim w kierunku barczystego Mulata, dopilnowującego załadunku drzewa. - Zajmij się bagażami państwa! A teraz proszę za mną!

Kapitan Slim najpierw zaprowadził gości do kabiny przeznaczonej dla młodego małżeństwa, pomógł w ułożeniu bagaży, a potem wspólnie przeszli do kabiny kapitańskiej, szumnie zwanej przez niego apartamentem. Było to też najobszerniejsze i najschludniejsze pomieszczenie na statku.

Na stole nakrytym do kolacji na cztery osoby stała bateria butelek oryginalnej jamajki. Na ich widok kapitan Nowicki rozpogodził się i rzekł- Ha, widzę, że nie zapomniałeś o delikatesie, za którym przepadam! Kapitan Slim odruchowo dotknął dłonią szerokiej

blizny na policzku i odparł- Jak mógłbym zapomnieć! Dzięki tobie skończyło się tylko na tym.

- To musiała być okropna przygoda?! - zawołała Sally.

- Jaka tam okropna przygoda! Zwykła bójka! - zaproponował Nowicki. - Skoro poczęstunek gotowy, to nie traćmy czasu i siadajmy do stołu.

- Kiedy odpływamy z Belem? - zapytał Tomek z niepokojem spoglądając na rząd butelek.

- Moglibyśmy wyruszyć na noc, zaraz po załadunku drzewa, ale pilot spił się do nieprzytomności. Odpłyniemy o świcie...

- Zaraz po kolacji zajmę się twoim pilotem - wtrącił Nowicki. - Zanurzę mu łepetynę w kuble wody z Amazonki, to wytrzeźwieje.

Sally przerażona spoglądała na kapitana Slima, Nowickiego i Tomka, którzy trzymając pilota za nogi, zanurzali jego głowę w wiadrze mętnej wody. Nieszczęsny pilot sapał, wypluwał brudnożółtawe strumienie na pokład, rozpaczliwie machał rękami, które trzeszczały w stawach i chrobotowały niczym skrzydła starego wiatraka. Sally nie mogła dłużej na to patrzeć, więc podbiegła do nich i wyrzuciła wiadro za burtę. Wtedy rozgniewani mężczyźni z rozmachem wyrzucili pilota w ślad za wiadrem. Sally wspięła się na poręcz, aby skoczyć tonącemu na ratunek i... przebudziła się z koszmarne snu. Odetchnęła z ulgą, a następnie parsknęła śmiechem ujrzawszy Dinga, który zaniepokojony badawczo spoglądał na nią. "Santa Maria" płynęła trzeszcząc w wiązaniach, a wielkie koło wprawiające ją w ruch miarowymi obrotami chrobotowało głośno. A więc już znajdowali się w drodze do Manaus, a ona po prostu przespała wypłynięcie z portu.

Sally rozejrzała się wokoło. Tomka nie było w kabinie, zapewne z pokładu przyglądał się okolicy. Na stole, pod zawieszoną nad nim lampą naftową, leżały dziesiątki różnych owadów z opalonymi skrzydłami. Teraz właśnie Sally przypomniała sobie, że poprzedniego wieczora długo nie mogła zasnąć, gdyż roje owadów nadlatywały do światła lampy, brzęczały w moskitierze osłaniającej koję, a potem hałasowały na stole.

"To przez te owady zasnęłam, a Tommy nie obudził mnie..." - szepnęła. Rażno wyskoczyła z kabiny. Wśród pasażerów pierwszej klasy, która mieściła się na drugim pokładzie, nie spostrzegła swych towarzyszy. Trochę nadąsana przystanęła przy balustradzie.

"Santa Maria" zapewne płynęła już od kilku godzin, gdyż obecnie znajdowała się w malowniczym, wąskim kanale po zachodniej stronie wyspy Marajo, który łączył południowe ramię ujścia z właściwą Amazonką. Statek płynął wolno, trzeszczał, chrząścił kołem, sapał i wraz ze smugami żółtoczarnego dymu sypał wielkimi iskrami z dwóch cienkich, wysokich kominów. Płaski dach unoszący się nad drugim pokładem osłaniał pasażerów przed deszczem iskier, Sally więc oparła się rękami o balustradę i głęboko wdychała korzenny aromat płynący z lasów na pobliskich brzegach. Od czasu do czasu

wśród zielonej gęstwiny zabieliła się indiańska chata bez ścian, zbudowana na wysokich palach i osłonięta dużym dachem z liści palmowych, czasem też obok domków krajowców widać było wille białych ludzi, okolone drzewami pomarańczowymi i bananowcami.

Naraz ktoś przystanął za Sally. Pomyślała, że to Tomek lub kapitan Nowicki i zaczęła udawać, że nikogo nie dostrzega. Śniade dłonie pojawiły się na balustradzie tuż przy łokciach Sally. Teraz spostrzegła swą pomyłkę. Odwróciła się i ujrzała obcego mężczyznę. Był to wysoki, barczysty Metys, starannie ubrany w popielaty garnitur i melonik. W jego czerwonym krawacie tkwiła szpilka z dużym brylantem.

Metys miał pewny siebie uśmiech na twarzy. Zagadnął po portugalsku. Sally nie rozumiała ani słowa. Chciała odsunąć jego ramię, aby odejść, lecz mężczyzna ani drgnął.

- Proszę mnie przepuścić! - po angielsku odezwała się Sally.

- Czy nie znasz portugalskiego? - po angielsku zagadnął Metys. - Pytam, dokąd się udajesz ślicznotko! Pewno do Manaus...? Może artystka? Jeśli tak, mogę zaangażować cię do mego lokalu. Jestem właścicielem "Tesouro". Bądź dla mnie grzeczna, opłaci się...

- Proszę mnie przepuścić! - ostrzej powiedziała Sally. Metys roześmiał się tylko.

- Nie szukam pracy i nie mam ochoty z panem rozmawiać - dodała Sally.

Metys pochylił się nad nią, lecz w tej chwili mocne szarpnięcie za ramię oderwało go od balustrady. Teraz ujrzał przed sobą nieco niższego młodego mężczyznę. Był to Tomasz Wilmowski.

- Gdy kobieta mówi, że nie ma ochoty na rozmowę, należy pozostawić ją w spokoju - odezwał się Tomek mierząc Metysa surowym spojrzeniem.

- Szukasz guza? - buńczucznie zapytał Metys. Tomek opanował się i odparł- Nie wszczynaj awantury, bo wkrótce możesz tego pożałować!

Metys zniechęca zamierzył się pięścią na Tomka. Potem wydarzenia potoczyły się tak błyskawicznie, że nawet Sally dopiero wtedy pojęła, co się stało, gdy Metys runął na pokład.

- Czy masz już dość zaczepek? - spokojnie zapytał Tomek. Kapitan Nowicki stał na uboczu i rozbawiony obserwował krótką walkę. Sam przecież wyuczył swego druha niezawodnych uderzeń obezwładniających nawet najtęższych przeciwników i pewien był wyniku starcia. Nagle ujrzał Indianina z nożem w dłoni podkradającego się za plecami Tomka. Nowicki dopadł go w jednej chwili, chwycił z tyłu za pasek od spodni i kark, po czym uniósł go w górę. Indianin zakreślił łuk w powietrzu i głucho uderzył o ścianę nadbudówki, po czym bezwładnie osunął się na pokład.

Inni pasażerowie z zainteresowaniem przyglądali się bójce. Wkrótce również nadszedł kapitan Slim. Metys klnąc pod nosem podnosił się z pokładu. Ujrzał kapitana statku.

- Zamknij ich! - zawołał rozszłoszczony porażką. - Napadli mnie!

- Jeszcze jedno słowo, a wyrzucę cię za burtę! - ostrzegł Nowicki. Metys chciał coś

powiedzieć, ale kapitan Slim uprzedził go- Pomyśl dobrze, zanim się odezwiesz. O ile znam mego kumpla, to na pewno dotrzyma słowa. Najlepiej idź do kabiny razem ze swoim służącym i obydwaj siedźcie cicho.

Metys klnąc pod nosem dźwignął się z pokładu. Chwiejnym krokiem oddalił się, a za nim umknął Indianin. Przyjaciele stanęli przy burcie.

- Nieźle sobie ^poradziłeś - Nowicki pochwalił Tomka, a zwracając się do Sally, zapytał:
- Czego ten miejscowy elegant chciał od ciebie?

- Myślał, że jestem artystką i proponował mi pracę w swoim lokalu w Manaus.

- Wygląda na faceta z gotówką - rzekł Nowicki rozbawiony.

- Czy wiecie, z kim zadarliście? - odezwał się kapitan Slim. - Ten Metys posiada poważne udziały w jednym przedsiębiorstwie kauczukowym. To Pedro Alvarez, dobrze znany w Manaus i w Para, a także i w Iquitos.

- Czekaj, czekaj, jak on się nazywa? - zapytał Nowicki zaintrygowany.

- Pedro Alvarez - powtórzył kapitan Slim.

- Do stu zdechłych wielorybów... - zawołał zdumiony Nowicki, ale w tej chwili Tomek znacząco mrugnął do niego, więc dyplomatycznie zakończył: - Faktycznie słyszałem gdzieś to nazwisko! Ale pał go czort, dostał po łapach.

Gdy kapitan Slim powrócił na swoje stanowisko na mostku, Sally odezwała się- Cóż za dziwny zbieg okoliczności? Już popadliśmy w zatarg z Pedrem Alvarezem, o którym Zbyszek pisał tyle złego!

- To jego właśnie podejrzewał pan Smuga o nasłanie zbirów na obóz Nixona. Chcąc mu to udowodnić, wyruszył w pościg za mordercami ./ - dodał Tomek.

- Gdybym wcześniej wiedział, kim on jest, sam bym mu co nieco . dołożył - zżymał się Nowicki. - Ze zdumienia o mały włos byłbym się wygadał.

- Ostrożność nigdy nie zawadzi, chociaż nie wydaje mi się, żeby kapitan Slim sprzyjał Alvarezowi - powiedział Tomek.

- Jestem tego pewny - potwierdził Nowicki. - Wprawdzie Slim okropnie chrapie, ale mimo to można mu ufać.

Od tego dnia Sally wychodząc na pokład zawsze zabierała Dinga, a Tomek z Nowickim także mieli się na baczności. Na szczęście Alvarez nie opuszczał swej kabiny. Może wstydził się porażki?

"Santa Maria" tymczasem z uporem płynęła w górę rzeki. Minęła leżące na pagórku Monte Alegro, a potem Santarem przy ujściu rzeki Tapajoz do Amazonki i zbliżała się do miasteczka Obidos. W miejscach pozbawionych wysp Amazonka oszałamiała swym ogromem. Drugi brzeg zarysowywał się ledwo widocznym pasemkiem, a czasem w ogóle zniknął na horyzoncie.

Po kilku dniach żegluga panorama Amazonki stawała się trochę monotonna. Obydwa brzegi były niskie i płaskie. Rzeka szeroko zalewała nadbrzeżny las tropikalny. Drzewa teraz wprost wyrastały z rzecznej toni, wychylały nad nią swe konary. Sprawiało to wrażenie, że zachłanna dżungla zamierza w bród przejść Amazonkę.

Dni na rzece były bardzo podobne do siebie. O świcie i przed zmierzchem aromatyczny las rozbrzmiewał krzykiem niezliczonego ptactwa. Na konarach drzew mały uprawiały gonitwy, a ponad rzeką przelatywały stadka kolorowych papug. Domki białych ludzi dawno już zniknęły z wybrzeża, a palmowe chatki krajowców również rzadko urozmaicały krajobraz.

Pogoda była niemal tak jednostajna jak panorama Amazonki. Ranki bywały pogodne i ciepłe. Dżungla błyszczała rosą, która szybko nikała, gdy słońce zaczynało przygrzewać. Liście i kwiaty rozwijały się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wspaniałe orchidee ostro odcinały się od soczystej zieleni. Ale gdy słońce osiągnęło zenit, liście i kwiaty więdły pod wpływem żaru, ptactwo milkło, życie w dżungli zamierało. Tylko wszędobylskie świerszcze od czasu do czasu pokrzykiwały na drzewach. Stawało się coraz goręcej, parniej. Wtedy na wschodnim horyzoncie wykwitwały białe obłoczki, które wkrótce rozrastały się, ciemniały, aż w końcu zasnuwały całe niebo czarną, nieprzeniknioną zasłoną. Wiatr nadlatywał i mącił toń rzeki. Potoki deszczu spadały na ziemię, oślepiające błyskawice rozdzierały ponure niebo, grzmoty przetaczały się z głuchym pomrukiem, były pioruny. Potem burza milkła nieoczekiwanie i błękitne niebo znów jaśniało nad Amazonką, aż do zachodu słońca. Noce przeważnie bywały pogodne i chłodne, czasem tylko trochę popadało, lecz o świcie zawsze ukazywało się bezchmurne niebo.

W Amazonii, leżącej w strefie przyrównikowej, nie było zmiennych czterech pór roku, podczas których temperatura powietrza ulegałaby wahaniom. Po prostu było tam stale ciepło, a tylko w nocy występowały chłody. Tomek, jako doskonały geograf, poinformował przyjaciół, że w Amazonii istniały większe różnice temperatury między dniem i nocą niż między latem i zimą. Tak też było naprawdę. Pora sucha, czyli lato, oraz pora deszczowa występująca zamiast zimy, różniły się tylko częstotliwością opadów deszczu.

W porze suchej deszcze padały co drugi lub trzeci dzień, natomiast w porze deszczowej, kiedy słońce znajdowało się w zenicie, występowały codziennie [\[66\]](#).

O ile panorama brzegów rzeki, układ pogody i charakter pór roku sprawiały wrażenie pewnej monotonii, o tyle sama Amazonka wciąż zaskakiwała niespodziankami i zmuszała żeglarzy do stałej czujności. W czasie pory deszczowej rzeka występowała *t* brzegów i zalewała dżunglę na przestrzeni dziesiątek kilometrów. Jedne wyspy znikły, inne wyłaniały się niespodziewanie, a czasem spływały w dół razem z rzeką. Wyrastały wędrujące ławice, powstawały wielkie wiry i wykroty bardzo niebezpieczne dla statków. Brudnożółte, spienione fale niosły olbrzymie drzewa wyrwane z korzeniami, zwały podmytego brzegu razem z roślinnością. To znów pnie drzew tworzyły groźne zatory, a podobne do wysp kępy wodorostów, gałęzi i trzcin zdradliwie ocierały się o boki statku.

W nurtach Amazonki czaiły się ławice krwiożerczych piranii, czyhały malutkie jak palec rybki canero, które wślizgiwały się w otwory ciała ludzi i zwierząt, w piasku i mule

rzecznym drzemały jadowite, kolczaste raje[67], drętwy elektryczne porażały prądem, płały się żarłoczne krokodyle.

Amazonka groziła człowiekowi licznymi niebezpieczeństwami, lecz zarazem także ułatwiała mu życie. Wraz ze swymi dopływami tworzyła dostępne dla żeglugi gościńce[68], dostarczała pożywienia. W wodach Amazonki, oprócz wielu groźnych stworów, żyło około dwóch tysięcy gatunków ryb oraz różne gatunki żółwi, manaty z rzędu syren[69], delfiny słodkowodne i wiele, wiele innych stworzeń. Wody Amazonki przynosiły żyzny muł, szeroko rozprzestrzeniany podczas przyborów, lecz stale zalewane tereny były mało przydatne człowiekowi.

SPOTKANIE Z PRZYJACIÓŁMI

Ze względu na małe zanurzenie "Santa Marii", na otwartych wodach Amazonki pilot prowadził ją bliżej brzegu, gdzie nurt zazwyczaj był spokojniejszy. Tomek z Sally i kapitanem Nowickim spędzali wiele czasu na ocienionym pokładzie, przypatrując się okolicy, a Dingo strzygł uszami obserwując fruujące ptaki.

Gdzie brzegi były niskie i płaskie, tam wezbrana woda głęboko wdzierała się w ląd, tworząc niezliczone zalewy, kanały i jeziora. Na brzegach corocznie zalewanych przez rzekę rosły dość rzadkie, niskie lasy, ponad którymi wystrzelały w górę wysokie palmy. W lasach tych, zwanych igapo, rosły drzewa kauczukowe.

Na wyższych brzegach, nawiedzanych tylko przez niewielkie powodzie, rósł las zwany vargem, charakteryzujący się licznymi gatunkami palm. Ziemię stałą, czyli terra firmę, stanowiły obszary nigdy nie zalewane przez rzekę. Tam palmy rosły rzadko, natomiast drzewa dwuliścienne osiągały ogromne rozmiary. Rozmaite pnącza i porośla oplatały leśne olbrzymy, u których stóp bujnie krzewiło się bogate runo. W lasach tych przeważały drzewa z rodziny mirtowatych, wawrzynowate i figowce. U brzegów Amazonki i jej dopływów wszędzie rozpościerała swe ogromne, talerzowa te liście oryginalna wiktoria królewska[70].

Trudna do przebycia lesista, moczarowata nizina była prawie całkowicie wyludniona. Mieszkańcy i nieliczni biali ludzie skupiali się w małych nadbrzeżnych osadach, a w nadamazońskiej dżungli jedynie od czasu do czasu spotykało się rodziny już wymierających Indian. "Santa Maria" dość często przybijała do brzegu w celu uzupełnienia zapasu drewna opałowego lub wysadzenia pasażerów na ląd. Wtedy na pokład przychodzili Indianie pojedynczo lub grupkami, proponując żółwie jaja, ryby, fasolę lub ryż w zamian za sól, siekierę czy nóż. Tomek próbował nawiązywać z nimi pogawędkę, lecz półnaczy krajowcy spoglądali na niego nieufnie, jakby z jakąś obojętną wyższością. Po otrzymaniu zapłaty natychmiast wycofywali się na brzeg. Również spotykani na rzece samotni indiańscy rybacy w małych czółnach nie zwracali uwagi na "Santa Marię". Widać było, że unikali spotkań z białymi ludźmi i odgradzali się od nich murem obojętności i milczenia.

Tomek przebywając często na pokładzie zwrócił uwagę na pilota "Santa Marii". Był to Indianin z plemienia Tikuna znad górnej Amazonki. Całymi godzinami wystawał za kołem sterowym nie odzywając się do nikogo. Na rozkazy kapitana Slima odpowiadał skinieniem głowy i zadumany wzrokiem wciąż spoglądał na brudnożółte wody Amazonki. Dzięki jego doskonałej znajomości rzeki "Santa Maria" mogła płynąć nawet nocami, gdy woda oraz obydwa brzegi niknęły w szarej, ciężkiej mgle. Tomek kilkakrotnie zaczynał z nim rozmowę, ale Indianin, choć odpowiadał uprzejmie, zbywał go półsłówkami. Toteż pewnego wieczora, kiedy kapitan Slim i Nowicki popijali jamajkę w kabinie, Tomek zagadnął- Widzę, że darzy pan swego pilota całkowitym zaufaniem. Czy jednak nie obawia się pan, że Indianin może zasnąć stojąc tyle godzin przy sterze?

- Najwyżej trochę podzemie - odparł Slim.

Tomek spojrzał na niego zdumiony, a kapitan roześmiał się i dodał- Niech pan nie

patrzy na mnie jak na wariata. Jack zna Amazonkę lepiej niż ja "Santa Marię". Od dziecka pływa po niej, a poza tym jest Indianinem. Można polegać na nim.

- Takiś pewny tego czerwonoskórego? - nie dowierzał Nowicki.

- Przecież nie chodził do szkoły morskiej.

- Na co mu tam szkoła?! - oburzył się Slim. - Tutejsze rzeki zna jak dziury w kieszeniach swych portek, a słuchem i wzrokiem żaden z nas mu nie dorówna.

- Sam zauważyłem podczas naszych wypraw łowieckich, że pierwotni mieszkańcy dzikich krajów posiadają lepiej rozwinięte zmysły niż my - wtrącił Nowicki. - Ale nie uwierzę, że można być dobrym marynarzem bez szkoły.

- Ba, sam tak kiedyś myślałem! - odparł kapitan Slim. - Najpierw stale kontrolowałem Jacka, potem jednak dałem spokój. Stoję z nim przy kole; wieczór cichy, pogodny, księżyc jak morska latarnia oświetla Amazonkę. A tu naraz mój pilot mówi: "Trzeba płynąć bliżej brzegu, woda wzbiera". Pytam: "Skąd wiesz?", a on: "Posłuchaj, w górze szumi wysoka fala". W dwie godziny później na rzece rozpętało się prawdziwe piekło. To mi słuch, co? A wzrok ma jak kot. W nocy wypatrzy kłody w wodzie, wiry. Czasem nawet myślę, że to instynkt go ostrzega.

- Ale jeśli się zdrzemnie? - indagował Tomek.

- To przebudzi się w samą porę. Jeśli tylko nie pije wódki podczas służby, można na nim polegać - zapewnił kapitan Slim, nalewając rumu do szklanek.

Na rozmowach i obserwacjach kilka dni minęło bez niezwykłych wydarzeń. Ósmego dnia, wkrótce po wschodzie słońca, w brudnożółtych wodach Amazonki zaczął zarysowywać się nurt czarnej, przezroczystej wody. Był to znak, że "Santa Maria" zbliżała się do Manaos, leżącego w pobliżu miejsca, gdzie Amazonka łączy swe wody z Rio Negro, czyli Czarną Rzeką.

Na dolnym pokładzie wśród pasażerów trzeciej klasy rozbrzmiewał różnojęzyczny gwar. Kapitan Nowicki, który zawsze wstawał bardzo wcześnie, zapukał do kabiny przyjaciół, a potem otworzył drzwi i zawołał- Wstawajcie, śpiochy...! Ho, ho, to już wstałeś, brachu?

- A jakże, pakuję nasze rzeczy - odparł Tomek. - Niebawem zawijamy do Manaos.

- Ja też już nie śpię - zawtórowała Sally siadając na łóżku. - Gdy wczoraj usłyszałam przy kolacji, że zbliżamy się do Manaos, w nocy budziłam się co chwila i nasłuchiwałam.

- Nie dziwię się, sikorko, bo i mnie pożera niecierpliwość, co też za nowiny usłyszymy - odparł Nowicki, głaszcząc Dinga po głowie.

- Jak bym się cieszyła, gdybyśmy pana Smugę już zastali w domu.

- Faktycznie byłaby to wspaniała nowina. Słuchaj, brachu, dokąd smarujemy po wylądowaniu? Do domu czy do biura? Bagaże możemy chwilowo pozostawić na statku, "Santa Maria" postoi w Manaos kilka dni.

- Przygotowałem obydwa adresy - powiedział Tomek.

- Ja myślę, że najpierw powinniśmy pójść do domu Karskich - zaproponowała Sally. - Jeśli mielibyśmy usłyszeć złe nowiny, to wolę, aby przekazali je nam przyjaciele.

- Racja, święta racja - przyznał kapitan Nowicki.

- Zgoda, tak właśnie uczynimy - powtórzył Tomek.

Trójka przyjaciół kończyła śniadanie, gdy "Santa Maria" wpłynęła na Rio Negro. Szeroki gościniec czarnej, przezroczystej wody wiódł wprost do pobliskiego, doskonałego portu rzeczno-jeziornego, którego ruchome nabrzeże mogło dostosowywać się do poziomu wody, ulegającego tam znacznym wahaniom. Kapitan Nowicki i Tomek z dumą poinformowali Sally, że budowniczym tego nowoczesnego portu był Polak, inżynier Rymkiewicz.

W porcie panował ożywiony ruch. Obok dwóch dużych parowców transatlantyckich widać było kilkanaście statków rzecznych oraz mnóstwo rozmaitych barek i łodzi. W małych, błotnistych zatokach wokół portu stały przy brzegu szeregi drewnianych chat, zbudowanych na tratwach. Po naturalnym kanale między chatkami krążyły małe łodzie, które były tam jedynymi środkami komunikacyjnymi.

Miasto łagodnie wspinało się na niewielkie wzgórze. Ponad czerwonymi dachami parterowych domków bieliły się kościelne wieże oraz wspaniałe pióropusze palm. Wyżej na wzgórzu widniały frontony i kopuły ogromnych budowli. Ciemnozielony pas przyrównikowej dżungli szerokim półkolem otaczał całe miasto, które jedynie poprzez rzekę mogło utrzymywać łączność z resztą olbrzymiego kraju.

- A więc jesteśmy w Manaos! - rzekł kapitan Nowicki.

- Nie widzę Zbyszka ani Natki - z żalem zawołała Sally.

- Po pierwsze nie wiedzą, że dzisiaj przyjeżdżamy, a po drugie, któż mógłby ich wypatrzeć w tej ciżbie? - pocieszył ją Nowicki.

Na kamiennym moło wrzało jak w ulu. Mulaci, Metysi i Indianie przenosili na statki szczapy drewna opałowego, których wielkie stosy leżały na nabrzeżu. Inni zaś wyładowywali z barek lub też załadowywali na statki mające odpłynąć w dół rzeki duże, czarne kule kauczuku, worki fasoli, skrzynie cukru, mąki, podczas gdy na łodziach indiańskich handlowało się rybami, żółwiami, jajami, zielonymi pomarańczami, bananami, papajami wyglądającymi jak melony, oswojonymi papugami i małpkami. Wśród półnagich krajowców prym wodzili modnie ubrani biali i Metysi. Na moło nie brakło również zalotnych, ciemnookich Kreolek^[71], osłaniających się przed słońcem kolorowymi parasolkami. W powietrzu krążyły wypatrując żeru czarne sępy urubu.

Trójka przyjaciół razem z Dingiem zeszła na ląd, pozostawiając swe bagaże na statku. Dorożka zawiozła ich pod adres podany przez Karskich w liście.

Drzwi otworzyła Natasza. Przez chwilę wzruszona nie mogła wymówić ani słowa, potem rozplakała się i serdecznie zaczęła witać tak oczekiwanych gości.

Natasza długo ścisnęła Sally. Kapitan Nowicki trącił Tomka w bok i szepnął- Złe wieści

usłyszymy, przywitała nas płaczem...

- Chyba tak, Natka bardzo zdenerwowana - szeptem odparł Tomek. Natasza długo witała przyjaciół, a w końcu uścisnęła wiernego Dinga i wprowadziła wszystkich do pokoju ocienionego żaluzjami.

- Gogo, Gogo! - zawołała, a gdy indiański chłopiec stanął w progu, szybko zaczęła mówić: - Biegnij do mego męża! Niech tu zaraz przyjdzie z panem Nixonem! Powiedz, że nareszcie przyjechali...

Znów wybuchnęła płaczem. Sally otoczyła ją ramieniem i zaczęła uspokajać. Nowicki nieźle znał portugalski, więc podszedł do chłopca i rzekł- Biegnij po pana Karskiego, smyku. Powiedz, że przyjechali przyjaciele.

Indianin zniknął za drzwiami. Natasza trochę uspokoiła się, więc Nowicki podszedł do niej i krótko zapytał- Czy Smuga nie żyje?

- Nie mamy od niego nawet najdrobniejszej wiadomości - odparła drżącym głosem. - Udał się w pościg za mordercami i przepadł bez wieści...

Nowicki odetchnął głęboko, po czym poweselał i zaraz nabrał humoru.

- Do stu zdechłych wielorybów! Myślałem, że dostaliście tragiczną wiadomość, bo tak żałośnie nas przywitałaś - rzekł. - Zawsze mówiłem Tomkowi, że nie należy opłakiwać przyjaciół, dopóki nie było się przy ich śmierci.

- Taką miałam na/dzieję, że mimo wszystko zastaniemy pana Smugę w domu - cicho powiedziała Sally.

- Skoro jednak nie zastaliśmy, pomyślimy o jakimś ratunku dla niego - odezwał się Tomek. - Pan Smuga posiada wielkie doświadczenie. Nie mógł zginąć jak pierwszy lepszy!

- Przepadł sześć miesięcy i dziewięć dni temu... Czy może jeszcze istnieć jakaś nadzieja? - smutno zapytała Natasza.

- I on, i my w gorszych już bywaliśmy tarapatach - odpowiedział Nowicki. - Smuga nieraz przepadał bez wieści, a potem się odnajdywał.

- Tak bardzo się cieszę, że już tu jesteście - cicho odezwała się Natasza. - Liczyłam dzień po dniu... Gdy tylko tu przyjechaliśmy, nie mogłam pozbyć się obaw o pana Smugę i ustawicznie drżałam o Zbyszka. On taki jeszcze niedoświadczony, a chce naśladować ciebie, Tomku, i pana Smugę. Ale gdzie mu się równać z wami!

- Siadaj i mów wszystko od początku - powiedział kapitan Nowicki.

- *Zanim tamci dwaj nadejdą, zorientujemy się w sytuacji, a i tobie lżej zrobi się na sercu.*

- Od pierwszego dnia wciąż się bałam - zaczęła Natasza. - Pan Smuga jest odważny aż do szaleństwa, wprost igra ze śmiercią. Tutaj dzieją się straszne rzeczy. Gorączka kauczukowa wyzwoliła w ludziach najniższe instynkty. Wszyscy jak wilki skaczą sobie do gardeł.

- Nie wierzę, żeby możliwość zdobycia bogactwa zawróciła panu Smudze w głowie - stanowczo zaproponował Tomek.

- Pan Smuga był chyba jedynym uczciwym człowiekiem, jakiego tu spotkałam - impulsywnie powiedziała Natasza. - Przeciwstawiał się gwałtowi i złu. Ale cóż mógł począć przeciwko zgrai łotrów?!

- A ten jego wspólnik, Nixon, o którym pisaliście, też jest gagatkiem?

- zapytał Nowicki.

- Nixon...? Nie, nie mogę o nim mówić źle. Martwi się zniknięciem pana Smugi, opiekuje się mną i Zbyszkciem... Ale dlaczego nie usłuchał pana Smugi? Gdyby odwołał swego bratanka z nad Putumayo, ten miły chłopak mógłby żyć.

- Na pewno dręczą go wyrzuty sumienia, ale co się stało, to się nie odstanie - sentencjonalnie rzekł Nowicki. - Opowiadaj dalej.

- Pan Smuga wkrótce wyrobił sobie tutaj wielki mir. Bali się go wszyscy nie wyłączając Pedra Alvareza, największego wroga Nixona. Bali się go, bo bronił jak błyskawica i... nigdy nie chybiał.

- A więc były i trupy! - wtrącił Nowicki.

- Podczas kilku walk w obozach kauczukowych padły ofiary. W Manaos pan Smuga tylko unieszkodliwiał napastników. To wystarczało; bali się go jak ognia. Ale przecież w każdej chwili mógł trafić na lepszego strzelca. Nie zdajecie sobie nawet sprawy, jak ten niezwykle mężczyzna imponował Zbyszkowi!

- Wcale się nie dziwię. Od pierwszego dnia, gdy poznałem pana Smugę, chciałem go naśladować - powiedział Tomek.

- I dzięki temu stałeś się niezawodnym strzelcem, a także doświadczonym, mądrym i rozważnym mężczyzną - dodał Nowicki. - Ja sam, wskoczyłbym do ukropu za Smugą!

- Ja też! Uczyniłabym wszystko, czego by ode mnie zażądał - gorąco powiedziała Natasza. - Dlatego też bałam się o nas i o niego, bo on ryzykował za nas troje. Ale ani ja, ani Zbyszek nie mogliśmy mu dorównać. Poza tym Amazonia wciąż mnie przeraża.

- W krajach tropikalnych życie nie jest łatwe, jak myślą niektórzy w Europie - zauważył Tomek.

- W wodach pełno krwiożerczych stworów, każdy skrawek ziemi roi się od różnego robactwa, a nawet w domu kładąc się spać trzeba zaglądać pod kołdrę, czy w łóżku przypadkiem nie schował się jakiś gad - mówiła Natasza. - To upiorne miasto! Dżungla wygląda zza każdego domu, a ludzie gorsi od dzikich bestii. Przeklęty kauczuk zabił w nich sumienia.

- Nie, to nie kauczuk, lecz chciwość czyni ludzi gorszymi od zwierząt - zaprzeczył Tomek.

- Tak, tak, masz rację, brachu. Ludzie gorsi od szakali - powtórzył Nowicki. - Ale chyba

nie jest aż tak źle, jak mówisz, Nataszo. Jesteś wrażliwą kobietą. Takie rzeczy jak tutaj działały się również na Alasce i w Kalifornii podczas gorączki złota, a także i gdzie indziej. Mimo to wszelkie bezprawie zawsze znajduje kres, a tacy jak Smuga pomagają w zaprowadzeniu ładu.

- Świetnie to pan powiedział, kapitanie! - z entuzjazmem zawołał Tomek. - Przy nas Natasza na pewno odzyska równowagę. Wtedy inaczej spojrzysz na wszystko.

Natasza spoglądała na przyjaciół nieco oszołomiona. Po chwili znów wybuchnęła - Zobaczę, co powiecie, gdy poznacie Pedra Alvareza. Ten człowiek nie ma sumienia ani skrupułów.

Zasmucona Sally poweselała i zawołała - Tommy zbił Alvareza na kwaśne jabłko na statku. A pan kapitan dał ostrą odprawę Indianinowi, który mu towarzyszył.

- Co ty mówisz?! - zdumiała się Natasza.

- Tak, tak, Alvarez i jego kompan dostali za swoje - wesoło mówiła Sally. - Moi chłopcy nie boją się nikogo. Zobaczysz, że teraz sprawy przybiorą inny obrót. Niech się Alvarez boi, nie my!

Szeroki uśmiech zadowolenia przewinął się po twarzach obydwóch "chłopców". Olbrzymi Nowicki chrząknął uradowany i rzekł - Jeśli stwierdzimy, że to Alvarez przyczynił się do zniknięcia Smugi, to jak amen w pacierzu skręcę mu kark.

- Zrobi to pan, kochany kapitanie, ale dopiero wtedy, gdy obydwaj z Tomkiem dojdziecie do wniosku, że już nie ma innego wyjścia - zastrzegła Sally.

- Za nos mnie wodzisz, utrapiona kobieto. Ale nie bój się, gdy nie ma z nami szanownego pana Wilmowskiego i Smugi, Tomek układa wszystkie plany, a ja daję po nosie tym, którzy mu przeszkadzają.

- Naprawdę jesteście wspaniali - odezwała się Natasza. Czuję, że przy was pozbędę się przygnębienia. Tak się cieszę z waszego przybycia!

Trójka przyjaciół zaczęła ścisnąć zapłakaną Nataszę, ale wtem drzwi otwarły się z hukiem i do przedpokoju wpadł Zbyszek Karski, a za nim wszedł Nixon. Zbyszek długo trzymał Tomka w ramionach i łzy wzruszenia szklily się w jego oczach. Tomek zapewne przypomniawszy mu dom rodzinny w dalekiej Warszawie i wszystkich tych, za którymi bardzo tęsknił.

Po dłuższej chwili Tomek odsunął kuzyna od siebie na długość ramion.

- Zmężniałeś - orzekł. - Rodzice ucieszyli się fotografią twoją i Nataszy. Przesłałem im ją przez znajomego. Przywiozłem ci od nich listy. Teraz przedstaw nas panu Nixonowi.

- A więc to pan jest panem Tomaszem Wilmowskim! - odezwał się Nixon, obrzucając młodego mężczyznę uważnym spojrzeniem. - Wiele o panu słyszałem.

Nixon przywitał Sally, a potem kapitana Nowickiego. Dziewczyna indiańska wniosła na tacy herbatę i zakąski. Gdy wszyscy usiedli, Nixon odezwał się pierwszy - Pan Karski już

powiadomił panów listownie o tym, co się tutaj stało. Wiedzą też panowie, jakie stosunki łączą mnie z panem Smugą.

- Wiemy, ale bardzo prosimy, aby pan jeszcze raz osobiście wszystko nam opowiedział - odparł Tomek. - Musimy dokładnie poznać nawet szczegóły, aby ułożyć plan działania.

Nixon przede wszystkim opowiedział o nieuczciwej walce konkurencyjnej niektórych kompanii kauczukowych, o ich gwałtach dokonywanych na Indianach. Chciał stworzyć bezpieczne warunki pracy swoim ludziom i dlatego uprosił Smugę, aby przybył do Brazylii i zorganizował zbrojną ochronę.

- Skąd pan znał pana Smugę? - zapytał Tomek.

- Poleciał mi go listownie mój znajomy, pan Wickham, który długie lata przebywał w Brazylii - wyjaśnił Nixon.

- Czyżby miał pan na myśli Anglika Henryka Wickhama? - zdumiał się Tomek.

- Tak, o niego chodzi. Kiedyś przyjaźniliśmy się, a po jego wyjeździe do Anglii korespondowaliśmy ze sobą.

Tomek badawczo spoglądał na Nixona i dopiero po chwili powiedział - Znam pana Wickhama, rozmawiałem z nim nie tak dawno.

- Czy może wspomniał coś o mnie? - zagadnął Nixon.

- Nie, nie wspominał...

- Cóż to za facet, ten Wickham? - wtrącił Nowicki, widząc pewien niepokój w oczach przyjaciela.

- Później pomówimy na ten temat, najpierw pozwólmy wypowiedzieć się panu Nixooowi.

Nixon szeroko mówił o zasługach Smugi dla przedsiębiorstwa, o wciągnięciu go do spółki. Stwierdził, że dzięki Smudze w obozach kauczukowych jego kompanii stworzono lepsze warunki pracy, zapewniono bezpieczeństwo. Przyznał też ze skruchą, że sam ściągnął Smugę z dżungli do Manaos, aby omówić plany rozbudowy przedsiębiorstwa.

1 wtedy właśnie napadnięto na obóz. Wyjaśnił, że Smuga podejrzewał konkurenta, Pedra Alvareza, o zorganizowanie tego napadu. Potem mówił o rozmowie Smugi z Alvarezem w "Tesouro", o wyjeździe nad Putumayo i o wynikach śledztwa.

- Nie wierzyłem w wykrycie morderców - ciągnął Nixon. - Od napadu upłynęło sporo czasu, ale Smuga, jakimś psim węchem, wykrył zdrajcę w naszym obozie i od niego dowiedział się prawdy. Postanowił wykupić od Indian Yahua głowę mego bratanka, a potem schwytać morderców i zdemaskować Alvareza.

Dwaj biali mordercy pozostawali na usługach Vargasa, osławionego handlarza niewolników indiańskich w Peru. Odwodziłem Smugę od tego zamiaru, ale przytoczył argument, który zamknął mi usta. Pragnął wykupić z niewoli naszych Indian porwanych znad Putumayo. Wobec tego postanowiłem mu towarzyszyć. Nie zgodził się na to. Zabrał

ze sobą naszego pracownika, Wilsona, oraz kilku Indian z plemienia Cubeo.

Smuga dotarł do Vargasa i przycisnął go do muru. Wykupił naszych Indian, lecz dwaj mordercy, Cabral i Jose, w porę umknęli przed nim.

Smuga postanowił ścigać ich dalej. Nie pomogły perswazje Wilsona. Smuga kazał mu wracać z naszymi Indianami nad Putumayo. Widząc upór Smugi, Wilson i nasz zaufany Indianin Haboku chcieli iść razem z nim. Nie zgodził się, a oni usłuchali rozkazu, bo Smudze nawet ja nie potrafiłem się przeciwstawić.

Smuga wybrał kilku Indian z ludzi Vargasa i tylko z Metysem Mateem, znanym już panom zdrajcą, ruszył w pościg. Od tej pory słuch o nim zaginął.

- Czy potem wysyłał pan kogoś do Vargasa, aby zasięgnąć informacji? - zapytał Tomek.

- Zastanawiałem się, czy nie powinienem pojechać osobiście lub wysłać Wilsona. Cóż jednak mógłby tam zdziałać pojedynczy człowiek? Uważałem to za bezsensowne ryzyko, skoro taki Smuga nie dał sobie rady. Poza tym pan Zbyszek był przekonany, że tylko pan Wilmowski mógłby pokusić się o odszukanie Smugi. Dlatego czekałem na wasze przybycie i zorganizowanie większej wyprawy.

- Zbyszek miał rację - odezwał się kapitan Nowicki - szukanie śladów po upływie miesięcy jest błędzeniem po omacku. Tu trzeba mieć nosa, tak jak Smuga i nasz Tomek.

- Gdzie jest obecnie pan Wilson i ten Indianin Haboku? - zapytał Tomek.

- W obozie nad Rio Putumayo - wyjaśnił Nixon.

- Wstąpimy do nich jadąc nad Ukajali - powiedział Tomek. - Jak pan sądzi, czy Haboku zgodziłby się towarzyszyć nam, tak jak przedtem panu Smudze?

- Kto wie? To bardzo odważny człowiek i lubi Smugę.

- A co, nie mówiłem?! - zawołał Nowicki. - Tomek od razu wyniuchał przyjaciela Smugi.

- Tommy jest wspaniały! - zawtórowała Sally, a zwracając się do Nixona dodała: - Gdy miałam jedenaście lat, pewnego dnia zablądziłam w buszu w Australii. Ojciec zorganizował wielką obławę i wszyscy mnie szukali. Powrócili z kwitkiem, a Tommy jednak znalazł mnie i uratował. Miałam zwichniętą nogę i nie mogłam chodzić. Tommy przyniósł mnie do domu.

- Przepraszam, ile miał pan wtedy lat? - zapytał Nixon.

- Czternaście.

- To pan liczy teraz sobie...?

- W Boże Narodzenie skończę dwudziesty pierwszy rok.

- Przed wyjazdem do Brazylii Tomek został przyjęty na honorowego członka Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie - powiedział kapitan Nowicki, widząc oszołomienie Nixona. - Napisał pracę o Papuasach. To niezwykle chłopak,

szanowny panie. Kiedy wyruszamy, Tomku?

- Cóż, kapitanie, czy zgadza się pan poczynić przygotowania do wyprawy? Ja tymczasem obmyśliłbym marszrutę. Zgoda?

- Z góry mianowałem cię dowódcą, więc rozkazuj i kwita.

- Dziękuję. Czy wystarczą panu trzy dni na przygotowania?

- Wystarczą. Teraz pójdę ze Zbyszkiem na "Santa Marię" po bagaże. Przy okazji pogadam z kapitanem Slimem. Jestem ciekaw, dokąd teraz zamierza płynąć!

- Rozumiem, niezła myśl.

Nixon oszołomiony przysłuchiwał się rozmowie. Teraz niedowierzająco zapytał- Więc panowie naprawdę zamierzają wyruszyć już za trzy dni?

- A na co mamy czekać? - odpowiedział Nowicki. - I tak zbyt dużo cennego czasu upłynęło od zaginięcia Smugi.

- Pan Nixon i Zbyszek jeszcze nie wiedzą, że Tomek już sprawił lanie Pedrowi Alvarezowi, a pan kapitan Nowicki temu Indianinowi, który krąży za nim jak cień - powiedziała Natasza.

- Gdzie, kiedy? - zawołał Zbyszek.

- Czy to możliwe? - dziwił się Nixon.

- Stało się to na "Santa Marii" - wyjaśniła Sally. - Alvarez mnie zaczepiał i dostał tęgie lanie.

- Nie wiedzieliśmy, że to właśnie on, bo oberwałby jeszcze lepiej - dodał Nowicki.

- Widzę, że naprawdę nie lubicie tracić czasu, ale teraz miejcie się na baczności. Alvarez jest mściwy i posiada całą sforę łotrów spod ciemnej gwiazdy - ostrzegł Nixon.

- Czy pan nie sądzi, że Alvarez mógł porozumieć się z Vargasem jeszcze zanim pan Smuga przybył nad Ukajali? - zapytał Tomek.

•V Nie wiem, naprawdę nie wiem...

- A co pan myśli, kapitanie? - indagował Tomek.

- Po jakie лихо domyślać się? Pogadamy wieczorem. Teraz idę na "Santa Marię". Chodź, Zbyszku!

NOCNA WYPRAWA

Kapitan Nowicki i Zbyszek Karski powrócili z portu jeszcze przed zapadnięciem wieczoru. Zamiast wszystkich bagaży pozostawionych na "Santa Marii" Nowicki przyniósł tylko jedną walizkę.

- A gdzie są nasze rzeczy? - zdziwiła się Sally.

- Na statku, sikorko - odparł marynarz. - Przynosimy pomyślne nowiny. Siadajcie i słuchajcie!

Weszli do saloniku. Grupka przyjaciół rozsiadła się wokół Nowickiego, któremu Sally podsunęła szklaneczkę jamajki. Nowicki wypił mały łyk, po czym zapalił fajkę i rzekł- Ślini popłynie dalej aż do Iquitos. Pojutrze rozpoczyna ładowanie towaru do przewozu, a pasażerów nigdy tu nie brak. Może opóźni to nasz wyjazd o dzień lub dwa, ale za to kobiety i Zbyszek razem z ekwipunkiem wyprawy popłyną wprost do Iquitos.

- Jak to? A pan i Tommy? - zaniepokoiła się Sally.

- Znów jesteś w gorącej wodzie kąpana, ale nic dziwnego, upał tutaj niegorszy. A więc, jak powiedziałem, kobiety, Zbyszek oraz bagaże popłyną wprost do Iquitos, natomiast Tomek i ja wysiadziemy przy ujściu Putumayo do Amazonki. Stamtąd popłyniemy łodzią do obozu zbieraczy kauczuku. Po porozumieniu się z Wilsonem i Haboku, pospieszymy za wami.

Sally chciała oponować, ale Tomek dotknął jej dłoni i rzekł- Nie upieraj się, moja droga, kapitan proponuje bardzo rozsądny plan. Właściwe trudy, kłopoty i niebezpieczeństwa rozpoczną się dopiero nad Ukajali. Dlatego też nie ma sensu wlec wszystkich nad Putumayo tylko po to, by pomówić z panem Wilsonem. We dwóch uczynimy to o wiele szybciej, a przecież na pośpiechu najbardziej nam teraz zależy.

- Skoro tak, muszę ustąpić. Szkoda tylko, że wyjazd z Manaos się opóźni.

- Co nagle, to po diable - zauważył kapitan Nowicki. - Slim radzi, żebyśmy uzupełnili nasz ekwipunek tutaj, a nie w Iquitos. Tam ceny są wyższe. Poza tym musimy pogadać z konsulem peruwiańskim i z jeszcze jednym facetem, ale to moja i Tomka sprawa.

- Czy to tajemnica? - zaciekawiła się Sally.

- Najpierw naradzę się z Tomkiem, a potem zobaczymy. Ciekaw jestem, dlaczego Nixon zmieszał się, gdy powiedziałeś, że znasz tego gościa, który polecił mu Smugę? Prawdę mówiąc, to i ty, brachu, miałeś niewyraźną minę.

- Istotnie byłem trochę zaskoczony informacją Nixona - potwierdził Tomek.

- A to dlaczego?

- Nie wiedziałem, że Nixon utrzymywał kontakt z Wickhamem.

- Pan Nixon już uprzednio wspominał to nazwisko, gdy zastanawialiśmy się, w jaki sposób można by odszukać pana Smugę - odezwała się Natasza. - Sądził, że może pan

Wickham mógłby nam coś poradzić. Podobno przebywał w Brazylii przez dłuższy czas.

- Sprzeciwiłem się nadawaniu rozgłosu sprawie zniknięcia pana Smugi - wtrącił Zbyszek. - Radziłem też wstrzymanie jakichkolwiek poczynąń aż do waszego przybycia.

- Słusznie postąpiłeś, Zbyszku - pochwalił Tomek. - Pan Wickham już od trzydziestu pięciu lat przebywa w Anglii. Poza tym pan Smuga nie miał nic wspólnego z aferą Wickhama. Sam mówił mi, że poznał go znacznie później.

- Cóż to była za afera? - zapytała Natasza.

- A jakże, opowiedz nam teraz - zawtórował Nowicki. - Gdy przy Nixonie pytałem cię o Wickhama, uciąłeś rozmowę na ten temat.

- Wickham dokonał jednej z najśmielszych i najoryginalniejszych kradzieży.

- Złodziej?! - zdumiał się Nowicki. - To on właśnie polecił Smugę?!

- Niech się pan uspokoi, Wickham nie tylko nie został ukarany za tę kradzież, lecz nadano mu tytuł baroneta^[72] i zapewniono przyszłość.

- Nieprawdopodobna historia! - wtrącił Zbyszek. - Czy posądzasz pana Nixona o współudział w tej kradzieży?

- Ciekaw jestem, co zwędził ten facet, że zamiast kary otrzymał nagrodę? - dziwił się Nowicki.

Tomek roześmiał się i wyjaśnił- Wickham potajemnie wywiózł z Brazylii siedemdziesiąt tysięcy nasion drzew kauczukowych. Sprawa tej kradzieży ściśle wiąże się z historią kauczuku.

- Tommy, czy ty nie żartujesz? - zawołała Sally.

- Przecież te nasiona były wszystkim dobrze znane - powiedziała Natasza.

- Tak samo jak kauczuk - dodał Zbyszek.

- Macie rację, kauczuk jest znany od czasu odkrycia Ameryki. To właśnie Krzysztof Kolumb przywiózł z Haiti czarne kule wyrabiane przez Indian, które podskakiwały, gdy rzucano je na ziemię. Jednak wtedy nikt nie spodziewał się, że kauczuk stanie się kiedyś niemal tak cenny jak złoto. Indianie nazywali kauczuk "cahuchu", czyli "łzy drzewa". Ofiarowując go białym nawet nie przeczuwali, że te czarne kule sprowadzą na nich tyle nieszczęść.

Podróżnik francuski, Charles Marie de la Condamine, po odbyciu wyprawy w dorzecze Amazonki, pierwszy opisał kauczuk i sposób, w jaki się go otrzymuje^[73]. Odtąd też co jakiś czas przywożono czarne kule do Europy, lecz gdy Amerykanin Goodyear w 1839 roku wynalazł wulkanizację, zapotrzebowanie na kauczuk wzrosło gwałtownie. Wtedy Brazylia chcąc zapewnić sobie monopol na produkcję wydała zakaz wywozu nasion kauczukowca.

Zapotrzebowanie na kauczuk rosło w miarę jak odkrywano coraz to nowe możliwości jego zastosowania. Brazylijskie rzeczne statki nie mogły nadążyć z dostarczaniem cennego

surowca. Wówczas Anglia, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i Francja zażądały umiędzynarodowienia Amazonki[74]. Brazylia była zbyt słaba, aby się przeciwstawić tym żądaniom. Statki oceaniczne wpłynęły na Amazonkę, a ponadto rozpoczęto budowę linii kolejowej Madeira-Mamore[75], która miała umożliwić eksploatację kauczuku z terenów Boliwii.

Cena kauczuku stale wzrastała, a Brazylia, jako główny dostawca, bogaciła się i zazdrośnie przestrzegała zakazu wywozu nasion i sadzonek. Wtedy właśnie w Anglii ukazała się książka Wickhama, osiedlonego w Brazylii, w Monte Alto w stanie Para. Prowadził on badania przyrodnicze, a jako leśnik z zamiłowania napisał książkę na temat możliwości hodowania brazylijskiego kauczukowca w warunkach plantacyjnych. Anglia pozazdrościła Brazylii monopolu na kauczuk, toteż pewne osobistości zainteresowały się książką, w której Wickham dokładnie opisał warunki glebowe i klimatyczne konieczne do hodowli i rozrostu cennych drzew.

Podobne warunki klimatyczne posiadała Anglia w swych koloniach na Półwyspie Malajskim, w Indiach i w innych tropikalnych krajach. Gdyby można było założyć tam plantacje kauczukowca, monopol Brazylii przestałby istnieć. Postanowiono potajemnie wywieźć z Brazylii nasiona drzew hevea.

- Do stu zdechłych wielorybów! Teraz domyślam się, że dokonał tego ów Wickham - wtrącił kapitan Nowicki.

- Tak, lecz nie był on pierwszy - wyjaśnił Tomek. - Najpierw spróbował szczęścia botanik Robert Cross, który współpracował z Józefem Daltonem Hookerem, dyrektorem królewskiego ogrodu botanicznego w Kew w Anglii. Cross był znanym badaczem storczyków, więc udał się do Brazylii, skąd razem ze zbiorami kwiatów przemycił trzy tysiące nasion kauczukowca. Trudności transportowe sprawiły, że w ogrodzie w Kew skielkowało tylko kilka z nich.

Potem do Brazylii przyjechał znany angielski myśliwy, John Farris. Udało mu się wywieźć sadzonki kauczukowca, zaszyte w skóry dwóch olbrzymich krokodyli. Sadzonki pielęgnowane troskliwie na statku pomyślnie przetrwały podróż morską, lecz w cieplarni ogrodu w Kew wszystkie zwiędły. Wtedy konsul angielski w Brazylii nawiązał kontakt z Wickhamem i odwoławszy się do jego uczuć patriotycznych, namówił do zorganizowania niezwyklej kradzieży.

Wickham sprytnie zabrał się do trudnego i ryzykownego przedsięwzięcia. Najpierw przez pewien czas wysyłał z Brazylii do ogrodu Kew w Anglii kosze napełnione różnymi storczykami. Celnicy brazylijscy skrupulatnie kontrolowali kosze, lecz poza orchideami nic w nich nie znajdowali. Toteż kiedy pewnego dnia zawinął do portu w Para angielski statek, płynący jakoby z Manaus do Europy, celnicy niewiele uwagi poświęcili koszom storczyków wywożonym przez Wickhama. W ten sposób przemycił on do Anglii siedemdziesiąt tysięcy nasion, z których pod jego opieką w ogrodzie Kew skielkowało dwa tysiące osiemset upragnionych roślin.

Potem z wieloma przygodami przetransportowano sadzonki na Cejlon do ogrodu

botanicznego w Kolombo, a po jakimś czasie część z nich przewieziono na Półwysep Malajski. Obecnie istnieją już tam duże plantacje [76], które wkrótce staną się poważnym konkurentem dla brazylijskiego kauczuku.

- Niech rekin połknie tego Wickhama! Spłatał Brazylijczykom paskudnego figla - odezwał się kapitan Nowicki. - Czy sądzisz, że Nixon również maczał w tym palce?

- Kradzież nasion miała miejsce w 1875 roku, a więc trzydzieści pięć lat temu - odparł Tomek. - Nixon wygląda na mężczyznę około pięćdziesiątki.

- Pan Nixon ma obecnie pięćdziesiąt cztery lata - wyjaśnił Zbyszek.

- A więc w czasie, kiedy Wickham przemyślał te nasiona, miał zaledwie o dwa lata mniej od Tomka - powiedział Nowicki. - Jak z tego wynika, mógł pomagać Wickhamowi.

- Ale to chyba nie ma nic wspólnego z obecnym zaginięciem pana Smugi? - wtrąciła Sally.

- Gdyby tak było, Nixon poinformowałby nas o tym - odparł Nowicki. - Tylko Alvarez mógł spłatać figla Smudze.

- Szczególnie, że był zainteresowany tym, aby przytrafiło mu się coś złego - dodał Zbyszek. - Przecież byłem przy tym, gdy pan Smuga zagroził Alvarezowi, że jeden z nich zginie, jeśli śledztwo potwierdzi jego podejrzenia.

- Alvarez mógł obawiać się, czy Mateo zastraszony przez Smugę nie powie prawdy - zauważyła Natasza.

- Oczywiście, a potem zapewne doniesiono mu, że Smuga wyruszył nad Ukajali do Vargasa - rzekł Tomek.

- Gdyby Smuga powrócił z dowodami winy, Alvarez zginąłby jak amen w pacierzu. I ten drań dobrze o tym wiedział. Dość częściej gadaniny! Mamy z Tomkiem jedną pilną sprawę do załatwienia. Pora już późna, kładźcie się spać.

Natasza spojrzała na Sally, lecz ta nieznacznie przyłożyła palec do ust. Sally zbliżyła się do Tomka, aby pocałować go na dobranoc. Gdy pochylił się ku niej, szepnęła- Tommy, bardzo proszę, bądźcie rozważni...

- Nie kłopot się... - szeptem odparł Tomek i serdecznie uściśnął żonę. Sally wyszła do hallu. Natasza i Zbyszek czekali tam na nią.

- Jeszcze nie tak późno, chodź do nas, porozmawiamy - zaproponowała Natasza.

- Dobrze, i tak nie usnęłabym teraz.

Zaledwie weszli do pokoju, Natasza zawołała wzburzona- Co oni zamierzają uczynić?!

Sally milczała zamyślona. Dopiero po dłuższej chwili spojrzała na zatroskanych przyjaciół i powiedziała- Rzadko widuje się dobrodusznego kapitana Nowickiego tak rozgniewanego.

- Co oni chcą zrobić? - powtórzyła Natasza spoglądając na męża i Sally.

- Nie bawmy się w zgadywanki! W razie potrzeby potwierdzimy, że pracowali przez całą noc i nie wychodzili z domu - odezwał się Zbyszek, a ciszej dodał: - Żałuję tylko, że nie zabrali mnie ze sobą...

- Ja również! Wszyscy jednakowo kochamy pana Smugę... - powiedziała Sally.

- Najpierw John Nixon, taki młody, pełen życia, a potem szlachetny pan Smuga... Nic nie zmieniłam w jego pokoju, jeszcze liczę na to, że może jednak wróci... - szepnęła Natasza i cicho zapłakała.

Kapitan Nowicki położył walizkę na fotelu, po czym otworzył ją i zwrócił się do przyjaciela- Zabrałem ze statku nasze ciepłe spodnie i kurtki, noce są tutaj chłodne. Przebieraj się!

- Co pan zamierza? - zapytał Tomek.

- Za pół godziny mamy spotkać się ze Slimem przed operą. On zna dobrze Manaos i tego drania Alvareza.

- Nikt z nas nie mógłby bez zwrócenia na siebie uwagi rozpytywać o Alvareza. Tutaj wszyscy doskonale wiedzą o jego zatargach z Nixonem i Smugą. Gdyby mu się coś przytrafiło, podejrzenia od razu padłyby na nas. Natomiast Slim może bez obaw rozejrzeć się w sytuacji. To równy chłop, niejedno już z nim przeżyłem.

- Sally odgadła, że chcemy pogadać z Alvarezem. Całując mnie na dobranoc szepnęła: bądźcie rozważni!

- Kto by tam wywiódł ją w pole? - rzekł Nowicki. - Wtedy w Arizonie u szeryfa Allana również domyśliła się, że zamierzamy uwolnić wodza Czarną Błyskawicę. Teraz ze względu na Zbyszka i Natkę nie mogła nalegać, żebyśmy zabrali ją ze sobą. Na pewno nie zmruży oka, aż do naszego powrotu.

- Czy rozmawiał pan o Alvarezie ze Zbyszkiem? - dopytywał się Tomek.

- Pytałem o to i owo, ale on pierwszy stale napomykał o Alvarezie.

- Czy był on również przy pana rozmowie z kapitanem Slimem? Nowicki wydobyl z walizki pas z rewolwerami, który zakładał w wyjątkowo niebezpiecznych sytuacjach, gdyż zazwyczaj nosił rewolwer w kieszeni spodni. Spojrzał na przyjaciela i odparł- Ze Slimem dogadałem się jeszcze podczas rejsu na "Santa Marii". Od dawna postanowiłem, że jeśli nie zastaniemy Smugi w Manaos, to pogadam z Alvarezem przed odjazdem stąd. Powiem ci od razu, brachu, że jeśli masz zamiar odwodzić mnie od tego, to zostań w domu, bo nie ustąpię. Tak jak twój szanowny rodzic, nie uznajesz przemocy. Dlatego na wszelki wypadek umówiłem się ze Slimem. To chłop mego pokroju. Oko za oko, rozumiesz?!

Tomek spojrzal Nowickiemu prosto w oczy i powiedział przytłumionym głosem- Niepotrzebnie mówi pan to wszystko. Idziemy razem i razem poniesiemy konsekwencje tego, co uczynimy.

- Chodźmy już, niewiele mamy czasu!

Po cichu wyszli do hallu i wymknęli się na ulicę. Na tle nieba usianego jasnymi gwiazdami czerniała wielka kopuła gmachu opery. Po kilku minutach obydwaj przyjaciele przystanęli przed szerokimi kamiennymi schodami. Tomek za ledwie rzucił okiem na marmurowe kolumny podpierające wspaniały fronton, bowiem pomiędzy drzewami przed operą błysnął czerwony ogień. Kapitan Nowicki także zauważył błysk. Trącił Tomka łokciem i weszli na schody.

Kapitan Slim stał oparty plecami o drzewo, palił papierosa. Wyciągnął sękatą dłoń na powitanie i zagadnął- Czy złe wybrałem miejsce na dzisiejsze spotkanie? Tu zawsze pustka, jakby duchy straszyły!

- Chyba nie wtedy, gdy odbywają się przedstawienia operowe - zauważył Tomek.

- Przedstawienia operowe?! - odparł Slim i zachichotał. - Jak dotąd jeszcze ani jedno się nie odbyło. Gmach taki sam jak w Paryżu, ale to opera bez śpiewaków. Czasem raz na parę miesięcy przyjedzie jakaś wędrowna trupa i to wszystko. Nikt tu nie śpiewa. Miejsce jakby specjalnie wybrane dla nas.

- Faktycznie lokal okazały - przyznał Nowicki. - Spróbowałeś, czy wytrych otwiera zamek?

- Bądź spokojny, otwiera. Wślizniemy się wejściem dla aktorów. Tomek nie dowierzał własnym uszom.

- Więc chcecie tutaj sprowadzić Alvareza? - zapytał zdumiony.

- Slim to wymyślił jeszcze na statku - odpowiedział Nowicki. - Nie brak mu fantazji, co?

- Tutaj nikt nam nie przeszkodzi. Poza tym, gdyby Alvarezowi coś się przytrafiło podczas pogawędki, sporo upłynie czasu, zanim go znajdą - wyjaśnił kapitan Slim. - Natomiast w jego domu wciąż kręci się wiele służby. Tam nie moglibyście spokojnie z nim pogadać.

- W jaki sposób zwabimy go tutaj? - wtrącił Tomek, z niepokojem obserwując towarzyszy.

- Ustaliłem, że Alvarez codziennie do późnej nocy przebywa w swej knajpie "Tesouro". Potem wraca do domu sam lub w towarzystwie Indianina, swego sługi, którego widzieliście na statku - powiedział Slim.

- Musimy przyłapać go w drodze do domu.

- Co zrobimy z Indianinem, jeśli będą razem? - indagował Tomek.

- Z nim najgorszy kłopot - przyznał Nowicki. - To ślepe narzędzie w rękach Alvareza.

- Głupiec! Dawno sam powinien pchnąć go nożem za tych wszystkich Indian, których Alvarez wyprawił na tamten świat w swoich obozach kauczukowych - rzekł kapitan Slim. - Cóż, zajmę się nim, jeśli wyjdzie z Alvarezem. Ogłuszę go i zwiążę. Poleży do rana w zaułku.

- Zgoda, ale zajdź go z tyłu - doradził Nowicki. - Ja i Tomek zaopiekujemy się Alvarezem.

- Chodźmy, późno się robi!

W "Tesouro" zabawa trwała w najlepsze. Poprzez szczeliny w kotarach zasłaniających okna prześwitywało mdławe światło. Orkiestra grała, słychać było gwar rozmów, śmiech i śpiewy.

Trzej spiskowcy zatrzymali się po przeciwnej stronie wąskiej ulicy. Naprzeciwko restauracji stały dwa obszerne budynki zajmowane przez jakieś biura. O tak późnej porze nikogo w nich nie było. Pomiedzy tymi budynkami znajdowało się przejście na tyły zabudowań. Spiskowcy ukryli się w tym przejściu i czekali. Od czasu do czasu małe grupki rozbawionych gości wychodziły z restauracji, lecz Alvareza nie było między nimi.

- Już minęła godzina, a drań wciąż się bawi - mruknął Nowicki.

- To jego knajpa, podobno często przesiaduje w niej a? do zamknięcia - odparł Slim.

- Gdyby wyszedł w większym towarzystwie, nasze zamiary będą udaremnione - zafrasował się Tomek.

Znów upłynęła dłuższa chwila. Naraz jedno skrzydło wahadłowych drzwi uchyliło się i z "Tesouro" wyszła jakaś kobieta. Za nią wybiegł mężczyzna. Przytrzymał ją za ramię i pochylony coś mówił cicho.

- To on! - szepnął Tomek.

- Alvarez... - potwierdził Nowicki.

- Odchodzą razem, co robimy? - zapytał kapitan Slim.

- Poczekaj tutaj chwilę, może ten Indianin wyjdzie, a potem smaruj za nami w kierunku opery - polecił Nowicki. - Z Tomkiem idziemy za Alvarezem.

- On chyba nie ma jeszcze zamiaru pójść do domu, wybiegł za nią bez kapelusza. Sprzeczą się... - zauważył Tomek.

- Chodź, nie marudź! - ponaglił Nowicki.

Przemykali się pod murami domów po drugiej stronie ulicy. Alvarez z kobietą skręcili w pierwszą przecnicę. Nowicki obejrzał się, Slim już biegł za nimi.

- Nie ma Indiańca. Slim nadchodzi! Do stu zdechłych wielorybów, diabli nasłali tę babę. Co z nią zrobimy? - szepnął Nowicki.

- Prędko na drugą stronę! - cicho zawołał Tomek.

Przystanęli pod murem. Tomek ostrożnie wychylił głowę i spojrzął w przecnicę. Zaraz się jednak cofnął i rzekł- Kobieta weszła do domu. Alvarez czeka na nią na ulicy.

- Idziemy, prowadź mnie, jakbym był pijany - szepnął Nowicki. Wysunęli się zza muru. Tomek ujął przyjaciela pod ramię. Szli chwiejnym krokiem. Przed następnym domem za rogiem stał Alvarez.

Dwaj "pijani" mężczyźni nie wydali mu się podejrzani. Przy mdłym świetle rzadko rozstawionych latarni nie mógł od razu ich poznać. Zamyślony tylko zerknął w kierunku nadchodzących i odsunął się na skraj wąskiego chodnika.

Nowicki i Tomek tymczasem już znajdowali się zaledwie kilka kroków od Alvareza. Poza nimi na uliczce nie było nikogo. Tylko w bocznym oknie domu paliło się światło. Gdy zrównali się z Alvarezem, Nowicki zatoczył się na niego. Nim Alvarez zorientował się w sytuacji, otrzymał potężny cios pięścią w podbródek. Tomek sprawnie podtrzymał upadającego. Nowicki zarzucił sobie na ramię zemdlonego; pobiegli w dół ulicy. Niebawem Slim dołączył do nich.

Przystanęli w ciemnym zaułku. Tomek i Slim ujęli pod ramiona odzyskującego przytomność Alvareza.

- Co z dziewczyną? - krótko zapytał Slim.

- Alvarez czekał na nią przed domem - pospiesznie wyjaśnił Tomek.

- Biegając za wami nikogo nie zauważyłem. No, jak do tej pory, poszło nam gładko.

Chrapliwy oddech Alvareza przerwał szeptem prowadzoną rozmowę. Po chwili spojrzął nabiegłymi krwią oczami. Na jego twarzy odmalował się wyraz zdumienia.

- Carramba! - zaklął po hiszpańsku. - A czego wy jeszcze chcecie ode mnie?!

- Dowiesz się wkrótce, ale teraz milcz, jeśli ci życie miłe - ostrzegł Nowicki.

- Puśćcie mnie lub oddam was wszystkich w ręce policji!

- Nie zdążysz! - odparł Nowicki. Rewolwer błysnął w jego ręku.

- No, wołaj o pomoc!

- To napad! - krzyknął Alvarez. Spróbował oswobodzić swe ramiona.

Nowicki przyłożył wylot lufy colta [77] do jego piersi i kciukiem odwiódł kurek.

- Jeszcze jedno słowo, a kula zakończy całą sprawę - zagroził.

- Pójdiesz z nami! Gdyby ktoś nadszedł, udawaj, że jesteś zawiany. Prowadź, Slim, my się nim zaopiekujemy!

Do gmachu opery nie było zbyt daleko. Tomek i Nowicki prowadzili Alvareza między sobą. Alvarez szedł posłusznie czując, że lufa colta dotyka jego boku. Pora była bardzo późna, toteż zaledwie dwukrotnie spotkali przechodniów, którzy widząc grupkę mężczyzn idących chwiejnym krokiem, skwapliwie przechodzili na drugą stronę ulicy.

Na placu przed operą już nie natknęli się na nikogo. Niebawem stanęli przed bocznym wejściem dla aktorów. Slim sprawnie otworzył zamek drzwi. Weszli do korytarza. Slim zaryglował drzwi od wewnątrz, po czym wydobył z kieszeni świecę i zapalił.

- Prowadź! - odezwał się Nowicki.

Slim ruszył w głąb korytarza. Nowicki lufą rewolweru popchnął Alvareza. Po kilku

chwilach Slim zatrzymał się i otworzył drzwi.

- Tutaj będziecie mogli porozmawiać - oznajmił i pierwszy wszedł na scenę teatru.

Nowicki popchnął Alvareza.

- Carramba! Co to ma znaczyć? - zawołał Alvarez rozglądając się zdumionym wzrokiem.

Nowicki stanął przed nim, po czym schował rewolwer do pochwy.

- Teraz możemy pogadać. Tutaj nikt nam nie przeszkodzi - rzekł. Alvarez cofnął się o krok, pochylił do przodu...

- Nie sięgaj do kieszeni! Wiem, że masz tam rewolwer - ostrzegł Nowicki. - Ja i mój przyjaciel strzelamy równie dobrze jak... Smuga.

Alvarez znieruchomiał. Błysk zrozumienia, a potem niepokoju odzwierciedlił się w jego oczach.

- Kim jesteście? Czego chcecie? - zapytał po chwili.

- Myślałeś, że chodzi nam o tę zaczepkę na statku? Nie, dostałeś za swoje i z tamtym kwita - wyjaśnił Nowicki. - Dzisiaj zdasz nam rachunek z tego, co uczyniłeś Smudze. Jesteśmy jego przyjaciółmi.

Wyraz ulgi odmalował się na twarzy Alvareza.

- A więc o niego chodzi? - powiedział. - To jakieś nieporozumienie. Nie wyrządziłem nic złego senhorowi Smudze. Nie wiem nawet, gdzie on jest obecnie. Kilka miesięcy temu oznajmił mi, że wyjeżdża nad Rio Putumayo. Od tej pory więcej go nie widziałem.

- Słuchaj, nie mamy czasu na zabawę w ciuciubabkę. Wiemy, co Smuga powiedział tobie przed wyjazdem nad Putumayo i wiemy również, po co tam pojechał. Smuga znalazł dowody twojej winy. Dozorca Mateo wyznał wszystko. Potem Smuga udał się nad Ukajali, aby ująć Cabrala i Josego, czyli nasłanych przez ciebie morderców Johna Nixona. Z wyprawy tej nie powrócił i ty na pewno wiesz, co się z nim stało!

- Dlaczego mam wiedzieć?! - zapytał Alvarez.

- Smuga powiedział ci, że porachuje się z tobą, gdy tylko zdobędzie dowody twojej winy. Doniesiono ci, że odkrył prawdę. Tyś ostrzegł Cabrala i Josego, a oni przygotowali zasadzkę.

- To nieprawda! - gwałtownie zaprzeczył Alvarez.

- Więc nie wiesz, gdzie on jest?

- Nie wiem!

- Dobrze, twoja sprawa. Smuga upewnił się, że to ty nasłałeś morderców na Johna Nixona. Gdyby wrócił, już gryzłbyś ziemię. Przez ciebie Smuga przepadł, a może nawet zginął. Skoro nie mógł wykonać tego, co zapowiedział, teraz nam zdasz rachunek ze swych uczynków.

- Jest was trzech przeciwko mnie!

- Masz rację, to byłoby morderstwo, chociaż sam nie przebierałeś w środkach i nie dałeś szans obrony nieszczęsnemu Johnowi Nixonowi. My jednak jesteśmy ludźmi innego pokroju niż ty. Tylko ja tutaj zastąpię Smugę. Jeśli pokonasz mnie, będziesz mógł spokojnie odejść.

- Nie wierzę!

- Slim i Tomek! Słyszeliście, co powiedziałem? - zapytał Nowicki.

- Za wiele ceregieli robisz z tym draniem. Powinniśmy powiesić go i kwita! - odparł Slim.

- To już nie twoja sprawa!

- Dobrze, niech będzie, jak chcesz - odparł kapitan Slim.

- Sąd powinien go osądzić, ale wiem, że nie uwierzono by nam na słowo - powiedział Tomek. - Poza tym pan Alvarez uznaje prawo silniejszego. Jeśli teraz zwycięży, odejdzie stąd wolny, ale nie obiecuję, że potem się z nim nie spotkam.

- No, wybieraj! Rewolwer czy nóż?! - zawołał Nowicki. Alvarez przenikliwym wzrokiem zmierzył przeciwnika. Sam nie był ułomkiem i posiadał zaprawę w bijatykach. Bardziej był pewny noża niż rewolweru. Po chwili namysłu odparł- Skoro zmuszacie mnie do walki, niech będą noże.

DRAMATYCZNA WALKA

Kapitan Nowicki zdjął z bioder pas z rewolwerami i odrzucił go na bok. Następnie pozbył się kurtki i zaczął zawijać rękawy koszuli. Zza paska od spodni wystawała mu rękojeść myśliwskiego noża, z którym nigdy się nie rozstawał podczas wypraw łowieckich.

Tomek nachmurzony spoglądał na przyjaciela. Był pewny, że jego ojciec nie dopuściłby do takiej walki. Wiedział również, że nie zdoła powstrzymać Nowickiego, który jeszcze podczas podróży do Manaos postanowił rozprawić się z Alvarezem. Mimo to podszedł do przyjaciela i cicho zapytał:

- Co o tym powie ojciec, gdy się dowie?

- Do stu zdechłych wielorybów, nie czas teraz na morały! Już ci zapowiedziałem, że nie ustąpię!

Tomek ciężko westchnął, a potem odezwał się- Niech pan uważa, Alvarez nie stracił pewności siebie!

- Miną nadrabia, nie martw się, brachu! Wiesz, że na mnie możesz liczyć!

- Rozwaga i rozsądek ważniejsze! Czeka nas ciężka wyprawa. Sam z kobietami niewiele zdziałam! Czy warto obciążać własne sumienie zabójstwem nawet tak podłego człowieka jak Alvarez?

- Słuchaj, brachu, Smuga nie darowałaby nikomu, gdyby nam stała się krzywda!

Alvarez tymczasem również zdjął marynarkę i położył ją na boku sceny. Podwinął za łokcie rękawy koszuli, po czym wy dobył nóż z kieszeni spodni, otworzył ostrze i zawołał- Jestem gotów, zaczynajmy! Pamiętajcie jednak o naszym układzie!

- Spieszno ci do piekła?! - odparł Nowicki. Mrugnął okiem do Tomka, aby dodać mu otuchy i nie wydobywając broni z pochwy ruszył ku Alvarezowi.

Alvarez z nożem w dłoni przyczaił się do skoku. Nowicki, trochę pochylony piersią do przodu, półkolem wolno przybliżał się do niego, trzymając przy bokach ręce zgięte w łokciach. Alvarez wciąż czaił się, nie spuszczał wzroku z przeciwnika. Nowicki już zachodził go z boku, więc Alvarez zwinnym ruchem odwrócił się przodem do niego. Nowicki zaczął się cofać, a potem rozpoczął poprzedni manewr od początku. Alvarez wkrótce obracał się w miejscu, a Nowicki wciąż podkładał się to z lewej strony, to z prawej. Nagle jeszcze bardziej pochylił się do przodu, jakby zamierzał zaatakować. Alvarez błyskawicznie wzniosł do góry rękę uzbrojoną w nóż i skoczył ku niemu. Nowicki w ostatniej chwili odwrócił się bokiem. Nóż trafił w próżnię, a Nowicki kątem wyprostowanej lewej dłoni uderzył Alvareza w przegub tuż za pięścią zaciśniętą na rękojeści. Nóż potoczył się ku rampie sceny.

Alvarez zaklął okropnie. Chciał podnieść broń, ale Nowicki zwałił się na niego całym ciężarem ciała. Spleceni w uścisku potoczyli się ku brzegowi sceny, a potem runęli w dół do pomieszczenia dla orkiestry. Rozległ się trzask łamanych krzeseł i pulpitów.

Tomek i Slim z płonąca świecą w ręku podbiegli na skraj sceny. W mdłym świetle trudno było odróżnić walczących. Alvarez po straceniu noża z prawdziwą furją zaatakował przeciwnika. Ciosy śmigły jak błyskawice. Co chwila któryś z walczących padał na podłogę, potem zrywał się, uderzał. Drzazgi leciały z krzesel, które z trzaskiem rozsypywały się pod ciężarem ciała.

Mimo półmroku Tomek rozpoznawał przyjaciela po jasnej czuprynie. Naraz Alvarez jęknął głucho i gwałtownie pochylił się do przodu górną częścią ciała. Tomek pobladł straszliwie, bowiem sądził, że Nowicki pchnął nożem swego przeciwnika. W tej jednak chwili Nowicki uderzył kolanem prawej nogi w twarz pochylonego. Alvarez jakby podrzucony sprężyną wyprostował się, po czym plecami grzmotnął w podium sceny.

Nowicki ciężko oddychał. Przez krótką chwilę stał nieruchomo. Alvarez próbował dźwignąć się z podłogi, lecz nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Nowicki pochylony do przodu zaczął zbliżać się ku niemu. Dopiero teraz ujął dłonią rękojeść noża tkwiącego za pasem.

Alvarez ujrzał ten ruch. Wyciągnął przed siebie ręce drżące ze strachu.

- Nie zabijaj...! - zawołał chrapliwym głosem.

- Gdzie jest Smuga? Coś z nim zrobił?

- Nie zabijaj! Nic nie wiem o nim...

- Kłamiesz, draniu! Daleś znać swoim kompanom, że on idzie do nich tam nad Ukajali!

- To nieprawda! Nie wiedziałem, że tam poszedł!

- Kłamiesz!

Nowicki pochylił się nad Alvarezem, który oszalały ze strachu naraz krzyknął- Czekaj, list! Mam dowód!

- Jaki list?

Alvarez drżącymi rękami zaczął grzebać w kieszeniach spodni.

- Już wiem, już wiem, jest w marynarce! Sprawdźcie, to list od Vargasa! - zawołał pośpiesznie.

- Tomku, zobacz, czy ma w kapocie jakiś list - polecił Nowicki. Tomek przyniósł marynarkę, po czym przeszukał kieszenie. W jednej z nich znajdowała się pomięta koperta.

- Czytaj - zawołał Alvarez.

- Pisany po hiszpańsku - powiedział Tomek spoglądając na list. - Nie mogę przeczytać...

- Ja znam hiszpański - wtrącił kapitan Slim. - Niech pan potrzyma świecę! - zwrócił się Slim do Tomka i zaczął czytać

La Huaira, 10 września 1910 roku.

Szanowny Panie Alvarez

Nigdy bym nie przypuszczał, że człowiek tak dobrze znający się na interesach może zachowywać się jak stary dureń! Nie dość, że potajemnie najmujesz moich ludzi do porachunków ze swoimi konkurentami, to jeszcze sprowadzasz na mnie kłopoty. O napadzie nad Putumayo dowiedziałem się dopiero od niejakiego Jana Smugi, który przybył do La Huairy w sierpniu, poszukując dobrze ci znanego Cabrala i Josego. Oskarżał ich o napad i zabójstwo krewnego swego współnika, Nixona. Cabral i Josego przyprawili tutaj Indian z plemienia Cubeo, ale nie przyznali się, że zabrali ich z obozu Nixona.

Nie chciałem wdawać się w zatargi z tym Smugą, który nie przybył do mnie sam. Był z nim Wilson, pracownik Nixona, i kilku Indian. Ostatnio mam dość własnych kłopotów, więc przede wszystkim cichaczem przegnałem Cabrala i Josego. Wysłałem z nimi pięciu zaufanych Pirów, żeby mieli tych głupców na oku. Skryli się w Grań Pajonalu. Temu Smudze zwróciłem Cubeo porwanych znad Putumayo, ale on również domagał się wydania Cabrala i Josego. Potrzebni mu byli jako świadkowie przeciwko Tobie.

Skoro dowiedział się, że ci dwaj umknęli do Grań Pajonalu, odprawił swoich ludzi z powrotem, a sam z Metysem Mateem wyruszył w pościg. Dałem mu nawet trzech moich Pirów jako tragarzy. Poszedł z nim także jeden Kampa, który podsłuchiwał tych dwóch moich durniów, gdy naradzali się przed ucieczką.

Chyba tylko diabeł wie, co wydarzyło się tam w Grań Pajonalu. Ani Smuga, ani żaden z moich ludzi dotąd nie powrócili. Przepadli jak kamień w wodę. Albo zabili ich dzicy Kampowie, którzy nienawidzą białych, albo może też schwytali ich do niewoli. Niektórzy dzicy lubią więzić białego i uważają to za zaszczyt dla swego plemienia.

Nie chciałbym, aby jacyś obcy weszli tutaj za zaginionymi. Powiadam, mam dość własnych kłopotów! Trzymaj się więc z dala od moich ludzi, jeśli nie chcesz żebym złożył Ci wizytę w Manaos.

Vargas.

- Czemuś od razu nie pokazał tego listu? - zawołał kapitan Nowicki, gdy Slim skończył czytać.

- Przypomniałem sobie dopiero teraz. Otrzymałem go parę miesięcy temu - odparł Alvarez. - Macie dowód, że nie przyłożyłem ręki do zaginięcia waszego przyjaciela.

- Jak wynika z listu, jeszcze istnieje możliwość, że pan Smuga żyje - odezwał się Tomek.

- Tak, brachu, to dobra nowina - potwierdził Nowicki. - Weź ten list, może nam się przydać.

- Co teraz zrobicie z Alvarezem? - zapytał kapitan Slim.

- Chciałem pomścić Smugę, ale przed samą walką Tomek zaczął po swojemu i wtedy jakoś głupio mi się zrobiło. Faktycznie przyprowadziliśmy go tutaj jak wołu do rzeźni! Mój

staruszek w Warszawie zawsze mówił: "Niesądź nikogo, to sam nie będziesz sądzony". Skoro wiemy teraz, że Alvarez nie podstawił Smudze nogi, to czort z nim! Zabieraj się stąd! Ale zapamiętaj, jeśli jeszcze raz zaczepisz Nixona, to już ci więcej nie daruję!

Tomek uradowany zeskoczył ze sceny i mocno uściskał przyjaciela.

- Dobrze, dobrze, postawiłeś na swoim - zrzędził Nowicki. - Ale niech on już lepiej stąd idzie, żebym się nie rozmyślił! Pomóż mu, brachu, włożyć kapotę, bo, jak widzę, trochę zasłabł!

- Nic dziwnego, któż mógłby dać panu radę!

- Tak myślisz? No, początkowo nieźle się odgryzał! Ale wiesz co? Mów mi już po imieniu! Jestem niby starszy, ale kawaler, a ty żonaty. Kto wie, czy niedługo nie zostaniesz ojcem? To wyrównuje różnicę wieku!

Tomek i Nowicki podali sobie dłonie, a potem wyprowadzili Alvareza na scenę, gdyż kolana uginały się jeszcze pod nim. Na schodach opery pożegnali się ze Slimem, który pospieszył na statek. Zanim Alvarez odszedł od nich, Nowicki ujął go za klapę marynarki i rzekł- Przez ciebie narobiliśmy w operze trochę bałaganu. Zajmij się naprawieniem szkód. Powiem Nixonowi, żeby sprawdził i dał mi znać!

- Dobrze, senhor, załatwię to - potulnie odparł Alvarez.

- No, to wesołych świąt, pojutrze gwiazdka! Najlepiej przebierz się za świętego Mikołaja, bo posiniaczoną łepetyną będziesz straszył porządnych ludzi!

Nikły uśmiech przewinał się po napuchniętej i pokiereszowanej twarzy Alvareza. Wyglądał okropnie, wciąż jeszcze chwiał się na nogach. Zakrwawiona koszula wisiała na nim w strzępach. Mimo to spoglądał na swego pogromcę z wyrazem podziwu.

- Nieźle oberwałem, jeszcze kręci mi się we łbie! - odezwał się już trochę raźniejszym głosem. - Ten młody powalił mnie na statku za pomocą jakiegoś nie znanego mi chwytu, ale ty, senhor, naprawdę jesteś silniejszy. Mogłeś mnie zabić! Powiedz, dlaczego nie dobyłeś noża podczas walki.

- Nóż jest bronią szubrawców, a ja lubię walczyć honorowo!

- Nie jestem zbyt dobrym strzelcem, dlatego też bałem się waszego Smugi. Na szczęście w ostatniej chwili przypomniałem sobie o tym liście! No, pójdę już, niedługo świt! Do widzenia.

Alvarez wkrótce zniknął w ciemnym wylocie ulicy.

- Odszedł żywy... - mruknął Nowicki. - Oby tylko nie usiłował jeszcze wchodzić nam w paradę!

- Zdobyliśmy dowód, że bezpośrednio nie przyczynił się do zaginięcia pana Smugi - powiedział Tomek. - Za inne złe czyny spotka go kiedyś zasłużona kara, możesz być tego pewny! Nie możemy postępować tak jak on!

- Nie wiem, czy zdołałbym się opanować, gdyby nie list Vargasa - odparł Nowicki. -

Prawdę mówiąc myślałem, że Smuga już przepadł na amen. Toteż gdy usłyszałem, że on może przebywać w niewoli u Indian, z radości mógłbym uściskać nawet tego drania Alvareza.

- Masz rację, ten list naprawdę podniósł mnie na duchu. Chodźmy do domu, już tylko patrzeć świtu. Musisz przyłożyć sobie kompres na lewe oko. Prawie zniknęło pod opuchnięciem.

- Najlepiej pomaga surowy befsztyk.

- Może znajdzie się u Natki w lodówce!

- Spójrz, brachu! Nasi jeszcze czuwają! Światło pali się w domu!

- Spodziewałem się tego. Domyślali się, w jakim celu wychodzimy. Po cichu weszli na werandę, a potem do hallu. Ogarnęło ich zdumienie, a nawet niepokój, gdy przez otwarte drzwi do saloniku ujrzeli nie tylko wszystkich domowników, ale i Nixona.

- Chwała Bogu! Nareszcie przyszliście! - zawołała Natasza, podbiegając do progu. - Czy Alvarez...?

Urwała w połowie zdania, bowiem w tej chwili spojrzała na kapitana Nowickiego, którego wygląd wymownie świadczył, że stoczył straszliwą walkę.

- Co tu się stało? Dlaczego pan Nixon przyszedł w nocy? - zapytał Nowicki zaniepokojony.

- Czy wszystko w porządku, chłopcy? - odezwała się Sally.

- W porządku, kochanie - uspokoił ją Tomek. - Powiedz raczej, co się tutaj dzieje?

- Domyśliliśmy się, że chcecie rozprawić się z Alvarezem. Długo nie powracaliście, więc pomyśleliśmy, że może będziemy potrzebowali pomocy pana Nixona - wyjaśniła Sally. - Dlatego też Zbyszek poprosił go do nas.

- Dlaczego panowie nie powiedzieliście, że zamierzacie przycisnąć Alvareza do muru? Zebrałbym kilku moich ludzi i poszlibyśmy razem z wami - wtrącił Nixon. - Widzę, że doszło do walki. Czy pan nie jest ranny?! Może sprowadzić doktora?

- Do takiego drobiazgu? - oburzył się Nowicki.

- Zaraz zajmę się naszym kapitanem, tylko taka jestem ciekawa, co zrobiliście z Alvarezem? - zawołała Sally.

- Straszliwie oberwał! Gdyby niemal w ostatniej chwili nie przypomniał sobie o liście, który otrzymał od Vargasa, już by nie żył - odparł Tomek.

- Czyżby nareszcie ten łotr dostał za swoje?! - zawołał Nixon. - Poza Smugą nikt dotąd nie miał odwagi dobrać mu się do skóry!

- Może być pan pewny, że Alvarez nieprędko wejdzie panu w drogę. W pół godziny po walce jeszcze chwiał się na nogach - dodał Tomek. - To była rozprawa na śmierć i życie!

- Co Vargas pisał w liście? Zapewne musiało w nim być coś o panu Smudze, skoro list

uratował Alvareza? - wtrącił Zbyszek.

- Panie Tomku, proszę opowiedzieć nam wszystko od początku! Zapewne dowiemy się czegoś bardzo ważnego - zaproponował Nixon.

Tomek powtórzył przebieg wydarzeń. Gdy skończył, pierwsza odezwała się Natasza. - Więc istnieje promyk nadziei, że pan Smuga jeszcze żyje!

- Vargas od lat przebywa wśród Indian, na pewno dobrze zna ich zwyczaje - powiedział Nixon. - Wśród Pirów cieszy się wielkim mirem. Skoro sądzi, że Smuga mógł zostać uwięziony, kto wie? Jeśli byłaby choć tylko jedna szansa na sto, nie wolno jej poniechać! Wyprawa może potrwać dość długo. Odszukiwanie śladów w Grań Pajonalu nie będzie łatwe. Czy panowie dysponują nieograniczonym czasem?

- Nie odjedziemy stąd, dopóki nie odnajdziemy naszego przyjaciela^ lub jego mogiły. A i wtedy jeszcze najpierw odkopię grób, aby sprawdzić, czy on w nim leży - stanowczo zapewnił kapitan No wieki.

- Wyprawa pochłonie wiele pieniędzy. Kompania "Nixon - Rio Putumayo" pokryje wszystkie koszty. Jutro otworzę panom konto w banku w Iquitos - dodał Nixon. - Jeżeli panowie uważają, że mogą się na coś przydać, jestem gotów wziąć udział w tej wyprawie.

- Włóczęga po stepie nie dla pana! - odparł Nowicki. - Więcej pożytku będziemy mieli z kilku zaufanych Indian.

- Jestem tego samego zdania - potwierdził Tomek. - Poza tym Zbyszek i Natasza koniecznie chcą iść z nami.

- Skoro tak, to pan Zbyszek będzie przedstawicielem naszej Kompanii na tej wyprawie. Pobory będę wpłacał na pana konto. Zgoda?

- Bardzo dziękuję! Mnie i żonie już okazał pan bardzo wiele życzliwości! - odparł Zbyszek.

- Nie ma o czym mówić - zaproponował Nixon. - Jestem dłużnikiem Smugi. Zrobię wszystko, byle tylko mu pomóc.

- Dziękujemy w imieniu pana Smugi - powiedział Tomek. - Pomoc finansowa ma dla nas duże znaczenie. Nie jesteśmy zamożni.

- Proszę nie liczyć się z kosztami. W biurze załatwimy wszystkie formalności.

- Tommy, czy przypominasz sobie, co mówił pan Fawcett? - zagadnęła Sally.

- Czy masz na myśli kopalnie Muribeki? - zapytał Tomek. - Och, już wiem!

- Cóż tam wymyśliła ta sikorka? - zaciekawiał się kapitan Nowicki.

- Przypomniała mi kogoś, kto również wspominał, że niektóre plemiona indiańskie w Ameryce Południowej lubią szczyścić się posiadaniem białych jeńców - wyjaśnił Tomek.

- Opowiedz nam o tym Tomku! - poprosił Zbyszek.

- To bardzo interesujące, a być może i ważne w naszej sytuacji - dodała Natasza.

- Prosimy, niech pan mówi! - zawtórował Nixon. - Któż to jest ten pan Fawcett? Wydaje mi się, że już słyszałem to nazwisko!

- Być może, gdyż pułkownik Fawcett jest badaczem Ameryki Południowej - potwierdził Tomek. - Jako generalny komisarz Boliwijsko-Brazylijskiej Komisji Granicznej w tysiąc dziewięćset szóstym roku, a następnie w tysiąc dziewięćset dziewiątym, prowadził bardzo cenne prace badawcze we wschodniej Boliwii. Obecnie prawdopodobnie znów znajduje się na tym kontynencie.

Kilka miesięcy temu spotkałem go w Londynie w Królewskim Towarzystwie Geograficznym. Wygłaszał prelekcję na temat indiańskiej cywilizacji, która jakoby miała istnieć w Ameryce Południowej jeszcze przed podbojem przez Inków. Jest wiele legend mówiących o zaginionych miastach, kopalniach i dziwnym plemieniu, które unika zetknięcia się z białymi ludźmi. Fawcett zbierał te legendy, badał je i w końcu nabrał przekonania, że nieznanne dotąd ostępy puszczy południowoamerykańskich kryją jeszcze niejedną tajemnicę. Fawcett wierzył w istnienie pradawnych miast i kopalń Muribeki, o których rozwodził się dość szeroko. Nosił się również z zamiarem urządzenia wielkiej wyprawy poszukiwawczej[78].

- Cóż to za kopalnie Muribeki? - zapytał Zbyszek.

- A jakże, opowiedz nam o nich - dodał Nowicki.

- Zaledwie w kilkanaście lat po odkryciu Ameryki przez Kolumba, jeden z konkwistadorów portugalskich ożenił się z Indianką z plemienia Tupinamba i przez długie lata żył wśród krajowców. Z małżeństwa tego narodził się syn, Melchior Dias Moreyra, zwany przez Indian Muribeką. Ów Muribeka odkrył wiele kopalń srebra, złota oraz drogocennych kamieni. Syn Muribeki, Robeiro Dias, znał tajemnice ojca, któremu inni biali zazdrościli skarbów. Robeiro zgodził się zdradzić królowi Portugalii miejsca, w których leżały kopalnie srebra i udostępnić ich eksploatację, lecz w zamian zażądał nadania mu tytułu markiza das Minas. Urządzono wyprawę, podczas której Robeiro Dias przekonał się, że król Portugalii[79] nie zamierza dotrzymać warunków umowy. Wtedy Dias odmówił pokazania drogi do kopalń i w końcu zmarł nie ujawniając nikomu tajemnicy. Potem wielu śmiałków organizowało wyprawy poszukiwawcze, ale żadnej z nich nie udało się natrafić na ślad starych kopalń. Większość wypraw, nawet bardzo liczebnych, na zawsze przepadła w dżungli, a od Indian nie można było wydobyć nawet najdrobniejszej informacji na temat skarbów Muribeki.

Fawcett był zdania, że w głębi kontynentu mogło przetrwać jakieś plemię o pradawnej cywilizacji. Może zaszyło się w głąbę przed zaborczością Inków i odgrodziło od reszty świata barierą dzikich plemion? To tłumaczyłoby, dlaczego tylu poszukiwaczy starodawnych miast zginęło bez wieści. Mówił też wtedy, o czym przypomniała mi Sally, że niektóre dzikie plemiona mają zwyczaj trzymania w niewoli białych jeńców, gdyż to dodaje im powagi i znaczenia u innych plemion. Czasem taki jeńiec był wybierany nawet wodzem plemienia, które mimo to strzegło każdego jego kroku.

- Mamy więc jeszcze jedno potwierdzenie, że domysły Vargasa nie są pozbawione

podstaw - odezwał się Nixon.

- Nie ma chwili do stracenia! - zawołał kapitan Nowicki. - Jeśli Smuga żyje, może znajdować się w piekielnych tarapatach!

- W jaki sposób zdołamy odnaleźć jakieś ślady w tym bezdrożnym, dzikim kraju? - zafrasowała się Natasza.

- Jeśli pan Smuga żyje, Tommy na pewno go odnajdzie, tak jak mnie odszukał i wyrwał z niewoli u Indian Pueblosów w Meksyku! - wtrąciła Sally.

- To, co się udało Tomkowi w Ameryce Północnej, musi udać się i w Południowej! - zawtórował Zbyszek. - Nie rozumiem tylko, dlaczego tam kolonizacja poczyniła tak wspaniałe postępy, a tutaj wciąż pustka i dzicz?

- Mój drogi, złożyły się na to liczę przyczyny - powiedział Tomek.

- Wystarczy popatrzeć na mapę...

- Oglądałem ją w szkole do znudzenia! - przerwał mu Zbyszek.

- Przecież obydwa kontynenty mają podobne warunki, a jednak tutaj nic się nie zmienia na lepsze!

- Widzę, że niewiele pożytku odniosłeś z tego "ogłądania" map - odparł Tomek uśmiechając się do brata. - Mam na "Santa Marii" obszerną geografie Ameryki Południowej, w drodze do Iquitos będziesz musiał uważnie ją przestudiować. Pewne wiadomości przydadzą ci się podczas wyprawy.

- Czyżbym się mylił, mówiąc, że obydwa kontynenty posiadają podobne warunki? - zdziwił się Zbyszek.

- Wyjaśnij nam, Tomku, bo ja także byłem tego zdania co Zbyszek - odezwała się Natasza.

- Nie warto już kłaść się spać, więc prosimy o kilka słów na poruszony przez państwa Karskich temat. Ja również bardzo chętnie posłucham - rzekł Nixon.

- Obydwie Ameryki posiadają podobne warunki, jeśli chodzi o układ systemów górskich, gdyż mają stare formacje górskie na wschodzie kontynentów i wciąż jeszcze kształtujące się pasma w zachodnich swych częściach. Istnieją jednak również ważne różnice pomiędzy tymi kontynentami.

Ameryka Pomocna posiada wielki centralny obszar równin, ciągnący się od Appalachów do Gór Skalistych, nawadniany przez dorzecze Missisipi, która uchodzi do Zatoki Meksykańskiej. Natomiast Ameryka Południowa ma aż trzy wielkie obszary równin, oddzielone od siebie wyżynami, a rzeki, które je nawadniają, uchodzą do morza w trzech różnych miejscach.

Szeroka równina na wschodnim wybrzeżu Ameryki Północnej, rozciągająca się od stanu Maine na północy aż do Florydy na południu, umożliwiała europejskim osadnikom przenikanie w głąb kontynentu, podczas gdy w Ameryce Południowej nadbrzeżne wyżyny

utrudniały penetrację i zmuszały do korzystania jedynie z dróg rzecznych.

Olbrzymia centralna równina w Ameryce Północnej posiadała doskonałe warunki do budowy dróg, linii kolejowych, a szybko powstająca sieć komunikacyjna ułatwiała łączenie w jedną całość poszczególnych terenów i przyczyniała się do rozwoju handlu i przemysłu.

W Ameryce Południowej bariery górskie oddzielające niziny utrudniały komunikację. Dlatego też tutaj osadnictwo przede wszystkim krzewiło się na wybrzeżach kontynentu, podczas gdy oddzielone od siebie obszary nizinne nie związały się dotąd choćby w jakąś gospodarczą całość. Z tego też względu kraje Ameryki Południowej różnią się ukształtowaniem terenu, klimatem, mieszkańcami, naturalnymi bogactwami i stopniem rozwoju.

Nixon z uznaniem spoglądał na młodego podróżnika, a gdy ten skończył mówić, odezwał się- Winszuję tak doskonałej znajomości świata! Słyszałem jednak, że wyludnienie brzegów rzek na nizinach, a zwłaszcza nad Amazonką, nastąpiło dopiero podczas portugalskich i hiszpańskich podbojów Ameryki Łacińskiej.

- Słuszna uwaga, proszę pana - potwierdził Tomek. - Francisco de Orellana[80], hiszpański konkwistador, razem z Gonzalem Pizarrem, to jest młodszym bratem Francisco Pizarra, który pierwszy odkrył i podbił państwo Inków, wyruszył z Quito w 1541 roku na wschód w poszukiwaniu El Dorado, czyli krainy złota. Po dotarciu do rzeki Napo zbudował statek i płynąc na nim dotarł do Amazonki, a następnie w ciągu ośmiomiesięcznej żeglugi przepłynął, jako pierwszy z Europejczyków, całą tę rzekę aż do jej ujścia do Atlantyku.

Otóż Orellana był zaskoczony widokiem licznych osad na brzegach Amazonki. Również Friar Carvajal, który mu towarzyszył, stwierdził w swoim raporcie, że terytorium zamieszkane przez poddanych wielkiego władcy, zwanego Machiparo, rozciągało się co najmniej na przestrzeni stu trzydziestu kilometrów. Osada od osady nie była więcej oddalona niż na strzał z łuku. Spotykano także okolice, gdzie jedna osada rozciągała się na przestrzeni dziewięciu kilometrów, a dom stał niemal przy domu. Indianie nadamazońscy przyjaźnie witali Orellanę i dopiero później, gdy poznali okrucieństwo konkwistadorów, którzy szukając złota bezlitośnie mordowali tubylców, odsunęli się od brzegów rzeki w głąb nieprzebranych lasów.

- Obecnie biali również okrutnie postępują z Indianami - wtrąciła Natasza. - Terrorem zmuszają ich do niewolniczej pracy. Jeżeli gorączka kauczukowa potrwa jeszcze dłuższy czas, to część kontynentu zostanie, zupełnie wyludniona!

- Przerażające rzeczy opowiadasz! - szepnęła Sally.

- Tutaj życie ludzkie nie ma wielkiej wartości! - potwierdził Zbyszek.

- To prawda, że Hiszpanie i Portugalczycy okrutnie obeszli się z Indianami w Ameryce Południowej, a i teraz pod tym względem panuje tu potworne bezprawie - powiedział Nixon.

- Dość już tych rozmów! - odezwał się kapitan Nowicki. - Teraz pomyślmy o

ekwipunku na wyprawę, skoro marny poczynić zakupy w Manaos.

- Musimy ograniczyć się do najniezbędniejszych przedmiotów. Na tej wyprawie nie będzie łatwo o tragarzy - powiedział Tomek.

- Święta racja! - powtórzył Nowicki. - Nawet nie mamy pewności, czy choć kilku Indian Cubeo zechce pójść z nami.

- Pomogę panom zwerbować kilku zaufanych ludzi - zaproponował Nixon. - Uważacie, że na nic się wam nie przydam na wyprawie... No, cóż, nie jestem zbyt młody! Może macie rację, ale pojedę z wami chociaż do obozu nad Putumayo. Cubeo lubili Smugę. Jeśli Haboku zdecyduje się pójść na wyprawę, inni pójdą również!

W OBOZIE ZBIERACZY KAUCZUKU

Długa łódź chyżo płynęła w górę Rio Putumayo. Indiancy wioślarze rytmicznie zanurzali łopatkowate wiosła w falach rzeki, a im bliżej było wieczoru, tym szybciej poruszały się ich brązowe ramiona. Cubeowie, gdy tylko mieli możliwość dotrzeć do swych domów przed nocą, rezygnowali nawet z krótkich odpoczynków w ciągu dnia i posilali się w łodzi nie przerywając wiosłowania.

Tomek Wilmowski z uznaniem spoglądał na Indian, którzy od świtu niemal bez chwili przerwy wiosłowali pod prąd rzeki. Tego właśnie ranka Tomek z Nowickim i Nixonem pożegnali przyjaciół na "Santa Marii" i wysiedli na małej przystani na brzegu Putumayo, dokąd uprzejmy kapitan Slim podwiózł ich swoim statkiem. "Santa Maria" zaraz zawróciła na Amazonkę i pożeglowała w kierunku Iquitos w Peru, gdzie pozostali uczestnicy wyprawy ratunkowej mieli pozostać aż do przyjazdu Tomka i Nowickiego.

Tomek niecierpliwie oczekiwał spotkania z Wilsonem i Haboku, którzy towarzyszyli Smudze w wyprawie nad Ukajali. Zastanawiał się, jakich argumentów mógłby użyć, aby nakłonić Indianina do wyruszenia na wyprawę poszukiwawczą. Jednocześnie łowił uchem cichą rozmowę przyjaciela z Nixonem na temat obozów zbieraczy kauczuku. Słońce tymczasem coraz bardziej chyliło się ku zachodowi. Upał nieco zelżał i nadbrzeżna zieleń znów nabierała soczystej barwy. Na drzewach oplecionych lianami ożywiały się wspaniałe kwiaty, w szuwarach, krzewach i na łąkach widać było ptaki żerujące przed nocą. Zielone papugi, głośno krzyżąc, przelatywały ponad rzeką, dziki zwierz chyłkiem pojawiał się u wodopojów, krzyżały świerszcze, cykady rozpoczynały swój monotony śpiew. W nadrzecznych, niskich zaroślach mimoz i akacji śmigwały maleńkie kolibry^[81], brzęcząc w locie jak trzmiele.

Łódź płynęła w pobliżu lewego brzegu Putumayo, toteż Tomek zauważył gromadę niezwykle zwinnych, ruchliwych kolibrów; ich błyskawiczny lot mógł obserwować tylko wtedy, gdy znajdowały się na otwartym miejscu na tle jasnego nieba. Kolibry szybkim, turkoczącym lotem przefruwały od kwiatu do kwiatu, potem na krótką chwilę zawisały w powietrzu przy kielichu, ssąc z niego nektar lub wyławiając drobne owady. Gdy zatrzymywały się obok kwiatu, ruch ich skrzydeł stawał się tak szybki, że można go porównać jedynie z wibracyjnym ruchem skrzydeł much lub innych owadów. W utrzymaniu odpowiedniej pozycji ciała pomagały sobie ruchem ogonka. Oryginalne, cienkie dzioby ptaków były dostosowane do kształtu kielicha kwiatu, którego nektarem się żywiły. Jedne miały dzioby długie i proste, inne zakrzywione, a jeszcze inne były zupełnie krótkodziobe. Kolibry zaledwie krótką chwilę zatrzymywały się przy kielichu kwiatu, wydając charakterystyczny delikatny, piskliwy głos, po czym z szybkością strzały odtruwały na nowe poszukiwania.

Tomek obserwując kolibry zwrócił uwagę na ich skłonność do kłótności. Goniące za sobą maleństwa wciąż czubiły się w locie. Przypomniało mu to, że pora lęgowa kolibrów przypadała w okresie deszczowym, a więc od grudnia do lutego. Wtedy właśnie wpadały w niespokojny, kłótny nastrój. Zaczepność kolibrów przywiodła Tomkowi na myśl meksykańską legendę, która głosiła, że dusze poległych wojowników wcielały się w

kolibry.

Fruwające, pierzaste klejnociki... - ileż w nich zagadek, ile trudu sprawiały badaczom, wśród których wielu było Polaków! Ojciec wspominał mu kiedyś o swych i Smugi kontaktach z Konstantym Branickim[82], protektorem nauk przyrodniczych w Polsce. Branicki, z zamiłowania ornitolog, organizował oraz finansował wyprawy naukowe do różnych krajów w celu zbierania okazów fauny. Dzięki niemu przyrodnik i podróżnik Konstanty Jelski kolekcjonował okazy fauny w Peru. Potem jego pracę kontynuował zoolog i podróżnik Jan Sztolcman. Zbadał on wybrzeże Peru i okolice źródeł Amazonki, którą przepłynął aż do Belem, skąd powrócił do Polski. Następnie razem z Siemiradzki przebywał w Ekwadorze, a w końcu odbył wyprawę do Egiptu i Sudanu. Strzelec Jan Kalinowski, również zaangażowany przez Branickiego, przez trzynaście lat gromadził cenne zbiory w Brazylii i Peru.

Tomek słyszał od ojca, na ile trudów i osobistych niebezpieczeństw byli narażeni polscy naukowcy - podróżnicy[83]. Przeważnie w pojedynkę wyruszali w głąb nieznanych, dzikich krain, źle uzbrojeni i niedostatecznie wyposażeni. Ile ofiarności wymagało od Sztolcmana zdobycie zbioru okazów kolibra *Loddigesia mirabilis*, którego istnienie potwierdzał tylko jeden okaz tego ptaka, zdobyty w 1847 roku!

Wnętrze Ameryki Południowej wciąż jeszcze było mało znane. Wciąż jeszcze w ostępach ginęli pojedynczy podróżnicy, jak i liczne dobrze wyposażone wyprawy. W dzikim Grań Pajonalu przepadł nawet tak doświadczony podróżnik jak Smuga.

Z coraz większą dumą Tomek przypominał sobie nazwiska polskich naukowców i podróżników. Wśród nich znajdował się Józef Siemiradzki, geolog[84], który razem ze Sztolcmanem badał Ekwador, dorzecze Amazonki, Panamę i Antyle, a potem już sam podróżował po Brazylii i Argentynie. On to właśnie badał mało znane obszary Patagonii u stóp Andów i poprawił niedokładne mapy tych okolic. A Ignacy Domeyko w Chile? Odkrywał bogactwa naturalne Andów, założył pierwszy uniwersytet w Chile; jemu, jako dobroczyńcy ludzkości, wystawiono pomniki w wielu miastach[85]. Tyłu Polaków wsławiło się badaniami w Ameryce Południowej, a ilu jeszcze zasłuży się nauce w przyszłości[86]?

Mało znany kontynent Ameryki Południowej wciąż intrygował wielu wybitnych przyrodników różnej narodowości. Interesowali się nim tacy naukowcy jak Humboldt, Darwin i d'Orbigny[87]. Tomek aż napuszył się z dumy, że obok nazwisk tak sławnych ludzi znajdowały się w historii badań Ameryki Południowej również nazwiska polskich uczonych i badaczy.

- Hejże, brachu! Źle się czujesz czy drzemiesz? - zawołał kapitan No wieki.

Zamyślony Tomek drgnął i odwrócił się do przyjaciela.

- Nie śpię, Tadku - odparł. - Po prostu różne myśli plątały mi się po głowie.

- Nie baw się w filozofa na głodniaka. Pan Nixon mówi, że tylko patrzeć przystani na rzece. Już czas na kolację i odpoczynek. Nogi mi zdrętwiały od tego siedzenia w łodzi i w

brzuchu burczy.

- Nasi na "Santa Marii" siedzą teraz przy stole - mruknął Tomek.

- Za godzinę i my będziemy jedli kolację. Już widać przystań - wtrącił Nixon.

Przy prawym brzegu rzeki ukazała się prymitywna, chybotliwa platforma, zbudowana z pali drzewnych odartych z kory. Przy kilku łodziach przywiązanych lianami do przystani krzątała się grupka półnagich Indian.

Na widok nadpływającej łodzi chwycili za łuki i strzelby, gdyż spotkania z obcymi w amazońskiej dżungli zawsze budziły niepokój.

- Do stu zdechłych wielorybów! Niezbyt przyjaźnie nas tutaj witają - zawołał kapitan No wieki.

- Mają się na baczności - odparł Tomek.

W tej chwili na przystani rozbrzmiały przyjazne okrzyki. Wioślarze w łodzi ochoczo odpowiedzieli na nie i silniej uderzyli wiosłami w wodę.

Wkrótce łódź przybiła do brzegu.

Indianie Cubeo uprzejmie, lecz bez unizoności witali Nixona, który dość często przyjeżdżał do obozów zbieraczy kauczuku. Z zachowania Indian od razu można było poznać, że lubią kierownika kompanii. Nixon przedstawił Tomka i Nowickiego jako przyjaciół Smugi. Błyski życzliwego zaciekawienia ukazały się w oczach Cubeów.

Po krótkim powitaniu Indianie poprowadzili gości ku obozowi, który zbudowany był nad strumieniem wpadającym do rzeki Putumayo. Tomek i Nowicki ciekawie rozglądali się po obozie. Nigdzie nie było widać śladów napadu sprzed kilku miesięcy. W pobliżu magazynu kauczuku stały dwa baraki mieszkalne wzniesione na palach, a wokół nich stały szałas indyjskie.

Na platformie baraku ukazał się biały mężczyzna.

- Oto Wilson, kierownik tego obozu i dwóch innych w pobliżu rzeki Japura - odezwał się Nixon na widok mężczyzny.

- Cóż za miła wizyta?! - zawołał Wilson. - Czyżby przywiózł pan tak długo oczekiwanych gości z Europy?

- Nie myli się pan, nareszcie przyjechali - odparł Nixon. - To jest pan kapitan Nowicki, a to, tak dobrze znany nam z opowiadania państwa Karskich, pan Tomasz Wilmowski.

- Proszę, bardzo proszę do mnie - powiedział Wilson. - Panowie zmęczeni podróżą, zaraz będzie kolacja.

- Dobra nowina, głodny jestem jak rekin - odparł Nowicki.

- Nic dziwnego, płynęliśmy cały dzień, nasi mili goście chcieli jak najrychlej zobaczyć się z panem - wyjaśnił Nixon.

- Dobrze się złożyło, że u ujścia Putumayo zastaliśmy łódź kompanii. Zaoszczędziliśmy

czasu - odezwał się Tomek.

- Teraz utrzymuję stałą łączność między obozem i przystanią nad Amazonką - odparł Wilson. - Spodziewałem się przybycia pana Nixona lada dzień. Wkrótce zbieranie kauczuku ruszy całą parą.

- Już za miesiąc nastanie pora sucha. Wody spłyną z dżungli, trzęsawiska wyschną i umożliwią swobodny dostęp do drzew hevea, które przeważnie rosną na moczarach - dodał Nixon.

- Spodziewałem się, że panowie przyjadą w liczniejszym towarzystwie z Europy - powiedział Wilson. - Pan Karski stanowczo odradzał rozpoczęcie poszukiwań za zaginionym przed przybyciem panów. Dużo czasu już straciliśmy. Nareszcie trzeba coś przedsięwziąć.

- Teraz jestem pewny, że pan Zbyszek czynił słusznie zalecając nam czekanie na przyjazd panów. Nie zna pan najświeższych wydarzeń - rzekł Nixon. - Panowie przybyli do Manaos zaledwie przed dziesięcioma dniami, ale już dobrali się do skóry Alvarezowi tak skutecznie, że pragnie z nami ugody. W przeddzień naszego wyjazdu z Manaos złożył mi wizytę w biurze. Przysięgał, że nie wydał Cabralowi i Josemu rozkazu, aby zabili Johna. Dał od siebie list do Vargasa.

- Czy to możliwe?! - zdumiał się Wilson. - Nie wyobrażam sobie Alvareza proszącego o zgodę.

- Ja też z trudem wierzyłem własnym oczom i uszom - potaknął Nixon. - Najważniejsze jednak, że część wyprawy ratunkowej już płynie do Iquitos, a panowie wstąpili tutaj jedynie po to, aby rozmówić się z panem i zwerbować kilku Cubeów.

- A więc nareszcie coś zaczęło się dziać, jakże się cieszę! - zawołał Wilson. - Dzień i noc rozmyślam o losie Smugi. Jeśli pan Nixon się zgodzi, pójdę z panami na wyprawę. Dręczą mnie wyrzuty sumienia, że pozostawiłem go tam samego. On nie zasypiałby gruszek w popiele, gdyby był na moim miejscu.

- Ja również zaproponowałem swój udział w wyprawie, ale panowie uważają, że raczej byłbym przeszkodą niż pomocą - wtrącił Nixon.

- Wyprawa będzie narażona na wiele niebezpieczeństw. Grań Pajonal zamieszkują dzicy Kampowie. Nie obejdziesz się bez walk, a wtedy życie uczestników wyprawy będzie zależało od siły ognia karabinowego - impulsywnie powiedział Wilson.

- Jestem innego zdania, proszę pana - odparł Tomek. - Nawet najbardziej nowoczesny karabin nie chroni nikogo przed zatrutą strzałą z łuku wystrzeloną z ukrycia.

- Tomek ma rację, na tej wyprawie trzeba będzie używać forteli, a nie siły - zgodził się kapitan Nowicki. - Smuga musiał wpaść w pułapkę, on nie przegrałby otwartej walki.

- Małej grupce łatwiej przemknąć się między wojowniczymi plemionami - dodał Tomek. - W dżungli Indianie będą atakować z ukrycia. Taka jest ich wojenna taktyka. Musimy postępować tak samo jak oni, jeżeli chcemy ich przechytrzyć.

- Panowie chcieliby zwerbować doświadczonego Haboku i jeszcze kilku innych Cubeów - odezwał się Nixon.

- Haboku nie ma w obozie - odpowiedział Wilson. - Dwa tygodnie temu wyruszył do swej wioski nad rzeką Uaupes.

- Do licha, to zła nowina - zafrasował się Nixon. - Ten dzielny człowiek przydałby się panom na wyprawie.

- Obawiam się również, że bez niego trudno będzie zwerbować innych. On cieszy się wielkim mirem wśród swoich - powiedział Wilson.

- Czy Haboku nie wróci już do obozu? - zapytał Tomek.

- Miał zamiar się ożenić, poszedł po żonę - wyjaśnił Wilson. - Nie możemy liczyć na jego szybki powrót.

- Do stu par beczek zjełczanego tranu! - zaklął Nowicki. - Musimy zabrać kilku zaufanych i odważnych tragarzy.

- A co się dzieje z innymi Cubeami, którzy towarzyszyli Smudze?

- zapytał Tomek.

- Oprócz Haboku było ich jeszcze czterech, ale również poszli z nim nad rzekę Uaupes - wyjaśnił Wilson.

- Szkoda, bardzo chciałbym mieć ich przy sobie - rzekł Tomek.

- To są przyjaciele Haboku. Poszli z nim, gdyż zamierzał ożenić się z dziewczyną z obcego klanu. W takiej sytuacji pan młody musi symulować porwanie dziewczyny, podczas którego jej bracia klanowi pozorują obronę. Ma to symbolizować fakt, że nikt dobrowolnie nie chce opuścić swego klanu - powiedział Wilson.

- Ci czterej kumple mają pomagać Haboku w tym porwaniu na niby?

- wtrącił Nowicki.

- Tak. Sprawa układa się niefortunnie - mówił Wilson. - Cubeowie są nieocenionymi towarzyszami na takich wyprawach. Od wieków mieszkają nad rzekami, dzięki czemu wyrobili sobie zamiłowanie do podróżowania do innych szczepów. Niektórzy znają nawet po kilka języków, a poza tym są doskonałymi tropicielami i nie znają lęku.

- A co by panowie powiedzieli na propozycję udania się do osiedli Cubeów? - zapytał Nixon. - Pozyskanie Haboku i jego przyjaciół warte jest zachodu.

- Musicie mieć chociaż kilku pewnych ludzi - stanowczo powiedział Wilson. - Jest to szczególnie ważne, ponieważ wyprawa wasza nie będzie zbyt liczna.

- Ile czasu zajęłoby nam odszukanie Haboku? - zapytał Tomek.

- Cubeowie mieszkają na brzegach Uaupes w pobliżu jej ujścia do Rio Negro. Będzie to stąd w linii prostej około trzystu kilometrów - odpowiedział Wilson. - Dotarcie do nich i powrót zajęłyby nam około dwóch tygodni.

- Co myślisz, brachu? - Nowicki zagadnął Tomka. - Zabieramy dwie kobiety. Musimy myśleć o ich bezpieczeństwie.

- Czy mógłbym wysłać list do żony oraz przyjaciół w Iquitos?

- krótko zapytał Tomek. - Należy powiadomić ich o przyczynach zwłoki.

- Więc panowie decydują się na wyprawę do Cubeów? - odezwał się Nixon.

- Tak, to chyba najrozsądniejsze wyjście - odpowiedział Tomek.

- Jestem tego samego zdania - potwierdził Wilson. - Proszę przygotować list, a ja zajmę się wysłaniem go do Iquitos. Jeśli pan Nixon nie ma nic przeciwko temu, będę przewodnikiem panów w drodze do Cubeów. Znam przecież Haboku, może łatwiej zdołam go namówić.

- Dziękuję, właśnie chciałem prosić pana o to - odparł Nixon.

- Przypilnuję pracy w obozach podczas pana nieobecności.

- Kiedy możemy wyruszyć? - zapytał kapitan Nowicki.

- Potrzebuję pół dnia na poinformowanie pana Nixona o stanie naszych prac, a po południu w drogę! - odparł Wilson. - Czy to panom odpowiada?

- Zgoda, im wcześniej, tym lepiej - potaknął Nowicki.

- W drodze porozmawiamy o tym, co zdarzyło się nad Ukajali podczas waszej wyprawy do Vargasa - dodał Tomek.

Zaraz po kolacji Tomek i Nowicki napisali obszerny list do przyjaciół, po czym udali się na zasłużony odpoczynek.

O świcie obóz zbieraczy kauczuku rozbrzmiał gwarem. Tomek z Nowickim zaraz zerwali się z posłań i wyszli z baraku. Wilson z kilkoma uzbrojonymi capangami krzatali się wśród Indian. Seringueirowie uzbrojeni w maczety[88] przygotowywali blaszane naczynia i tykwy, w które ściekał z drzew sok kauczukowy. Kolejno odchodzili w las na poranny obchód swoich działek. Inni również nie próżnowali. Kobiety przygotowywały posiłek dla seringueirów, a potem razem z dziećmi gromadziły drzewo oraz orzeszki palm urucuri, w których dymie tężało mleczko kauczukowe.

Wilson powitał Tomka i Nowickiego, po czym rzekł- Musimy rozpoczynać pracę już o świcie, potem, gdy słońce stoi w zenicie, sok kauczukowy krzepnie pod wpływem żaru i zasklepia nacięcia kory na drzewach.

- Wstaliśmy wcześniej, ponieważ pierwszy raz znajdujemy się w obozie zbieraczy kauczuku - powiedział Tomek. - Ciekawi jesteśmy, w jaki sposób eksploatuje się drzewa hevea.

- Oczywiście, o kauczuku głośno na świecie, warto skorzystać z okazji - potaknął Wilson. - Proszę, niech panowie rozejrzą się po obozie. Teren przez nas eksploatowany stanowi jakby naturalną plantację. Podzieliliśmy ją na działki, które obsługują

poszczególne seringueirowie. Działki z konieczności są dość rozległe, ponieważ drzewa hevea nie rosną w skupieniu. Na mniej więcej osiemdziesiąt drzew różnych gatunków przypada jedno kauczukowe, a każdy seringueiro eksploatuje około stu pięćdziesięciu drzew hevea.

- Może pan nam wyjaśni, jaką pracę musi wykonać seringueiro? - poprosił Tomek.

- Najpierw wyrąbuje maczetą ścieżynkę w gęstwinie leśnej. Czyni to w ten sposób, aby ścieżka wiodła od drzewa do drzewa i po zatoczeniu koła wracała do punktu wyjścia z obozu. Potem codziennie o świcie wyrusza w las, w odpowiedni sposób nacina korę na drzewach hevea, a poniżej nacięcia przymocowuje naczynie, w które ścieka sok podobny do koziego mleka, dający się wyciągać w długie nitki.

Drugi obchód działki seringueiro rozpoczyna po południu, aby w wiadro zlać sok zgromadzony w naczyniach umocowanych pod nacięciami kory. Po powrocie z obchodu natychmiast musi stężyć sok, krople deszczu rozwadniają bowiem mleczko kauczukowe i mogłyby zniweczyć jego całodzienną pracę - W jaki sposób stęży się mleczko kauczukowe? Nie widać tu jakichś specjalnych urządzeń - zagadnął kapitan Nowicki.

- Do tego celu wystarczają te jednospadowe daszki kryte liśćmi i wzniesione na drągach - odparł Wilson wskazując kilkadziesiąt szałasów w różnych miejscach obozu. - Seringueiro rozpala pod daszkiem ognisko i podsycza je orzeszkami palmy urucuri wydzielającymi szary dym, który pomaga w krzepnięciu mleczka kauczukowego. Seringueiro zanurza tak zwaną bolachę w wiadrze napełnionym mleczkiem, po czym oblepiony sok suszy nad ogniem[89]. Czynność tę powtarza wielokrotnie, dopóki na bolasze nie utworzy się stężała, maczugowata masa. Podczas suszenia żółtawy sok kauczukowy czernieje od dymu. Stwardniała, czarna kulę seringueiro odnosi do magazynu, gdzie zbiory oczekują na transport do Manaus.

- Wcale łatwy sposób na zdobycie fortuny - wtrącił kapitan Nowicki.

- Nie zgodziłbym się z pana zdaniem - zaoponował Wilson. - Praca seringueiro nie jest łatwa ani bezpieczna. Tropikalna puszcza zazdrośnie strzeże swoich bogactw. Seringueiro musi wystrzegać się jadowitych gadów, owadów i drapieżników. Wolni Indianie uważają go za swego śmiertelnego wroga, gdyż wdziera się do ich ojczystych krain, a biali spekulanci kauczukowi oraz awanturnicy walczą między sobą o cenny łup i pracowite ręce. Kauczuk broczy krwią ludzką. Tysiące seringueirów giną w puszczy[90].

- A niech to rekin połknie! Nie myślałem o tym, a przecież nasz Smuga również przepadł przez kauczuk - zawołał Nowicki.

- Jak długo można eksploatować jedno drzewo? - zapytał Tomek.

- Najpierw zbierano sok kauczukowy w sposób rabunkowy. Seringueiro po prostu ścinał drzewo, a potem dopiero żłobił na nim korę, aby zebrać sok. Potem nauczono się wydobywać mleczko bez niszczenia całego drzewa. Mimo to po wypłynięciu soku należy pozostawić drzewo w spokoju przez kilka lat. Odrastanie kory w nacięciach trwa około pięciu, sześciu lat i dopiero wtedy nadaje się ono do ponownej eksploatacji. Drzewo

nacinane zbyt często, usycha.

- Kapitanie, mamy trochę czasu, więc pospacerujmy po lesie, chciałbym obejrzeć drzewa kauczukowe w ich naturalnym środowisku - odezwał się Tomek.

- Racja, skorzystajmy z okazji.

POLACY W BRAZYLII

Zaraz po śniadaniu obydwaj przyjaciele wyruszyli w las. Wąska ścieżka wiodła przez gąszcz krzewów i lian oplatających konary drzew. Dżungla właśnie budziła się do życia po nocnym śnie. Podejrzane szmery, szelesty, piski i krzyki rozbrzmiewały wokoło. Promienie wschodzącego słońca gdzieś tam przedzierały się poprzez korony drzew i rozpraszały półmrok. Różnokolorowe wspaniałe kwiaty rozchylały kielichy, w powietrzu unosił się odurzający aromat.

Ścieżka wyrębana przez seringueirów nieomylnie doprowadzała do pojedynczo rozrzuconych po lesie drzew hevea. Były one podobne do naszego jesionu. Pień miały wysoki i smukły, pokryty jasnoszarą, jedwabisto gładką korą. Wysokie i rzadkie korony przepuszczały dużo dziennego światła. Tomek i Nowicki z łatwością rozpoznawali drzewa kauczukowe, bowiem szerokie nacięcia na korze oraz tykwy przymocowane u dołu rozpraszały wszelkie wątpliwości.

- Popatrz, brachu, jak dżungla broni się przed człowiekiem - zagadnął kapitan Nowicki.
- Gąszcz wdiera się na ścieżkę, chociaż widać, że seringueiro dzisiaj nie żałował maczety!

- Uważaj, Tadku, pod zbutwiałymi liśćmi lubią gnieździć się skolopendry [\[91\]](#), których ukąszenie może być bardzo niebezpieczne nawet dla człowieka.

- Każesz mi uważać na skolopendry, a tu czerwone mrówki sypią mi się na kark - burknął Nowicki. - Do licha, parzą jak ukrop!

- Zagapiłeś się na drzewo kauczukowe, kiedy trzeba na wszystko uważać. Czekaj, pomogę ci strząsnąć mrówki. Ich ukąszenia mogą spowodować wysoką gorączkę.

- Po powrocie do obozu napiję się rumu, to mi nic nie będzie - odparł Nowicki. - Ile pijawek na tych mokradłach! Jak ci Indianie mogą łązić boso po tym robactwie?!

- Żyją w dżungli od wieków - odparł Tomek. - Czy nie zauważyłeś, że niektórzy Indianie pozbawieni są całych płatów skóry na ciele? To właśnie pasożytnicze owady i robaki tak ich okropnie urządziły.

- Trzeba przyznać, że dość zręcznie potrafią wyciskać je z ciała za pomocą patyków. Robią to zupełnie tak samo jak Papuasi w Nowej Gwinei.

- Większość Papuasów również żyje w błotnistych, tropikalnych dżunglach.

- A niech sobie tam żyją, skoro im to odpowiada - odparł kapitan Nowicki.

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić - rzekł Tomek. - Przecież wielu Polaków również osiedla się w Brazylii! Chłopi nasi przybywają tu z całymi rodzinami.

- Po jakie licho polscy chłopi tak pchają się do tej Brazylii? Nędzne tu życie i bieda aż piszczy! Gdyby ktoś opowiedział im w Polsce, jak tu jest naprawdę, przestaliby marzyć o Ameryce Południowej!

- U nas w kraju ziemia przeważnie należy jeszcze do obszarników, a tutaj jest jej pod dostatkiem - odparł Tomek.

- Przysiadźmy na tym zwalonym pniu i pogadajmy - zaproponował Nowicki. - Siadaj śmiało, nie widzę robactwa!

Wyjął fajkę, nabił ją tytoniem i zapalił. Wypuścił kłąb dymu na mrówki biegające po pniu, na którym siedzieli, po czym zagadnął- Ciekaw jestem, który z Polaków pierwszy przybył do Brazylii? Czy słyszałeś coś na ten temat?

- A jakże, słyszałem. Pierwszym Polakiem znanym w Brazylii był Krzysztof Arciszewski, admirał wojsk holenderskich.

- To musiało być bardzo dawno, bo nic nie wiem o nim. Któż to był?

- Arciszewski[92], jako wygnaniec z Polski, osiadł w Holandii i wstąpił na studia inżynierii wojskowej oraz artylerii. W roku tysiąc sześćset dwudziestym dziewiątym w randze kapitana piechoty wziął udział w ekspedycji do Brazylii, gdyż w tym właśnie czasie Holendrzy próbowali zagarnąć hiszpańską kolonię w Ameryce Południowej.

Flota holenderska zaatakowała od strony morza miasto Olinda, stolicę kapitanii[93] Pernambuco, oraz umocniony fort Recife na południowym brzegu zatoki. Strzały artyleryjskie ze statków na wzburzonym oceanie nie trafiały skutecznie i Holendrzy nie mogli zdobyć miasta. Wtedy Arciszewski, który brał udział w naradzie wojennej, doradził przypuszczenie szturm od strony lądu, skąd Hiszpanie nie spodziewali się ataku. Za jego radą cichaczem wysadzono na brzeg trzy tysiące żołnierzy i wtedy ekspedycja holenderska zdobyła umocnione miasta.

Potem Arciszewski powrócił do Holandii, skąd już jako pułkownik wyruszył na nową ekspedycję do Brazylii. Wspólnie z Zygmuntem Szkopem, pochodzącym ze Śląska, prowadził działania wojenne przeciwko Hiszpanom. Zdobył fort Arrayal, a potem pokonał nowego dowódcę hiszpańskiego, księcia Lermę. W końcu został mianowany generałem artylerii i admirałem holenderskich sił morskich w Brazylii.

- Skoro był tak wielką figurą w holenderskiej kolonii, to na pewno dochrapał się niezłej fortuny - wtrącił Nowicki.

- Mylisz się, Tadku, Arciszewski nie był konkwistadorem i nie walczył dla osobistych korzyści. Powrócił do Polski, gdzie jako generał artylerii koronnej walczył z Chmielnickim pod Piławcami, a później przygotowywał i kierował obroną Lwowa.

- Wojskowy zawsze jakoś sobie poradzi, bo dobry żołnierz wszędzie się przyda - zauważył Nowicki. - Mnie przede wszystkim żal naszej biedoty, która za kawałkiem chleba wędruje do Brazylii. Niedawno czytałem na ten temat książkę Konopnickiej "Pan Balcer w Brazylii". Aż mi się płakać chciało nad niedolą naszych osadników. Taki już widać los Polaków, że albo prześladowania zaborców, albo skrajna nędza wyganiają ich z własnego kraju.

- Cóż możemy na to poradzić?! - odezwał się Tomek wzruszony, bo przecież on, jego ojciec i przyjaciele również musieli uciekać z Warszawy okupowanej przez Rosjan. - Nie wszystkim Polakom trudno było ułożyć sobie życie w Brazylii. Polscy uchodźcy polityczni po powstaniu listopadowym, Wiośnie Ludów i po powstaniu styczniowym byli ludźmi

wykształconymi, pożądanymi w Brazylii. Potomkowie Tromkowskich piastowali wysokie stanowiska w armii brazylijskiej, inżynierowie Rymkiewicz i Brodowski budowali linię kolejową, łączącą Sao Paulo z portem Santos oraz ruchomy port w Manaus, a inżynier Babiński wykonał pierwszą mapę geologiczną tego kraju. Inni, jak na przykład Durski[94], troszczyli się o utrzymanie polskości wśród naszych osadników. Gorzej natomiast wiodło się tutaj naszej emigracji zarobkowej. Tworzyły ją w większości rodziny chłopskie, które w Polsce nie mogły liczyć na otrzymanie ziemi. Ludzie ci nie posiadali jakiegokolwiek wykształcenia, nie znali obcych języków, nie mieli pojęcia o geografii, a więc nie znali także warunków istniejących w tej wymarzonej przez nich Brazylii. Na wieść, że w Ameryce darmo dają ziemię, sprzedawali swój skromny dobytek i ruszali za morze. Wielu z nich musiało przeżyć dużo rozczarowań, a nawet tragedii.

- Mów dalej, Tomku. Smutne to sprawy, ale zarazem pouczające - powiedział Nowicki.

- Wiele wrzawy spowodowała niezwykła historia kilkudziesięciu polskich rodzin z Górnego Śląska, które osiedlono w pobliżu niemieckich kolonistów w osadzie Brusque w stanie Santa Catarina. Okolica była tam górzysta, ziemia nieurodzajna. Koloniści niemieccy uważali Polaków ze Śląska za Niemców i zaczęli szykanować opornych, którzy pragnęli zachować swą odrębność narodową. Bezradni polscy chłopi szukali pomocy u geometry Woś-Saporskiego, również emigranta ze Śląska[95], oraz u księdza Antoniego Zielińskiego, proboszcza parafii w Gaspar, którzy byli wśród nich jedynymi ludźmi posiadającymi pewne wykształcenie.

Otóż Woś-Saporski i ksiądz Zieliński wpadli na pomysł stworzenia zwartych polskich osad w Paranie, gdzie w okolicy Kurytyby powstała w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim pierwsza polska osada. Rozpoczęli długie i żmudne starania, aby uzyskać zgodę władz brazylijskich na przesiedlenie Polaków z Santa Catariny do stanu Parana o znośniejszym klimacie.

Niemiecki *zarząd* kolonii w Brusque dowiedział się wkrótce o zamiarach Polaków; obawiając się wyludnienia kolonii zaczął przeciwdziałać i wicherzyć. Doszło nawet do zbrojnego terroryzowania Polaków. Rozgoryczeni polscy chłopi, za radą i pod przewodnictwem Woś-Saporskiego, postanowili uciec potajemnie z Brusque. W tym celu zbudowali tratwy i pewnej nocy cichaczem odpłynęli rzeką, a później pieszo wędrowali przez góry i dziewiczą puszczy aż do Itajai, gdzie miał oczekiwać na nich parański statek. Wyprowadzeni w pole Niemcy nie dali za wygraną, jeszcze w Itajai próbowali uniemożliwić odpłynięcie statku z polskimi osadnikami. Dopiero wtrącenie się władz parańskich ostatecznie uwolniło Polaków od szykan.

W ten sposób trzydzieści dwie rodziny polskie ze Śląska przybyły do Parany i założyły pod Kurytybą osadę nazwaną przez Woś-Saporskiego Pilarsinho[96].

- Cóż to za dziwna nazwa? Na jego miejscu wymyśliłbym jakąś polską - oburzył się kapitan Nowicki.

- Pilarsinho znaczy po polsku "pielgrzymka". Nazwą tą Woś-Saporski pragnął upamiętnić pełną trudów pieszą wędrowkę Polaków z Santa Catariny do Parany - wyjaśnił

Tomek.

- Ha, jeśli tak, to słusznie zrobił. Chyba jeszcze nie skończyłeś, więc mów dalej, brachu.

- Przy końcu ubiegłego wieku polscy chłopcy kilkakrotnie masowo wyruszyli do Brazylii[97]. Również wtedy nie brakło tragicznych wydarzeń. Emigranci przybywający do Brazylii byli najpierw umieszczani w ogólnych barakach, w których oczekiwali na przydział ziemi w głębi kraju. W zatłoczonych barakach przeważnie panowały złe warunki sanitarne. Toteż w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym w Santos, w barakach zajmowanych przez polskich emigrantów, wybuchła żółta febra. Doprowadzeni do ostateczności Polacy pragnęli za wszelką cenę wydostać się gdzieś w chłodniejsze okolice. Uchwycili się tej myśli jak ostatniej deski ratunku. Około sześciu tysięcy polskich chłopów, kobiet i dzieci ruszyło pieszo w kierunku południowym. Był to prawdziwy pochód śmierci. Cięższe przedmioty porzucali w drodze, co mieli cenniejszego wymieniali na żywność, a w końcu umierając z głodu oddawali nawet własne dzieci...

- Przestań, to zbyt okropne! Nieszczęśliwi ludzie, szukali lepszego bytu, a znaleźli straszliwą poniewierkę. Na pewno żałowali potem, że opuścili własny kraj. Nawet kawałek suchego chleba lepiej smakuje w rodzinnym domu niż marcepan u obcych. Gdy tylko Polska odzyska niepodległość natychmiast wracam do naszej Warszawy.

- Wszyscy tam powrócimy, Tadku. Ojciec również bardzo tęskni za krajem. Założymy ogrody zoologiczne w Warszawie i w innych miastach, a później będziemy zwozili różne zwierzęta.

- Przednia myśl! - podchwycił Nowicki, po czym znów zagadnął: - Czy nie słyszałeś, jak też nasi osadnicy dawali sobie radę z tutejszymi Indianami?

- Polscy chłopcy marząc o zdobyciu kawałka ziemi nawet nie orientowali się, że w Brazylii jeszcze żyją prawowici właściciele tego kraju - Indianie. Prawdopodobnie w ogóle nawet nie wiedzieli, że dotąd istnieją na świecie pierwotne, prymitywne ludy myśliwskie. Pierwsi nasi emigranci, którzy osiedlili się w stanie Parana koło Kurytyby, nie zetknęli się z Indianami, gdyż zostali oni stamtąd wyparci jeszcze przed przybyciem Polaków. Tak samo koloniści dalej na północnym zachodzie kraju natrafili jedynie na nielicznych Indian ze szczepów Koroadów, którzy tylko od czasu do czasu zagrażali ich bezpieczeństwu.

W znacznie gorszej sytuacji znaleźli się polscy koloniści osiedleni nad rzeką Negro i Iguassu, na pograniczu stanów Parana i Santa Catarina. Na południe od dolin tych rzek zamieszkiwali Botokudzi, należący do najbardziej znanego szczepu myśliwskiego we wschodniej Brazylii. Botokudzi nie chcieli przyjąć obcej cywilizacji białych i raczej woleli wyginąć, niż utracić własną wolność. W dalszym ciągu prowadzili bardzo prymitywne życie; nie znali garncarstwa, nie umieli prać. Do łowienia ryb używali strzał, mięso piekli nad ogniem lub na rozgrzanych kamieniach, uprawiali ludożerstwo. Jedyny ubiór stanowiły ozdoby noszone w uszach i wargach. Swoich zmarłych zakopywali w szalaszach, a ziemię grobu mocno ubijali, aby nieboszczyk nie mógł wstać i krzywdzić żywych ludzi. Ci prymitywni Botokudzi w bardzo oryginalny sposób załatwiali spory międzyplemienne. Nie prowadzili wojen między sobą, a wszelkie zatargi rozstrzygał pojedynek wodzów

poważnionych plemion.

- To mi się bardzo podoba - wtrącił Nowicki z uznaniem. - Na wszelkich wojnach zawsze najwięcej cierpią niewinni ludzie. Wielka szkoda, że w Europie nie ma takiego zwyczaju.

- Wtedy natychmiast bym zgłosił twoją kandydaturę na naczelnego wodza Polaków - zawołał Tomek rozweselony.

- Mądrze byś zrobił, brachu, bo wyzwiałbym na pojedynek jednocześnie rosyjskiego cara, niemieckiego cesarza oraz króla Austriaków i jak amen w pacierzu za jednym zamachem wszystkim im poukręcałbym łepetyny.

- Znając twoją siłę wierzę, że mógłbyś tego dokonać.

- No, dość żartów! Teraz mów dalej o Botokudach i naszych osadnikach.

- Trzeba wyjaśnić, że koloniści niemieccy pierwsi zetknęli się z Botokudami w Santa Catarina. Prowadzili też z nimi uporczywe, krwawe walki i dopiero po kilkudziesięciu latach ostatecznie odepchnęli ich w głąb kraju.

Polscy osadnicy popadli w zatargi z Botokudami u schyłku ubiegłego wieku. Stało się to w osadach na południe od rzeki Negro, gdzie właśnie leżała góra Taio, uważana przez Botokudów za świętą. Początkowo Indianie nie zaczepiali Polaków. Już uprzednio doświadczyli na własnej skórze okrucieństw białych ludzi i woleli nie zbliżać się do nich. Gdy osadnicy jednak zaczęli wycinać lasy w pobliżu świętej góry, Botokudzi poczuli się zagrożeni. Nie od razu zaatakowali Polaków, bowiem nie mieli zwyczaju napadać na kogokolwiek bez uprzedniego ostrzeżenia. Próbowali więc wystraszyć osadników rzucając w nocy kijami w drzwi i pukając pałkami w ściany domów. Dopiero gdy to nie poskutkowało, zaczęli urządzać krwawe napady.

Polscy osadnicy byli bezbronni i bezradni. Padły więc ofiary. Kilkanaście rodzin uciekło z zagrożonych terenów, ale na ich miejsce napływali inni, zbroili się i dalej wycinali lasy. W końcu poznali taktykę wojenną Botokudów i sami rozpoczęli wojnę podjazdową, która podobno trwa tam jeszcze do tej pory. Jest to chyba jedyna w dziejach wojna polsko-indiańska[98].

- A niech to wieloryb połknie! Trudno mi nawet życzyć naszym osadnikom zwycięstwa - odezwał się kapitan Nowicki. - Przecież ci nieszczęśni dzielni Botokudzi bronią słusznej sprawy.

- Smutna to prawda. Zwycięstwo naszych kolonistów nie sprawi nam radości - odparł Tomek. - Nasi emigranci nie mogli i nie mieli dokąd wracać z Parany. Brak wykształcenia i pieniędzy uniemożliwił im szukanie innego zajęcia. Jedynie uprawa własnej ziemi mogła zapewnić im ten nieraz gorzki kawałek chleba. Jestem pewny, że nie odczuwają nienawiści do nieszczęsnych Indian, z którymi okrutny dla obojga stron los kazał im walczyć.

- Botokudzi do ostatniego człowieka będą bronili świętej góry Taio.

Żal mi tych biedaków.

- Mnie również, Tadku, lecz niestety nic nie możemy na to poradzić. Wokół cmentarzy dzielnych Botokudów osadnicy będą uprawiali rolę, a potem pozostanie tylko legenda o bohaterskich i nieszczęsnych Indianach.

Obydwaj posmutnieli i umilkli. Żal im było Indian skazanych na zagładę i jednocześnie smucił ich los polskich chłopów, wygnanych przez nędzę z własnej ojczyzny. Dopiero po dłuższej chwili kapitan Nowicki wydobył kraciastą chustkę z kieszeni i wysuszył czoło z potu. Następnie spojrzał w błękit nieba prześwitującego poprzez korony drzew.

- Słońce zaczyna przygrzewać - odezwał się. - Za kilka godzin wyruszamy w drogę do Cubeów. Czas już wracać do obozu.

Zamyśleni szli przez las. Naraz Tomek przystanął i przytrzymał przyjaciela za ramię. Nowicki zaledwie spojrzał za jego wzrokiem utkwionym w pobliskim gąszczu, natychmiast obydwoma dłońmi chwycił rękojeści rewolwerów tkwiących w pochwach u pasa.

- Nie strzelaj! - szepnął Tomek.

Z lewej strony ścieżki, w gąszczu okolonym trzęsawiskiem, poruszyło się czerwono-żółte cielsko upstrzone pierścieniowatymi cętkami oraz bezkształtnymi czarnymi plamami. Był to olbrzymi jaguar [99] prawie dwumetrowej długości. Przebudzony z południowej drzemki wysunął z krzaków łeb o ostro ściętym pysku i żółtawymi ślepiami spoglądał na obydwóch intruzów na ścieżce. Prądkowaty, sprężysty, długi ogon poruszył się niespokojnie i zaszeleścił liśćmi. Jaguar uniósł się na łapach. Nowicki pochylił się do przodu, błyskawicznym ruchem wydobył obydwa rewolwery naraz, lecz Tomek cichym głosem jeszcze raz ostrzegł go- Nie strzelaj!

Zaraz też wysunął się przed przyjaciela, uniemożliwiając mu tym samym strzał do drapieżnika.

- Oszalałeś! - syknął Nowicki.

Tomek tymczasem wpił wzrok w oczy jaguara. Olbrzymie kocisko rozchyliło paszczę. Błysnęły białe kły, cichy, jękliwy pomruk rozbrzmiał w ciszy dżungli.

Tomek jeszcze o krok wolno przybliżył się do drapieżnika. Odór ciała dzikiego zwierzęcia stał się jeszcze ostrzejszy. Tomek przystanął nie odrywając swego przenikliwego wzroku od oczu przyczajonego jaguara.

Zwierzę zmrużyło ślepia, leniwie rozchyliło paszczę, lecz jękliwy pomruk już nie brzmiał zbyt agresywnie. Jaguar wstrząsnął łbem, jakby opędzał się od natrętnego owada. Potem przez długą chwilę, która Nowickiemu wydała się wiecznością, Tomek i jaguar spoglądali sobie w oczy, aż w końcu przyczajone zwierzę zaczęło tyłem cofać się w krzewy. Tomek nagle klasnął w dłonie. Jaguar, jakby zbudzony ze snu, wielkim susem wskoczył w gąszcz i zniknął w lesie.

Tomek odwrócił się do przyjaciela. Wyraz olbrzymiego napięcia już zniknął z jego twarzy. Uśmiechnął się do osłupiałego marynarza i rzekł- Udało się, co?

- Chyba wściekły rekin cię ugryzł! - wybuchnął Nowicki.

- Dlaczego się gniewasz? - zapytał Tomek. - Nie byłem tak bardzo lekkomyślny. Wiedziałem przecież, że stoisz za moimi plecami z bronią w garści. W każdej chwili mogłem uskoczyć w bok i tobie odsłonić cel. Wiedziałem, że nie chybisz.

- Po jakie лихо się narażałeś? Już drugi raz spróbowałeś tej sztuczki z hipnotyzowaniem zwierzęcia.

- To jeszcze pamiętasz tę historię z gepardem maharani w Indiach? - zdziwił się Tomek.

- Dobrze sobie! - oburzył się Nowicki. - Skóra mi wtedy cierpła na grzbiecie, chociaż gepard był oswojony.

- Nie gniewaj się, naprawdę byłem szalenie ciekawy, jak zachowa się w podobnej sytuacji dziki drapieżnik.

- Czy masz zamiar zostać hipnotyzerem zwierząt? - zżymał się Nowicki.

Tomek roześmiał się, a potem rzekł- W przyszłości zamierzam spróbować szczęścia jako treser dzikich zwierząt. Dlatego chętnie dokonuję różnych doświadczeń.

- W każdym razie więcej nie płataj takich sztuczek przy mnie, bo chociaż jesteś żonaty, spuszczę ci lanie, jak amen w pacierzu.

- Przyrzekam poprawę, ale niebezpieczeństwo naprawdę wcale nie było tak wielkie. Leniwe ruchy jaguara od razu wskazywały, że w nocy najadł się do syta. Smuga nieraz mówił mi, że jaguar w przeciwieństwie do pumy[100] nie skrada się po śladach człowieka. Jeśli niespodziewanie natknie się na niego, to albo po prostu ucieka, albo spokojnie mu się przygląda. Groźny jest tylko wtedy, gdy go się zaczepia.

- A ja słyszałem, że jeśli jakiś drapieżny kot raz popróbuje ludzkiego mięsa, to potem już z upodobaniem poluje na człowieka.

- To prawda, bo bezbronni lub źle uzbrojeni krajowcy są łatwym dla niego łupem - przyznał Tomek. - Słyszeliśmy o polujących na ludzi tygrysach w Indiach i lwach w Afryce.

- Dlatego właśnie rozgniewałem się na ciebie. Ten jaguar też mógł być ludojadem.

- Na ludzi przeważnie polują stare sztuki, które już nie mają siły na pościg i walkę ze zwinnym zwierzęciem. Ten jaguar był na to zbyt młody.

- Wolałbym go zabić. Pewnie gdzieś blisko tutaj ma swoją kryjówkę, może napaść któregoś zbieracza kauczuku.

- Jaguary są w Amazonii dość pospolite, bowiem zamieszkują zalesione brzegi rzek, pobraża bagnistych puszczy i trzęsawiska. Przeważnie nie mają stałych kryjówek. Południową drzemkę ucinają tam, gdzie zastanie je słońce. Wtedy też po nocnej uczcie są zazwyczaj ociężałe, podczas gdy w nocy na łowach poruszają się zwinnie i szybko.

Tak rozmawiając weszli do obozu. W pobliżu baraku zastali Nixona, który na ich widok zawołał- Czekamy z obiadem! Wilson już gotowy do drogi, możecie wyruszyć natychmiast po posiłku.

- My również jesteśmy przygotowani - odparł Tomek.

- A jakże, bagaży mamy niewiele, to i kłopotu mało - dodał Nowicki.

- Wilson już załadował wszystko do łodzi. Rzeki jeszcze rozlane szeroko, toteż w obecnej porze podróż nie będzie zbyt uciążliwa. Cubeowie, którzy popłyną z panami jako wioślarze, doskonale znają drogę.

- Dobra nowina! - odparł Nowicki. - W łodzi odpoczniemy po porannym spacerku!

CUBEO – CZYLI „LUDZIE, KTÓRYCH NIE MA”

Haboku przysiadł na skraju maty z włókien palmowych, położonej na ziemi w cieniu drzewa. Przed nim leżał rozłożony na części karabin. Haboku właśnie zabrał się do starannego czyszczenia zamka broni, ponieważ nazajutrz o świcie zamierzał rozpocząć polowanie na grubego zwierza. Nie opodał grupka chłopców przykucnęła półkolem i w skupieniu śledziła ruchy odważnego myśliwego.

Haboku był łowcą jaguarów, co wśród Cubeów uznawano za najwyższy objaw męstwa i odwagi. Oprócz symbolicznego naszyjnika z zębów jaguara oraz przepaski biodrowej ze skóry pancernika, Haboku także wyróżniał się wśród mieszkańców wioski posiadaniem karabinu. To jeszcze bardziej zwiększało jego autorytet. Haboku rzadko zabierał broń palną na polowanie. W dżungli niełatwo było o naboje. Wszakże tym razem miał zamiar upolować antę, czyli tapira[\[101\]](#), którego ślady wytropił po drugiej stronie rzeki. Karabin przypominał mu daleką wyprawę w okolice rzeki Ukajali. Właśnie za udział w niej otrzymał od Smugi tę wspaniałą broń.

- Cóż się stało ze Smugą? Zapewne zginął, skoro minęło tyle czasu, a on nie wrócił. Haboku doskonale rozumiał tego sprawiedliwego, białego człowieka, który chciał ukarać morderców oraz sprawców napadu na obóz nad Putumayo. Indianin również nigdy nie zapominał wyrządzonej mu krzywdy. Dlaczego jednak Nixon i Wilson nie szukali Smugi? Dlaczego pozostawili go własnemu losowi? Haboku gniewnie zmarszczył brwi. Wszyscy Cubeowie w obozie nad Putumayo uważali, że ci dwaj biali nie zachowali się wobec Smugi jak prawdziwi przyjaciele. Haboku odszedł więc z obozu poszukiwaczy kauczuku i już nie miał zamiaru tam powrócić. Niech biali załatwiają swe sprawy między sobą! Cóż oni mogli go obchodzić?

Haboku spojrział na rzekę. Uśmiechnął się do niej jak do starej, dobrej znajomej. Przecież znał ją od dzieciństwa. Nad tą świętą rzeką lud Cubeo zamieszkiwał od wieków. Katarakty i dopływy strumieni stanowiły granice zasięgu poszczególnych klanów. Haboku wrócił do swoich; wiedział, że jego radości i troski dzieliła z nim nie tylko najbliższa rodzina, lecz wszyscy mieszkańcy maloki[\[102\]](#). Na chwilę przerwał czyszczenie broni. Zamyślony odwrócił głowę w kierunku wygodnego, dużego domu, w którym zamieszkiwali Cubeowie z klanu Pedikwa. Naczelnikiem tego klanu był jego ojciec.

W myśl zwyczaju Haboku razem z nim i dwoma braćmi ustawili pierwsze trzy pary ciężkich filarów, wokół których dom był stawiany, a później w budowie pomagali wszyscy mieszkańcy maloki. Frontowy szczyt domu z głównym wejściem zwrócony był ku rzece. Cubeowie zawsze w ten sposób budowali maloki, gdyż ze względu na własne bezpieczeństwo musieli stale obserwować wszystko, co działo się na rzece, czyli na głównym gościńcu w ich kraju.

W myśl wierzeń Cubeów wspólny dach jednoczył członków klanu. Maloka była nie tylko pomieszczeniem do spania, lecz stanowiła żywotny ośrodek życia społecznego i religijnego. Toteż rozkład domu był dostosowany do potrzeb indywidualnego oraz zbiorowego życia mieszkańców. Wzdłuż obydwóch bocznych ścian znajdowały się

pomieszczenia dla poszczególnych rodzin, oddzielone od siebie bocznymi przegrodami, a otwarte tylko na główny korytarz, który przebiegał środkiem domu od frontowego szczytu do tylnego.

Ów główny korytarz miał wszechstronne zastosowanie: bliżej frontowego szczytu przyjmowano gości, odprawiano uroczystości obrzędowe, ucztowano, tańczono, a pod podłogą grzebano zmarłych; w tylnym szczycie domu znajdowała się wspólna kuchnia; w głównym korytarzu spożywano również przed zachodem słońca podstawowy wspólny posiłek.

Dla Haboku od razu przeznaczono oddzielne pomieszczenie we wspólnym domu, zamierzał się bowiem ożenić. Teraz nie żałował własnego trudu. Zgodnie z tradycją rodzice doradzili mu, do którego klanu ma udać się po żonę. Była to ładna, pracowita i dobra dziewczyna. Haboku w dowód wielkiej miłości wykarczował dla niej znaczny kawał lasu pod ogródek, w którym ona obecnie uprawiała maniok.

Haboku pochylił się i zza szczytu maloki spojrział w kierunku chagry, czyli ogródka żony. Szarawa smużka dymu snuła się w dali ku niebu.

Był to umowny znak, że jego żona znajdowała się na polu i nie zagrażało jej żadne niebezpieczeństwo.

Młody Indianin przymknął oczy. Uśmiech pojawił się na jego twarzy bez zarostu. Przypomniawszy sobie chwilę poznania żony. Spodobała mu się od razu podczas pierwszej wizyty. Toteż wtedy zawarł z nią ceremonialną przyjaźń, ofiarowując perkal na dwie spódnice, dwa ozdobne grzebienie, małe lustro, nici, igły, dwa pudełka brylantyny, mydło i dwa pudełka zapalek. Ona także odwzajemniła mu się podarkiem. Ofiarowała mu dwie duże kalebasy[103] na chichę[104], dwa kłębki sznura i naszyjnik z suszonych nasion, a jej ojciec wręczył mu *t* dwie linki na ryby, bo wszyscy mężczyźni Cubeo byli rybakami.

Potem przez wiele dni Haboku pozostawał w klanie dziewczyny. Polował z jej braćmi, łowił ryby, wyplatał hamaki i kosze, aby pracą odpłacić się za gościnę. Pewnego dnia dziewczyna sypnęła mu w twarz mączką maniokową, po czym uciekła do ogródka matki. Był to znak, że mu sprzyja.

Haboku skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazji i gdy dziewczyna niczego się nie spodziewała, pokropił ją sokiem rośliny uwe, co według starożytnego zwyczaju miało zapewnić mu jej miłość.

Następnie rodzice narzeczonych rozpoczęli omawianie warunków małżeństwa. Haboku przyrzekł bratu swej narzeczonej, że jedna z jego siostr wyjdzie za mąż za niego i nic już nie stało na przeszkodzie do uprowadzenia narzeczonej. Pewnego ranka Haboku ze swymi najbliższymi przyjaciółmi podpłynęli o świcie do przystani i porwali kąpiącą się dziewczynę. Nie odbyło się to bez wrzawy i pozorowanej bijatyki, jak wymagał dobry obyczaj.

Haboku otrząsnął się z głębokiej zadumy. Na gospodarczym placu na tyłach maloki

rozbrzmiały śmiechy i głośne rozmowy. Kobiety zaczynały już powracać ze swych poletek. Było więc wczesne popołudnie.

Kobiety rzucały maczety przed drzwiami, po czym z koszami korzeni manioku podążały nad rzekę na przystań dla łodzi. Najpierw odświeżały się kąpielą po skwarnym dniu pracy, bawiły się z dziećmi i żartowały. Potem myły korzenie manioku, zanurzając je w wodzie razem z koszami. Rozweselone wracały do maloki, bo odzieranie korzeni ze skóry było dla nich raczej odpoczynkiem. Siadały na podłodze głównego korytarza, opierając plecy o słup, nadgryzały zębami skórę na korzeniu, a potem palcami ją zdzierały. Podczas tej pracy sąsiadki wymieniały między sobą nowinki i plotki. Maloka rozbrzmiewała śmiechami, które przycichały, gdy kobiety przystępowały do tarcia korzeni na specjalnej desce. Była to najcięższa i najmniej lubiana przez nie praca.

Haboku szybko złożył karabin. Właśnie spoglądał w lufę pod światło, gdy na rzece rozległy się okrzyki. Wśród kilku rybackich czółen powracających z codziennego połowu, płynęła długa, obca łódź. Haboku natychmiast poznał jednego z trzech białych, którzy w niej płynęli. To był Wilson, kierownik obozów zbieraczy kauczuku nad Rio Putumayo. Czyżby znów zamierzał werbować nowych seringueirów?

Haboku najpierw uprzedził swego ojca, jako naczelnika klanu, o przybyciu gości, a potem zaintrygowany pospieszył na przystań. Obca łódź właśnie podpływała do niej. Po chwili trzech biali już znajdowali się na pomoście.

- Witaj, senhor Wilson - odezwał się Indianin.

- Witaj, Haboku, rad znów cię widzieć. Nie chciałeś wrócić do nas, więc ja przyjechałem do ciebie - odparł Wilson i dodał: - Przywiozłem również dwóch przyjaciół senhora Smugi. To jest senhor kapitan Nowicki, a to senhor Wilmowski.

Zwyczajem białych Haboku podał im rękę na powitanie. Tomkowi wydało się, że w chwili, gdy padło nazwisko Smugi, w oczach Haboku przewinął się starannie maskowany blask żywego zaciekawienia.

- Proszę, senhores, do maloki - odezwał się Haboku i poprowadził gości do domu.

W progu oczekiwał na nich naczelnik klanu. Wilson uprzednio trzykrotnie odwiedzał wioskę podczas werbunku Cubeów do obozów kauczukowych, toteż naczelnik najpierw zwrócił się do niego- Witaj, senhor, w naszej maloce! Zawsze jesteś miłym gościem.

- Witaj, czcigodny naczelniku! - odpowiedział Wilson. - Przybyłem do twego domu z przyjaciółmi zaginionego senhora Smugi, którzy bardzo chcieli poznać ciebie i twego odważnego syna.

- Witam was, senhores! - rzekł naczelnik i podał im rękę. - Proszę, wejdźcie do domu!

Wnętrze obszernej maloki było czyste i nie zadymione. W poszczególnych pomieszczeniach widać było hamaki porozwieszane na słupach, koszyki z kory, naczynia z kalebas, łuki, świstuły i kołczany. Ściany były przyozdobione różnymi maskami.

Naczelnik wskazał gościom ławę w pobliżu drzwi. Zaledwie siedli, żona naczelnika

postawiła przed nimi na podłodze małe naczynie z gotowanymi ziarenkami pieprzu i poprosiła, aby się posilili. Po chwili powróciła z tacą maniokowego ciasta, którą umieściła obok pieprzu. Potem wszystkie gospodynie maloki uczyniły to samo. Teraz przy gościach pozostał jedynie Haboku, a wszyscy inni wycofali się dyskretnie do swych pomieszczeń.

Wilson świadom zwyczajów Cubeów powstał z ławy, po czym kolejno z wszystkich tac ułamywał kawałek ciasta, maczał w pieprzu i zjadał. Jednocześnie dał znak swoim towarzyszom, aby uczynili to samo.

- Kosztujcie z wszystkich tac lub obrazicie którąś z gospodyń - szepnął. Po tym skromnym posiłku z powrotem usiedli na ławie. Kobiety natychmiast uprzątnęły jedzenie. Korzystając z chwilowego rozgardiaszu Wilson cicho odezwał się- To był formalny poczęstunek dla okazania gościnności. Więcej jedzenia Cubeowie nie dają gościom.

- Kiepska nowina, głodny jestem! - burknął Nowicki.

- Gość może być włączony do wspólnego stołu tylko wtedy, gdy bierze udział w pracach codziennych klanu - wyjaśnił Wilson.

- Teraz dajmy im podarunki - cicho doradził Tomek.

Wilson poprosił naczelnika, aby w jego imieniu wręczył wszystkim domownikom upominki. Dla kobiet były to kolorowe, szklane korale, nici, igły i lusterka, a dla mężczyzn scyzoryki i haczyki na ryby. Na samym końcu ofiarował mieszkańcom maloki młodego tapira, którego Tomek upolował tego dnia podczas żeglugi.

Coraz więcej mężczyzn powracało do domu. Jedni przynosili upolowaną zwierzynę, inni złowione ryby. Nowo przybyli witali się z gośćmi, po czym dyskretnie znikali w swych pomieszczeniach.

- Czy Cubeowie prowadzą w maloce wspólną kuchnię? - zapytał Tomek, gdy na chwilę zostali sami.

- Formalny, wspólny posiłek odbywa się przed zachodem słońca - poinformował Wilson. - Inne posiłki poszczególne rodziny jedzą oddzielnie u siebie, lecz wszystkie potrawy są gotowane na ogólnym piecu, co ma symbolizować wspólnotę klanu. Między posiłkami tylko dzieci otrzymują ciasto z manioku upieczone przez własną matkę.

- Mam nadzieję, że nie będziemy musieli spać w maloce - rzekł Tomek. - Chociaż dom wygląda dość czysto, na pewno są w nim insekty.

- Zaproszą nas do siebie, ale możemy powiedzieć, że nie chcemy ich krępować. Rozbijemy namiot na placu przed maloką - odparł Wilson.

- Ilekroć tu przyjeżdżałem, zawsze tak robiłem.

- Dobry pomysł - potaknął Nowicki.

Przerwali rozmowę, bowiem w tej chwili naczelnik i Haboku podeszli do nich z zaproszeniem na wspólną kolację. Zapewne uznali, że skoro goście wkupili się upolowanym tapirem, to zasłużyli na zaproszenie do ogólnego stołu.

Na matach rozłożonych na środku głównego korytarza kobiety ustawiły tace napełnione ciastem maniokowym i kukurydzianym, świeżą, gotowaną rybą, mięsem pieczonym i suszonym pokrojonym w cienkie kawałki. Potem przyniosły czarki z sosem pieprzowym, opiekane poczwarki i pieczone mrówki. Nie brakło też dzikich owoców.

Mężczyźni rozsiedli się szerokim kołem przy jedzeniu. Przed nimi, w węższym kole, usiedli ich synowie, a kobiety skromnie siadły na końcu za swymi mężami, ojcami i braćmi. Trzej biali zostali zaproszeni na honorowe miejsca pomiędzy naczelnikiem i Haboku.

Mężczyźni jedząc żartowali z kobietami, które cierpliwie oczekiwały na swoją kolej w rozpoczęciu kolacji. Tomek zauważył, że Haboku kilkakrotnie podał siedzącej za nim żonie specjalnie wybrany kęs ryby lub mięsa, nakładając go na kawałek maniokowego ciasta. Widać było, że bardzo kochał swą młodą żonę.

Indianie jedli bardzo umiarkowanie, toteż gdy na znak zakończenia kolacji zaczęli płukać wodą usta i myć palcami zęby, Nowicki ciężko westchnął, gdyż nie zdążył jeszcze zaspokoić głodu. Mężczyźni ustąpili miejsca kobietom. Z kolei razem z gośćmi rozsiedli się na podłodze głównego korytarza w pobliżu drzwi wejściowych.

Nowicki wydobyl z podręcznej torby pudełko z tytoniem i bibułkę. Indianie zaczęli skręcać papierosy. Przez jakiś czas palili w milczeniu, jak nakazywał obyczaj, a potem pierwszy zagadnął naczelnik- Przybyliście w dobry czas. Wody w rzece mało, ryby można łowić gołymi rękami.

- Strumienie w lasach powysychały, u wodopojów na brzegach rzeki widać różną zwierzynę, łatwo polować[105] - dodał Tomek, który zawsze najzręczniejsz potrafił prowadzić rozmowy z krajowcami.

Cubeowie nieco zaskoczeni zerknęli na niego. Dziwili się, że najmłodszy z gości pierwszy zabrał głos w rozmowie. Wilson zaraz to spostrzegł i wyjaśnił- Senhor Wilmowski jest doświadczonym myśliwym i doskonałym strzelcem. Z karabinu nigdy nie chybia celu. Bywał już w wielu dalekich krajach. Chwytał tam różne zwierzęta, które potem wymieniał na inne przedmioty w swoim kraju.

- Chwytał je żywe? - zaciekał się naczelnik.

- Tak, ma na to swoje sposoby. Schwyczał już nawet kilka żywych jaguarów.

Szmer niedowierzania rozległ się wśród Cubeów. Rozmowa prowadzona była po portugalsku, toteż Nowicki, który lepiej od Tomka znał ten język, zaraz szepnął po polsku do niego- Pokaż fotografie schwytanych zwierząt...

Cubeowie zdumieni oglądali tygrysy, lwy, słonie, nosorożce i żyrafy. Największy jednak podziw wzbudziła fotografia, na której Tomek krępował sznurem pysk panterze, tak bardzo podobnej do jaguara. Indianie na krótką chwilę zapomnieli o swym stoickim spokoju i ożywieni głośno wymieniali uwagi.

- Czy ten biały będzie tu chwytał zwierzęta? - zapytał naczelnik. -Nie, senhor

Wilmowski przybył do Brazylii w innym celu. Wyrusza na wyprawę, aby odnaleźć lub pomścić senhora Smugę - wyjaśnił Wilson. - Jest właśnie kierownikiem tej dalekiej i zapewne niebezpiecznej wyprawy. Cubeowie coraz bardziej zaintrygowani spoglądali na Tomka, który wcale nie zmieszał się pod ich przenikliwymi spojrzeniami. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. W końcu Tomek odezwał się- Doświadczeni myśliwi i wojownicy Cubeo zapewne dziwią się, że w tak młodym wieku zostałem wodzem wyprawy. Obecny tu kapitan Nowicki, który posiada większe ode mnie doświadczenie, odwagę i niezwykłą siłę, będzie wraz ze mną czuwał nad bezpieczeństwem wszystkich uczestników tej wyprawy. Razem będziemy szukali Smugi, bo jest on naszym serdecznym przyjacielem i w podobnej sytuacji uczyniłby dla nas to samo. Dla mnie Smuga jest więcej niż przyjacielem. Tego, co umiem, nauczyłem się od niego.

Cubeowie z zainteresowaniem spoglądali na Tomka, który ujął ich swoją skromnością. Tomek odczekał dłuższą chwilę, po czym znów odezwał się- Słyszeliśmy od pana Wilsona, że Cubeowie są niezwykle odważni. Wiemy również, że jesteście doskonałymi tropicielami i wioślarzami. Dlatego też przybyliśmy do waszej wsi. Pomyśleliśmy, że może sławny Haboku i kilku innych wojowników zechciałoby pójść z nami na tę wyprawę. Co wojownicy Cubeo nam odpowiedzą?

- Haboku, ty byłeś z senhorem Smugą nad Ukajali - powiedział Wilson. - Wiesz, po co on tam poszedł?! Teraz sam potrzebuje pomocy.

Indianin zmierzył Wilsona dumnym spojrzeniem.

- Haboku ma dobrą pamięć, nie zapomina przyjaciół Indian - odparł. - Ale dlaczego ty dopiero teraz przyszedłeś do nas? Czy nie byłeś przyjacielem senhora Smugi?

- Nixon i ja chcieliśmy wyruszyć na poszukiwania, ale brat senhora Wilmowskiego odradzał nam to dla dobra Smugi. Twierdził, że tylko doświadczony senhor Wilmowski potrafi odnaleźć ślady. Dlatego czekaliśmy na jego przybycie - wyjaśnił Wilson.

- Czy teraz jednak idziesz z nimi na tę wyprawę? - zapytał Haboku.

- Nie chcą mnie zabrać! Ani mnie, ani Nixona. Twierdzą, że bylibyśmy większą przeszkodą niż pomocą w poszukiwaniach.

- Sprawna grupa ludzi łatwiej będzie mogła niepostrzeżenie przemykać się pomiędzy wojowniczymi plemionami w Grań Pajonalu. Będziemy działali z ukrycia. Dlatego też wolimy zabrać kilku odważnych, dobrych tropicieli śladów - wyjaśnił Tomek.

- Wyprawa niebezpieczna - powiedział Haboku. - Kampowie nienawidzą białych i obcych Indian.

- Kompania "Nixon-Rio Putumayo" jest gotowa dobrze zapłacić Cubeom, którzy pójną na wyprawę - wtrącił Wilson. - Całą zapłatę możemy dać od razu dzisiaj.

Haboku uśmiechnął się pogardliwie i odparł pytaniem- Czy twoja kompania obliczyła też, ile warte jest życie Indianina? Wilson zaczerwienił się i zmieszał.

- Przepraszam, może źle się wyraziłem, nie chciałem nikogo obrazić.

- Teraz wiemy, po co przyszliście - odezwał się naczelnik. - Musimy się naradzić. Jutro otrzymacie naszą odpowiedź.

Rozmowa była skończona. Biali wyszli z maloki i udali się nad rzekę, gdzie rozpięto dla nich duży namiot. Usiedli na brzegu przy ognisku.

Wieczór był pogodny. Wokół śpiewały chóry cykad, to odzywały się olbrzymie żaby południowoamerykańskie, których bardzo charakterystyczne głosy przypominały gwizdanie[106].

- Niezbyt zręcznie zakończyła się nasza rozmowa - zagadnął kapitan Nowicki. - Jak amen w pacierzu dostaniemy kosza.

- Chyba zanosi się na to - potwierdził Wilson. - Jeszcze podczas pobytu Haboku nad Putumayo wydawało mi się, że ma do nas o coś urazę. Teraz już domyślam się, o co mu chodziło. Uważał, że postąpiliśmy niełojalnie wobec Smugi.

- Do stu zdechłych wielorybów, ja również odniosłem dzisiaj wrażenie, że on boczy się na pana - zawołał Nowicki. - Jeśli jednak domysły pana są słuszne, to ten Indianiec musiał lubić naszego Smugę.

- Sytuacja Haboku nie jest łatwa. Wtedy, gdy szedł ze Smugą na wyprawę, jeszcze był kawalerem, obecnie ma młodą żonę, którą kocha - wtrącił Tomek. - Czy nie zauważyliście, jak często podawał jej jedzenie podczas kolacji?

- Ma pan rację, tak postępuje tylko zakochany Cubeo - powiedział Wilson. - Są niedawno po ślubie, ta dziewczyna nie puści go teraz na ryzykowną i długą wyprawę.

- Zawsze mówiłem, że żona dla marynarza to jak kotwica dla statku - rzekł Nowicki ciężko wzdychając. - Cubeowie podobnie jak marynarze większość życia spędzają w łodzi. Powinni żyć w kawalerskim stanie.

- A mnie namawiałeś do żeniaczki - zażartował Tomek.

- Nasza Sally to zuch baba! Zupełnie jak chłopak. Gdy tylko zaczynamy mówić o wyprawie, ona pierwsza zaraz bierze się do pakowania bagaży.

- Muszę powtórzyć jej twoje słowa, na pewno się ucieszy!

- Trudno, skoro Haboku skrewił, pójdziemy sami. Napijmy się po łyku jamajki. Nic tak nie poprawia nastroju jak dobry napitek! Słyszałem, że wszyscy Indianie lubią zaglądać do kieliszka, ale ci Cubeowie widocznie są abstynentami. Nawet tej swojej chichy nie podali do kolacji! Otwórz pudełko konserw, głód nie da mi zasnąć.

- W codziennym życiu Cubeowie nie używają napojów alkoholowych, ale za to od czasu do czasu urządają uczyty pijackie, na których wszyscy upijają się do nieprzytomności - wyjaśnił Wilson. - Oszołomienie uważają za święty rytuał.

- Słyszałem co nieco o tych uroczystościach obrzędowych Indian południowoamerykańskich - powiedział Tomek. - Podobno przygotowania do takich uczt trwają kilka miesięcy.

- Tak, zwłaszcza gdy zapraszają inne klany - odparł Wilson. - Samo przygotowanie chichy zajmuje kilka dni.

- Cubeowie jeszcze radzą, w ich salonie wciąż pali się światło - zauważył Nowicki.

- Oby tylko postanowili coś pomyślnego dla nas - odparł Tomek. Wkrótce po świcie naczelnik klanu zaprosił białych gości do maloki.

W głównym korytarzu, na dwóch rzędach ław, siedzieli wszyscy dorośli mężczyźni. Ubrani byli w ceremonialne stroje. Na głowie nosili mapeny, czyli pióra czerwonej ary, złożone w koronę na włókiennej plecionce i sznurze z małych włosów. Na ramiona nałożyli magiczne bransolety, również zdobione barwnymi piórami, a na szyje naszyjniki zwane motylami, ze srebrnych płytek w kształcie trójkąta. Wielu z nich pozakładało w muszle uszne i w dolne wargi ozdoby z kości lub drzewa. Twarze i ciała pomalowali czerwoną farbą.

- Popatrz, jak to się wystroili - szepnął kapitan Nowicki do Tomka.

- Znosi się na poważną, decydującą rozprawę.

- Zapewne teraz powiedzą nam, co postanowili - mruknął Tomek i z niepokojem spoglądał na kamienne twarze Indian.

Naczelnik klanu wskazał gościom miejsce na honorowej ławie w pobliżu drzwi, po czym rozpoczął ceremonialną przemowę- Biali są dziwnymi ludźmi. Mówią, że za wielką wodą posiadają duże wioski o pięknych, bogatych domach, a tymczasem przychodzą do biednych Indian, wszystko im zabierają, chwytają do niewoli i każą ciężko pracować. Przed przybyciem białych Indianie byli liczni, jak drzewa w lesie. *Teraz* trzeba płynąć rzeką wiele, wiele księżyców, aby natrafić na indiańską wioskę. Tylko nieliczni biali są przyjaciółmi Indian. Senhor Smuga był naszym przyjacielem. Nie pozwalał krzywdzić Cubeów pracujących w obozach kauczukowych, strzegł ich przed złymi białymi i mieszancami, którzy nie są ani białymi, ani Indianami. Przy nim wszyscy Cubeowie czuli się bezpieczni.

Ten biały był przyjacielem wszystkich dobrych ludzi. Nie pozwolił, aby Yahuanie dręczyli duszę młodego Nixona i dlatego odebrał im jego głowę. Potem wykupił z niewoli Cubeów porwanych z obozu nad Putumayo. Sam zapłacił za nich i nie kazał im tego odpracowywać. Mężny Haboku chciał towarzyszyć mu w pościgu za białymi mordercami. Jednak szlachetny biały kazał mu wracać do swoich. Nie chciał narażać Indianina na niebezpieczeństwo. Tak mógł postąpić tylko prawdziwy przyjaciel. Haboku spełnił wolę białego przyjaciela Cubeów. Powrócił do wioski i ożenił się, a teraz przychodzą biali przyjaciele senhora Smugi i mówią: Haboku, jesteś odważny, umiesz tropić ludzi i zwierzęta, chodź z nami szukać senhora Smugi. Cóż ma odpowiedzieć Haboku? Indianin nie opuszcza przyjaciela w niebezpieczeństwie. Rada starszych Cubeów orzekła: Haboku pójdzie na wyprawę z białymi ludźmi i inni Cubeowie pójdą także. Cubeowie pragną znów ujrzeć wśród siebie swego białego przyjaciela.

Tomek bardzo uradowany wygłosił długą, kwiecistą mowę, w której w imieniu Smugi

podziękował Cubeom za pomoc w wyprawie poszukiwawczej. Potem przemawiał Wilson, a po nim Haboku. Okazało się, że żona Haboku postanowiła towarzyszyć mężowi podczas wyprawy. Tomek i Nowicki nawet ucieszyli się z tego, gdyż młoda Indianka mogła być dużą pomocą dla Sally i Nataszy. Po przemówieniach przystąpiono do omawiania warunków zapłaty dla Cubeów uczestniczących w wyprawie. Targi przeciągnęły się do południa, po czym naczelnik klanu uroczyście zaprosił wszystkich białych gości na ucztę pożegnalną, która miała odbyć się nazajutrz o zachodzie słońca.

POŻEGNALNA UCZTA

Biali goście ochoczo wzięli udział w przygotowaniach do pożegnalnej uczy. Kapitan Nowicki wybrał się z Haboku na polowanie, a Wilson wyruszył czółnem na połów ryb. Tomek natomiast pozostał w wiosce, aby przypilnować złożonych w namiocie bagaży.

Według informacji Wilsona Indianie Cubeo posiadali dość swoiste rozróżnienie własności prywatnej. Ogólnie uznawali dwa, a nawet trzy rodzaje własności. Do całej społeczności należały przedmioty zrobione przez naczelnika klanu lub jego żonę, przeznaczone do powszechnego użytku, a więc: duża łódź mogąca pomieścić kilkadziesiąt osób, wielkie naczynia na chichę, piece maniokowe, prasa do trzciny cukrowej i ławki dla gości. W znacznie mniejszym zakresie własność publiczną stanowiły przedmioty używane do ceremoniałów oraz instrumenty muzyczne. Natomiast pełną własnością prywatną były sprzęty domowe, łodzie, broń, błyskotki, ozdoby, ubranie i towary nabywane od Europejczyków. Poza tym Cubeowie nie krępowali się zbytnio pożyczaniem czegoś od innych, nawet bez ich wiedzy. Dlatego też Tomek miał pilnować namiotu.

Tomek nie narzekał na przymusowy pobyt w obozie, gdyż umożliwiał mu on poczynienie różnych obserwacji. Baseny rzek Amazonki i Orinoko wciąż jeszcze były nie znaną ziemią pod względem etnograficznym. Tak mało wiedziano o pierwotnych mieszkańcach nizin i tropikalnych lasów Ameryki Południowej, a tymczasem wiele zupełnie nieznanymi plemion indiańskich wymierało niemal z dnia na dzień. Poza tym niektóre plemiona przenosiły się z pierwotnych miejsc zamieszkania i zatracaly swą odrębność kulturową łącząc się z innymi. Liczne rzeki ułatwiały dalekie wędrówki pierwotnym mieszkańcom tropikalnego lasu. Z tego względu w olbrzymim basenie Amazonki znajdowały się ślady zwyczajów i języków właściwych nawet dla bardzo odległych okolic. Leśni Indianie wszędzie napotykali pokrewny klimat, florę i faunę oraz typowy dla nich sposób życia: rzeczny i leśny. Łatwość podróżowania oraz podobne warunki bytu tworzyły podstawę, na której kształtowały się wszystkie kultury amazońskie, a szeroko rozprzestrzeniona ogrodowa uprawa manioku i szamanizm nadawały im jednolity charakter.

Tomek zdawał sobie sprawę z rzadkości okazji i skwapliwie obserwował życie Indian Cubeo. Od razu też zauważył, że rodzice inaczej traktowali dziewczynki niż chłopców. Córki były popychadłami swoich matek. Rankiem szły z matkami na poletko maniokowe, gdzie przez cały czas pozostawały pod ich bacznyim i surowym wzrokiem. Potem dziewczęta musiały pomagać w pracach domowych.

Synowie byli ulubieńcami matek. Chłopcy w wieku od lat sześciu do piętnastu organizowali się w grupy; każda z nich wybierała sobie dowódcę. Na centralnym placu przed maloką zabawiali się chodzeniem na szrudłach lub wyplatali z włókien żmije, które "chwytaly" za palec. Chłopięce grupy same zaopatrywały się w żywność, kąpały w rzece i włóczyły po lesie. Czasem włączały się do śpiewów i tańców lub nawet uczestniczyły w obrzędach dorosłych mężczyzn. Rodzice nigdy nie karcili dzieci, gdy te coś zgubiły, ponieważ robienie wyrzutów było uważane przez Cubeów za objaw złego wychowania.

Tomek zwrócił uwagę na szamana, czyli czarownika, który na głównym placu przed domem udzielał porad "lekarskich". Każda społeczność Cubeów miała swego czarownika i wierzyła w jego niezwykłą moc. Według Cubeów wielcy szamani-jaguarzy mogli sprowadzać silne wiatry, grad, burze i mgły, a także leczyć i zabijać. Tomek wręczył szamanowi kilka drobnych upominków. Potem dyskretnie pytał o różne zwyczaje. Gdy szaman rozgadał się na dobre, Tomek napomknął, że zdobywanie pożywienia nie sprawia Cubeom zbyt wiele trudności.

- Prawdę rzekłeś - potwierdził szaman. - Przecież żyjemy w najlepszych czasach. Dawniej ludzie głodowali, bo musieli żywić się tylko sokami drzew i korą.

- Czyżby? - zdziwił się Tomek. - Myślałem, że maniok znany był Indianom od bardzo dawna.

- Byłeś w błędzie, pierwsi ludzie nie znali innego pożywienia prócz soku drzew i kory - odparł szaman. - Maniok i inne przydatne rośliny nauczyli się uprawiać znacznie później.

- A któż ich tego nauczył?

- Było to tak! Pewnego razu głodny stary Indianin chodził po lesie szukając jadalnej kory. W gąszczu przypadkiem natrafił na aunhoku, czyli drzewo posiadające liście rośliny manioku. Korzenie manioku spadały na Indianina, ale on nigdy nie widział takiego drzewa i nie wiedział, co ono rodziło. Owo drzewo rosło w przesiece. Indianin zauważył, że było strzeżone przez różne zwierzęta. Zaczął zastanawiać się, co powinien uczynić. Wtedy właśnie nadszedł mądry aguti[107]. Starzec zdziwił się, ponieważ • aguti zaczął zjadać korzenie, które spadały z drzewa. Korzenie manioku wówczas nie posiadały skóry. "Co tyjesz?" - zapytał starzec, a aguti odparł: "Maniok". Aguti powiedział potem, żeby ludzie oczyścili pole pod uprawę. Starzec zwołał więcej Indian, a gdy ci przygotowali pole, aguti polecił im ścinać aunhoku. Indianie ścięli je kamiennymi toporkami. Drzewo wkrótce upadło, wtedy wszystkie zwierzęta obstały je i zabrały się do jedzenia. Starzec zobaczył, że każda gałąź rodziła co innego. Na jednej rosły banany, na drugiej trzcina cukrowa, na innej pataty, a jeszcze na innej turu, czyli trucizna. Aguti powiedział Indianom, żeby ucięli po jednej gałęzi i zasadzili je na polu. W ten sposób Indianie nauczyli się uprawy różnych roślin i już nigdy nie byli głodni.

- Myślę, że przedtem również nie musieli głodować. Przecież w lasach zawsze było pełno zwierzyny - zauważył Tomek.

- A właśnie że nie mogli polować! - zaprzeczył szaman. - Pierwsi ludzie nie umieli używać broni. Dopiero Kuwai[108] pokazał im, jak należy łowić ryby na haczyk i linę oraz nauczył posługiwania się bronią. Poza tym niektórych zwierząt w ogóle nie wolno zjadać. Na przykład mięso leniwca [109]uczyniłoby człowieka bardzo leniwym.

- Widać, że Cubeowie nie jadają leniwców, od świtu do wieczora prowadzą pracowity tryb życia - zażartował Tomek. - Kobiety wasze nie odpoczywają przez cały dzień, a nawet dziewczęta pracują.

- Dawniej, gdy kobiety miały flety i bębny, przez cały dzień nic nie chciały robić, tylko

grały - wyjaśnił szaman. - Wtedy Duch rozgniewał się, odebrał kobietom instrumenty i dał je mężczyznom. Od tego czasu mężczyźni muszą ukrywać flety i bębny przed kobietami, a gdyby któraś z nich ujrzała je, musiałaby być uśmiercona czarami.

- Wobec tego co robią kobiety, gdy mężczyźni grają na tych instrumentach? - zapytał Tomek.

- Muszą przebywać poza maloką i wracają dopiero wtedy, gdy schowamy w bezpiecznym miejscu flety i bębny.

Tomek miał ochotę rozmawiać jeszcze dłużej, ale nowi pacjenci już czekali na porady lekarskie.

Około południa kapitan Nowicki i Haboku powrócili z polowania.

- Łowy nie były zbyt pomyślne - Tomek powitał przyjaciela, widząc, że myśliwi wyładowują z łodzi tylko młodego tapira i kilka ptaków.

- Mieliśmy dwa tapiry, ale Haboku oddał jednego Indiancom z sąsiedniego klanu, na których terenie ustrzeliliśmy zwierzaki - wyjaśnił kapitan Nowicki. - U nich już taki zwyczaj, że jeśli upolujesz zwierzynę na obcym łowisku, to połowę oddajesz, a połowę zabierasz. Niby to dzikusy, lecz bardzo uczciwi i pilnują porządku.

- Muszę to zanotować - powiedział Tomek. - Czy może rozmawialiście jeszcze o czymś ciekawym?

- Próbowałem nagabywać Haboku o to i owo, ale nie chciał gadać w lesie. Obawiał się, że mogłyby nas podsłuchać i napaść wielkoludy.

- Czyżby mieszkało tu w pobliżu jakieś wysokorosłe plemię? - zapytał Tomek zaintrygowany.

- Gdzież tam, brachu! To legendy, w które oni wierzą. Aż mi się na śmiech zbierało, gdy taki odważny myśliwy jak Haboku mówił poważnie o włochatych olbrzymach z dwoma twarzami i lepkiem ciałem. Zapewniał mnie, że olbrzymy szczególnie polują na matki i dzieci, które zjadają. Opowiedział, że któryś z jego przodków nawet schwytał i zabił takiego olbrzyma. Mówił również, że można tego dokonać tylko wtedy, gdy księżyc jest przyćmiony lub czerwony i nisko na niebie.

- Będę musiał przy okazji porozmawiać z nim na ten temat. To intrygująca legenda.

Przed zachodem słońca wszystkie kobiety ukryły się w malokach. Był to znak, że mężczyźni rozpoczynają obrzędy rytualne. Biali goście dyskretnie usunęli się na ubocze, lecz jednocześnie ciekawie zerkali w kierunku przystani dla łodzi, przy której zgromadzili się wojownicy. Kilku z nich wydobyło z ukrycia w zaroślach święte rogi i bębny. Przy ich wtórze Haboku wraz z pięcioma innymi wojownikami wykąпали się w życiodajnej rzece. Podczas kąpieli nacierali swe ciała sokami pewnych roślin. W ten sposób przodkowie plemienia przebywający w toni rzeki mieli dodać im męstwa.

Potem wojownicy dokonywali prób wytrzymałości. Biczowali się wzajemnie różgami, a w końcu wkładali ramię do wielkiej kalebasy z czerwonymi, kąśliwymi mrówkami. Po

próbach męstwa obeszli plac przed malokami grając na świętych bębnach i fletach. Gdy instrumenty z powrotem ukryli w nadrzecznych krzewach, udali się do domu; na zaproszenie naczelnika klanu poszli tam również biali goście.

Kobiety podały kolację, a gdy ta dobiegła końca, mężczyźni zasiedli w dwóch rzędach ław ustawionych naprzeciwko siebie i rozpoczęli ceremonialne palenie cygar. Trzymali je w drewnianych szczypcach, których koniec można było wbijać w ziemię. Kilka cygar wędrowało z ręki do ręki. Każdy mężczyzna pociągał raz lub dwa razy i podawał dalej. Haboku pozwolił również pociągnąć dymu swej żonie, co wyrażało duże do niej zaufanie.

W pewnej chwili Tomek trącił łokciem przyjaciela i szepnął- Do licha, popatrz! Wnoszą chichę... Nie wiem, czy zdołam ją przełknąć.

- A to dlaczego? - zdumiał się kapitan Nowicki. - Piłem już chichę, nawet wcale przyjemny napój!

- Czy nie słyszałeś, jak oni go robią?

- Niby jak?

- Naprawdę nie wiesz?

- Przecież nie jestem miejscowym piwowarem! - oburzył się Nowicki.

- Słuchaj więc! Po odpowiednim zmięczeniu i wysuszeniu skrobią korzenie manioku, przesiewają przez sito i kładą do prasy. Suche grudki delikatnie przypiekają na piecu i przerabiają w ziarno. Z tych ziaren pieką małe ciastka maniokowe.

- Miałeś mówić o napitku, a gadasz o ciastkach - oburzył się Nowicki.

- Nie przerywaj mi! Otóż właśnie te ciastka przeżuwiają w ustach, a potem grudki nasycone śliną wypluwają do gara i mieszają z wodą. Po rozpoczęciu fermentacji dodają trochę trzciny cukrowej i wszystko to razem fermentuje przez kilka dni.

- Pewno masz rację, muszą dodawać trzciny cukrowej, bo chicha jest słodka - powtórzył No wieki.

- Więc naprawdę mógłbyś ją pić?

- Czegoś ty się przyczepił do ich napitku?

- Przecież on fermentuje na ludzkiej ślinie!

- A jak mają to robić, skoro nie znają innego sposobu! Czy nie , zauważyłeś, jaki to higieniczny naród? Myją usta i zęby po każdym ; jedzeniu!

- Chyba żartujesz!

- Słuchaj, brachu! Najlepiej nie zaglądać nikomu do garnków. Czego oczy nie widzą, to gardło gładko przełknie. Nie takie specjały już jedliśmy w różnych krajach. Czy zapomniałeś, jak to podrzucałeś mi 4 cukrzane pijawki w Turkiestanie Chińskim? Gdy wejdiesz między wrony, to kracz jak one!

Mężczyźni wnieśli kilka dużych naczyń, przypominających drewniane bębny. Były

napełnione chicha. Stawiając w korytarzu każdy ceber, mówili- Nikt nie wyjdzie stąd, dopóki chicha nie będzie wypita.

Goście chórem odpowiadali:

- Nie wyjdziemy, aż zwymiotujemy.

Chicha była podawana z rąk do rąk w małych kalebasach. Tomek tylko udawał, że pije i szybko przekazywał naczynie z napojem przyjacielowi, który bez mrugnięcia okiem wychylał je do dna. Wilson również wypił sporo, gdyż obcując z Indianami przez długi czas przyzwyczał się do ich pokarmów i napitków.

Tomek odetchnął lżej. Indianie przynieśli bębny i piszczałki. Mniemał, że uczta pożegnalna zakończy się tańcami. Zaciekawiony spoglądał na czterech mężczyzn, którzy przystanęli w głębi korytarza przy tylnym szczycie domu. Stanęli ramię przy ramieniu, opasując lewą ręką ramię towarzysza, podczas gdy w prawej trzymali długie flety do tańca, niemal sięgające od ust aż do podłogi.

Tancerze rozpoczęli grać melodię, zwaną piosenką motyla. Muzykanci na uboczu zawtórowali na piszczałkach i bębnach. Tancerze, nie przerywając gry na fletach, wolno posunęli się o krok, przystanęli, potem wykonali dwa krótkie kroki i znów zatrzymali się, następnie prawie przebiegli trzy kroki. W ten sposób przesuwali się wzdłuż korytarza i jednocześnie pochylali rytmicznie ciała w przód i w tył oraz z gracją zataczali się z boku na bok korytarza.

W pierwszym szeregu tańczył naczelnik klanu, Haboku i dwaj jego bracia. Za nimi znajdowali się Cubeowie, którzy także mieli wyruszyć na wyprawę, a dopiero za nimi byli inni.

Tancerze dotarli już niemal do połowy korytarza. Dziewczęta chichotały, potrącały się łokciami i poruszały ramionami w takt muzyki.

Wtedy jedna ze starych kobiet zachęciła je- Idźcie tańczyć!

Trzy dziewczyny przełamały swą nieśmiałość i pobiegły za tancerzami. Przemknęły się pod ramionami mężczyzn i otoczywszy ich kibić lewą ręką zaczęły tańczyć z nimi. Po chwili dziewczęta się zmieniły. Przy końcu korytarza tancerze wydali przeciągły wysoki okrzyk i zawrócili.

Tańce nie trwały zbyt długo. Potem kobiety usunęły się do swych mieszkań, a mężczyźni siedli na matach na podłodze. Naczelnik wniósł dużą kalebasę. Wilson pochylił się do przyjaciół i szeptem rzekł- Teraz najlepiej wycofajmy się dyskretnie. Będą pili święty lek mihi.

- Cóż to takiego? Czy gości tym nie częstują? - zapytał Nowicki.

- Pczęstują, ale mihi wyrabiają z narkotycznej rośliny[110], która wywołuje wizje i utratę przytomności.

- Ma pan rację, najlepiej wyjdźmy już - powiedział Tomek.

- Wywołuje wizje? - zaniepokoił się Nowicki. - W Chinach próbowałem palić opium. Czy mihi działa tak samo?

- Nie wiem, boję się narkotyków. Wychodzimy? - nalegał Wilson.

- Mam pomysł! Wy dwaj czmychajcie do namiotu, a ja dla oka pozostanę - zaproponował Nowicki. - Tomek zbiera ciekawostki z życia krajowców, więc... poświęcę się dla nauki.

- Powiedz po prostu, że jesteś ciekaw działania narkotyku - mruknął Tomek. - Przez tę ciekawość wpakujesz się kiedyś w niezłą kabałę!

- Nie kracz, brachu! No, teraz wiejcie stąd, bo potem będzie trudno... Nowicki został sam. W tej właśnie chwili naczelnik podał kalebasę z mihi pierwszemu mężczyźnie, mówiąc- Pij prędko, abyś wkrótce się upił!

- Teraz upiję się szybko - odparł częstowany. Następny Cubeo zawołał- Ho, ho, hooooo! Oto nadchodzi! Jak się czujesz?

- Dobrze, patrz, jest gorzka!

- Smakuje gorzko. O, nasi dawni przodkowie także to pili. Pozwól mi się napić!

Kolejno wszyscy wypili jedną porcję, potem drugą. Naczelnik wniósł następną kalebasę z mihi. Pierwszy z rzędu Cubeo po wypiciu trzeciej porcji rzekł- Skończyliśmy picie. Dziękuję, siadam, aby mieć wizje[111]. Kapitan No wieki nie uchylił się od trzeciej kolejki. Oparł się plecami o ścianę. Ciemnobrązowe, nagie ciała współbiesiadników zaczęły mienić się purpurą krwi. Wkrótce cała maloka stała się jednym wielkim, krwawym obłokiem. Wyłaniały się z niego najrozmaitsze twarze, obce i znajome. Z purpurowego tumanu wyjrzał Smuga. Nowicki chciał powstać, lecz tylko ciężko osunął się na matę. Smuga stał tuż przy nim. W jednej ręce trzymał głowę jakiegoś mężczyzny, w drugiej własną. Potrząsał nimi, a obydwie głowy wykrzywiały twarze w okropnym grymasie. Nowicki zdumiał się, Smuga miał na karku dwie głowy, a nawet trzy! Piękne, zwiewnie ubrane Indianki tańczyły wokoło niego. Wśród tańczących dostrzegł Sally i Nataszę... Potem zaczęły żuć ciasto maniokowe na chichę i wypluwały je do wielkich naczyń, które tańczyły razem z nimi. Krwawy tuman z wolna je pochłoniął. Teraz dżungla pyszniła się różnokolorowymi kwiatami. Jakieś nieznane drzewa pochylały swe kwiaty nad Nowickim. Poczul ciężki, odurzający zapach. Zaczął się dusić. Mnisi tybetańscy obstąpili go kołem, tańczyli taniec życia i śmierci. Krzyknął na nich, aby odeszli, ale oni strząsnęli z siebie habity razem z ciałem i dalej tańczyli podzwaniając szkieletami. Naraz pomiędzy kościotrupy wkroczył ojciec Tomka. Surowym spojrzeniem spłoszył łamów, a potem przeciągle spojrzął na Nowickiego. Pogroził mu palcem, wziął za rękę i poszli razem. Oto są w parku. Nowicki wzruszony spogląda na łazienkowski pałac. Jest most, woda, są również wspaniałe, białe łabędzie. Nadchodzi Tomek, a za nim kroczy długi sznur różnych zwierząt. "W Łazienkach założymy ogród zoologiczny" -mówi Tomek. Lwy, tygrysy, pantery, jaguary, nosorożce i słonie same budują dla siebie klatki, wchodzą do nich i zamykają za sobą drzwi. Mrugają do Nowickiego, wołają, żeby zrobił dla siebie klatkę. Nowicki ucieka na Powiśle. Już jest przed domem, w którym spędził dzieciństwo.

Wbiega na schody. Nagle drogę *zagradza* mu Pedro Alvarez. Jednym uderzeniem powala go na ziemię i kopie w brzuch. Nowicki próbuje zasłonić się przed ciosami, ale bezskutecznie. Powtórne uderzenia przyprawiają go o mdłości. Dostaje torsji...

Z purpurowego tumanu wyłania się mroczne wnętrza maloki. Odgłosy wymiotowania stają się coraz realniejsze. Nowicki wstrząsnął się, jakby wypłynął z toni. Niektórzy Cubeowie już również wymiotowali...

Nowicki z trudem powstał z maty. Chwiejnym krokiem wyszedł z maloki. Na brzegu rzeki rozebrał się i umył. Drżąc z chłodu wziął ubranie pod pachę, po czym wśliznął się do namiotu. Tomek i Wilson spali w najlepsze. Nowicki położył się w hamaku, nakrył kocem i mruknął- Niech rekin połknie święte mihi, dobrze mi tak, skórom nie słuchał mądrzejszych.

Wkrótce znów spacerował po Łazienkach...

KRAJ ŻŁOTA I SŁOŃCA

Sally spoglądała na Tomka, który prawym ramieniem przytulał ją do siebie. Zastanawiała się, o czym on teraz rozmyśla? Tak się stęskniła oczekując na niego w Iquitos niemal przez trzy tygodnie. Teraz jednak nie śmiała przerwać jego zadumy. Może właśnie rozważał tajemnicę zaginięcia Smugi? Nie był to przecież już ten beztroski chłopiec z czasów poznania w Australii! Duma ją wprost rozpierała, gdy zasłużeni podróżnicy traktowali jej młodego męża jak równego sobie. Właśnie w Iquitos spotkali pułkownika Rondona[112], który w Brazylii zyskał taką sławę, jak Stanley w Afryce. Otóż pułkownik Rondon, w obecności kilku osób, zasięgał rady Tomka w sprawie utworzenia w Brazylii Wydziału Opieki nad Indianami. Cóż to była za interesująca rozmowa! Rondon również udzielił Tomkowi cennych informacji w związku z wyprawą poszukiwawczą do Grań Pajonalu.

Nixon tak bardzo polubił energicznego i rozważnego Tomka, że towarzyszył mu z obozu nad Rio Putumayo aż do Iquitos. Uczynił też wszystko, co było w jego mocy, aby przyspieszyć wyruszenie wyprawy. Dzięki znajomościom i hojności Nixona płynęli obecnie w górę Ukajali na statku, który dopiero za dwa tygodnie miał wyruszyć w tamte okolice po kauczuk.

Trzy dni temu statek wypłynął z Iquitos w górę Maranonu[113]. Po dwudniowej żegludze dotarł do miejsca, gdzie Maranon łączył swe szare i mętne wody z wodami Ukajali, a trzeciego dnia już żeglował po tej tajemniczej rzece.

Tomek z Sally właśnie wyszli po kolacji na pokład. Przystanęli koło nadbudówki. Tomek oparł się plecami o ścianę, otoczył żonę ramieniem i milczał zamyślony. Sally spoglądała w niebo; wśród migocących gwiazd świecił, tak dobrze jej znany, Krzyż Południa. Podzwrotnikowa noc była głucha i parna. Słyszeć było tylko monotony szum wody i chrapliwe sapanie rzecznych delfinów.

Sally co pewien czas zerknęła na milczącego męża, w końcu cicho zapytała?

- Tommy, o czym rozmyślasz? Wydaje mi się, że coś cię gnębi... Tomek westchnął ciężko, po czym odparł- Nie chcę przed tobą ukrywać, że odpowiedzialność, jaką wziąłem na siebie, trochę mnie przeraża. Wprawdzie przy pomocy pana Wilsona, tak bardzo życzliwego dla Smugi, pokonaliśmy pierwsze trudności, ale najgorsze dopiero znajduje się przed nami. Czy zdołamy szybko odnaleźć jakieś ślady? Nie mamy zbyt wiele czasu. Wyprawa już pochłonęła prawie całe nasze oszczędności.

- Rozumiem cię, Tommy. Nie możemy nadużywać uprzejmości pana Wilsona. I tak bardzo nam pomógł.

W tej chwili na pokładzie pojawił się kapitan Nowicki. Wypatrzył młodą parę i zbliżył się do niej.

- Wszyscy już pokładli się spać, a wy jeszcze gruchacie - zagadnął.

- Wcale nie flirtujemy, kapitanie - odparła Sally. - Tommy kłopotczy się naszą sytuacją

finansową.

- Nie martwcie się tym, damy sobie radę - powiedział Nowicki. - Pieniądze niedługo nadejdą.

- Skąd? - zdziwił się Tomek.

- Pomyślałem o tym jeszcze w Manaus. Napisałem do twego ojca, żeby natychmiast sprzedał mój jacht. Jednocześnie przesłałem mu pełnomocnictwo.

- Cóż pan zrobił najlepszego! - oburzyła się Sally. - Przecież "Sita" była dla pana wszystkim! Tak się pan nią cieszył!

- To prawda, że cieszyłem się tym jachtem, ale Smuga ważniejszy dla mnie.

Tomek wzruszony spoglądał na dobrodusznego marynarza. Jacht ów był darem szlachetnej maharani indyjskiej, która prawie trzy lata temu chciała dopomóc im w uwolnieniu Zbyszka z zesłania na Syberii. "Sita" była dumą biednego marynarza z Powiśla. Teraz pozbył się jej dla ratowania przyjaciela...

- Jaki pan szlachetny i dobry... - szepnęła Sally nie mniej wzruszona od męża.

- Słuchaj, sikorko! Smuga i Tomek zawsze mogą na mnie liczyć - odparł Nowicki. - Traktuję ich jak własnych braci.

- Przecież pan nie ma rodzeństwa? - zdziwiła się Sally.

- Dlatego też ci dwaj tak wiele dla mnie znaczą. Poza tym jacht nie pasował do mnie. Widocznie Pan Bóg stworzył mnie na biedaka. Po jakie лихо mam sprzeciwiać się przeznaczeniu? Późno już, chodźmy spać!

Kapitan odprowadził przyjaciół aż do drzwi kabiny, a potem sam udał się na odpoczynek.

Był to początek lutego, a więc okres najwyższego stanu wody na Ukajali. Rzeka rozlewała się szeroko. Załoga małego parowca znajdowała się w stałym pogotowiu, bowiem wciąż powstawały niebezpieczne sytuacje. Rzeka posiadała wiele zakrętów, roiła się ramolinami, czyli wirami o potężnych lejach, groziła licznymi palisadami, to jest pniami olbrzymich drzew, które utknęły w płytszych miejscach i tworzyły groźne zapory.

Na obydwóch brzegach Ukajali rosły nieprzebyte dziewicze lasy. Dżungla wprost wyrastała z wody, która daleko wdzierała się w głąb lądu, tworzyła niezliczone strumienie, kanały, zalewy, jeziora i mokradła. Czasem na konarach drzew można było dostrzec zabłąkanego jaguara, pumę, czy ocelota, które szukając schronienia przed powodzią teraz zdychały z głodu. W górze złowieszczo krążyły nad nimi żarłoczne, ponure sępy. Dziki zwierz w panicznym strachu umykał z zatapianych brzegów, za to ptactwa było tu jeszcze więcej niż nad Amazonką. Jastrzębie rozpraszały stada papug, które z wrzaskiem kryły się pomiędzy drzewa. Czasem gdzieś na wyżej położonym brzegu można było dostrzec chatę indiańską zbudowaną na palach. W tych okolicach, gdzie rzeki prawie stale przelewały się

przez brzegi, była to jedyna forma budownictwa, zabezpieczająca ludzi przed niebezpieczeństwem powodzi. Nadziemne chaty, nakryte dachami z liści palmowych, nie posiadały bocznych ścian. Rzadko spotykało się tutaj krajowców. Indianie na widok białych pospiesznie kryli się w lasy, gdyż bandy poszukiwaczy kauczuku stale polowały na niewolników.

Tomek wraz z przyjaciółmi spędzali niemal całe dni na pokładzie statku. Ukryci przed żarem słonecznym pod brezentowym daszkiem z ciekawością spoglądali na brzeg rzeki. Haboku z żoną oraz pięciu Cubeów, którzy brali udział w wyprawie, również im towarzyszyli, ponieważ upał pod pokładem był nie do wytrzymania. Dingo nie odstępował Sally. Kładł się przy jej stopach i tęsknym wzrokiem spoglądał za ptakami bujającymi w powietrzu.

Brzegi rzeki wyglądały na zupełnie nie zamieszkane. Było to jednak tylko złudzenie. Pułkownik Rondon, podczas spotkania w Iquitos, zalecał Tomkowi jak największą ostrożność. W dorzeczu Ukajali żyło wiele plemion indiańskich, które dotąd nie ugięły się przed białymi. Nad górną Aguatią zamieszkiwali wojowniczy kanibale, Kaszybowie[114], którzy cieszyli się złą sławą. Stale napadali na Czamów[115]. Zabitym wrogom obcinali głowy, ręce i nogi, a potem z zębów robili naszyjniki natomiast z kości piszczałki i groty. Do strzał przywiązywali kępkę kobiecych włosów, co miało przynosić łucznikowi szczęście. Czamowie zajmowali okolice dolnej Aguati w pobliżu Ukajali. Tworzyli trzy szczepy: Kunibo, Ssipibo i Ssetebo, które zawsze się jednoczyły do walki. Używali długich mieczów wyciosanych z najtwardszego drzewa. Dzieciom zniekształcali w niemowlęctwie czaszki, cofając czoła do tyłu, aby odróżnić je od małp. Plemię Amahuaca zamieszkiwało nad górnym biegiem prawobrzeżnych dopływów Ukajali i raczej unikało spotkań z białymi. Kampowie stanowili potężne plemię nad Ukajali. Ci dumni Indianie nie chcieli poddać się białym. Podczas wojny okazywali wiele okrucieństwa. Nad dolną Tambo przebywały liczne plemiona Pirów, które sprzyjały Panchowi Vargasowi.

Niebezpieczeństwo mogło grozić wyprawie nie tylko ze strony Indian. Lasy Montanii obfitowały w drzewa hevea. Wśród poszukiwaczy kauczuku grasowali różni awanturnicy, dla których życie ludzkie nie przedstawiało zbyt wielkiej wartości. Właśnie jednym z nich był Pancho Vargas; do jego hacjendy obecnie płynęła wyprawa. Czy nie będzie usiłował czynić przeszkód? Posiadał na swych usługach setki zaufanych Pirów.

Uczestnicy wyprawy wciąż snuli domysły, układali plany, a statek tymczasem płynął w górę rzeki. Siódmego dnia na wschodnim horyzoncie zarysowało się pasmo gór Cerros de Contamana. Były to jedyne góry leżące na prawym brzegu Ukajali. Niebawem na lewym brzegu ukazała się zaniedbana osada Contamana, stolica prowincji Ukajali. Tutaj już kończyły się wszelkie, nikłe w tych okolicach, wpływy władz peruwiańskich. Jakby dla potwierdzenia tego, sama natura usiłowała zniszczyć ślady obecności białego człowieka. Wartki nurt rzeki systematycznie podmywał brzeg i zmuszał osadę do cofania się w głąb łądu. Cała Contamana składała się z kilku murowanych rządowych budynków, kościoła oraz nędznych chat krajowców. Tomek wraz z przyjaciółmi udali się aleją wysadzoną drzewami mangowymi do osady, aby zgodnie z radą prefektury w Iquitos porozumieć się z

komendantem posterunku policji.

Nędzna osada posiadała dobrze wyposażone sklepy. Tutaj zaopatrywali się w rozmaite produkty poszukiwacze kauczuku, a także krajowcy znosili z głębi dżungli to, co mieli na sprzedaż. Tomek z kapitanem Nowickim udali się na posterunek policji, podczas gdy ich przyjaciele mieli zrobić niezbędne zakupy.

Po przeczytaniu oficjalnego pisma prefektury komendant stał się bardzo uprzejmy, a gdy Tomek wyjawiał mu cel wyprawy bezradnie rozłożył ręce i rzekł- Vargas nie udzieli żadnych wyjaśnień, nawet gdyby panowie potrafili zmusić go do mówienia.

- Jeśli zajdzie konieczność, porozmawiam z nim po marynarsku - zagroził kapitan Nowicki.

Komendant pełnym uznania wzrokiem zmierzył olbrzymiego, barczystego Polaka, po czym odparł- Myślę, że pan rozwiązałby mu język, lecz niestety Vargas nie ma w La Huairze.

- Dokąd wyjechał, jeśli można zapytać? - zagadnął Tomek.

- Dwa miesiące temu władze w Limie nadesłały nakaz aresztowania Vargas. Oskarżono go o morderstwo i uprawianie handlu niewolnikami - wyjaśnił komendant. - Osobiście próbowałem go ująć, ale widocznie został ostrzeżony, gdyż uciekł w dżunglę do Pirów, którzy uważają go za swego przyjaciela.

- I co będzie dalej? - zapytał Nowicki.

- A cóż ma być? - zdumiał się komendant. - Lima daleko, a mściwi Pirowie bardzo blisko. Oprócz mnie na tym posterunku znajduje się jeszcze tylko dwóch policjantów. Poza tym każdy hacjendero posiada indiańskich niewolników. Gdy uzbrojone bandy poszukiwaczy kauczuku przybywają do Contamany, zamykam się z moimi ludźmi na posterunku i cierpliwie czekamy, dopóki nie odjadą.

- Faktycznie dość jasno naświetlił pan sytuację - z humorem rzekł Nowicki. - Wobec tego sami jakoś damy sobie radę.

- Radzę zachowywać dużą ostrożność, zwłaszcza w Grań Pajonalu. Z Kampanii nie ma żartów.

- Wiemy o tym, proszę powiadomić prefekturę w Iquitos, że byliśmy u pana na posterunku. Dzisiaj jeszcze odpływamy z Contamany.

Wyszli na ulicę. Razem z przyjaciółmi powrócili na statek. Właśnie kończono uzupełnianie zapasu drewna opałowego. Wkrótce wypłynęli z Contamany. Wieczorem odbyli długą naradę. Postanowili udać się do La Huairy mimo ucieczki Vargas. Stamtąd przeciw Smuga wyruszył w Grań Pajonal. Mieli jeszcze nadzieję, że zdołają uzyskać jakieś informacje od Pirów.

Mijały dni... Co jakiś czas statek przybijał do brzegu dla zaopatrzenia się w opał, po czym znów płynął dalej. Bezmierna dżungla rozpościerała się po obydwóch stronach Ukajali, a drugi nie mniej gęsty las wysokich trzciny schodził wprost w wodę. Czasem w

wyrwach zieleni żółciły się łąchy piaskowe, na których wygrzewały się krokodyle. Kurki wodne, czaple, rozmaite papugi i mnóstwo wszelkiego ptactwa miało tutaj swoje prawdziwe królestwo. Coraz częściej na zachodnim horyzoncie pojawiały się pasma niebotycznych Andów, które zwłaszcza w blasku zachodzącego słońca tworzyły na tle białych chmur niezapomnianą panoramę.

Pewnego popołudnia uczestnicy wyprawy podziwiali z pokładu statku wspaniały widok. Tomek jak urzeczony wpatrywał się w dal, aż w końcu rzekł- Tutaj można zrozumieć, dlaczego Peru często nazywane jest krajem złota i słońca[116].

- Masz rację, Tomku. Słońca tu nie brak, a jak dowiedziałem się z książki, którą dałeś mi do przeczytania, Hiszpanie znaleźli duże ilości złota w Peru - potwierdził Zbyszek.

- Właśnie żądza zdobycia złota i chciwość przywiodły Hiszpanów do Ameryki Południowej - powiedział Tomek. - Niektórzy z nich pragnęli również nawracać Indian na chrystianizm. Hiszpania potrzebowała wtedy złota, gdyż długa wojna zubożyła kraj. Wielu Hiszpanów nigdy nie posiadało majątku lub ziemi i tutaj pragnęli szybko się wzbogacić. Pustoszyli kraje Ameryki Południowej, grabili i mordowali Indian. Portugalczycy również przybyli tu dla tych samych powodów. Nie znalazłszy złota sprowadzali Murzynów z Afryki jako niewolników do uprawy trzciny cukrowej, którą sprzedawali z wielkim zyskiem. Inne kraje europejskie pozazdrościły Portugalii dochodów. Chciały także zakładać w Ameryce Południowej plantacje, ale zostały wyparte przez Hiszpanów i Portugalczyków.

Ameryka Łacińska długo była grabiona przez najeźdźców. Dopiero u schyłku XVIII wieku rewolucje w Ameryce Północnej i we Francji zachęciły mieszkańców kolonii w Ameryce Południowej do wywalczenia niepodległości. Po długich wojnach posiadłości hiszpańskie i portugalskie rozbiły się na poszczególne kraje.

- Wiele czasu jeszcze minie, zanim zapanuje tu sprawiedliwość - odezwał się kapitan Nowicki. - Sami przekonaliśmy się, że w Amazonii i nad Ukajali wciąż panoszy się bezprawie.

- Tomek słusznie powiedział, że konkwistadorzy spustoszyli Amerykę Południową - wtrąciła Natasza. - Słyszałam, że Inkowie mieli doskonale zorganizowane swoje rozległe państwo.

- Nie chce mi się w to wierzyć, oni nawet nie znali koła - powiedział Nowicki.

- Niech pan nie będzie niedowiarkiem, kapitanie - zaproponowała Sally. - Profesor na uniwersytecie niedawno opowiadał nam o kulturze Inków. Oni byli doskonałymi inżynierami. Brukowali drogi, budowali w górach wiszące mosty, a na zboczach tarasy, aby woda nie zmywała gleby. Wprowadzili także system irygacyjny. Wprawdzie nie znali koła, lecz mimo to potrafili przenosić dziesięciotonowe bloki kamienne do budowania świątyń i pałaców. Olbrzymie bloki niczym nie były spajane, a jednak przylegały do siebie tak ściśle, że nie można wcisnąć pomiędzy nie nawet ostrza noża. Budowle Inków przetrwały częste tutaj trzęsienia ziemi, które obracają w gruzy domy budowane przez współczesnych inżynierów.

Inkowie pięknie zdobili ceramikę i wyrabiali ze złota i srebra przedmioty o wysokiej wartości artystycznej. Nie znali pisma, lecz wynaleźli sposób "zapisywania" liczb systemem dziesiętnym za pomocą węzłów na sznurze.

- Słuchaj, Tomku, czy ta sikorka mówi prawdę? - nie dowierzał Nowicki.

- Czy zapomniałeś, że Sally studiuje archeologię? Muszę *przyznać*, że doskonale zapamiętała wykład. Olbrzymie cesarstwo Inków sięgało od północnego Ekwadoru aż do środkowego Chile. Głównymi ośrodkami były - Quito w Ekwadorze i Cuzco w Peru. Inkowie podbili wiele plemion indiańskich. Liczba ludności cesarstwa szacowana jest na szesnaście do trzydziestu milionów. Rząd dyktował podwładnym, gdzie mają zamieszkać, co uprawiać, jak długo pracować, i nawet decydował, kto z kim ma się ożenić. Cesarz był wyłącznym właścicielem wszystkich dóbr, które rozdelał między swych podwładnych stosownie do ich potrzeb. Rozstrzygał spory, problemy życiowe i żądał, aby go słuchali. Toteż gdy Hiszpanie zawojowali cesarstwo, ludzie byli tak przyzwyczajeni do posłuszeństwa zwierzchności, że konkwistadorzy wydali im się tylko nieco inną grupą władców.

- No i zeszli na psy, bo popadli w ciężką niewolę - dodał Nowicki.

- Masz rację, wprawdzie Inkowie również trzymali swych poddanych żelazną ręką, ale przynajmniej troszczyli się o ich potrzeby i bronili przed obcymi. Natomiast Hiszpanie zabijali, grabili i wywozili wszystko, co miało dla nich jakąkolwiek wartość.

- Ciekaw jestem, czy Inkowie zdołali ukryć przed Hiszpanami choćby część swoich skarbów?

- Myślę, że na pewno tak uczynili - wtrącił Zbyszek. - W tych potężnych górach mogli znaleźć doskonale kryjówki.

- Kto wie? Tyle tu jeszcze okolic nie zbadanych - zastanawiał się Tomek.

- Co byśmy zrobili, gdybyśmy teraz znaleźli ukryte skarby? - zażartowała Natasza. - Ja na przykład zaraz wstąpiłabym w Paryżu na studia medyczne, które byłam zmuszona przerwać w Moskwie.

- Ja natomiast zorganizowałabym wyprawę archeologiczną do Egiptu lub na Bliski Wschód - powiedziała Sally. - A ty Tommy? Nie mów nic, już wiem! Urządziłbyś wielki ogród zoologiczny w Warszawie, a może i muzeum etnograficzne.

- Świetny pomysł, zapamiętam go sobie - wesoło zawtórował Tomek. - A ty Tadku?

- Ja? Powiedziałem już, że nie jestem stworzony do bogactwa. Rozdałbym swoją część między was i miałbym spokój.

- Wiem, co bym zrobił! - zawołał Zbyszek. - Kupiłbym nad Ukajali szmat uroczej ziemi i założyłbym kolonię dla politycznych uciekinierów z Polski. Nazwałbym ją "Nowa Warszawa". Co myślicie o tym [\[117\]](#)?

- Wpisz mnie na listę kolonistów - rzekł rozweselony Nowicki. - Zorganizuję ci kompanię żeglugową, która połączy twoją kolonię z Iquitos.

- Będziemy do was stale przyjeżdżali - dodała Sally. - Ojca wy bierzemy .na zarządcę kolonii.

- Teraz pozostało nam tylko *znaleźć* skarby Inków - zakończył Tomek żartobliwe projekty.

Dziesiątego dnia żeglugi ukazały się na rzece tratwy z drzew cedrowych i mahoniowych, spławianych do dalekiego Iquitos. Flisakami byli Czamowie. Obok szalasów z liści palmowych niektórzy z nich gotowali ryby i piekli banany. Ognisko rozpalone na polepie ubitej gliny tworzyły trzy grube polana, ułożone w kształcie trzyramiennej gwiazdy, płonące tylko na stykających się końcach. Po ugotowaniu stawy flisacy nieco rozsuwali polana, które potem tliły się przez długi czas.

Uczestnicy wyprawy z wielkim zaciekawieniem spoglądali ze statku na flisaków. Najdalej za dwa lub trzy dni mieli już *znaleźć* się w La Huairze. Bezpośrednie zetknięcie się z pierwotnymi mieszkańcami tych okolic było nieuniknione.

Widok okolicy ulegał zmianie. Z każdym dniem żeglugi w górę Ukajali brzegi rzeki stawały się coraz wyższe, woda coraz rzadziej wdzierała się w ląd. Łańcuchy potężnych gór przybliżały się do rzeki. Ożywczy chłód płynący od nich sprawiał, że upał w czasie dnia był znośniejszy, a noce chłodne.

Statek minął ujście Pachitei do Ukajali, potem przepłynął obok małej osady, Masisea, skąd ścieżki karawanowe przez Andy wiodły w kierunku Limy. Musisea była również umowną granicą pomiędzy dolną i górną Ukajali. Stąd na lewym brzegu, aż do niebotycznych gór rozciągał się Grań Pajonal zamieszkiwany przez Kampów, zaś na przeciwległym brzegu leżała kraina Pirów. Olbrzymia skała daleko wysunięta w rzekę zdawała się *zagradzać* drogę do królestwa Indian. Spieniony nurt groził zdradliwym wirem, bryzgał białą pianą.

Był to już czternasty dzień od chwili, gdy statek opuścił Iquitos. Obecnie dopływał do miejsca, gdzie Urubambą łączyła swe wody z rzeką Apurimac[118] i zlewisko obydwóch rzek tworzyło Ukajali, główny dopływ Amazonki. Właśnie w pobliżu owego zlewiska, na wysokim brzegu Urubamby leżała La Huaira, główna kwatera osławionego Vargas[119].

Około południa statek przybił do brzegu. Uczestnicy wyprawy pomagali w wyładowywaniu bagaży i ciekawie zerkali w kierunku osady. Nie wyglądała ona zbyt imponująco. Wśród bananowców stały rzędami przewiewne chatynki bez bocznych ścian, jedynie od góry osłonięte dachami z liści palmowych. Kapitan statku wskazał białym podróżnikom dom Vargas, który wyróżniał się tylko większymi rozmiarami.

- Nie ucieszyli się naszym przyjazdem - rzekł No wieki do Tomka, obserwując gromadę nagich dzieciaków, przyglądających się z daleka.

- Starsi ukryli się przed nami, jeszcze nie wiedzą, kto przyjechał - odparł Tomek. - Zachowują ostrożność.

- Nic dziwnego, skoro Vargasowi grozi aresztowanie... - mruknął kapitan Nowicki.

- Któż tego tutaj dokona? Moim zdaniem nic mu nie grozi ze strony władz. Prędzej jakiś oszukany współnik może pchnąć go nożem.

- Kapitan poszedł do wioski na wywiad. Znają go, może się ośmiela.

- Masz rację, już wraca z Pirami. Będziemy mogli pogadać z nimi. Wkrótce nadszedł kapitan statku w otoczeniu gromady mężczyzn i kobiet. Mężczyźni o mongolskich rysach twarzy, dobrze zbudowani, ubrani byli w przykrótkie spodnie, inni tylko w opaski biodrowe. Kobiety nosiły jedynie krótkie spódniczki sięgające powyżej kolan. Nędzny wygląd kobiet wskazywał, że wykonywały wszystkie najcięższe prace.

- Vargasa nie ma w wiosce, nie wiadomo też, kiedy wróci - zawołał kapitan podchodząc do podróżników. - Wyjaśniłem Pirom, że nie należycie do policji, więc przyszli pogadać.

Tomek przede wszystkim rozdał kobietom po sznurku szklanych koralu, a dzieciom o wzdętych brzuchach trochę cukierków. Nowicki natychmiast poczęstował mężczyzn tytoniem. Dzięki temu pierwsze lody od razu zostały przełamane. Indianki wyrażały swe zadowolenie piskliwymi głosami, co wśród nich uchodziło za szczyt dobrego wychowania.

Kapitan statku miał odpłynąć natychmiast po wyładowaniu bagaży wyprawy. Spieszył do obozów zbieraczy kauczuku w górze Urubamby. Serdecznie żegnał się z białymi pasażerami.

- Nie ufajcie tu nikomu - mówił właśnie do Tomka i Nowickiego. - Dziki to kraj, a Indianie nienawidzą białych. Poszukiwacze kauczuku dali się im dobrze we znaki. Być może w górze rzeki w wioskach Pirów spotkam Pancho Vargasa. Czy mam mu coś powiedzieć od was?

- Mamy do niego list od jego dobrego znajomego z Manaus senhora Pedra Alvareza. Niech go pan o tym poinformuje. Wtedy może nie będzie nam bruździł - odparł Tomek.

- Dobrze, powiem mu o tym. Szeptałem Pirom, że przybędzie tu duża wyprawa. Nie zaszkodzi trzymać ich w szachu.

- Bardzo dziękujemy, właśnie to samo mieliśmy zamiar uczynić - powiedział Nowicki. - Niech to rekin połknie, więcej tu bab niż mężczyzn!

- Pirowie uprawiają wielożeństwo. Im któryś z nich posiada więcej żon, tym większym cieszy się szacunkiem - wyjaśnił kapitan. - Mniej więcej za miesiąc będę powracał tędy do Iquitos. Zapytam o was. Możecie zostawić dla mnie wiadomość.

- Pozostawimy list, w którym napiszemy, co zamierzamy uczynić - odpowiedział Tomek.

Statek odpłynął niebawem. Zbyszek Karski, tak jak podczas wyprawy do Nowej Gwinei, objął funkcję intendenta wyprawy. Teraz pod jego kierownictwem Cubeowie rozbijali obóz. Sally i Natasza zajęły się przygotowaniem posiłku, podczas gdy Tomek z Nowickim udali się do osiedla Pirów. Zamierzali odszukać rodziny Indian, którzy przepadli w Grań Pajonalu towarzysząc Cabralowi, Josemu i Smudze.

Tomek nie skąpił tytoniu oraz drobnych upominków, toteż wkrótce Pirom rozwiązały

się języki. Większość mieszkańców La Huairy pamiętała Smugę. Uważali, że postąpił nierozważnie zapuszczając się na tereny zamieszkane przez wolnych Kampów.

Kuraka, czyli naczelnik Indian, który zarządzał wioską podczas nieobecności Vargasa, pochylił się do białych i mówił- Źle zrobił, sam przepadł i zgubił innych. Stamtąd nikt nie powróci,, tam mieszkają Indios bravos[120].

- Słyszałem, że Pirowie na ogół żyją w przyjaźni z Kampami - wtrącił Tomek.

- Indianie bravos uważają za zdrajców wszystkich Indian, którzy przyjaźnią się z białymi - wyjaśnił kuraka. - Ten biały nie był zbyt rozsądny, nawet nie miał żon.

- Ciekaw jestem, ile ty masz żon? - zagadnął Nowicki. Kuraka zaraz posmutniał.

- Trzy - odparł markotny. - U nas bieda... Inni mają tylko jedną albo dwie. Wy też nie jesteście bogaci. Zauważyłem u was tylko dwie kobiety. Czyje one są?

- Jedna jest moją żoną, a druga mego brata - powiedział Tomek.

- A ty, ile posiadasz żon? - zwrócił się kuraka do Nowickiego.

- Tyle, ile posiadasz palców u obydwóch rąk i u jednej nogi - poważnie powiedział kapitan Nowicki, nieznacznie mrugając do przyjaciela.

- Naprawdę?! - zdumiał się kuraka. - A gdzie one są?

- Pozostawiłem je w domu, żeby pracowały. Przygotują całe góry jedzenia. Gdy wrócę, będę tylko leżał w hamaku i jadł.

Wyraz podziwu i zazdrości odmalował się w oczach kuraki.

- Tyle żon kosztuje dużo... - szepnął.

- Damy ci różnych rzeczy dla twoich żon, a może nawet dokupisz sobie jeszcze jedną - zaproponował kapitan Nowicki.

- A co żądacie w zamian? - zaciekawiał się kuraka.

- Nic, prawie nic... Wskażesz nam tylko tych, których ojcowie lub synowie poszli z tamtymi w Grań Pajonal i przepadli - wyjaśnił Tomek.

- Naprawdę nic więcej nie chcecie?

- Tak, powiesz im również, żeby mówili nam prawdę.

- Dobrze, zrobię to.

Do wieczora obydwaj przyjaciele odbyli wiele długich rozmów. Każda z nich kończyła się wręczeniem mniej lub bardziej kosztownego podarku, w zależności od wagi przekazanych informacji. Jak wynikało z relacji Pirów, przewodnik z plemienia Kampów, który sam zaofiarował Smudze swe usługi, odegrał bardzo podejrzaną rolę. On to właśnie miał doradzić Cabralowi i Josemu, aby skryli się w Grań Pajonalu i wskazał im drogę do ruin starożytnego miasta w niedostępnych górach. Potem zapewne w tym samym kierunku poprowadził Smugę.

Wielu Pirów zapuszczało się z Vargasem w Grań Pajonal po niewolników. Tomek i Nowicki rozpytywali ich o starożytne miasto. Prawie wszyscy słyszeli o istnieniu jakichś ruin w górach. Punkty orientacyjne miały stanowić marcas, czyli odpowiednio oznaczone głązy. Jeden z Pirów widział je na stepie podczas wyprawy do Grań Pajonalu. Na piasku kreślił drogę do nich. Tomek skopiował marszrutę w notesie, a następnie zapytał- Skoro znacie drogę, to dlaczego nie odszukaliście tego miasta?

- Nikt tam nie dojdzie - szepnął Indianin, trwożliwie rozglądając się, czy ktoś nie podsłuchuje.

- Dlaczego?! - podchwycił Tomek.

- Na zachód od znaków znajduje się straszny las. To las śmierci. Każdy w nim umrze. Powiedziałem ci o nim, ale nie chodź tam, zginiecie wszyscy.

- Któż broni przejścia przez las?

- Indios bravos, Kampowie... - jeszcze ciszej dodał Indianin. - Kiedyś dwóch białych chciało zobaczyć to miasto. Jeden zabrał nawet dużo ludzi uzbrojonych. Nikt z nich nie wrócił.

UMIERAJĄCY KAMPA

Już trzeci dzień wyprawa szła w kierunku północno-zachodnim przez lasy peruwiańskiej Montanii[121]. Tomek zwerbował w La Huairze kilku Pirów do niesienia bagaży, lecz u schyłku drugiego dnia wędrówki tragarze oświadczyli stanowczo, że nie zamierzają iść dalej. Nie pomogły perswazje ani kuszące obietnice podwyżki zapłaty. Pirowie pożegnali się i ruszyli w powrotną drogę do swej wioski.

Uczestnicy wyprawy przygotowani byli na to, że nie znajdą tragarzy, którzy chcieliby iść z nimi do Grań Pajonalu. Toteż nie zabrali z Manaos zbyt dużego ekwipunku. Gdy Pirowie odeszli, Tomek podzielił bagaże pomiędzy Cubeów, po czym już nieco wolniej zagłębiali się w bezkresny las.

Dziewicza puszcza Montanii tworzyła pełną uroku i bogactwa tajemniczą krainę. Przede wszystkim pyszniła się różnorodnością gatunków drzew. W pobliżu olbrzymów rosły niższe lub zupełnie małe, wątle drzewa. Olbrzymy-samotniki niszczyły wszystko wokół siebie pochłaniając życiodajne promienie słońca, zazdrośnie odgradzały się zasłoną lian, opuszczaną z korony aż do ziemi. Niektóre drzewa rosły pojedynczo, inne parami bądź grupami. Drzewa twarde jak stal mieszały się z palisandrami, mahoniami, cedrami i drzewami kauczukodajnymi. W wolnych miejscach pomiędzy nimi rozpościerał się o wiele bujniejszy gąszcz niższych drzew i krzewów, często kolczastych, oraz różnych wspaniałych palm. Kokainowe krzewy[122] o aromatycznych, krzepiących liściach sąsiadowały z mięsożernymi, drapieżnymi lub takimi, których sok oślepiał, zabijał bądź leczył. Pnie olbrzymich drzew powalone na ziemię przez wichury i czas tworzyły potężne zapory, inne oplatanie lianami zawisły w powietrzu. Tysiące różnych pnączy niczym olbrzymie węże oplatało drzewa i gałęzie, łączyło korony, tworząc w górze sklepienie nie przepuszczające światła. Promienie słońca gdzieniegdzie przenikały poprzez szczeliny w dachu zieleni i rozjaśniały mroczny las.

Tomek z Haboku i Dingiem szli na czele wyprawy. O kilka kroków za nimi znajdowały się Sally, Natasza oraz żona Haboku, Mara, i Zbyszek. Potem gęsiego szli Cubeowie z ekwipunkiem, a na końcu kapitan Nowicki. W myśl indiańskiego zwyczaju wszyscy zachowywali milczenie podczas wędrówki przez las. Dingo biegł pierwszy. Co chwila nadstawiał uszu, unosił łeb, to znów opuszczał go do samej ziemi i wciąż węszył, wciąż nasłuchiwał.

Tomek nie spuszczał wzroku z wiernego Dinga, który posiadał doskonałą tresurę. Wiedział, że może na nim polegać. Haboku również zerkał na czworonożnego przewodnika, lecz jednocześnie sam nie zaniedbywał ostrożności. Przenikliwym wzrokiem ustawicznie lustrował gąszcze, wsłuchiwał się w odgłosy płynące z dżungli i od czasu do czasu głęboko wciągał powietrze, węsząc niczym biegnący przed nim pies. Inni Cubeowie zachowywali się podobnie, byli przecież częścią tych bezmiernych, tropikalnych puszczy i znali je na wylot. Biali uczestnicy wyprawy z każdym dniem nabierali do nich coraz większego zaufania.

Odejście Pirów wcale nie zatrwożyło Indian Cubeo. Skłoniło ich jedynie do zwiększenia

czujności. Wszyscy Cubeowie otrzymali w Iquitos nowoczesne karabiny, które teraz nosili na ramieniu zawieszane na pasach. Oprócz broni palnej zabrali również łuki i kołczany ze strzałami oraz duże tarcze z usztywnionych skór jeleni, tapirów i jaguarów. Podczas walki opierali tarcze na ziemi i zza nich strzelali do nieprzyjaciela. Po odejściu tragarzy Cubeowie nieśli nie tylko broń, lecz także ekwipunek wyprawy, a więc: namiot dla kobiet, kilka koców, hamaki, moskitiery, garnki do gotowania, blaszane miski i łyżki oraz zapasy żywności: fasolę, ryż, mąkę, cukier, tłuszcz, herbatę i konserwy. Mara, żona Haboku, na równi z mężczyznami dźwigała część ekwipunku. Tomek nie mógł oponować, gdyż było to zgodne z indiańskimi zwyczajami, a poza tym każdy z białych niósł osobiste rzeczy oraz żelazny zapas żywności, które zapakowano w plecaki.

Pod koniec trzeciego dnia wyprawa weszła w dużą dolinę przeciętą szerokim strumieniem. Dingo strzygł uszami i wyczekująco spoglądał na Tomka. Woda w strumieniu nie była zbyt wysoka. Na piaszczystych wyspach wypoczywały duże krokodyle, a chmary ptactwa poderwały się, spłoszone widokiem ludzi. Tomek zaczął rozglądać się za miejscem dogodnym do rozłożenia obozu. Wszyscy byli zmęczeni i głodni.

Zatrzymali się na małej polance nad strumieniem. Mężczyźni wycięli maczetami wszystkie krzewy, po czym rozpięli namiot, w którym, na pniach ściętych drzew, zawiesili hamaki dla kobiet. Dla siebie rozpięli hamaki pomiędzy drzewami wokół obozu.

Haboku wraz z dwoma innymi Cubeami nazbierali w lesie krzewów barbasco[123], które wyrwali z ziemi razem z korzeniami. Z rośliny tej sporządzono truciznę na ryby. Niemal w każdej wsi indiańskiej trzymano naczynie z trującym wywarem. Oczywiście w czasie wyprawy Indianie nie sporządzali wywaru, lecz po prostu rozgniatali krzewy kamieniami, aby prędzej wypuszczały sok.

Dwóch Cubeów udało się w górę strumienia, po czym pomiażdżone krzewy wrzucili do wody. Niebawem w strumieniu koło obozu pojawiły się ryby oszołomione silną trucizną. Cubeowie najpierw przezornie bębniłi skulonymi dłońmi w powierzchnię wody, aby wypłoszyć piranie, po czym odważnie weszli do strumienia i gołymi rękoma wyrzucali ryby na brzeg.

Indianka Mara i Sally zabrały się do oporządzania ryb. Zgłodniały kapitan Nowicki ochoczo pracował z nimi, mimo że w ciągu dnia został pokąsany przez osy. Natasza przysiadła na kłodzie przy ognisku. Zbyszek pomagał jej wyciskać ze skóry na nodze kleszczyki isangu. Zaledwie Cubeowie uporali się z najpilniejszymi pracami obozowymi, również przystąpili do wydobywania spod paznokci u palców nóg pcheł ziemnych, które szczególnie dawały się we znaki chodzącym boso krajowcom.

Tomek był nie mniej zmęczony od innych, ale postanowił rozejrzeć się po okolicy jeszcze przed zapadnięciem nocy. Wziął do rąk sztucer i gwizdnął na Dinga.

- Wrócę niebawem - poinformował Nowickiego. - Chciałbym upewnić się, czy nic nam tu nie grozi.

- Poniuchaj trochę, nie zaszkodzi - przytaknął marynarz. - Oby jak najprędzej nadszedł wieczór. Natrętne muszyska nie dają spokoju.

- Po zmierzchu nadlecia komary.

- To prawda, ale już wolę komarzyska. Te małe manta-blanca tną przez cały dzień. Pospiesz się, niedługo kolacja.

- Uważaj, Tommy! - szepnęła Sally uśmiechając się do męża. Tomek podążył w górę strumienia, po czym szerokim łukiem okrążył obóz. Właśnie zbliżał się do brzegu strumienia poniżej obozu. Dingo, który do tej pory zachowywał się spokojnie, nagle przystanął, nastroszył sierść na karku i gniewnie obnażył kły. Tomek gestem nakazał mu milczenie; zaczął uważnie przepatrywać nadbrzeżny gąszcz. Nie spostrzegł niczego podejrzanego. Prócz szumu wartko płynącej wody nic nie było słychać. Naraz zrozumiał, przed czym ostrzegał go ulubieniec.

Właśnie znajdowali się na zwierzęcej ścieżynie, która prowadziła do wodopoju. Widniały na niej liczne ślady kapibar. Nad samym brzegiem stało wysokie, rozłożyste drzewo. Z grubej gałęzi poziomo wysuniętej ponad wodę zwisała nieruchomo olbrzymia anakonda[124]. Gdyby nie Dingo, Tomek w ogóle nie spostrzegłby pomiędzy zwojami lian, oliwkowobrunatnego węża, upstrzonego czarnymi, okrągłymi plamami. Potężny dusiciel tylną połową dziesięciometrowego cielska opasywał konar, a przednią swobodnie zwisał wśród lian wprost nad wodopojem.

Tomek pojął, że dzięki psu uniknął poważnego niebezpieczeństwa. Przecież zamierzał podejść do brzegu strumienia ścieżką wydeptaną przez kapibary, gdzie akurat czatowała anakonda. Wąż ten bywał najbardziej groźny, gdy mógł posługiwać się drzewem jak dźwignią, która umożliwia mu przytrzymanie i miażdżenie ofiary. Anakondy ze specjalnym upodobaniem polowały na kapibary, aguti i paki, choć równie chętnie żywiły się ptakami. Tomek wolał nie odgadywać, co mogłoby się stać, gdyby nieświadom niebezpieczeństwa przystanął pod konarem. Cicho wycofał się w las i wrócił do obozu.

- Czy wszystko w porządku? - powitał go Zbyszek.

- Nic podejrzanego nie zauważyłem - odparł Tomek. - W lesie sporo śladów zwierzęcych, moglibyśmy zapolować. Głód się we mnie odezwał, gdy poczułem zapach pieczonych ryb.

- Właśnie pan kapitan piecze je na rozgrzanych kamieniach - wtrąciła Sally. - My zaś przygotowaliśmy zupę fasolową.

Cubeowie nazbierali opału na noc. Obecnie kąpali się w strumieniu. Widocznie nie obawiali się piranii, jadowitych płaszczyk, drętwn i rybek canero, które miały zwyczaj wślizgiwać się w naturalne otwory ciała człowieka i zwierzęcia.

Po kolacji Tomek wydobył mapę Peru i długo nad nią rozmyślał. Nowicki tymczasem porozdzielał nocne wachty, po czym usiadł obok przyjaciela. Reszta uczestników wyprawy wkrótce ułożyła się do snu.

Niebo roziskrzyło się gwiazdami. Nowicki przez jakiś czas spoglądał na Krzyż Południa, potem dołożył do ogniska kilka polan drewna; od bliskich gór ciągnął chłód. Następnie zapalił fajkę.

- Czy już ustaliłeś trasę na jutro? - zagadnął.

- Nie jestem pewny, ale prawdopodobnie niebawem powinniśmy pójść w kierunku północnym - odparł Tomek. - Gdzieś tutaj ma znajdować się indiańska ścieżka do Grań Pajonalu.

- Chyba masz rację, Pirowie mówili, że w trzy dni można do niej dotrzeć.

- Nie wiem, czy możemy opierać się na ich informacjach.

- Jesteśmy już chyba w pobliżu Grań Pajonalu, skoro Pirowie nie chcieli iść dalej. Ciekaw jestem tego lasu śmierci, którego oni tak się obawiają. A może tylko chcieli nas nastraszyć?

- Pułkownik Rondon mówił, że w tamtych okolicach żyją nieujarzmione plemiona Indian, które bronią dostępu do swoich terenów.

- W gąszczu nie obronimy się przed strzałami z zasadzki.

- Właśnie rozmyślałem o tym - rzekł Tomek. - Las śmierci odgradza Grań Pajonal od doliny, która wiedzie w głąb gór, gdzie jakoby mają znajdować się ruiny miasta.

- Na stepie od razu nas wypatrzą, a potem w dżungli wystrzelają jak kaczki.

- Tadku, spójrz, księżyc już wschodzi. W jego niesamowitej poświacie wszystko przybiera fantastyczne kształty.

- A niech go rekin połknie! Nie jestem nastrojony romantycznie...

- Nie to miałem na myśli.

- Więc co? Czekaj, powiedziałeś, że przy świetle księżycyca wszystko wygląda dziwnie... Ha, czyżbyś zamierzał w nocy podkraść się przez step do lasu? Jak amen w pacierzu, pomysł dobry! Indianie na pewno mają tam punkty obserwacyjne. Jeśli nas nie wypatrzą, to nic nie będą o nas wiedzieli.

- Właśnie o tym myślałem - przywtórzył Tomek. - Nocą możemy iść, a we dnie ukrywać się w gąszczu.

- W widne noce górzyska wyraźnie rysują się na tle nieba. Będą naszym drogowskazem. Żebyśmy wiedzieli, jak wygląda ta ich Góra Syna Słońca!

- Zapewne jest jeszcze czynnym wulkanem, gdyż według słów Pirów, duchy Inków kryjące się w tej górze objawiają swój gniew ziejąc ogniem.

- Coś mi się wydaje, że nie znajdziemy ruin tego miasta...

- Wcale też nie mam zamiaru ich szukać; po prostu idziemy przypuszczalnym śladem Smugi. Jedynie w ten sposób możemy czegoś dowiedzieć się o nim.

- Święta racja. Jeśli jutro natrafimy na ścieżkę, będzie to znak, że Pirowie nie kłaniali.

Wkrótce po świcie wyprawa ruszyła w górę brzegiem strumienia. Tomek zamierzał

zatrzymać się na wypoczynek dopiero w najgorętszych godzinach południa. Jednak od samego ranka wciąż napotykali różne przeszkody. Najpierw Mara omal nie nastąpiła na curucucu, najgroźniejszego z jadowitych węzów. Na szczęście Indianka niosła tarczę męża razem z łukiem i kołczanem. Gdy curucucu błyskawicznie rzucił się na nią, mierząc paszczą w biodro, Mara odruchowo zasłoniła się tarczą. Dzięki temu wąż nie ukąsił jej, a zanim zebrał się do drugiego ataku, Cubeowie zabili go maczetami.

W niecałą godzinę później Tomek potknął się i upadł wprost na ciernisty krzew, który poranił go boleśnie. Potem napadły ich rozdrażnione osy, a w końcu Dingo zaczął okazywać niepokój. To węszył przy ziemi, to w powietrzu, odbiegał w las, powracał, aż Tomek zatrzymał wszystkich i rzekł cicho- Dingo chce coś nam powiedzieć...

- Może ostrzega przed zagrożeniem - odparł Zbyszek.

- Chyba nie o to mu chodzi. Gdyby coś nam groziło, jeżyłby sierść na karku i szczyrzyłby zęby. Czego chcesz, Dingo?

Pies otarł się o nogi Tomka, a następnie to spoglądał na niego, to w gąszcz.

- Patrz, brachu. On coś zwęszył w lesie - odezwał się Nowicki.

- Musimy sprawdzić, o co mu chodzi - odparł Tomek.

- Pójdziemy razem. Haboku, obejmij komendę!

- Zatrzymajcie się tutaj i odpocznijcie chwilę - dodał Tomek. - Dwa strzały karabinowe oznaczają wezwanie o pomoc. Szukaj, Dingo, szukaj!

Pies ruszył w las węsząc przy ziemi. Przez chwilę zaczął kluczyć tu i tam, jakby gubił jakiś ślad, lecz wkrótce coraz pewniej zagłębiał się w gąszcz. Naraz przystanął, podniósł łeb do góry i węszył.

- Czego on szuka? - szepnął Nowicki. Tomek ostrzegawczo przyłożył palec do ust.

Dingo obejrzał się na nich, po czym przyczajony zniknął w krzewach.

Tomek cicho rozsunał gałęzie, ostrożnie zagłębił się w zarośla. Nowicki wydobył z pochwy rewolwer. Z bronią gotową do strzału ruszył za nim. Po kilku krokach znów przystanęli. Gąszcz niskich palm urywał się w tym miejscu. Na nieco wolniejszej przestrzeni przed nimi rosło olbrzymie drzewo o parasolowatej koronie i pierzaste złożonych, ciemnozielonych liściach[125]. Kora i owoce drzewa porośnięte były długimi kolcami. Duże kwiaty wydzielaly silny zapach. W cieniu tego drzewa stał prymitywny szałas. Szkielet jego tworzyło kilka niskich palm, których przygięte wierzchołki razem związane lianami.

Dingo właśnie stał przed szałasem. Co chwila odwracał łeb w kierunku gąszczy, jakby zachęcał ukrytych w nim mężczyzn do zajrzenia do szałas.

- Niech to rekin połknie! - mruknął Nowicki, - Tam chyba ktoś leży na ziemi.

- Chodźmy, Dingo zachowuje się spokojnie.

Po chwili znaleźli się przy szałasie. Tomek ostrożnie rozgarnął liściaste poszycie. Na barłogu z pożółkłych liści palmowych leżał półnagi Indianin. Ciało jego pokrywały ropiejące rany i strupy. Głowę miał opartą o kawałek grubej, zmurszałej gałęzi. Spod wprószymkniętych powiek błyszcząły rozgorączkowane oczy.

- Ten człowiek umiera... - szepnął Tomek.

- Skóra i kości z niego zostały. Robactwo zżera go, choć dusza jeszcze nie opuściła ciała

- cicho powiedział Nowicki.

- Spójrz, ile tu gałęzi koki!

- Do licha, ma starą indiańską strzelbę i nowoczesny karabin, a mimo to zagłodził się na śmierć.

Tomek wśliznął się do szałasu. Rozrzucił trochę poszycia, aby lepiej przyjrzeć się umierającemu.

- Tadku, sprowadź naszych, nie możemy tego człowieka tak pozostawić.

- Oczywiście, że trzeba mu pomóc. Masz moją manierkę z jamajką, wlej mu kilka kropel do ust.

Tomek przyklęknął przy Indianinie. Ostrożnie rozchylił mu wargi i zwilżył je rumem. Skutek był piorunujący, bo Indianin nagle schwycił kościstymi palcami dłonie Tomka, przycisnął do ust manierkę i pociągnął z niej spory łyk. Omal się na zadławił. Tomek wyrwał mu manierkę. Większa dawka alkoholu mogła przecież przyspieszyć nieunikniony koniec. Ten człowiek umierał nie tylko wskutek ran pokrywających jego całe ciało. Widać było, że długo już nie jadł i nie pił.

Indianin ciężko oddychał. Teraz nieco przytomniej spoglądał na Tomka.

- Daj koki... - szepnął.

- Nie mam - odparł Tomek zaskoczony żądaniem.

- Rosną... blisko...

Tomek powstał i wyszedł z szałasu. Uzmysłowił sobie, że krzewy koki musiały znajdować się w pobliżu, skoro obok konającego leżało tyle gałązek pozbawionych liści. Od razu też pojął, że to koka podtrzymywała gasnące życie tego człowieka. Na wszelki inny ratunek było już za późno.

Indianin z trudem przeżuwał liść koki. Jednak zanim nadeszli towarzysze Tomka, w oczach umierającego pojawiły się żywsze błyski. Zdawał się odzyskiwać siły.

Po półgodzinie Dingo szczechnął chrapliwie. Łbem dotknął ramienia Tomka. Nadchodzili uczestnicy wyprawy. Po chwili już byli wokół szałasu. Natasza, która pełniła funkcję sanitariusza, pochyliła się nad Indianinem.

- Nic mu nie pomożemy - rzekł Tomek. - Tylko dzięki liściom koki iskierka życia jeszcze się w nim dotąd kołacze. On umiera.

- W jakim okropnym stanie się znajduje...- powiedziała Sally, wstrząśnięta widokiem Indianina.

- Zapewne od dłuższego czasu leży unieruchomiony na tym pustkowiu - odezwał się kapitan Nowicki. - Nie miał nawet siły bronić się przed robactwem.

- Ciekawe, kim jest i skąd pochodzi? Mówił do mnie po portugalsku - zauważył Tomek.

Nowicki przyklęknął przy Indianinie. Wlał mu do ust parę kropel wody. Naraz rozległ się przeraźliwy krzyk Nataszy. Tomek schwycił ją za ramiona. Młoda kobieta wybuchnęła płaczem. Teraz dopiero Tomek spostrzegł, że Natasza trzymała w kurczowo zaciśniętych dłoniach pas przymocowany do skórzanej torby.

- Nataszo, co tobie? Co się stało! - zawołał tknięty złym przeczuciem. Z trudem starała się opanować wzruszenie. Po chwili łamiącym się głosem szepnęła- To podróżna torba Smugi. Sama kupiłam mu ją przed wyprawą...

- Czy jesteś tego pewna? - krzyknął Nowicki.

- Natka, opanuj się, czy to naprawdę możliwe?! - zawołała Sally.

- Tu są jego inicjały... srebrne... To ode mnie...

Nowicki porwał skórzaną torbę. Było w niej kilka karabinowych nabojów, kompas oraz trochę drobnych monet.

- Skąd to wzięłeś, człowieku?! - zapytał chrapliwym głosem podsuwając Indianinowi własność Smugi.

Indianin milczał. Widocznie znów tracił siły, gdyż tylko przygasłym wzrokiem wodził po twarzach otaczających go białych ludzi. W tej chwili Haboku przystąpił do Nowickiego. Wziął z jego rąk torbę, starannie ją obejrzał, po czym podniósł z ziemi karabin, a w końcu skałkówkę. Potem przykucnął przy Indianinie. Lewą ręką ujął go za ramię, a prawą wydobyl z pasa nóż. Przyłożył ostrze do gardła konającego.

- Coś zrobił z tym białym, parszywy psie?! - groźnie zapytał.

- Haboku, schowaj nóż! Ten człowiek umiera! - rozkazał Tomek. Haboku spojrzał na niego. We wzroku jego nie było nawet cienia litości.

- Torba, karabin senhora Smugi - rzekł. - Ten przeklęty Kampa był jego przewodnikiem.

- Czy nie mylisz się? - nie dowierzał Nowicki.

- Poznałem tego parszywego psa!

- Ty jesteś... Haboku - szepnął umierający.

Tomek przysunął się do Indianina. Gestem nakazał wszystkim milczenie. Pochylił się nad posłaniem.

- Więc to ty wyprowadziłeś naszego przyjaciela w Grań Pajonal?

- odezwał się. - Masz jego torbę i karabin. Czy on nie żyje? Powiedz prawdę!

Indianin zupełnie przytomnym wzrokiem spoglądał na Tomka.

- Słuchaj uważnie! To nasz przyjaciel. Szukamy go. Umierasz i nie możemy ci pomóc. Powiedz prawdę, to na pewno przyniesie ci ulgę. Czy ten biały zginął?

- Wszyscy jego przyjaciele? - cicho zapytał Indianin.

- Tak, jesteśmy jego przyjaciółmi.

- Parszywy psie! Zgubiłeś prawdziwego przyjaciela wszystkich Indian - odezwał się Haboku. - Widziałeś, że ten biały wykupił z niewoli u Vargasa ludzi porwanych z mojej wioski. Tak samo zapłacił za ciebie i twoją żonę! Nie jesteś czystej krwi Indianinem, skoro serce twoje zapomniało o wdzięczności!

Umierający uniósł się na łokciu. Niespodziewanie silnym głosem odparł- Nie mów tak! Należę do bravos Indios! Nie służę białym.

- Ten biały, którego zgubiłeś, był również przyjacielem dzielnych Kampów. Wiesz dobrze, że ścigał tylko dwóch złych białych.

- On żyje...

- Powiedz, gdzie jest? Ci biali są jego i naszymi przyjaciółmi. Wiesz, że umierasz, odplać więc jeszcze temu białemu dobrem za dobre!

Indianin ciężko opadł na posłanie. Oddychał z trudem. Długo zbierał siły, zanim zaczął mówić- On dopiął swego. Dogonił jednego z dwóch ściganych morderców. Właśnie dogorywał postrzelony. Znał mnie... To ja doradziłem uciekinierom ukryć się w ruinach miasta, a potem prowadziłem tam waszego przyjaciela. Kiedy umierający zarzucił mi zdradę, Metys, który szedł z waszym przyjacielem, strzelił do mnie. Leżałem bezsilny. Potem nadeszli nasi. Zapewne już ujęli białego. Myśleli, że nie żyję... Zabili moją żonę, aby nikt nie mógł zdradzić, co zaszło. Gdy odeszli, ukryłem się w lesie. Znalazłem karabin i torbę. Była w niej żywność. Uratowałem się, lecz wiedziałem, że nasi wciąż czatują wokół. Zabiliby mnie, choć byłem jednym z nich. Znałem tajemnicę. Wiele, wiele księżyców ukrywałem się w lesie. Bałem się, że mnie tropią. Któregoś dnia drzewo przygniotło mi nogę. Dowlokłem się tutaj, zbudowałem szałas i czekałem na śmierć.

- Czy biały na pewno jest w tym mieście? Umierający skinął głową.

- Czy znasz drogę? - indagował Haboku.

- To tajemnica Kampów, tajemnica Indian - odparł umierający.

- Jestem Indianinem tak jak ty! Powiedz, jak mam zaprowadzić moich przyjaciół do tego miasta? Musimy uratować naszego wspólnego przyjaciela. Powiedz tylko mnie jednemu. Przysięgam na duchy naszych wielkich przodków, że nikomu nie zdradzę drogi, którą mnie wskażesz.

- Jeśli poznasz drogę, zginiesz! Zginiesz tak jak ja. Oni odkryli, że ocalałem. Tropią mnie od wielu, wielu księżyców. Krążą tu po okolicy. Dlatego, chociaż mam broń i naboje,

bałem się zdradzić hukiem wystrzału. Nie mogłem polować, umieram teraz. Czy i ty chcesz zginąć?

- Dla ratowania przyjaciela jestem gotów umrzeć!

- Dobrze, duchy naszych przodków, które już przysły po mnie, mówią, że jesteś Indianinem. Dochowasz naszej tajemnicy. Niech wszyscy stąd wyjdą i zostawią nas samych.

Haboku spojrział na przyjaciół. Kamienny wyraz jego twarzy nie zdradzał uczuć. Po krótkiej chwili milczenia stanowczo powiedział- Niech wszyscy odejdą stąd nad rzekę. Tam czekajcie na mnie. Bądźcie jednak ostrożni. Kampowie na pewno są w pobliżu.

Tomek pochylił się i wyciągnął dłoń do umierającego.

- Żegnaj, Indianinie! Wszyscy jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Bardzo nam przykro, że nie możemy ci pomóc. Przyrzekam, że nigdy i nikomu nie zdradzimy tajemnicy wolnych Kampów.

Umierający z trudem uniósł dłoń. Potem kapitan Nowicki również pożegnał się z nim i wszyscy opuścili szalas.

Długo czekali na brzegu strumienia. Tomek wysłał trzech Cubeów na rekonesans. Powrócili po godzinie nie odkrywając żadnych śladów. Wkrótce pojawił się Haboku.

- Idziemy! - rzekł lakonicznie.

- Co z tym nieszczęśnikiem? Czy możemy go tak pozostawić?

- oburzył się Nowicki.

- Powinniśmy mimo wszystko pozostać przy nim, dopóki nie umrze - powiedziała Sally. - Trzeba się nim zaopiekować.

- Duch jego już znajduje się w Krainie Przodków. Nic mu nie grozi ani od białych ludzi, ani od Indian - wyjaśnił Haboku.

- Umarł przy tobie? A może...? - Nowicki urwał i wymownie zerknął na rękojeść noża tkwiącego za pasem Indianina.

Haboku nie zmieszał się, ani jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy.

- Umarł jak przystało na wolnego wojownika indiańskiego. Czy to ci nie wystarcza?

- Ha, skoro tak mówisz, wystarcza - rzekł Nowicki. - Nie chcę się mieszać w wasze sprawy.

DROGA DO RUIN MIASTA

Haboku nie powiedział ani jednego słowa o swej rozmowie z dawnym przewodnikiem Smugi. Po prostu rzekł: - Idziemy, teraz ja poprowadzę!

Zaraz też stanął na czele kolumny. Nowicki polecił Zbyszkowi, aby szedł na końcu, po czym razem z Tomkiem i Dingiem ruszył za przewodnikiem w odstępnie kilku kroków. W milczeniu przewędrowali około pół kilometra w górę strumienia.

- Ciekaw jestem, co Haboku dowiedział się od tego Kampy - po polsku zagadnął Nowicki.

- Tego chyba nigdy nie powie - odparł Tomek. - Nam również nie wypada nagabywać go o to.

- Święta racja! Jednak tu chodzi o bezpieczeństwo całej wyprawy. Czy orientujesz się, gdzie obecnie jesteśmy?

- Oczywiście!

- Więc trafiłbyś stąd z powrotem do La Huairy?

- Nie mam co do tego wątpliwości - potwierdził Tomek. - Wprawdzie te okolice stanowią na mapie białą plamę, ale codziennie nanoszę na nią przebytą przez nas drogę. Wczoraj wieczorem nawet naszkicowałem własną, dość dokładną mapę.

- Wiem, brachu, że jesteś prawie tak doskonałym geografem jak twój ojciec. Pamiętaj, że w twojej mapie może być nasz jedyny ratunek.

- Czy nie masz zaufania do Haboku? - zdumiał się Tomek.

- Nie w tym rzecz! Żywa, chodząca mapa z karabinem w garści jest zbyt podszyta wiatrem. Wolalbym papierową w twojej kieszeni.

- Nie mamy wyboru, Tadku.

- Wiem o tym, ale powinniśmy się ubezpieczyć. Słuchaj, ty jesteś wodzem wyprawy, na tobie ciąży wielka odpowiedzialność.

- Do czego zmierzasz? Mów bez ogródek!

- Przyrzekliśmy Kampie, że nie zdradzimy nikomu tajemnicy wolnych Indian i tego przyrzeczenia dotrzemy. Ale teraz ty otwieraj szeroko oczy, znacz drogę na mapie, abyś mógł wyprowadzić nas z matni w razie jakiegoś wypadku. Potem spalisz mapę.

- Myślałem już o tym. Uczynię, jak radzisz. Gdyby coś się stało, mam moją mapę w lewej kieszeni bluzy. Rozumiesz?

- Rozumiem i spalę, gdy nadejdzie pora.

Nim minęła godzina, Haboku zboczył w las. Teraz wyprawa dość często musiała torować sobie drogę maczetami. Tempo marszu znacznie osłabło. Niebawem natrafili na jakiś strumień i Haboku znów poprowadził w górę jego biegu. Tego dnia jeszcze

kilkakrotnie zagłębiali się w lasy i odnajdywali coraz to nowe strumienie, aż w końcu przed zachodem słońca, zatrzymali się na nocleg nad wodą. Cubeowie rozpalili ognisko na modłę indiańską. Starannie dobierali drwa na opał, aby ogień nie powodował widocznej z daleka smugi dymu. Po kolacji Nowicki ustalił kolejność czat i codziennym zwyczajem siadł przy Tomku, który znów uważnie studiował mapę.

- Czy to możliwe, aby Haboku dokładnie zapamiętał tak kręty szlak? W jaki sposób tamten konający człowiek mógł go opisać? Przez większość dnia wędrowaliśmy po bezdrożnych wertepach - cicho odezwał się Nowicki.

- Nigdzie nie zauważyłem jakichś znaków czy punktów orientacyjnych - powiedział Tomek.

- Racja, wiem jedynie, że napotkaliśmy siedem strumieni.

- Tylko dwa, Tadku - sprostował Tomek. - Oprócz tego, nad którym ukrywał się Kampa, szliśmy jeszcze brzegiem drugiego strumienia. Ten drugi strumień był dopływem pierwszego.

- Nie gadaj głupstw, dokładnie liczyłem!

- Nie wątpię w to, ale jestem pewny, że jeden i ten sam strumień liczyłeś kilkakrotnie. Haboku umyślnie kluczył, abyśmy stracili orientację. Rozumiesz?

- Nie mylisz się przypadkiem?!

- Jestem pewny tego, co mówię. Podobnej sztuczki próbował ze mną Czerwony Orzeł w Meksyku, prowadząc mnie na spotkanie z wodzem Czarną Błyskawicą. On również nie chciał zdradzić drogi do kryjówki wolnych Apaczów.

- Tak, tak, teraz sobie przypominam, mówiłeś mi o tym.

- Dzisiaj przez cały czas trzymałem w ręku kompas, a poza tym stale zwracałem uwagę na położenie słońca oraz łańcuchów górskich. Dzięki temu nie dałem się wprowadzić w błąd. W dalszym ciągu mogę wskazać drogę do La Huairy.

- No, no, naprawdę łepetynę nosisz nie od parady! Ojciec nie zmarnował pieniędzy na twoją naukę. A czy może również wiesz, ile drogi dziś uszliśmy?

- Niewiele, nie więcej jak około dwunastu do piętnastu kilometrów. Spójrz na góry! Czy przybliżyliśmy się do nich?

- Do licha, chyba masz rację.

- Pierwszy strumień wiódł wprost na zachód w kierunku gór. Szliśmy wzdłuż jego brzegów około pięciu kilometrów. Potem powędrowaliśmy lewym dopływem. Ten drugi strumień płynął z północy, więc tym samym szliśmy na północ. Dlatego tylko nieznacznie zbliżyliśmy się do Andów.

- Zdziwiasz mnie, brachu. Czy zaznaczyłeś tę trasę na mapie?

- Tak, zaraz ci pokażę - Tomek wyjął szkic mapy i mówił dalej: - Tutaj jest Ukajali,

Urubamba i La Huaira. Po przeprawie przez Ukajali szliśmy tędy. W tym miejscu zawrócili Pirowie, a tutaj jest strumień i szalas Kamy. Potem Haboku prowadził nas, klucząc prawie w miejscu, aż do tego dopływu. Przed nami, a więc na północy, leży Grań Pajonal, natomiast w kierunku zachodnim Andy.

- Ha, więc jutro powinniśmy znaleźć się w Grań Pajonalu.

- Wydaje mi się, że raczej pójdziemy ku góróm.

- Skąd takie przypuszczenie? Przecież do lasu śmierci trzeba iść przez Pajonal?

- Kampa ręczył, że przez las śmierci nikt nie przejdzie. Skoro Haboku podjął się roli przewodnika, zapewne teraz zna inną drogę, która może prowadzić tylko przez góry.

- To brzmi logicznie, ale przekonamy się jutro.

- Kto po nas pełni straż?

- Zbyszek i Saturu, a o najgorszej porze przed świtem Haboku ze swoim kumplem.

- To dobrze. Indianie zazwyczaj napadają o świcie. Ale chyba nic nam nie grozi. Dingo przez cały dzień zachowywał się spokojnie; teraz także zerka na nas tylko jednym okiem.

- Pocziwe, zmyślne psisko. Dzięki niemu znaleźliśmy umierającego przewodnika Smugi.

O północy zbudzili następnych wartowników. Noc minęła spokojnie.

Wkrótce po wschodzie słońca wyruszyli w dalszą drogę. Jeszcze przed południem kapitan Nowicki zbliżył się do Tomka i szepnął- Twoje domysły się sprawdziły. Idziemy w kierunku gór.

- Haboku przestał kluczyć. Widocznie uważa, że już straciliśmy orientację.

- Nieborak! Myślał, że wyprowadzi w pole takiego starego wygę jak ty! Tomek spojrzał ku pasmom górskim, w pełnym blasku słońca przybierały liliową barwę.

- Pójdziemy inną trasą niż Smuga. Był on chyba pierwszym Polakiem, który zagłębił się w Grań Pajonal [\[126\]](#) - rzekł po chwili.

- Ciekaw byłem tego Pajonalu, ale ze względu na kobiety lepiej ominąć las śmierci - odparł Nowicki.

- Dzielnie trzymają się panie.

- A jakże! Nasza sikorka wodzi rej wśród nich. Zuch baba! Mara patrzy w nią jak w obrazek.

- Trochę niepokoję się o Natkę. Ona nie czuje się najlepiej na tej wyprawie.

- Zaginięcie Smugi wyprowadziło ją z równowagi.

- Cicho! Spójrz na Dinga!

- Czemu on się tak nastroszył? Może zwęszył jakiegoś zwierzaka?

- Poczekajmy na naszych. Lepiej idźmy teraz w bardziej zwartym szyku.

Przystanęli pod wielkim głazem. Od pewnego czasu szli przez podgóorską, falistą krainę. Napotykali coraz więcej pagórków porośniętych dziewiczym lasem, rumowisk skalnych i potężnych kamieni.

- Okolica jak wymarzona na zasadzkę - mruknął Nowicki uważnie rozglądając się wokoło. - Haboku niepotrzebnie tak się oddala.

- Na pewno wkrótce poczeka na nas. Spenetruje drogę...

- Dingo jeszcze kręci nosem, ale ja nic nie widzę pomiędzy skałami.

- Również nie spostrzegłem niczego podejrzanego. Nasi już nadchodzą.

- Czy zatrzymujemy się na odpoczynek? - zawołała Sally. - Od dłuższego czasu wciąż pniemy się pod górę. Zmęczyliśmy się trochę.

- Musimy połączyć się z Haboku, wtedy odpoczniemy - odparł Tomek.

- Według twych obliczeń powinniśmy już być w pobliżu Pajonalu - powiedziała Natasza.

- Ale teraz prowadzi Haboku, a nie ja - odpowiedział Tomek.

- Prawdopodobnie pójdziemy inną drogą. Suchoroślowy krajobraz wskazuje na to, że już znajdujemy się na skraju tego pustynnego wyżu. Gdybyśmy zoczyli na północ, wkrótce ujrzelibyśmy tę osławioną krainę.

Nadeszli tragarze, a za nimi Zbyszek. Kapitan Nowicki, który przez cały czas penetrował wzrokiem załomy skalne, zdjął karabin z ramienia, sprawdził, czy nabój wprowadzony jest do lufy, po czym zawołał- Nie przystawajcie, idziemy! Zbyszku, nie pozostawaj w tyle. Trzymajmy się razem.

- Bądź blisko kobiet, Tadku - odezwał się Tomek. - Idę z Dingiem pierwszy!

Ze sztucерem pod pachą wysforował się o kilkanaście kroków do przodu. Rozglądał się po skałach i chaszczach, jednocześnie zerkając na psa. Dingo wciąż węszył w powietrzu, jeżył sierść na karku.

Sally zorientowała się, że sytuacja jest niepewna. Poprawiła na biodrach pas z rewolwerem. Teraz jednym ruchem mogła wydobyć broń z pochwy.

Naraz Tomek błyskawicznie uskokzył w bok, przyklęknął i, prawie nie przykładając sztucera do ramienia, strzelił. Długa, czarna strzała, wymierzona przed sekunda prosto w jego pierś wbiła się głęboko w ziemię. Tomek w ostatniej niemal chwili spostrzegł Indianina wychylającego się zza skały. Przytomność umysłu uratowała mu życie. Indianin natomiast ugodzony śmiertelnie kulą osunął się na skraj skalnego występu, bezwładnie przetoczył się po nim i runął wprost pod stopy swej niedoszłej ofiary.

Zanim przebrzmiał huk wystrzału, rozległ się przeraźliwy okrzyk bojowy Kampów. Strzały z luków świsnęły w powietrzu.

- Dingo, do pani! - krzyknął Tomek.

Sally popchnęła swe towarzyszkę w rumowisko kamieni. Saina również skryła się za głazem, wydobyla rewolwer i zaczęła wypatrywać napastników. Wierny Dingo przybiegł do niej; sierść jeżyła mu się na karku, gniewnie szczyrzył kły patrząc na skały. Mara, żona Haboku przyczaiła się obok Sally, z łukiem gotowym do strzału.

Cubeo, który pierwszy szedł za kobietami, zatoczył się, upuścił niesiony bagaż, z chrapliwym jękiem padł na niego. Czarna strzala z haku przeszła na wylot jego szyję.

- Kryć się za kamienie! - krzyknął Nowicki, lecz sam nie szukał schronienia. Ruchliwy i zwinny, co chwila składał się do strzału, a każda kula powalała jednego wroga.

Zbyszek przycupnął za głazami obok kobiet. Nie był zbyt dobrym strzelcem, a w dodatku nieoczekiwany napad oszołomił go w pierwszej chwili. Toteż strzały jego nie były celne. Za to czterej pozostali przy życiu Cubeowie dzielnie wspierali Tomka i Nowickiego. Przyklękli z a tarczami opartymi o bagaże i ogniem z karabinów razili atakujących Kampów.

Przez jakiś czas szala zwycięstwa nie przechylała się na niczyją stronę. Kampowie przeważnie strzelali z łuków, tylko kilku z nich posiadało stare skałkówki. Tomek i Nowicki w mgnieniu oka podzielili między siebie teren obstrzału. Tomek, przyczajony pod skałą w pobliżu kobiet i Zbyszka, szachował wrogów ukrytych po prawej stronie kotłitiy, natomiast Nowicki ostrzeliwał lewą. Obydwaj drżeli z obawy o Haboku. Dlaczego nie zawrócił na odgłos walki? Czyżby pierwszy zginął? Prawie natychmiastowa śmierć Cubea trafionego w szyję budziła podejrzenie, że Kampowie używali zatrutych strzał.

Tomek spostrzegł Kampę przekradającego się wśród głazów. Natychmiast uniósł sztucer do ramienia. Wychylił się, nacisnął spust. Iglica uderzyła w próżnię, w lufie już nie było naboju. Wtedy właśnie Indianin strzelił do niego ze swej skałkówki. Tomek osunął się na kolana, pociemniało mu w oczach, krew zalała twarz. Sally pobladała widząc padającego męża, lecz jak przystało córce australijskiego pioniera, spokojnie nacisnęła spust rewolweru. Kampa wypuścił z rąk jeszcze dymiącą skałkówkę, po czym sam zwałił się na nią. Tomek tymczasem już oprzytomniał; kula tylko otarła się o jego skroń. Ze sztucerem w dłoni dźwignął się z ziemi. Była to prawdziwie tragiczna chwila. Jeden z Cubeów, widząc padającego kierownika wyprawy, rzucił mu się na ratunek. Za ledwie wyskoczył zza tarczy, otrzymał postrzał w pierś. Wkrótce skonał.

Natasza również chciała podbiec do Tomka, jednak z okrzykiem bólu cofnęła się do kryjówki. Pierzasta strzala zraniła ją w prawe ramię.

Kampowie pewni zwycięstwa skoczyli z piekielnym wrzaskiem do ataku wręcz. Tomek zahartowany w trudach, siłą woli opanował własną słabość. Rewolwery błysnęły w jego dłoniach. Nowicki uczynił to samo. Seria celnych strzałów ostudziła zapal Kampów. Trzech wprawdzie dopadło Nowickiego, ale rozszalały marynarz z Powiśla, rozgromił ich w przeciągu kilku sekund.

Tomek wystrzelał naboje z rewolwerów, po czym widząc chwilowe załamanie się ataku,

porwał sztucer i pobiegł do kobiet. Sally próbowała tamować krew płynącą z ramienia Nataszy, podczas gdy Zbyszek strzelał z karabinu.

- Strzała czy kula?! - zawołał Tomek do żony.

- Strzała, rana niegroźna - odpowiedziała.

- Nie bandażuj! - rozkazał Tomek. Wyrwał Zbyszkowi karabin. Trzema celnymi strzałami zmusił resztę Kampów do ukrycia się za skałami.

Dzielna Sally nie traciła czasu, zaczęła nabijać broń męża. Tomek oddał karabin bratu, mówiąc- Mierz spokojnie, nie zrywaj spustu. Częściej trafisz... Przyklęknął przy Nataszy. Strzała z łuku rozorała skórę na ramieniu i trochę naruszyła mięsień.

- Będzie bolało, trzeba wycisnąć ranę - rzekł Tomek.

Młoda kobieta pobladła, gdy ujął ją za ramię. Potem grymas bólu pojawił się na jej twarzy; zemdlła. Tomek silnie naciskał mięsień koło rany, która znów zaczęła obficie krwawić. Potem ustami wysysał krew, a w końcu wydezynfekował jodyną.

- Tommy, Kampowie uciekają! - naraz zawołała Sally. - Nasi ich gonią. Haboku zaszedł Kampów z tyłu.

Zbyszek z karabinem w dłoni pobiegł za Nowickim i Cubeami. Dingo również pobiegł za nimi.

W bitewnym rozgardiaszu nikt nie zwracał uwagi na Marę, ta jednak wystrzelawszy wszystkie strzały z kołczanu, przekradła się do pobliskiego lasu. Teraz właśnie przybiegła z zebranymi ziołami.

- Przyłóż do rany, liście dobre na truciznę... - odezwała się do Tomka.

- Kto cię nauczył rozpoznawać zioła?

- Mój ojciec jest wielkim czarownikiem, często zbierałam dla niego. Nie bój się, przyłóż...

Tomek obłożył ramię liśćmi, zabandażował, po czym podsunął zemdlonej flakonik z amoniakiem. Po chwili oprzytomniała. Oczami pełnymi łez spojrzała na Tomka, uśmiechnęła się i szepnęła- Mazgaj ze mnie... Jesteś pokrwawiony, zaraz zajmę się tobą.

- Nic mi nie będzie, to drobiazg. Poleż spokojnie, twoje ramię jeszcze krwawi. Musiałem rozjątrzyć ranę, bo im więcej krwi z niej wypłynie, tym lepiej. Strzała mogła być zatruta.

- Wiem, Tomku, wiem.

- Mara nazbierała ziół, obłożyłem nimi ranę.

- Kto z naszych zginął? Widziałam dwóch...

- Nikt więcej. Haboku zaszedł z tyłu napastników i przechylił zwycięstwo na naszą stronę. Wkrótce nasi powrócą z pościgu.

Mara przyniosła wody ze strumienia. Razem z Sally zmyły krew z głowy Tomka, a następnie nałożyły opatrunek. Kula rozorała mu skórę na skroni, ale kość nie była naruszona.

- Dopiero po dwóch godzinach w głębi parowu ukazali się powracający z pościgu. Szli wolno... Sally od razu wypatrzyła, że niosą kogoś na noszach.

- Tommy, jeszcze jedna ofiara... - cicho powiedziała do męża, aby nie budzić Nataszy.

Tomek wyjął lunetę. Przez chwilę przypatrywał się nadchodzącym. Z ciężkim westchnieniem włożył lunetę do pochwy.

- To Cubeo, wydaje mi się, że nie żyje - odparł posepnie. - Ciężkie ponieśliśmy straty. Trzeba przeładować bagaże, część *rzeczy* musimy pozostawić.

W milczeniu oczekiwali nadejścia towarzyszy. Pierwszy nadbiegł zziębnięty Dingo. Wkrótce też nadeszli mężczyźni. Nowicki pokrwawiony i posiniaczony przysiadł na głazie. Cubeowie położyli na ziemi nosze z gałęzi, po czym *zaczęli* zbierać kamienie, aby przykryć nimi grób poległych.

- Co z Nataszą? - zapytał Nowicki. - Kampowie używali zatrutych strzał.

- To powierzchowne draśnięcie - wyjaśnił Tomek. - Wycisnąłem i wyssałem ranę, a potem obłożyłem ziołami nazbieranymi przez Marę. Podobno zna się na tym.

- Mara również sporządziła wywar z ziół. Natka wypłała go i zasnęła - dodała Sally.

- To dobrze, Indianie mają swoje sposoby na trucizny - odparł Nowicki. - Teraz przesortujcie bagaże, zabierzemy tylko niezbędne rzeczy. Gdy pochowamy zabitych, natychmiast ruszamy w drogę. Haboku radzi dotrzeć do gór jeszcze przed nocą.

- W górach łatwiej się ukryć - powiedział Tomek.

- A jakże, możemy spodziewać się pościgu. Kilku z nich umknęło nam. Mimo że dobrze im dopiekleśmy, ponownie urządzili zasadzkę. Wtedy właśnie straciliśmy jeszcze jednego Cubea.

Tomek z żoną i Marą zabrali się do przeładunku bagaży, inni tymczasem zajęli się pogrzebem. Owinęli w koce ciała poległych, a następnie ułożyli je w płytkim dole razem z bronią i osobistymi rzeczami. Haboku, jak nakazywały zwyczaje plemienne, wygłosił krótkie przemówienie pożegnalne- Dzielni wojownicy Cubeo polegli w walce z parszywymi Kampami. Zanim umarli, sami zabili wielu wrogów. Zginęli w obronie przyjaciół, dlatego po śmierci zamieszkają w wielkim, wspólnym domu szczęśliwości, w którym żyć będą razem z naszymi wielkimi przodkami, a nie w psiej budzie, jak podstępni Kampowie.

- Nigdy nie zapomnimy dzielnych wojowników Cubeo, którzy nie opuścili nas w ciężkiej potrzebie - dodał Tomek.

Potem nie tracąc czasu ruszyli w drogę. Szli bardzo wolno, gdyż oprócz bagaży nieśli nosze z Nataszą pogrążoną w głębokim śnie. Przed zachodem słońca wkroczyli w chłodny

cień gór. Znużeni ostrożnie pięli się po kamienistym stoku. Tutaj ewentualny pościg już nie mógł odszukać ich śladów. Na noc zatrzymali się w rozpadlinie pod dużym, skalnym nawisem. W pobliżu szumiał mały wodospad.

Wszyscy byli bardzo wyczerpani. Postanowili odpocząć dzień lub dwa. Schronienie pod nawisem skalnym obudowali kamieniami, a szczeliny zasypali żwirem. Dopiero zabezpieczywszy się w ten sposób przed chłodnym wiatrem zasiedli do posiłku.

Nataszą nie przebudziła się nawet wtedy, gdy przenoszono ją na posłanie z koców. Sally z Marą położyły się przy niej. Miały czuwać na zmianę.

Mężczyźni również położyli się do snu.

Kapitan Nowicki, który z walki wyszedł jedynie z paroma zadrapaniami i siniakami, pierwszy pełnił straż. Najpierw wymył się w strumieniu, potem łyknął jamajki, a następnie siadł w wejściu do zaimprovizowanej chaty. Zachowując jak największą ostrożność, zapalił fajkę. Dingo przywarował u jego stóp. Poczciwe, wierne psisko czuwało niestrudzenie, co chwila uchylało powiek i strzygło uszami.

Nowicki siedział zasepiony i rozmyślał. Teraz zrozumiał, że popełnił z Tomkiem wielką nieostrożność zabierając kobiety. Podczas pierwszego starcia z Kampami ponieśli duże straty, a co będzie dalej? Musieli porzucić *znaczną* część ekwipunku. Już nie posiadali namiotu, z żywnością było krucho. Co się stanie w Nataszą? Nękany obawą powstał i cicho podszedł do posłania. Srebrzysta, zimna poświata księżycowa padała na twarze kobiet. Spały w najlepsze. Nowicki delikatnie dotknął czoła Nataszy. Było chłodne i suche. Nieco pocieszony znów usiadł przy Dingu. Pies leżał spokojnie i drzemał. Nowicki pogrążył się w myślach. Oparł plecy o głaz. Monotonny szum pobliskiego wodospadu działał jak środek nasenny. Na chwilę przymknął powieki...

Warknięcie Dinga przebudziło Nowickiego; chwycił karabin oparty o kamień. Pies niespokojnie spoglądał w niebo. Nowicki nasłuchiwał i rozglądał się wokoło. Dopiero po dłuższej chwili spostrzegł czarne cienie bezszelestnie unoszące się w powietrzu. Od razu odgadł, że to nietoperze zaniepokoiły Dinga. Przypomniawszy sobie opowiadania o nietoperzach-wampirach, które karmiły się krwią zwierzęcą i ludzką. Szybko powstał i wszedł pomiędzy śpiących. Spłoszony nietoperz przemknął tuż obok jego twarzy. Nowicki pochylił się nad Nataszą. Piers jej równomiernie unosiła się w oddechu. Nowicki zbudził Haboku, po czym sam ułożył się do snu.

Dwudniowy wypoczynek w zdrowym, górskim powietrzu przywrócił lepszy nastrój uczestnikom wyprawy. Nawet Natasza czuła się dobrze i twierdziła, że może iść dalej. Toteż trzeciego dnia o świcie ruszyli w drogę.

Haboku, tak jak przedtem, szedł pierwszy. Przez dwa dni to wspinali się na stoki gór, to znów schodzili w doliny porośnięte dżunglą. Ciszę dziewiczych lasów mąciły jedynie krzyki ptaków lub szum płynących strumieni.

Tomek stawał się coraz bardziej zasepiony. Nanoszenie na mapę trasy wyprawy było

niemal niemożliwe. Toteż teraz najczęściej uwagi zwracał na położenie słońca. Ku jego zdumieniu Haboku znów prowadził w kierunku wschodnim. Domyślił się, że idąc górami już zapewne obeszli las śmierci; obecnie zbliżali się do ruin starożytnego miasta z przeciwnej strony.

Piątego dnia od opuszczenia pierwszego obozu w górach Haboku nagle zapomniał o maskowaniu swych uczuć. Przystanął i podniecony zawołał!

- Nareszcie znalazłem! Istnieje naprawdę, Kampa nie kłamał!

- Coś znalazł? - zapytał kapitan Nowicki.

- Patrzcie, przekonajcie się sami! - triumfująco wołał Haboku, Znajdowali się w wysoko położonej dolinie.

- Zdaje się, że natrafiliśmy na ślady jakiejś starej drogi - odezwał się Tomek.

- Chyba masz rację, widać, że była nawet brukowana - przyznał Nowicki.

- Czy tej drogi szukałeś, Haboku? - zapytał Zbyszek.

- Dawno, dawno temu zbudowali ją władcy tej ziemi - odparł Indianin. - Kampa zapewnił mnie, że doprowadzi nas ona do ruin miasta, których szukamy[127].

- Obyśmy tylko odnaleźli tam pana Smugę - szepnęła Natasza.

- Jeśli odnajdziemy miasto, to jestem pewna, że go tam zastaniemy - powiedziała Sally.

- Prowadź, Haboku! - rozkazał Nowicki.

Stary trakt prowadził w dół zbocza. Szczeciniasta trawa i krzewy rosły w wyrwach i szczelinach, lecz miejscami droga, zbudowana przed kilkoma wiekami, rysowała się zupełnie wyraźnie. W dali snuła się ku niebu smuga czarnego dymu.

Około południa Haboku znów przystanął przy kilku głazach. Na jednym z nich odnalazł wyryty symbol słońca. Teraz zboczył w głęboką rozpadlinę. Wyszli nią na małą skalną platformę. Stanęli jak urzeczeni. W dolinie przed nimi leżały ruiny miasta. Wśród drzew, krzewów i wysokiej trawy widać było ściany domów, zbudowanych z wielkich kamieni. Nad rozległymi ruinami dominowała potężna góra o tępo ściętym szczycie, z którego sączył się dym.

GNIEW BOGÓW

Więc jednak naprawdę istnieje zaginione miasto, o którym słyszeliśmy od Pirów - cicho odezwał się Tomek. - Czyżby wolni Kampowie obrali je sobie na kryjówkę? Kapitan Nowicki odjął lunetę od oka i odparł- Nigdzie nie widać żywego ducha. Wszędzie pustka i martwota. W wielu miejscach dżungla już wdarła się w gruzy.

- Chodźcie tutaj! Znalazłyśmy zejście do doliny - zawołała Sally. Na lewym końcu platformy znajdował się potężny blok kamienny, obramowany u dołu wąskim progiem. Przy nim właśnie stały Sally i Natasza.

- Tędy idzie się do stopni wyciosanych za załomem bloku - powiedziała Sally.

Tomek najpierw spojrzał na prostopadłe zbocze góry. Skalna platforma zwisała nad kilkudziesięciometrową przepaścią. Odwrócił się do żony i rzekł- Sally, dlaczego bez ubezpieczenia chodziłaś po tym parapecie? Czy mało jeszcze mamy kłopotów?

- Nie cierpię na zawroty głowy, a poza tym, dlaczego tylko mężczyźni mają zawsze pierwsi się narażać?

- Przestańcie, nie czas na przekomarżanie - wtrącił Nowicki. - Tomku, bierz sznur.

Tomek obwiązał się w pasie końcem liny, po czym wszedł na wąski, skalny próg. Marynarz przytrzymał sznur. Tomek zniknął za załomem.

- Tu jest tylko miejsce dla jednego człowieka, przywiązałem linę, przechodźcie pojedynczo - zawołał. - Idę na dół! Dingo!

Następny poszedł Haboku, a za nim Zbyszek, trzej Cubeowie, kobiety i marynarz.

Wysokie stopnie wyciosane w skale wiodły pod platformę zawieszoną nad przepaścią, a stamtąd, wzdłuż prawie pionowej ściany, opadały aż na dno doliny. Tomek pomyślał, że jeśli była to jedyna droga do miasta, to każdy przybysz musiał być natychmiast zauważony przez mieszkańców. Nim minęło pół godziny, wszyscy uczestnicy wyprawy już znajdowali się w dolinie.

- Dingo wciąż węszył na schodach - oznajmił Tomek.

- Na kamieniach nie zauważyłem żadnych śladów - odparł Nowicki. - Czyżby ktoś szedł tędy przed nami?

- Licho wie, co tutaj się kryje? Nie możemy wejść gromadą między ruiny - powiedział Tomek.

- Pewno duchy Kampów mieszkają w nich - trwożliwie szepnął Haboku. - W pobliżu naszej wsi również znajdują się skały, zamieszkiwane przez duchy. Tam nikomu nie wolno chodzić.

- Tutaj zapewne też kryją się duchy! Pies mądry, on je widzi - dodał drugi Indianin.

Tomek wiedział, że odważni w boju Cubeowie zawsze drżeli na myśl o czarach i duchach. Toteż uśmiechnął się dyskretnie i odparł- Na pewno nie ma tutaj duchów,

obyśmy tylko nie natknęli się na wrogich Kampów. Zostańcie tu wszyscy i miejcie się na baczności. Pójdę z Dingiem na zwiad. Gdybym spotkał kogoś, strzelę dwukrotnie.

Tomek z psem u nogi ostrożnie zbliżał się do kamiennego muru okalającego ruiny miasta. Niebawem przystanął przed oryginalną bramą. Jej boczne filary stanowiły dwa potężne, gładko ociosane głazy, na których opierał się szeroki, kamienny blok ułożony poziomo. Na jego frontalnej części były wyryte symetrycznie ułożone ozdoby lub znaki, a wśród nich, nad wejściem do miasta, widniał symbol słońca. Masywny mur otaczający miasto był w wielu miejscach zrujnowany. Głazy porozsuwały się bądź nawet zapadły w ziemię. Tomek cicho gwizdnął na Dinga, po czym ze sztucerem w dłoniach przeszedł przez bramę.

Miasto leżało na dwóch tarasach, które wyglądały jak potężne stopnie wykute w stoku wysokiej góry. Szeroka, brukowana ulica prowadziła wprost od bramy ku szerokim, kamiennym schodom na wyższy taras. Po obydwóch stronach ulicy stały domy, zbudowane z gładko obrobionych, idealnie dopasowanych głazów, które układano bez spajania zaprawą. Większość domostw nie miała dachów, ponieważ strzechy już dawno się porozpadały. Tylko kilka większych budowli nakrytych było dachami z wielkich kamiennych płyt.

Tomek zachowując ostrożność szedł główną ulicą, zerkał w przecznice, zaglądał do ruin domów. Wszędzie czuć było ostry odór nagromadzonych odchodów nietoperzy. W wielu miejscach ulice zapadły się bądź pocięte były bezdennymi, szerokimi szczelinami. Również ściany niektórych domów rozsypywały się lub czasem zaledwie tylko wystawały z ziemi, która rozstała się pod nimi. Wśród gruzów domów oraz popękanych bruków ulic rosły drzewa, pieniała się trawa i dzikie krzewy. Tomek nie miał wątpliwości, że miasto zostało zniszczone przez trzęsienie ziemi, tak często nawiedzające andyjskie kraje[128].

Coraz bardziej zaintrygowany myszkował wśród ruin. Był już pewny, że tragiczne w skutkach trzęsienie ziemi wydarzyło się tutaj przed wiekami. Miasto odcięte od świata zapewne zostało zbudowane jeszcze na długo przed podbojem hiszpańskim. Może niegdyś ukryło się w nim jakieś plemię, które nie chciało ulec białemu najeźdźcy? Ruiny miasta przecież znajdowały się w okolicy, która na mapie jeszcze obecnie stanowiła białą plamę. Było również odizolowane od reszty kraju, ponieważ wolne plemiona Kampów zajadłe broniły dostępu do niego. Nic jednak nie wskazywało na to, że gdzieś w pobliżu kryli się ludzie. W jakim więc celu więziono by tutaj Smugę?

Tomek przeszedł główną ulicą ku szerokim, kamiennym schodom, wiodącym na wyższy taras. Dingo przystanął, węszył w powietrzu, potem wbiegł na kamienne stopnie, a z nich na obszerny plac. Tam znów *zatrzymał* się, cicho zaskomlał i kilka razy machnął ogonem.

Serce uderzyło żywiej w piersi Tomka. Dingo zazwyczaj tak zachowywał się, gdy odnajdywał znajomy ślad. Tomek bez wahania wszedł na górny taras.

- Szukaj, Dingo, szukaj! - zachęcał ulubieńca.

Pies zaczął węszyć, biegał tu i tam, spoglądał na Tomka. To machał ogonem i cicho

skomlał, to znów jeżył sierść na karku.

- Co znalazłeś? Co chcesz mi powiedzieć? Czy grozi nam niebezpieczeństwo? - pytał Tomek.

Pies odwrócił do niego łeb i warknął.

- A więc jednak ostrzegasz! Czyżby tutaj naprawdę kryli się ludzie? - mruknął Tomek. Przewiesił przez ramię sztucer na pasie i wy dobył z pochwy rewolwer. Krótka, szybkostrzelna broń wydawała mu się praktyczniejsza w tej sytuacji.

Z rewolwerem gotowym do strzału rozglądał się po tarasie. Na obydwóch bokach obszernego placu stały dwa olbrzymie gmachy. Jeden z nich niemal w połowie leżał w gruzach, drugi natomiast wyglądał na prawie nienaruszony. Pomiędzy tymi gmachami, na krańcu placu, znajdowały się mniejsze, w znacznej części zniszczone domy.

- Szukaj, Dingo! - rozkazał Tomek.

Pies kluczył po placu, lecz coraz bardziej zbliżał się do dobrze zachowanej budowli. Na popękanych, kamiennych schodach przystanął, obejrzał się na Tomka.

- Szukaj, Dingo! - znów padł rozkaz.

Tomek ostrożnie wchodził na schody. W górze nad samym wejściem wyryty był symbol słońca. Po chwili Tomek znalazł się w ogromnej sali. Przez krótki czas stał bez ruchu, aby wzrok przystosował się do półmroku panującego wewnątrz budynku. Potem zaczął się rozglądać wokoło. Olbrzymia sala była zupełnie pusta. Na ścianach zachowały się ślady jakichś malowideł. Tomek odczuwał coraz większy niepokój. Naraz uzmysłowił sobie, że kamienna posadzka była niemal zupełnie czysta. W innych domach, do których przedtem zaglądał, gruba warstwa odchodów nietoperzy i ptaków pokrywała podłogi. Tomek natychmiast położył palec na spuście rewolweru. Ktoś musiał tutaj utrzymywać porządek, a więc ruiny miasta nie były całkowicie nie zamieszkane.

Na obydwóch bokach sali znajdowały się głębokie nisze, natomiast w ścianie, na wprost głównego wejścia do budynku, czernił się wąski otwór. Tomek zajrzał do nisz, a następnie zaczął zbliżać się ku ciemnemu otworowi. Nagle Dingo warknął głucho, po czym kilkoma susami przebiegł mroczną salę i zniknął w otworze. Gwałtowne ujadanie zwielokrotnione echem rozbrzmiało w ciemności. Potem Dingo zaskowyczał z bólu i znów zaczął gwałtownie szczekać, jakby kogoś atakował.

Tomek natychmiast podskoczył na ratunek ulubieńcowi. Wśliznął się w ciemny otwór. Nieprzenikniona ciemność przykuła go do miejsca.

Pospiesznie wy dobył pudełko zapalek. Wsunął rewolwer za pasek od spodni. Dingo czekał zajądło. W nikłym płomyku zapalniczki Tomek ujrzął psa, który rozgniewany rzucał się na kamienną, pustą ścianę. Tomek wypalił kilka zapalek, przy ich blasku obszedł niezbyt obszerną komnatę. Ku swemu zdumieniu nie znalazł nikogo. Nie było tu okien ani drzwi. Dingo wciąż warczał i ze zjeżoną sierścią na karku obwąchiwał gładką ścianę.

W tej chwili rozległ się przeciągły, głuchy grzmot. Masywny, kamienny gmach zadrżał

w posadach. Nikła smuga światła w wąskim otworze poszarżała. Przeróżliwe wycie Dinga wyrwało Tomka z osłupienia. Pochylił się i wybiegł z tajemniczej komnaty. Po kilku chwilach znalazł się na schodach przed gmachem.. Przystanął jak rażony piorunem. Pozostali uczestnicy wyprawy, których pozostawił przed ruinami starożytnego miasta, już znajdowali się na drugim tarasie. Wolno cofali się na środek placu, a za nimi, szerokim półkolem, postępowali uzbrojeni, milczący indiańscy wojownicy.

Tomek błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Podczas jego nieobecności Kampowie zapewne nieoczekiwanie okrążyli towarzyszy.

Skoro od razu nie rozpoczęli walki, Nowicki zaczął wycofywać się do ruin miasta, aby połączyć się ze zwiadowcą.

- Dingo, do nogi! - stłumionym głosem rozkazał Tomek.

Kampowie szli szeroką ławą. Byli nadzy. Jedyne małe fartuszki, przytrzymywane przez sznurek z łyka, zasłaniały im podbrzusza. Twarze mieli pomalowane w niebieskie i czerwone fantastyczne wzory. Na głowach nosili korony wyplecione z włókien palmowych i ozdobione piórami ptaków, a z tyłu zwisały im aż na plecy pęki barwnych, suszonych kolibrów. W przekłutych muszlach usznych tkwiły ozdoby z drewna.

Indianie zachowywali wymowne, groźne milczenie. Krok za krokiem postępowali za białymi, trzymając na napiętych cięciwach łuków długie, czarne strzały.

Tomek zrozumiał, że wszelki opór był beznadziejny. Liczebność Indian od razu przesądzała o ich zwycięstwie. Poza tym, jeśli byli mieszkańcami zaginionego miasta, to właśnie u nich miał przebywać Smuga.

Dopiero po dłuższej chwili Tomek zauważył, że czarne chmury zasłoniły rozjarzone słońcem niebo. Zaraz też przypomniał sobie, że od kilku dni obserwowali w północno-wschodniej części gór czarny dym sączący się z wysokiego szczytu. Przed chwilą musiał nastąpić gwałtowny wybuch wulkanu.

Nie było czasu do stracenia. Najmniejszy, podejrzany dla Indian ruch lub gest mógł rozpętać bezkompromisową walkę, która oznaczała nieuniknioną śmierć dla wszystkich uczestników wyprawy.

Tomek zbiegł po stopniach. Dingo warknął, wyszczerzył kły.

- Spokój, Dingo! Idź do pani! - krótko rozkazał Tomek. Wolno zbliżał się do swych towarzyszy. Kampowie wyżej unieśli łuki i wymierzili czarne strzały w jego pierś. Tomek wsunął rewolwer do pochwy. Bokiem ominął przyjaciół; zatrzymał się pomiędzy nimi i Kampanii. Przez długą chwilę wpatrywał się w ich groźne twarze.

- Pozdrawiam wojowników wolnych Kampów - odezwał się po hiszpańsku.

Indianie stali jak kamienne posągi.

- Przybywamy do was jako przyjaciele - powiedział Tomek. - Niech moi bracia opuszczą broń i zaprowadzą nas do swojej wioski. Tam wyjawimy im cel naszego przybycia.

Trudno było odgadnąć, czy Kampowie rozumieli słowa Tomka, bowiem ani jeden muskuł nie drgnął w ich twarzach. Przenikliwym wzrokiem mierzyli białych i nie opuszczali napiętych łuków.

- Jestem dowódcą wyprawy, chciałbym rozmawiać z wodzem wolnych Kampów - znów odezwał się Tomek.

Jeden z Indian ruszył ku niemu. Szedł czającym się krokiem, dopóki grot długiej strzały niemal nie dotknął piersi Tomka. Mocniej naciągnął cięciwę łuku. Tomek spokojnie spoglądał wprost w oczy Kampy. Indianin nieoczekiwanie zluźnił cięciwę łuku, zdjął z niej strzałę. Z woreczka umocowanego do sznurka opasującego biodra wyjął fotografię. Tomek zaledwie zerknął na nią, pobladł z wrażenia. To była ślubna fotografia jego i Sally.

Kampa zaś spoglądał to na fotografię, to na Tomka. Nagle zerwał Tomkowi kapelusz z głowy. Znów popatrzył na jego twarz, a potem na fotografię. Następnie spojrzął w kierunku kobiet. Wkrótce utkwiał wzrok w Sally. Potem schował fotografię do woreczka.

Kampa rzucił swoim jakiś rozkaz. Indianie otoczyli wyprawę zwartym kołem. Teraz Kampa przeszył Tomka przenikliwym spojrzeniem, a następnie rzekł po hiszpańsku - Będiesz rozmawiał z wodzem wolnych Kampów. Powiedz swoim, żeby nie stawiali oporu. Musimy zawiązać wam oczy.

- Więc ty nie jesteś wodzem? - zapytał Tomek.

- Milcz i rób, co powiedziałem!

Tomek podszedł do towarzyszy. W języku hiszpańskim powtórzył słowa Kampy, a potem dodał po polsku - On ma moją i Sally ślubną fotografię. Mógł ją otrzymać tylko od Smugi.

- Dobra wiadomość, chociaż czuję się, jakbym siedział w paszczy wściekłego rekina - odparł No wieki.

Kampowie zawiązali jeńcom oczy przepaskami, potem ujęli ich za ręce i ruszyli w drogę.

Tomek wkrótce domyślił się, że wprowadzono ich do tajemniczego budynku, w którym Dingo atakował kogoś niewidzialnego. Tylko do tego gmachu wiodły schody. Z łatwością również odgadł, że weszli do drugiej, mniejszej, ciemnej komnaty. Musiały znajdować się w niej jakieś ukryte przejścia, ponieważ bardzo długo prowadzono ich krętymi korytarzami pnącymi się w górę bądź opadającymi w dół. Tomek stracił orientację. W końcu zaczęli wchodzić na wąskie schody. Po pewnym czasie Kampowie zatrzymali się i zdjęli im opaski z oczu.

Znajdowali się w obszernej sali. Groźni, uzbrojeni wojownicy już gdzieś zniknęli. Kilku Kampów ubranych w obszerne kuźmy spoglądało na nich ciekawym wzrokiem.

- Odłóżcie broń - polecił jeden z nich. Tomek bez wahania odpiął pas z rewolwerem i razem ze sztucerem położył na posadzce. Inni uczynili to samo.

- Zostawcie tu również wszystkie swoje *rzeczy* - znów odezwał się Kampa.

Gdy uczynili, co kazał, wyprowadził ich na korytarz, z którego weszli do dużej sali. W jednym jej końcu kilku zbrojnych Kampów, ubranych w kuźmy, otaczało półkolem brodatego mężczyznę, siedzącego na tronie ze szczerego złota. Mężczyzna oparł dłonie na kolanach i w milczeniu wpatrywał się w nadchodzących jeńców. Przystanęli o kilka kroków przed tronem. Dingo szczechnął chrapliwie, próbował wyrwać się, lecz Sally mocno przytrzymała go za obrozę.

Kampa, który przyprowadził jeńców, zbliżył się do wodza siedzącego na tronie i podał mu fotografię wydobytą z fałd kuźmy. Brodacz skinął głową, po czym bez słowa odprawił go ruchem dłoni.

Tomek wraz z przyjaciółmi stali w milczeniu. Wydawało się im, że ów brodacz był białym mężczyzną. Zapewne przewodził wolnym Kampom, skoro siedział na złotym tronie otoczony wodzami poszczególnych plemion. Długie, czarne włosy opadały mu aż na ramiona, a broda okalająca twarz sięgała piersi. Ubrany był w kuźnię z miękkiego materiału przetykanego złotymi nićmi. Bose stopy opierał na skórze jaguara. Wódz nieco pochylił się do przodu i rzekł po polsku- Witajcie, drodzy przyjaciele! Nie mogę teraz was uściskać. Ci zbrojni wodzowie uważnie śledzą każdy nasz gest. Bądźcie rozważni, znajdujemy się w jaskini rozgniewanego jaguara.

Dingo szczechnął i machnął ogonem.

- Niech mnie rekin połknie, to nasz Smuga! - cicho zawołał kapitan No wieki.

- Nareszcie odnaleźliśmy pana! - odezwał się Tomek z trudem tłumiąc wzruszenie.

- Od kiedy znalazłem się w niewoli, bałem się tej chwili jak niczego w życiu - odparł Smuga. - Od kilku dni drzę z niepokoju o was...

- Więc pan wiedział, że idziemy tutaj? - zdumiał się Tomek.

- Doniesiono mi o tym w dzień po waszej bitwie. Wiedziałem, że trzech z was padło.

- W jaki sposób? Czy to naprawdę było możliwe?

- Później porozmawiamy. Od chwili tej tragicznej walki każdy wasz krok był uważnie śledzony. Z wielkim trudem wymogłem na Kampach, żeby doprowadzili was tutaj żywych. Tym niemniej znajdujemy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Na domiar złego od kilku dni przekłęty wulkan wznowił działalność. Oni sądzą, że wasze wtargnięcie do ich państwa spowodowało gniew bogów.

- W jaki sposób dostał się pan tutaj? Dlaczego oni trzymają pana w niewoli? - zapytał Tomek.

- Mój przewodnik okazał się emisariuszem wolnych Indian. Wprowadził mnie w pułapkę. Szukali białego wodza, który nauczyłby ich wojennej taktyki najeźdźców. Przygotowują zbrojne powstanie[129].

- Odnaleźliśmy tego przewodnika. Był konający, lecz zanim umarł, wskazał nam drogę

- wyjaśnił Tomek. - Zdradził swoich, abyśmy mogli pospieszyć panu na ratunek.

- Wiedział dobrze, że stąd żywi nie wyjdziecie. To dawna kryjówka Inków. Tutaj ich niedobitki schroniły się przed Hiszpanami. Gdy trzęsienie ziemi zniszczyło im miasto w dolinie, zbudowali drugie na szczycie skały. Potem urządzili tu swoją główną kwaterę wolni Kampowie, którzy twierdzą, że wywodzą się w prostej linii od Inków.

Jeden z wodzów stojących obok Smugi odezwał się gardłowym głosem.

- Teraz musicie odejść. *Zobaczę was później* - rzekł Smuga.

- Tomku, nie układaj planów, dopóki nie pomówimy. Odpocznijcie po trudach. Idźcie już!

Tomek z przyjaciółmi wyszli z sali. Kampa, który uprzednio przyprowadził ich do Smugi, już czekał na korytarzu. Przeszli kilka kondygnacji, po czym przewodnik wskazał im dwie obszerne komnaty, w których mieli przenocować.

- Popatrzcie! Oddali nam wszystkie nasze rzeczy - zawołał uradowany Zbyszek, gdy Kampa zniknął za matą osłaniającą otwór drzwiowy.

- Ale broń zatrzymali - zauważył kapitan Nowicki. - Pał ich sęk! Grunt, że odnaleźliśmy Smugę.

- Poczciwy, wierny Dingo! Pierwszy poznał pana Smugę - mówiła wzruszona Sally. - Gdy tylko weszliśmy do tronowej komnaty, Dingo omal nie wyrwał mi się do niego.

- Jeszcze w ruinach starożytnego miasta zdawało mi się, że Dingo trafił na jakiś znajomy ślad - odezwał się Tomek. - Zapewne Smuga nieraz tam bywał.

- Wprost nie mogę uwierzyć, że naprawdę odnaleźliśmy pana Smugę - powiedziała Natasza. - Zatrwożyły mnie jego słowa.

- Ba, sytuacja nie jest wesoła, ale nie w takich już bywaliśmy opałach - rzekł kapitan Nowicki. - Skoro Smuga już od kilku dni wiedział, że pakujemy się wilkowi w gardło, to na pewno rozmyślał również nad sposobami ratunku. Poza tym my także poruszymy mózgownicami. Zaufajmy Smudze i Tomkowi. Oni we dwóch coś wymyślą.

- Racja, kapitanie! Nic a nic się nie boję - wtrąciła Sally.

- Ciekaw jestem, w jaki sposób Smuga dowiedział się tutaj o naszej bitwie? - powiedział Tomek. - Czyżby Kampowie na wzór dawnych Inków przekazywali wiadomości sposobem sztafetowym?

- Zapewne tak właśnie robią - przywtórzyła Sally. - Poszczególni gońcy mogą przebiegać z wiadomością od plemienia do plemienia. Słyszałam, że za czasów Inków wiadomość przekazywana w taki sposób w ciągu dnia docierała do miejscowości odległej o około dwustu pięćdziesięciu kilometrów.

W tej chwili do rozmawiających zbliżył się Haboku, który przez cały czas przyglądał się przez okno okolicy.

- Tutaj dużo wojowników - odezwał się. - Naokoło wysokie skały. Ucieczka niemożliwa, a duchy w wielkiej górze bardzo się gniewają. Zasłaniają słońce czarnymi chmurami. Kampowie przestraszeni, może być źle.

- Masz rację, Haboku - odparł Tomek. - Warto by rozejrzeć się w sytuacji.

- Już zerknąłem na korytarz, nikt nas nie pilnuje - cicho powiedział Nowicki. - Nie wiem jednak, czy to rozsądnie już robić coś na własną rękę. Kampowie wzburzeni, lepiej poczekajmy do rozmowy ze Smugą.

Zanim ktokolwiek zdążył coś odpowiedzieć, Indianki wniosły misy z jedzeniem. Postawiły je na matach i zaraz wyszły.

- Proszę, a więc nie zamierzają morzyć nas głodem - ucieszył się Nowicki. - Ho, ho! Ryż, fasola, gotowana kura i coś w dzbanie do popicia. Siadajmy, burczy mi w brzuchu. Na głodniaka nigdy nic mądrego nie przyjdzie człowiekowi do głowy.

Po skończeniu posiłku Tomek polecił dwom Cubeom, aby pilnowali, czy ktoś nie nadchodzi korytarzem, gdyż uczestnicy wyprawy chcieli rozważyć sytuację, w jakiej się znajdowali. Wkrótce jednak doszli do wniosku, że bez Smugi nie mogą ułożyć planu działania. Cóż mogli począć bez broni w mieście pełnym wrogich Kampów? Tylko szczęśliwy zbieg okoliczności lub jakiś fortel mógł ich uratować.

- Najlepiej uczynimy kładąc się spać - w końcu rzekł Nowicki. - Licho wie, co przyniesie nam dzień jutrzejszy. Wulkan dymi jak setka parowców na wyścigach... Nabierzmy sił.

- Rada dobra, wszyscy jesteśmy zmęczeni i podenerwowani. Kładźcie się, a ja jeszcze spróbuję uzupełnić moją mapę - powiedział Tomek.

Usiadł przy otworze okiennym, rozłożył mapę na parapecie i długo nad nią pracował. Potem, gdy zapadł wieczór, zatroskany spoglądał w niebo. Czerwone odblaski ognia zięjącego z krateru wulkanu załamywały się w czarnych chmurach dymu. Wewnętrzny niepokój coraz bardziej ogarniał Tomka, wyczuwał, że śmiertelne niebezpieczeństwo nadchodzi wielkimi krokami.

Przypisy

[1] Selva - wilgotny las międzyzwrotnikowy, porasta olbrzymie obszary dorzecza Amazonki.

[2] Cykady (*Cicadidae*) - piewiki właściwe, należą do grupy pluskwiaków. Żyją głównie w cieplejszych krajach. Żywią się sokami roślin. Długość rozpostartych skrzydeł niektórych gatunków dochodzi do 18 cm. Właściwością cykad jest zdolność wydawania dźwięków za pomocą narządu u nasady odwłoka.

[3] Kauczuk jest jednym z najważniejszych surowców roślinnych. Wprowadzenie go do użytku miało ogromne znaczenie dla rozwoju przemysłu, zwłaszcza w motoryzacji, lotnictwie, elektrotechnice, technice sanitarnej. Ojczyznę kauczuku naturalnego są puszcze brazylijskie, w których wśród wielu gatunków roślin zawierających sok kauczukowy (lateks - *latex*) duże drzewo *Hevea brasiliensis* zyskało znaczenie światowe; niższej jakości lateksu dostarczają również rosnące tam drzewa *Mnihot glaziovii* i *Hancornia speciosa*. Brazylijski monopol na kauczuk naturalny został złamany ok. 1880 roku, kiedy wywieziono nasiona *Hevea* i zasiano je w ówczesnych koloniach angielskich w Azji (Cejlon, Malakka), a potem w Indiach Holenderskich, upłynęło jednak z górą 30 lat, zanim kauczuk plantacyjny zyskał przewagę. Około dwustu gatunków drzew, krzewów i roślin zielnych dwuliściennych w strefie międzyzwrotnikowej i podzwrotnikowej zawiera sok mleczny służący do wyrobu kauczuku. W Ameryce Środkowej i północnej części Ameryki Południowej lateksu dostarczają rodzime drzewa *Sapium* i *Castilloa*, w Azji oprócz kauczukowca brazylijskiego uprawia się drzewo *Ficus elastica*, a w Afryce *Futumia elastica*.

[4] Rio Putumayo - rzeka w północno-zachodniej Ameryce Południowej. Posiada źródła w północno-wschodniej Kolumbii, przepływa Peru i Brazylię, gdzie wpada do Amazonki.

[5] Sim, senhor (port.) - Tak, panie.

[6] Capanga (port.) - zbrojny dozorca robotników.

[7] Seringueiro (port.) - poszukiwacz kauczuku.

[8] Manaus (obecnie Manaus, nazwa od mieszkającego tam plemienia Indian) leży w stanie Amazonas w północnej Brazylii, na lewym brzegu rzeki Negro, w pobliżu miejsca, gdzie wpada ona do Amazonki. Miasto założyli Portugalczycy w 1660 r. Od 1850 r. jest stolicą stanu; obecnie drugie po Para-Belem ważne miasto nad Amazonką. Posiada doskonały port rzeczny. Stanowi ważne centrum handlowe, którego szybki rozwój nastąpił w okresie tak zwanej gorączki kauczukowej.

[9] Rafia - włókno z pewnego gatunku drzewa palmowego, używane do wyplatania kapeluszy, torebek, pantofli itp. oraz w ogrodnictwie.

[10] Dmuchawka bądź świstuła - broń używana w Ameryce Południowej i Środkowej, w Indochinach, Indonezji i w Indiach. Dmuchawkę sporządza się z rury bambusowej

długiej na 2 do 4 m, z której silnym dmuchnięciem "strzela się" małą strzałą.

[11] Jarimeni iarenumuyu - księżyc zaszedł.

[12] Unjui - pies.

[13] Bom dia, senhor - Dzień dobry panu.

[14] Acampamento (port.) - obozowisko.

[15] Primo (port.) - krewny.

[16] Przygody Tomka w Nowej Gwinei opisane zostały w powieści *Tomek wśród łowców głów*.

[17] W 1910 roku Brazylię o powierzchni 8 511 965 km² zamieszkiwało 22 216 000 ludności. Rozmieszczenie ludności było nierównomierne. Nizinę Amazonki, obejmującą 64% powierzchni kraju, zamieszkuje obecnie zaledwie 7% ludności.

[18] W okresie największego nasilenia eksploatacji kauczuku Manaus liczyło około 100 tys. mieszkańców, po załamaniu się koniunktury ludność zmalała prawie do połowy.

[19] Boa tarde - Dobry wieczór.

[20] Cubeo - "Ludzie, których nie ma". Szczep ten składa się z około 30 klanów, zgrupowanych w 3 konfederacjach. Każdy klan liczy około 100 osób. Klan - tutaj w znaczeniu grona ludzi złączonych więzami krwi i zespolonych gospodarczo do wspólnej walki o byt.

[21] Kapibara, czyli wodoświnka (*Hydrochoerus capybara*), należy do rodziny *Caviidae*, w skład której wchodzi: dobrze nam znana świnka morska (*Cavia porcellus*) oraz mara (*Dolichotis patagonica*) - jedno z najciekawszych zwierząt pustynnych, z wyglądu przypominające zającą o znacznie dłuższych nogach oraz krótszych, zaokrąglonych uszach. Kapibara (od indiańskiego caapi-uara, czyli mieszkanięc traw) posiada krótkie uszy, wargę górną rozciętą i palce czterech nóg połączone błoną pławną. Żyje w Ameryce Południowej od Orinoko do La Płaty i od Oceanu Atlantyckiego aż do podgórz Andów. Zamieszkuje nadwodne gęstwiny leśne. Nocą wychodzi na otwarte przestrzenie w poszukiwaniu żeru; często robi szkody na plantacjach, pożerając kukurydzę, arbuzy i trzcinę cukrową. Rozmnaża się przez cały rok.

[22] Ary - najpiękniejsze i największe z papug klinosternych. Najmniejsze są wielkości kawki, największe wielkości kruka. Dziób mają duży, górą zgięty i wydłużony w wystający szpic. Kantarek, obwódki dookoła oczu i przednia część policzków są zawsze nagie, ogon bardzo długi. Wszystkie wspaniałe i różnobarwnie upierzone. Żyją w stadłach małżeńskich. Rzadko uczą się tak dobrze mówić jak inne papugi. Najpospolitsze to: ara błękitna (*Ara ararauna*); ara czerwonoczelna (*Ara militaris*).

[23] Papuga jara (*Amazona aestiva*) należy do papug tęposternych. Posiada krótki, szeroki ogon. Pochodzi z Brazylii środkowej i południowej oraz z Argentyny. Papugi tęposterne są bardzo pojętne, a niektóre potrafią melodyjnie śpiewać całe pieśni.

Pospolicie spotykane w ogrodach zoologicznych.

[24] Tukan pomarańczowy (*Rhamphastos ariel*) - jak wszystkie gatunki tukanów charakteryzuje się oryginalnym, dużym dziobem, zazębionym piłowate na krańcach szczęk. Około 60 gatunków zamieszkuje podzwrotnikową Amerykę.

[25] Rodzina czapli (*Ardeidae*) tworzy drugi podrząd bocianokształtnych. Zamieszkuje wszystkie części Ziemi, z wyjątkiem krajów polarnych.

[26] Amerykę zamieszkuje pięć gatunków ścierwników, z których najbardziej znane są: czerwonogłowy (*Cathartes aura*) i czarnogłowy (*Cathartes urubu*). Obydwa gatunki mają upierzenie niepozorne, jednostajnie czarne, różniące się natomiast ubarwieniem nagich części głowy i szyi. Czerwonogłowy zamieszkuje całą Amerykę od Kanady aż do Cieśniny Magellana, głównie na wybrzeżach, podczas gdy czarnogłowy należy raczej do fauny Ameryki Południowej, sięgając Meksyku i południowych stanów USA. Z życia i obyczajów ścierwniki podobne są do innych sępów.

[27] Piranie (*Ierrosalmus*) - mięsożerne, żarłoczne ryby wielkości naszych płotek, o silnych szczękach i ostrych zębach, prawdziwy postrach wód Ameryki Południowej. W przeciągu kilku minut potrafią objeść swą ofiarę do gołego szkieletu.

[28] Solimoes - brazylijska nazwa górnej części Amazonki, obejmująca odcinek tej rzeki od granicy peruwiańskiej do ujścia do niej Rio Negro.

[29] Iquitos - miasto i port rzeczny założony w 1863 r. na brzegu górnej Amazonki w północno-wschodniej części Peru. Jest stolicą departamentu Loreto i zarazem handlowym centrum dla północno-wschodniego Peru, skąd transport towarów odbywa się Amazonką w kierunku Brazylii i jej wschodniego wybrzeża morskiego.

[30] Próg rzeczny to jakby schody w korycie rzeki, tworzące się na skutek różnej odporności skał, w których rzeka żłobi swe koryto. Wysokie progi tworzą wodospady. Progami rzecznyymi są np. porohy na Dnieprze, katarakty na Nilu.

[31] Szczep Cubeo zamieszkuje brzegi rzeki Uaupes - w Kolumbii Uaupes - (od jeziora Uarna do strumienia Uaracapuri) i jej dopływów: Cauduiari, Querari i Pirabaton oraz nad strumieniem Uaracapuri.

[32] Flamingi albo czerwonaki (*Phoenicopteri*) należą do czwartego podrzędu bocianokształtnych. Zamieszkują pas podzwrotnikowy oraz części pasa umiarkowanego Starego i Nowego Świata, brak ich jednak na Molukach, w Polinezji, Australii, Tasmanii i Nowej Zelandii. Jednym z sześciu gatunków są czerwonaki karmazynowe (*Phoenicopterus ruber*) o nadzwyczaj długiej szyi i dziobie zaopatrzonym na brzegach w liczne blaszki rogowe, tworzące z dzioba coś w rodzaju sita. W połowie swej długości dziób jest silnie zagięty w dół. Flamingi mają długie, cienkie nogi. Upierzenie białe z różowym nalotem, pokrywy skrzydłowe karminowoczerwone, lotki czarne. Dziób u nasady karminowoczerwony, na końcu czarny. Długość ciała samca dochodzi do 120-130 cm, samica jest nieco mniejsza. Gniazda z mułu budują w kształcie stożka na płytkiej wodzie lub na wysepkach.

[33] Achiota - arnota właściwa. *Bixa orellana* i *Bixa urucuma* wytwarzają bardzo ciemny barwnik zwany czerwienią orleańską.

[34] Kolumbia (nazwa od odkrywcy Ameryki - Krzysztofa Kolumba) - republika w północno-zachodniej Ameryce Południowej, granicząca z Wenezuelą, Brazylią, Peru, Ekwadorem i Panamą. Ludność osiedlona jest w większości w wąskich dolinach górskich. Południowozachodnie niziny, zajmujące 2/3 kraju, są prawie bezludne. Stolicą jest Bogota we wschodnim łańcuchu Andów; 2/3 ludności trudni się rolnictwem i hodowlą bydła. Kawa jest głównym towarem eksportowym. Kopalnie szmaragdów, złota i platyny w dolinie Atrato w pobliżu granicy panamskiej; ropa naftowa jest podstawowym bogactwem.

[35] Pora sucha na tych szerokościach geograficznych trwa od maja do września.

[36] Mrówkojad trójpalczasty (*Myrmecophaga tridactyla*) osiąga długość do 2,5 m. Tylko koniec nosa, wargi, powieki i podeszwy ma bezwłose. Waga dorosłego samca dochodzi do 40 kg. Żyje samotnie, wciąż wędrując. Śpi tam, gdzie zastanie go noc. Żywi się termitami, mrówkami i ich larwami, które wyciąga lepkiem językiem z gniazd rozgrzebanych pazurami. Samica rodzi jedno młode, które nosi prawie rok na grzbiecie i karmi własnym mlekiem. Mrówkojady zamieszkują jedynie podzwrotnikowe okolice Ameryki Południowej.

[37] Pekari (*Pecari*) - pierwszy podrząd zwierząt parzystokopytnych, do którego należą dwie rodziny: świny i hipopotamy. Amerykańskie pekari stanowią pierwszą z tych rodzin. Pekari zwykle (*Pekari tajacii*) mieszka od Arkansasu do Patagonii. Ma długość do 1 metra i jest czarnobrunatne. Szeroki pas biało-żółty biegnie od łopatki w dół. Gruczoł grzbietowy ma wydzielinę o przejmującym zapachu. Pekari białobrode (*Tayassu pecari*) zamieszkuje wszystkie lesiste okolice Ameryki Południowej i Środkowej. Nadają się do udomowienia.

[38] Niezwykła wytrzymałość na wysiłek fizyczny Indian południowoamerykańskich została potwierdzona przez naukowców i podróżników. Irving Goldman, który prowadził badania etnograficzne wśród Indian Cubeo pisze w swoim dziele pt. *The Cubeo Indians of the Northwest Amazon (Indianie Cubeo północno-zachodniej Amazonii)*, że Cubeowie wykazują olbrzymią wytrzymałość przy minimum pożywienia i wypoczynku. Na przykład mogą wiosłować przez 17 godzin, zaledwie odrobinę odpoczywając i jedząc tylko garstkę potrawy z manioku na wodzie. Potwierdza to również wybitny polski podróżnik-badacz i pisarz Mieczysław Lepecki, który między innymi odbył 7 podróży do Ameryki Południowej. Najkrótsza z nich trwała pół roku, najdłuższa w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu - 17 lat. Lepecki był swego czasu także kierownikiem Polskiej Ekspedycji Badawczej do wschodniego Peru, która w 1927 roku, z ramienia Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie, miała zbadać warunki dla polskiego osadnictwa w Peru. Lepecki był wówczas jednym z nielicznych w Polsce znawców języków używanych w Ameryce Łacińskiej i doskonale również znał panujące tam warunki geograficzne, gospodarcze i polityczne. Na jego obserwacje powołuje się Kazimierz Moszyński w dziele pt. *Człowiek - Wstęp do etnografii powszechnej i etnologii*, który pisze: "Według M.B. Lepeckiego Indianie południowoamerykańscy mogą wiosłować od świtu do zmroku z godzinną przerwą na obiad, tj. około 11 godzin, nie odczuwając zmęczenia i nawet

prowadząc wesołe gawędy".

[39] Wydry (*Lutrinae*) są znakomicie przystosowane do życia w wodzie. Mają spłaszczone głowy, sierść podobną do bobrowej, błony pławne między palcami i długi, spiczasty ogon. Zamieszkują wybrzeża mórz i brzegi rzek we wszystkich częściach świata z wyjątkiem Australii. Wyrządzają duże szkody w rybostanie. W Ameryce Południowej występuje gatunek (*Pteronura brasiliensis*) - wydra olbrzymia. W Europie żyje jeden gatunek, *Lutra lutra*, który występuje także w Afryce, Azji południowej i środkowej. Wydry mieszkają w norach o wylotach pod powierzchnią wody. Gatunek *Latax lutris* jest wyłącznie mieszkańcem mórz. Futro tych wyder ma handlową nazwę "bobrów kameczackich". Wydry żywią się rybami, rakami i innymi zwierzętami wodnymi.

[40] Wyjce stanowią osobną grupę małp szerokonosych (*Platyrrhini*). Prócz czepnego ogona, obnażonego po dolnej stronie końcowej części, charakteryzują się specjalnym wykształceniem się kości podjęzykowej, która wydęta jest w baniasty rezonator. Dzięki temu głosy ich mają potężny ton organów, w których można doszukać się pewnego rytmu i melodyjności. Samce wyjca czarnego (*Alouatta caraya*) są czarne, samice natomiast słomianożółte, zaś samce wyjca czerwonego (*Alouatta senisulus*) są czerwone, a samice i młode ciemnoczerwone lub niemal czarne. Długość tych małp razem z ogonem dochodzi do 1,35 m.

[41] Samiki - tytoń w narzeczu Yahua.

[42] Tivi - sól w narzeczu Yahua.

[43] Dzień dobry, kumie.

[44] Dzień dobry.

[45] Kurara - trucizna wytwarzana z wyciągu kory kilku gatunków kulczyby (*Strychnos toxifera*, *S. cogens*, *S. schomburgkii*), z cebuli rośliny *Burmannia* albo ze śluzowatej substancji korzeni *Cissus quadrialata* - używana przez Indian południowoamerykańskich do zatruwania strzał do łuków i dmuchawek.

[46] Maniok, zwany w Ameryce Południowej "kassawa" (*Manihot Utilissima pohl*), należy do wilczomleczowatych (*Euphorbiaceae*). Jest jedną z najdziwniejszych roślin uprawnych, bowiem bulwy jej zawierają glukozyd rozpadający się łatwo pod wpływem fermentacji na inne związki i wydzielający silną truciznę - kwas pruski. Ludzie już w pradawnych czasach nauczyli się usuwać z manioku trujące składniki. Maniok rośnie dziko w całej Brazylii i stamtąd, w czasie handlu niewolnikami, rozpowszechnił się w całej strefie tropikalnej. Jest to krzew wysoki do 3 m, o dużych, dłoniasto podzielonych liściach na długich ogonkach. Owoce jego stanowi trójdzielną torebka. Pod ziemią tworzy bulwy o długości do 60 cm i wadze do 5 kg. Brazylijska odmiana bulw zawiera bardzo mało glukozydu i dlatego można spożywać je po ugotowaniu jak ziemniaki. Z manioku wyrabia się mączkę zwaną tapioką.

[47] Mowa o dr. Harveyu Basslerze, Amerykaninie pochodzenia niemieckiego, który prawdopodobnie w latach 1920-1935 z ramienia Standard Oil Company kierował pracami

poszukiwawczymi w Peru. Równocześnie prowadził badania przyrodnicze i antropologiczne. Jego zbiór biblioteczny na tematy Ameryki Południowej obejmował 32 000 tomów. Zgromadził u siebie w domu okazy florynystyczne i etnograficzne, jakich nie posiadały muzea brytyjskie i niemieckie. Miał także okazały zwierzyńiec. Jego ekspedycje badawcze docierały od Mądre de Dios do źródła Putumayo i od rzeki Jivari po górny Maranon. Z doświadczeń i wiedzy Basslera korzystało wielu uczonych i pisarzy, którzy pisali o Peru.

[48] Po raz drugi biali odkryli to wojownicze plemię dopiero około 1948 roku, kiedy to w górach Ekwadoru zaczęto budować lotniska na terenach zamieszkałych przez Jivarów. Jivarowie, w liczbie około 15 000, zamieszkują góry Ekwadoru, na północ od rzeki Maranon i częściowo w Peru. Osiedla swe budują na wzgórzach w celu łatwiejszej ich obrony. Mieszkają w podłużnych, pojedynczych domach, w których jeden koniec zajmują mężczyźni, a drugi kobiety. Trudnią się rolnictwem, myślistwem i rybołówstwem. Uprawa ziemi odbywa się przy zachowaniu specjalnych obrzędów; podczas siewów malują swe ciała odpowiednimi kolorami farb, nakładają specjalne stroje, śpiewają na cześć bogini Ziemi, Nungui, tańczą rytualne tańce. Tytoń, jako świętą roślinę, wolno uprawiać tylko mężczyznom. Myśliwi idąc na łowy malują ciała na czerwono oraz zasypują sobie i psom oczy "magicznym pieprzem", co ma ułatwiać tropienie zwierzyny. Broń ich stanowią świstuły, oszczepy, łuki i noże. Lubują się w ozdobach. Na uroczystości plemienne malują się na czerwono i czarno, a do modlitwy czernią zęby. Ich czarownicy znają sporo leków przeciwnowotworczych i zwalczających choroby.

[49] Kampowie (Campa) zwani także Anti lub Chunchu - jedno z najpotężniejszych plemion indiańskich w Peru nad górną Ukajali, zamieszkujące ogromne tereny w trójkącie rzek: Ukajali, Pachitea, Tambo i Perene. Szczep dzieli się na trzy grupy: Atiri - mieszkańcy rzecznych wybrzeży, Antaniri kryjący się w głębi lasów i Amatsenge, najdziksi, zamieszkali na stokach Andów. Kampowie są obecnie jednym z nielicznych już ludów Ameryki Południowej, które zachowały swoje prastare obyczaje i zwyczaje.

[50] Grań Pajonal - obszar stepowego wyżu leżący w Peru u podnóża wschodnich stoków Andów między rzekami - Pachitea, Ukajali, Tambo i Perene. Powierzchnia tego wyżu wynosi około 100 tys. km².

[51] Biegi rzek dzieli się na górny i dolny; Ukajali od źródeł do miejsca, w którym wpada do niej Pachitea zwana jest Alto Ukajali (górna), a od Pachitei do miejsca jej zlewu z rzeką Maranon - Bajo Ukajali (dolna).

[52] Montania - podgórska strefa Andów Peruwiańskich, na przejściu od Kordyliery Wschodniej do Niziny Amazonki; ciągnie się od dolnej Ukajali do granicy z Boliwią na szerokości 200 km.

[53] Odprzodowa, ręczna broń palna z zamkiem kapiszonowym, złożonym z rurki doprowadzającej płomień do prochu znajdującego się w komorze lufy i kurka sprężynowego z mechanizmem spustowym. Broń tego typu została wynaleziona w Anglii na początku XIX w.

[54] Kuźma (Cushma) - ubiór indiański w rodzaju długiej koszuli nakładanej przez głowę. Noszą go mężczyźni i kobiety, z tym że kuźmy męskie posiadają podłużne wycięcia na szyję, a kobiece poprzeczne.

[55] Cana brava albo chikotza - trzcina rosnąca przy brzegach większych rzek.

[56] Camposy (port.) - wolne przestrzenie; znajdują się w Ameryce Południowej między obszarami zwrotnikowymi a podzwrotnikowymi. W zależności od stopnia zadrzewienia różni się szereg odmian kamposów aż do prawie bezdrzewnej sawanny trawiastej, stanowiącej przejście do stepu.

[57] Trzy najdłuższe rzeki na Ziemi to: Nil w Afryce o długości 6671 km, posiadający dorzecze 2870 tyś. km² z rzeką źródłową Kagerą, która uchodzi do Jeziora Wiktorii i stamtąd wypływa jako Nil Wiktorii; Missisipi w Ameryce Pomoćnej, mająca z Missouri długość 6418 km i o dorzeczu 3275 tyś. km² oraz Amazonka o długości 5500 km z dorzeczem 7050 tyś. km².

[58] Bifurkacja - rozdzielenie się rzeki na dwa lub kilka ramion, które dalej płyną nawet w zmiennych kierunkach i należą do różnych dorzeczy. Rzeki bifurkujące występują na nizinnych, bagnistych terenach, przy bardzo małym spadku rzek. Zmiany kierunku spływu wód w tych rzekach zależą od stanu wody, ilości opadów, śniegu, kierunku wiatrów itp.

[59] Amazonka corocznie wlewa do Atlantyku 3,8 tyś. km² wody.

[60] Mowa o wyprawie opisanej w powieści pt. *Tomek na tropach Yeti*.

[61] Belem do Para (dawna nazwa: Santa Maria de Belem do Grao Para, czyli Święta Maria Betlejemska z Grao Para) jest stolicą stanu Para, a zarazem największym miastem w północnej Brazylii. Miasto założone na początku XVIII w., posiada wiele zabytków architektury kolonialnej.

[62] Kalifornia - stan na zachodzie USA, leży nad Oceanem Spokojnym. Ma powierzchnię 411 015 km² i jest trzecim pod względem wielkości stanem po Alasce i Teksasie. W 1840 r., koło Coloma odkryto złoto. Podczas gorączki złota w ciągu dwóch lat napłynęło tam około 90 tyś. ludzi. Alaska, odkryta przez ekspedycję rosyjską w 1741 r. i sprzedana USA za 7,2 mln dolarów w 1867 r., jest największym ze stanów USA. Ma powierzchnię 1 519 000 km². W latach 1896-1902 odkryto tam złoto. Klondike - region w Kanadzie w środkowo-zachodniej części terytorium Yukon. Tam właśnie znaleziono złoto w 1896 r. w Bonanza Creek. Gorączka złota ściągnęła tam z USA w przeciągu roku ponad 30 tyś. poszukiwaczy.

[63] Wody Amazonki wzbierają dwukrotnie w ciągu roku i wtedy poziom ich podwyższa się od 15 do 20 m. Większe spiętrzenia wód trwają od lutego do czerwca, zaś mniejsze od października do stycznia.

[64] Marajo (Ihla de Marajo) największa rzeczna wyspa na Ziemi; powierzchnia jej wynosi około 48 tyś. km². Leży w ujściu Amazonki do Atlantyku, między dwoma

ramionami rzeki: Canal do Sul i Para. Teren nizinny, miejscami bagnisty, w zachodniej części lasy równikowe.

[65] Recife (dawniej Pernambuco) ważny port morski i miasto, a zarazem stolica stanu Pernambuco we wschodniej Brazylii. Miasto jest zbudowane częściowo na lądzie stałym, a częściowo na półwyspie i wyspie, leżącej w lagunie, utworzonej przez dwie rzeki. Recife jest najdalej na wschód wysuniętym punktem Ameryki Południowej. Ośrodek eksportu cukru, bawełny i skór. Miasto założyli Portugalczycy w 1535 r., początkowo na półwyspie, a potem Holendrzy rozszerzyli je na wyspę. Część na lądzie stałym jest najbardziej nowoczesną dzielnicą miasta.

[66] Układ pogody oraz warunki klimatyczne w Ameryce tropikalnej są wynikiem ciśnienia atmosferycznego i związanych z nim wiatrów, które są tu inne niż w Afryce, Australii i Azji. Tylko na niektórych obszarach Ameryki tropikalnej występują dwie pory deszczowe, przedzielone okresem suszy.

[67] Raje (*Rajidae*) - płaszczyki, czyli ryby o ciele talerzowato spłaszczonym. W dzień odpoczywają w mule lub piasku, a dopiero z nastaniem zmroku rozpoczynają ruchliwy tryb życia. Pływają ponad dnem, dotykając jego powierzchni końcami płetw. Jedzą raki, kraby, drobne ryby. Jeśli niechcący nastąpi się na płaszczykę, zaniepokojona uderza kolczastym ogonem, raniąc nieostrożnego. Rana powoduje silne bóle oraz objawy podobne do skutków ukąszenia przez jadowite węże. U niektórych *Rajidae* część muskulatury ogona może przekształcić się w narządy elektryczne, dające słabe wyładowania. U drętw (*Torpedinidae*) możliwość porażenia wyładowaniami elektrycznymi jest znacznie silniejsza.

[68] Z licznych dopływów Amazonki osiemnaście ma ponad 1500 km długości. Największe lewobrzeżne: Napo, Putumayo, Japura, Negro; prawobrzeżne: Ukajali, Jurua, Purus, Madeira, Xingu i Tocantins. Długość dróg wodnych całego dorzecza, dostępnych dla statków, wynosi 50 tyś. km, z czego 40 tyś. km znajduje się na terytorium Brazylii.

[69] Manaty (*Manatidae*) - duże ssaki morskie o wrzecionowatym ciele, porośniętym z rzadka krótkimi włosami. Żywią się roślinnością wodną i prowadzą głównie nocny tryb życia. Zamieszkują pobrzeża tropikalnej części Oceanu Atlantyckiego; często wpływają rzekami w głąb lądu. Poławiane są dla mięsa, skóry i tłuszczu. Ostatnie manaty znajdują się pod ochroną.

[70] Wiktorja królewska (*Victoria regia*) - występuje w dorzeczu Amazonki, a *Victoria cruciana* w rzekach Parana i Paragwaj oraz w północnej Argentynie. Są to zakorzeniające się na dnie rośliny zielne wieloletnie, rosnące w dużych rzekach Ameryki Południowej; mają dochodzące do dwóch metrów średnicy koliste liście o brzegach podniesionych i piękne kwiaty o średnicy 20 do 40 cm, trwałe przez 24 godziny, które po przekwitnięciu pogrążają się w wodzie, gdzie następuje dojrzewanie owoców o jadalnych nasionach. Ta oryginalna roślina bywa uprawiana w dużych basenach szklarniowych w ogrodach botanicznych.

[71] Kreole - potomkowie europejskich kolonizatorów urodzeni w koloniach hiszpańskich,

portugalskich i francuskich.

[72] Tytuł szlachecki w Anglii, ustanowiony w 1611 r. przez króla Jakuba I.

[73] Było to w roku 1751. De la Condamine, francuski matematyk i podróżnik, jako adiunkt paryskiej Akademii Nauk, wraz z Bouguerem i Godinem dokonał w Ekwadorze w latach 1736-42 pomiarów łuku południka ziemskiego na równiku. Pomiaru te, wraz z wcześniejszymi dokonanymi w Chile i Peru, umożliwiły obliczenie wymiarów Ziemi. W drodze powrotnej Condamine popłynął Amazonką i między innymi badaniami, nakreślił pierwszą dokładniejszą mapę tej rzeki, opartą na obliczeniach astronomicznych.

[74] Brazylia otworzyła żeglugę po Amazonce dla wszystkich państw w 1866 r.

[75] Madeira - największy prawobrzeżny dopływ Amazonki, utworzony z rzek - Mamore i Beni, wypływających z Andów na terenie Boliwii. Madeira płynie przez Boliwię i Brazylię; długość jej wynosi 3240 km, a dorzecze 1100 tyś. km². W celu utrzymania ciągłości transportu w miejscach obfitujących w wodospady, rozpoczęto budowę linii kolejowej Madeira - Mamore o długości około 367 km, którą ukończono w 1913 roku. Jest ona ważną arterią transportową dla wywozu z olbrzymich lasów drewna i kauczuku.

[76] Produkcja kauczuku na Cejlonie i Malajach przekroczyła w 1914 r. dostawę kauczuku z drzew dzikich, a obecnie plantacje dostarczają około 98% całej ilości produkowanego kauczuku naturalnego.

[77] Colt - sześciopalcowy rewolwer bębnekowy, opatentowany w 1835 r. przez amerykańskiego inżyniera i konstruktora - Samuela Colta.

[78] Tomek nie mógł jeszcze wtedy wiedzieć, że Percy Harrison Fawcett, angielski wojskowy i zasłużony podróżnik-badacz, zrealizuje swój zamiar w 1925 r. Właśnie wtedy Fawcett w towarzystwie swego syna, Jacka i jego przyjaciela Raleigha Rimella wyruszył na wyprawę do Mato Grosso, aby ostatecznie wyjaśnić tajemnicę pradawnych, zaginionych miast. Z wyprawy tej Fawcett ani jego towarzysze nie powrócili. Zaginięcie nabrało rozgłosu. Rozpoczęto poszukiwania. Wyprawa komandora Dyotta w 1928 r. niczego nie zdołała ustalić. W 1930 r. dziennikarz Albert de Winton rozpoczął poszukiwania, lecz również zaginął bez wieści. Wyprawa Virginio Pessione nadesłała informacje znanego z rzeki Kuluene, że Fawcett podobno jest więziony w głębi Mato Grosso przez Indian Aruvudu. Potem Patrick Ulyatt dostarczył podobnych wiadomości i ze swym bratem Gordonem wyruszył na poszukiwania. Nie zdołali jednak przedrzeć się przez tereny Indian Boca Pręta, którzy ich nie przepuścili w okolice, gdzie spodziewali się odnaleźć Fawcetta. Inne wyprawy także niczego nie osiągnęły. Na przestrzeni lat różni ludzie oświadczały, że widzieli Fawcetta lub słyszeli o nim. Nawet pokazywano indiańskiego chłopca, który jakoby miał być synem Jacka Fawcetta. Były to jednak tylko mało wiarygodne pogłoski. Do dnia dzisiejszego zaginięcie Fawcetta pozostało otoczone tajemnicą. Może udało mu się dotrzeć do legendarnego miasta, którego mieszkańcy odgradzili się murem dzikich plemion? Może żył wśród nich? Byłoby to bardzo fantastyczne rozwiązanie zagadki.

[79] Tomek miał na myśli króla Portugalii Dom Pedro II (Dom jest portugalskim odpowiednikiem hiszpańskiego Don, czyli tytułu dawniej przysługującego członkom

rodziny królewskiej).

[80] Orellana razem z braćmi Pizarro podbijał Peru. Dzięki jego wyprawie poznana została Amazonka od obszarów źródlowych do ujścia. Również jako pierwszy przebył w poprzek kontynent Ameryki Południowej. W 1546 r. Orellana zaginął podczas nowej wyprawy w górę Amazonki, na którą wyruszył w poszukiwaniu El Dorado.

[81] Kolibry należą do podrzędu jerzykowatych, dzielącego się na dwie rodziny: jerzyki (*Mecropodidae*) i kolibry (*Trochilidae*). Kolibry, piękne i sławne ptaki, zamieszkują wyłącznie kontynenty obydwóch Ameryk od Labradoru i Alaski aż do Cieśniny Magellana, gdzie żyją głównie wśród zarośli nizin i gór. Niemal każda okolica posiada swoją formę kolibra. Poszczególne gatunki, których znamy 319 i 357 podgatunków różnią się budową i długością dzioba oraz ogona. Długość ciała kolibrów waha się od 6,3 do 21,6 cm; waga od 1,7 g. Kolibry wydobywając nektar z kielichów pośredniczą w zapylaniu kwiatów, podobnie jak owady.

[82] Konstanty Branicki (1824–1889) najpierw przeznaczal cenne zbiory do Gabinetu Zoologicznego Szkoły Głównej w Warszawie, później gromadził je w Muzeum Zoologicznym Branickich (we Frascati); obecnie znajdują się one w Instytucie Zoologicznym PAN w Warszawie.

[83] Jelski (1837-1896) badał Gujanę, gdzie przebywał jako aptekarz w szpitalu marynarki francuskiej. W 1868 Branicki zaangażował się do kolekcjonowania fauny południowoamerykańskiej. W latach 1875-79 był kustoszem Muzeum Raimondiego w Limie, a w 1880 został kustoszem Muzeum Akademii Umiejętności w Krakowie. Sztolcman (1854-1928) w latach 1875-1881 badał faunę Peru, a w 1882 do 1884 Ekwadoru. Bogate zbiory Jelskiego i Sztolcmana miały wielkie znaczenie naukowe. Stanowiły cenny materiał badawczy dla zoologów krajowych i zagranicznych. W zbiorach tych było 60 gatunków ptaków zupełnie nieznanych.

Kalinowski zmarł w Brazylii podczas II wojny światowej. Należy wspomnieć o ornitologu Tadeuszu Chrostowskim, który odbył trzy samodzielne wyprawy do Brazylii (1910, 1913 i 1921). W trzeciej towarzyszyli mu Tadeusz Jaczewski i Stanisław Borecki. Później wyprawy naukowe odbywali: w 1923 Szymon Tenenbaum do Parany po zbiory zoologiczne; w 1926-28 Michalina Isaakowa, żona polskiego entomologa, która zebrała okazy 15 tyś. egzotycznych owadów; w 1933-34 wyprawa Wacława Roszkowskiego i Janusza Nasta na statku "Dar Pomorza" gromadząca zbiory fauny morskiej, słodkowodnej i lądowej.

[84] Siemiradzki (1856-1933) jako student geologii wyruszył w 1882 r. z zoologiem Sztolcmanem do Ekwadoru. W 1887 został docentem na uniwersytecie lwowskim. W 1891 badał Brazylię i Argentynę, a w 1895 warunki życia polskich osadników w Brazylii oraz studiował etnografię Indian.

[85] Obszerniejsze informacje w następnym tomie przygód pt. *Tomek w Gran Chaco*.

[86] W późniejszych latach dwóch Polaków odbywało podróże po Ameryce Południowej: pierwszy z nich to Arkady Fiedler, pisarz i podróżnik, który od 1927 r.

zwiedził wiele krajów Ameryki Południowej i Północnej oraz Afryki. W Ameryce Południowej również gromadził zbiory ornitologiczne dla muzeów europejskich, polował na zwierzęta, a także oswajał je i obserwował. Napisał i wydał drukiem wiele reportaży i powieści podróżniczych. Drugi to Mieczysław Bohdan Lepecki, o którym już wspomiano w niniejszej powieści. Podróżnicze książki Lepeckiego zawierają wiele cennych informacji geograficznych, etnograficznych i obyczajowych.

[87] Aleksander Humboldt (1769-1859) niemiecki przyrodnik, podróżnik i geograf. Wraz z francuskim botanikiem Bonplandem odbył w latach 1799-1804 podróż po krajach podzwrotnikowych Ameryki Południowej, skąd przywiózł bogate kolekcje botaniczne, zoologiczne i mineralogiczne. Humboldt należy do twórców geografii roślin i jako jeden z pierwszych zwrócił uwagę na konieczność ochrony przyrody. Wprowadził do klimatologii izotermę, pracował twórczo w zakresie historii odkryć geograficznych. Humboldt należy do współtwórców geografii nowożytnej.

Charles Robert Darwin (1809-1882) angielski przyrodnik, twórca teorii ewolucyjnego powstawania gatunków zwierzęcych i roślinnych w drodze doboru naturalnego. Na propozycję admiralicji wziął udział, jako przyrodnik, w podróży dookoła świata na okręcie "Beagle". Z pięcioletniej podróży przywiózł cenne zbiory zoologiczne, botaniczne i geologiczne. Doświadczenia i materiały zebrane w czasie podróży stały się fundamentem naukowych teorii Darwina.

Alcide d&index00.html#39;Orbigny (1802-1857) francuski paleontolog i badacz Ameryki Południowej, uchodzi za twórcę geografii fizycznej Boliwii.

[88] Maczeta (hiszp. machete) - nóż długości około 50 cm o wygiętym ostrzu i mocnej rękojeści, używany do wycinania buszu i trzciny cukrowej, rozpowszechniony w Ameryce Południowej, Środkowej oraz w Afryce.

[89] Mleczko kauczukowe, czyli lateks. Świeży lateks ma odczyn lekko alkaliczny; pod wpływem kwasów, soli niektórych metali, zmian temperatury oraz innych czynników ścina się, tworząc stałą, ciągnącą się, lepka, porowatą masę. Bolacha - długie drewno w kształcie łopaty.

[90] Pasjonującą historię kauczuku opisał Kamil Giżycki w książce pt. *Hevea płacze kauczukiem*, wydanej przez Wydawnictwo ŚLĄSK.

[91] Skolopendry to największe z pareczników. Brazylię, Chile i kraje sąsiednie zamieszkuje skolopendra olbrzymia (*Scolopendra gigantea*). Są to zwierzęta szybkie w ruchach i zwinne, należące do drapieżników nocnych. Obok części gębowej typu gryzącego posiadają parę szczękonoży, do których uchodzi przewód znajdującego się w głowie gruczołu jadowego. Liczba odnóży, umieszczonych parami na poszczególnych pierścieniach ciała, waha się od 15 do 173 par. Skolopendry polują w ciemnych kryjówkach, pod kamieniami, w szczelinach ziemi lub pod korą drzew.

[92] Kapitania - stan, okręg w Brazylii.

[93] Krzysztof Arciszewski urodził się w 1592 r. w Rogalinie, zmarł pod Gdańskiem w 1656

r. Skazany na wygnanie za zabójstwo na tle zatargów majątkowych osiadł w Holandii. Brał udział w oblężeniu Bredy (1623-25) oraz w zdobywaniu protestanckiej twierdzy La Rochelle. W służbie holenderskiej kilkakrotnie wyruszał na ekspedycje do Brazylii (1629-45). W uznaniu zasług Holendrzy zbudowali mu pomnik w Recife. W 1646 r. na propozycję króla Władysława IV, Arciszewski powrócił do Polski i brał udział w wojnie z Chmielnickim.

[94] Hieronim Durski, zwany ojcem polskiego szkolnictwa w Paranie, był pierwszym osadnikiem polskim w Brazylii. Popularny też był jego podręcznik pt. *Elementarz dla polskich szkół w Brazylii, w języku polskim i portugalskim, użyteczny także dla Polaka nowo przybyłego z kraju*.

[95] Edmund Sebastian Woś-Saporski, zwany ojcem emigracji polskiej w Paranie, wyemigrował ze Śląska w 1867 r. Polonia parańska zbudowała temu zasłużonemu działaczowi pomnik w polskiej osadzie Abranches koło Kurytyby.

[96] Obecnie dawna polska osada Pilarsinho stanowi jedną z dzielnic Kurytyby.

[97] W okresie od 1869 r. do wybuchu I wojny światowej 105 tyś. Polaków napłynęło do Brazylii. Ta w pewnych okresach masowa emigracja znalazła wówczas na ziemiach polskich odbicie w prasie i literaturze. Wtedy właśnie Maria Konopnicka napisała utwór *Pan Balcer w Brazylii*, a liczni dziennikarze i literaci udawali się do Brazylii w celu poznania warunków osadnictwa. Problemami tymi zajmowali się: A. Dygasiński, J. Siemiradzki, A. Hempel, a w czasach późniejszych M. Lepecki i A. Fiedler. W czasie II wojny światowej wielu Polaków, również pisarzy i artystów, szukało schronienia w Brazylii.

[98] M. Lepecki w książce pt. *Parana i Polacy* - podaje: "Podjazdowa wojna polsko-indiańska trwała 27 lat i zakończyła się pacyfikacją Indian w roku 1917". Według fragmentu pamiętnika młodego polskiego osadnika cytowanego w tej książce, 40 polskich osadników zostało zabitych przez Botokudów tylko w okolicy Itaiopolis. Oprócz tego Polacy ginęli i w innych osadach.

[99] Jaguar (*Felis onca*) dawniej zamieszkiwał obydwie Ameryki od rzeki Negro i Colorado w Patagonii aż do Meksyku i Luizjany. Obecnie licznie występuje tylko w cieplejszych okolicach Ameryki Południowej, a w Północnej został już prawie całkowicie wytępiony. Pod względem siły można porównać go jedynie z tygrysem lub lwem. Żywi się większymi kręgowcami aż do tapira; z pastwisk porywa młode bydło, żrebaki i muły; nie gardzi także rybami, które łapą wyrzuca z wody na brzeg.

[100] Puma (*Felis concolor*), czyli kuguar lub lew amerykański, zamieszkuje obydwa kontynenty Ameryki od Patagonii na południu, aż do Kanady na północy. Pумы przesypiają dzień na drzewach, w krzakach lub wysokiej trawie, natomiast polują wieczorem i w nocy.

[101] Tapiry - zwierzęta nieparzystokopytne, najbliższe spokrewnione z nosorożcami, żyją w Indiach, na Sumatrze oraz w Środkowej i Południowej Ameryce. Tapir amerykański (*Tapirus terrestris*) mierzy do 2 m długości razem z 9-centymetrowym ogonkiem i do 1 m

wysokości. Charakteryzuje się krótką grzywą, szarobrunatną sierścią, nieco jaśniejszą na bokach głowy, szyi i piersi. Młode tapiry mają na głowie białe plamy, zaś po bokach ciała białe pasy ułożone w 4 rzędach. Gatunek ten rozpowszechniony jest od Wenezueli i Gujany w całym dorzeczu Amazonki aż do Paragwaju i pomocnej Argentyny. W Andach kolumbijskich, Ekwadorze i Peru zachodnim występuje gatunek wysokogórski (*Tapirus pinchaque*), a w Ameryce Środkowej rodzaj *Tapirella*.

[102] Według I. Goldmana maloka jest długim, zbiorowym domem mieszkalnym, w którym pod przewodnictwem naczelnika żyje kilkanaście rodzin tworzących jeden klan. Im obszerniejsza maloka, tym większe społeczne znaczenie klanu. Obecność małych domów, pobudowanych wzdłuż maloki, świadczy, że ktoś wyłamał się spod władzy naczelnika klanu i nie mógł żyć w zgodzie z jego społecznością.

[103] Kalebasa - naczynie, często artystycznie rzeźbione, wyrabiane z baryłkowatych owoców (o bardzo twardej łupinie) drzewa kalebasowego (*Crescentia cujete*), rosnącego w Ameryce Środkowej i Południowej. Jest to drzewo niskie o miotlasto ułożonych liściach, wyrastających z pnia, dużych kwiatach i baryłkowatych owocach, z których łupin krajowcy wyrabiają łyżki, naczynia do płynów i cybuchy do fajek.

[104] Chicha (czicza) - brazylijski napój alkoholowy, otrzymywany w drodze fermentacji z kukurydzy, ryżu, manioku i owoców palm.

[105] Był to okres pory suchej, która na tej szerokości geograficznej przypadała dwukrotnie w ciągu roku: od października do grudnia i od lutego do marca. Wtedy w płytkich rzekach ryb było w bród, a dziki zwierzę w poszukiwaniu wody wychodził z gąszczu na brzegi rzek. Pory suche były dla krajowców okresami sytości.

[106] Gatunek dużych żab (*Leptodactylus pentadactylus*) żyjących w Ameryce Południowej. Te olbrzymie zwierzęta posiadają przednie kończyny bardzo silnie rozwinięte. W wodzie poruszają się dość niezgrabnie, lecz na lądzie szybko i zwinnie, mimo swej ciężkiej budowy.

[107] Aguti (*Dasyprocta aguti*) zwierzętko z rodziny *Caviidae*, o gęstym i lśniącem futerku czerwonożółtym z domieszką czarnobrunatną i nagim podgardlu. Żyje w Brazylii w dorzeczu Amazonki i we wschodnim Peru. Żywi się przeważnie owocami i nasionami roślin. Aguti najczęściej spotykane jest pojedynczo; niepokojone szybko umyka. Samiczka w okresie godowym buduje w norze gniazdo wysłane miękką sierścią i tam rodzi potomstwo.

[108] Kuwai - mitologiczny bohater kulturowy Cubeów.

[109] Leniwiec należy do rzędu szczerbaków amerykańskich, w skład których wchodzi: pancerniki, mrówkojady i leniwce. Brazylię północną oraz Gujanę zamieszkuje leniwiec dwupalczasty (*Choleopus didactylus*). Długość jego tułowia dochodzi do 70 cm. Przebywają w lasach o bogatej roślinności i żywią się listowiem i owocami. Obfitość pożywienia, jak i łatwość zdobywania go pozwala leniwcem pędzić spokojny, leniwy tryb życia. Dzięki potężnym, haczykowatym pazurom mogą bez zmęczenia utrzymywać się całe dni zawieszane na gałęziach. Głowę potrafią odwracać o 180 stopni. Uwłosienie mają

przystosowane do wiszącego trybu życia: włosy rosną od części brzusznej ku grzbietowi.

[110] Lek mihi wyrabiają Indianie z rośliny *Banisteriopsis caapi* i innych. Wywołuje wymioty, a przy silnych dawkach straszne halucynacje.

[111] Obrzędowa rozmowa podczas picia świętego leku mihi, który podawany jest w rytualny sposób w nigdy nie mytym naczyniu.

[112] C. Rondon - pułkownik, badacz i podróżnik. W latach 1907-13 odbył 6 wypraw w różne, nieznane okolice Brazylii; w ostatniej, która nabrała dużego rozgłosu, towarzyszył mu Teodor Roosevelt. Przebadali wtedy około 15 tyś. km² nieznanymi okolic, zamieszkanymi tylko przez Indian, dokonywali pomiarów, zakładali drogi i linie telegraficzne. Dzięki Rondonowi pojawiły się na mapach Brazylii dziesiątki rzek, jezior i pasm górskich. Również starał się ulżyć doli nieszczęsnych Indian, którzy uważali go za swego przyjaciela i opiekuna.

[113] Henry Morton Stanley (ur. w Anglii 1841, zm. 1904) - dziennikarz amerykański i podróżnik, największy badacz wnętrza Afryki.

[114] Maranon, jak nazywa się Amazonkę w jej górnym biegu, wypływa z jeziora Lauricocha, znajdującego się w Andach Peruwiańskich na wysokości 3653 m n.p.m. Od połączenia się Maranonu z Ukajali lub od granicy Peru do Rio Negro, rzeka często jest nazywana Solimoes, a dalej już zwie się Amazonką.

[115] Kaszybowie (*Cashibos*) - w języku Czamów "Lud Nietoperza".

[116] Czarno wie (*Tschama*) - "Matka Komarów", nazwa od owadów unoszących się chmarami nad wioskami tego plemienia.

[117] Republika Peru - państwo na wybrzeżu Pacyfiku, obejmujące powierzchnię 1 285 215 km². Wśród mieszkańców 8/10 stanowią Indianie Keczua (Quechua), Ajmarowie, Metysi i Kreole, a resztę: Murzyni, Mulaci, Chińczycy i inni. Hiszpański jest urzędowym językiem, lecz większość Indian mówi rodzimymi językami keczua i ajmara. Najgęściej zaludnione jest środkowe i północne Peru. Indianie zamieszkują głównie Andy i wschodnią część kraju. Stolicą jest Lima, głównym portem morskim jest Callao, rzeczny zaś Iquitos. 60% ludności trudni się rolnictwem, leśnictwem i rybołówstwem. Sieć komunikacyjna bardzo słabo rozbudowana; długość linii kolejowych wynosi 4200 km, a kołowych 50671 km, w tym autostrada panamerykańska 3337 km. Peru jest najzasobniejszym w bogactwa mineralne państwem Ameryki Łacińskiej. Posiada: rudy miedzi, cynku, ołowiu, antymonu, manganu, wolframu, molibdenu i rtęci, węgiel kamienny, sól kamienną, sole potasowe, guano, złoto i srebro.

[118] Pomysł Zbyszka nie był całkowicie nierealny. W latach 1928-33 małopolscy ziemianie propagowali stworzenie polskiego osadnictwa nad Ukajali. Osiedlony w Paranie Kazimierz Warchałowski uzyskał w 1927 r. koncesję od rządu peruwiańskiego na założenie polskiej kolonii w okolicach rzeki Aguatii. Warchałowski stworzył Spółdzielnię Osadniczą "Kolonja Polska", a pierwsza osada miała powstać w Pualpie. Jednocześnie Polsko-Amerykański Syndykat Kolonizacyjny, zorganizowany we Lwowie, również

otrzymał w 1928 r. koncesję w Cepie nad rzeką Urubambą. Rząd polski wysłał do Peru ekspedycję badawczą. Pozytywną w ogólnych zarysach ocenę ekspedycji podważył jeden z jej uczestników i znawców - Mieczysław Lepecki. Rząd polski wycofał się z finansowania i opieki nad kolonią. Ziemiaństwo małopolskie przejęło inicjatywę. Za zgodą Urzędu Emigracyjnego wyjechało z Polski 7 lub 8 grup emigrantów, w łącznej liczbie około stu kilkudziesięciu osób. Brak opieki i pomocy finansowej rządu polskiego, zły dobór kandydatów na osadników (w pierwszym dziewięcioosobowym transporcie znajdował się tylko jeden rolnik), a także odległość 1700 km, która oddzielała tereny kolonii od najbliższego miasta - Iquitos, skazały całą akcję osiedleńczą na niepowodzenie. Kolonie polskie w Peru przetrwały zaledwie 4 lata, po czym zbuntowani osadnicy siłą opanowali statek, który raz w miesiącu przypląwał na Ukajali po kauczuk, i z bronią w ręku wylądowali w Iquitos. Interwencja rządu peruwiańskiego w Warszawie sprawiła, że rząd polski postanowił ewakuować niefortunnych osadników. Część z nich, nie chcąc wracać do Polski, wyemigrowała do Brazylii i osiedliła się w Osadzie Aguila Blanca (Orzeł Biały) w stanie Espirito Santo, a część wywędrowała do Parany.

[119] Rzeka Apurimac wypływa z jeziora Villafro w Andach; na krótkich odcinkach w dolnym biegu przybiera nazwy: Perene i Tambo.

[120] Ziemie, na których leżała osada Pancho Vargasa, rząd peruwiański w roku 1927-28 przydzielił polskim koncesjonariuszom na założenie kolonii.

[121] Indios bravos - dzicy Indianie, czyli tacy, którzy nie chcą współżyć z białymi.

[122] Pod względem fizyczno-geograficznym Peru dzieli się na 3 regiony, typowe dla krajów andyjskich: wybrzeże, pas górski i wschodni równinny. Pas ciągnący się wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, którego szerokość waha się od 50 do 150 km, zwany jest Costa; równoległe do niego leży Sierra, czyli pas górski Andów Peruwiańskich; na południu w granicach Peru znajduje się część śródgórskiego płaskowyżu, czyli Puna, a na stokach Andów wschodnich i u stóp rozciągają się faliste równiny przedgórskie, zwane Montania.

[123] W strefie międzyzwrotnikowej, głównie w Ameryce Południowej i na Antylach, występuje około 90 gatunków kokainowych niskich drzew lub krzewów. W Peru rośnie *Erythroxylon coca*, krzew od 2 do 5 m wysoki, którego liście zawierają pewien procent kokainy. Liście te z dodatkiem wapna od dawna są stosowane przez krajowców jako używka. Krajowcy często żują liście koki, co wywołuje silne pobudzenie psychiczne i ruchowe, dobre samopoczucie, zanik zmęczenia, pragnienia i głodu. Częste używanie koki czyni spustoszenia w organizmie i umyśle człowieka.

[124] Barbasco (*Tephrosia toxicarid*) - roślina krzewiasta, której trujący sok lub wywar używany jest przez krajowców do połowu ryb.

[125] Anakonda (*Eunectes murinus*) jest największym ze znanych węzów. Jego potężne cielsko osiąga długość do 11 m. Zamieszkuje Amerykę Południową, gdzie przeważnie żyje w wodzie: może długo nurkować i lubi wygrzewać się na słońcu leżąc na starych pniach lub piasku.

[126] Drzewa tego rodzaju należą do rzędu motylkowatych, najczęściej *Caesalpinia*, a

zwłaszcza *Caesalpinia echinata*. Od tych właśnie drzew o żółtoczerwonym drewnie pochodzi nazwa Brazylii, europejscy koloniści odkrywcy cenne drzewo nazwali je najpierw "brązu" [indexoo.html#39;](#), a później "pernambuco". Okolice i port, skąd wywożono te drzewa, nazwali również Pernambuco.

[127] W ostatnim dziesięcioleciu przed II wojną światową Polak, inżynier Stanisław Golewski, wraz z kilkunastoma Indianami z plemienia Kampów wyruszył z Chicozy nad Ukajali i przeszedł przez cieszący się złą sławą Grań Pajonal oraz pasmo Andów aż do kolonii Perene, skąd przez Tarmę prowadziła droga kołowa do Orya, pierwszej stacji kolejowej w kierunku Limy. Golewski, dawny pracownik polskiej kolonii w Cumarii, uzyskał koncesję na zbudowanie linii kolejowej, która miała połączyć obszary nadukajalskie ze stolicą Peru na wybrzeżu Pacyfiku, a pośrednio, poprzez Ukajali i Amazonkę, Limę z wybrzeżem Atlantyckim. Właśnie badając tereny pod budowę przyszłej kolei, Golewski zetknął się w Grań Pajonalu z wolnymi Kampanii. Później z kapitanem Alvarino również dokonywał z samolotu zdjęć tych terenów. W kilka miesięcy potem Alvarino, podczas lotu wywiadowczego, zaginął w Pajonalu, najprawdopodobniej podczas przymusowego lądowania. Sądzono, iż mógł zostać uwięziony przez Kampów, którzy nienawidzili białych przybyszów. Projekt budowy linii kolejowej upadł po załamaniu się polskich kolonii nad Ukajali.

[128] Na długo przed podbojem hiszpańskim w państwie Inków istniała sieć doskonałych dróg, o łącznej długości około 10000 km. Wśród nich słynna Wielka Droga Królewska liczyła 5600 km długości, a szerokość jej w różnych miejscach wahała się od 1 do 3 m. Droga ta pięła się nieraz na wysokości 5000 m n.p.m.

[129] Andy, góry w zachodniej części Ameryki Południowej, stanowią najdłuższą barierę górską na Ziemi, a po Himalajach w Azji są drugimi pod względem wysokości górami świata. Olbrzymią ścianą, długości 7500 km, ciągną się wzdłuż wybrzeża Pacyfiku - od Morza Karaibskiego na północy do Ziemi Ognistej na południu. Pomiedzy łańcuchami górskimi znajdują się równiny i doliny, których dno leży około 2 do 3 km poniżej p.m. Geologicznie Andy są młodymi górami fałdowymi. Mimo że wyłoniły się z dna morskiego miliony lat temu, ulegają jeszcze ciągłym zmianom. Niektóre szczyty są aktywnymi wulkanami; trzęsienia ziemi występują dość często. Aconcagua (6960 m) jest najwyższą górą Andów oraz całego kontynentu. W północnej części Andów świat roślinny jest podobny do pobliskich nizin - las przyrównikowy na wilgotnych obszarach oraz trawa lub skrub w suchych okolicach. Dalej na południu, gdzie zimniej i bardziej sucho - drzewa szpilkowe oraz gubiące liście. Z bogactw naturalnych w Andach znajdują się: srebro, złoto, rudy żelaza, miedzi, cyny, wolframu, ropa naftowa, węgiel kamienny i saletra chilijska.

[130] W 1915 r. nad daleką rzeką Tahuania wybuchło powstanie Kampów. Przewodził mu sławny wódz Tasulinczi, który zdołał zjednoczyć do walki przeciwko białym plemiona Grań Pajonalu z powaśnionymi plemionami znad Ukajali. Okolice górnej Ukajali rozgorzały krwawą wojną. Indianie wymordowali poszukiwaczy kauczuku i osadników, docierając do Masisei i dalej, aż na średni bieg rzeki. Potem przez szereg lat biali nie odważali się zapuszczać w tamte okolice. Później, w 1929 r. Indianie również napadli i

wybili oddział policji koło miasteczka Requena.

[131] Bonanza (hiszp.) - skarb, niespodziewany dopływ bogactwa, a w przenośni szczęśliwy los, określenie czegoś, co przynosi zysk, dochód. Wyraz ten pojawił się w Stanach Zjednoczonych w czasie gorączki złota.

[132] Atahualpa (1500-1533) - ostatni władca Inków, podstępnie uwięziony w Cajamarca przez wodza hiszpańskich konkwistadorów - F. Pizarro, łamiąc własne przyrzeczenie polecił stracić Atahualpę, mimo złożonego dużego okupu. Na wieść o śmierci władcy Indianie wstrzymali składanie Hiszpanom złota i część skarbów ukryli.

[133] Linia kolejowa Calle-Lima-Oroya jest najwyżej położoną na kuli ziemskiej linią kolejową i do obecnych czasów uchodzi za arcydzieło techniki inżynierskiej. Długość jej wynosi 218 km; w najwyższym punkcie tory wznoszą się na 4769 m n.p.m., gdzie zbudowano tunel długości 1200 m. Łączna długość 62 tuneli na tej linii wynosi 6 km, a najwyższy z trzydziestu mostów i wiaduktów ma wysokość 70 m. Tę drogę kolejową zaprojektował i kierował jej budową Polak - Ernest Malinowski, inżynier, profesor uniwersytetu w Limie, uczestnik powstania listopadowego, który osiadł w Peru w 1852 roku.

[134] Edward Habich (1835-1909) - inżynier i matematyk, uczestnik powstania styczniowego, pełnomocny komisarz Rządu Narodowego w Galicji. W 1869 r. osiedlił się w Limie, gdzie zorganizował pierwszą w Ameryce Łacińskiej wyższą szkołę inżyniersko-górnictwa. Ściągnął do niej szereg polskich inżynierów jako wykładowców. Zorganizował także peruwiańskie czasopiśmiennictwo techniczne. W Limie znajduje się jego mauzoleum.

KRWAWA OFIARA

Była noc. Tomek siedział na macie rozłożonej pod otworem okiennym i przygnębiony spoglądał w niebo. Czarne chmury dymu rozbłyskiwały ogniem. Głuche, przeciągłe grzmoty odzywały się coraz częściej.

Zanim zapadł wieczór, Tomek przyjrzał się przez okno głównej kwaterze wojowniczych Kampów. Niewielkie miasteczko było niezdobytą twierdzą. Leżało na wysokiej platformie skalnej, półkuliście obramowanej przez pionową ścianę potężnej góry. Większość kamiennych domów bezpośrednio przylegała do potężnego skalnego zbocza.

Tomek doskonale wyczuwał obawy nurtujące towarzyszy wyprawy. Wiedzieli, że znajdują się w niezwykle niebezpiecznej sytuacji. Sam Smuga ostrzegł ich, że igrają ze śmiercią. Mimo to nie żałował ryzykownego przedsięwzięcia, jakim okazała się wyprawa ratunkowa do Grań Pajonalu. Przecież odnaleźli Smugę... Czuł jednak, że zabranie kobiet było wielkim błędem. O nie też tylko obawiał się teraz.

Nagle Dingo uniósł łeb, nadstawił uszu. Potem podniósł się i cicho zaskomlał.

- Spokój, Dingo... - szepnął Tomek.

Mata zasłaniająca otwór drzwiowy uchyliła się, w mdłym świetle kaganka płonącego na korytarzu zarysowała się ciemna sylwetka. Tomek powstał, przytrzymał Dinga za obrozę. Wiedział, że to Smuga nareszcie przyszedł do nich, gdyż uradowany pies wyrywał się do niego.

Smuga zasłonił matę.

- Tutaj jestem... - cicho odezwał się Tomek.

Smuga długo trzymał go w swych ramionach. Tomek z trudem opanowywał wzruszenie, łzy radości cisnęły mu się do oczu.

- Bałem się, kochany chłopcze, że będziesz mnie szukał - szepnął Smuga. - Choć bardzo źle z nami, cieszę się, że pamiętałeś o mnie. Tylko taki niezwykle chłopak, jak ty, mógł trafić tutaj.

- Nowicki, Sally, wszyscy, którzy ze mną przybyli, pragnęli pana odnaleźć - odparł Tomek.

- Wiem, tylko prawdziwi przyjaciele mogli zaryzykować swe życie dla mnie. Czy oni śpią?

- Śpią...

- Tomku, muszę z tobą porozmawiać, ale nie tutaj. Czas nagli... zbudź Nowickiego! Inni niech nic nie wiedzą...

Tomek zniknął w drugiej komnacie. Smuga przykleknął przy poczciwym Dingu. Przytulił jego głowę do swej piersi. Po kilku chwilach Nowicki uściśnął Smugę.

- Ma nasz chłopak łepetynę, co? - mruknął wzruszony. - Byłem pewny, że doprowadzi

nas do pana! No, i jesteśmy razem! Zdaje mi się jednak, że musimy rozwijać zagłębie póki czas.

- Nie mylisz się, kapitanie - odparł Smuga. - Czy macie broń?

- Zabrali nam nawet noże.

- Przyniosłem rewolwer, trochę nabojów i nóż. Masz tu także noże dla Haboku i jego ludzi. Dobrze ukryjcie. Teraz zabieram Tomka, a ty czuwasz, dopóki nie wróci. Do rana nic wam nie grozi.

- Czy planuje pan ucieczkę?

- Tak, ale jeszcze muszę naradzić się z Tomkiem. On wszystko ci powtórzy.

- Idźcie i radźcie, będę czuwał!

- Musimy jakoś przemknąć się przez korytarz. Nikt nie powinien zobaczyć nas razem. Zdejmij buty, Tomku!

Smuga uchylił maty i wyjrzał.

- Nie ma nikogo, chodź! - szepnął.

Bez przeszkód dotarli do końca korytarza, a potem zeszli po kamiennych schodach na półpiętro. Tutaj Smuga przystanął przed ścianą, na której widniały rzeźby głów różnych zwierząt. Oparł dłonie na głowie jaguara, po czym przekręcił ją w odwrotne położenie. Następnie pchnął ścianę. Ku zdumieniu Tomka część muru ustąpiła. Smuga wśliznął się w otwór i pociągnął Tomka za sobą. Znaleźli się na wąskich kamiennych schodach. Smuga najpierw zamknął ukryte przejście. W potajemnym korytarzyku płonął kaganek.

- Tutaj nikt nas nie znajdzie - szepnął. - Widzisz, głowa jaguara porusza dźwignię umieszczoną po drugiej stronie muru, która unosi listwę ryglującą ukryte drzwi. Gdy teraz opuszczam listwę na dawne miejsce, [130] głowa jaguara automatycznie powraca do swego pierwotnego położenia.

Smuga ujął kaganek i poprowadził Tomka wąskimi schodami. Kończyły się one w dolnym korytarzu. Po kilkunastu krokach przystanął. Przysunął kaganek do ściany, oświetlając mechanizm zamykający ukryte przejście.

- Za tą ścianą znajduje się moje mieszkanie lub krócej mówiąc, więzienie - odezwał się. - Na szczęście Kampowie nie znają tych tajemnych przejść. Sam je odkryłem. Miałem na to dość czasu, stale mnie przecież nie pilnowano. Dobrze przyjrzyj się mechanizmowi i zapamiętaj, że porusza go głowa jaguara. Jutro przed południem zostaniecie uwięzieni... w moim pokoju.

- Uwięzieni?

- Tak, Tomku! Nie traćmy czasu, chodź ze mną!

Znów poprowadził krętymi, kamiennymi schodami. Wkrótce znaleźli się w naturalnej grocie.

- Teraz słuchaj uważnie i wszystko zapamiętaj - powiedział Smuga. - Na ścianach są wyryte trzy symbole słońca. Lewy otwiera przejście do grobowca i skarbcza Inków. Środkowy kryje drogę podziemną poza obręb miasta. Prawy natomiast prowadzi do pieczary pod występem skalnym, z którego zrzucano w przepaść dziewczęta na ofiarę bogom.

Tomek niedowierzająco spoglądał na Smugę.

- Niech mnie pan uszczypnie, żebym był pewny, że to wszystko nie jest tylko snem - odezwał się po chwili.

- Wolałbym, aby tak było... - odparł Smuga. - Budowniczo wie z czasów Inków posiadali wyobraźnię, rozmach i niezwykłą cierpliwość. Czy zdajesz sobie sprawę, ile czasu pochłonęło wykucie tego miasta w skale? A tajemne przejścia otwierane ukrytymi mechanizmami i drogi podziemne? Myślę, że tutaj właśnie Inkowie ukryli część swoich skarbów przed chciwymi Hiszpanami. Zaraz je ujrzysz.

Podszedł do skalnej ściany, przesunął rzeźbę symbolizującą słońce; po chwili wprowadził Tomka do podziemnej sali. Wzdłuż jednej ściany stały olbrzymie sarkofagi ulepione z gliny i żwiru, a z zewnętrznej strony obłożone bazaltowymi płytami. Każdy z nich posiadał wąski otwór.

- Oto staroperuwiańskie chulpas, czyli grobowce - rzekł Smuga oświetlając kagankiem bazaltowe sarkofagi. - Zwróć uwagę, że wejścia do grobowców zwrócone są na wschód, aby promienie wschodzącego słońca mogły przeniknąć do wnętrza. Inkowie czcili Słońce, Inti, które uważali za boskiego przodka swej dynastii. Zajrzyj do grobowców! Ujrzysz w nich mumie ludzi, którzy przed setkami lat władali tą rozległą i surową krainą.

Tomek wziął z rąk przyjaciela kaganek; z trudem wcisnął się w wąską szczelinę. Wnętrze grobowca miało kształt półokrągły i pomalowane było jasną farbą. W głębi siedziała w kucki mumia spowita w miękko wyprawione skóry lam, na które dopiero nałożono odświętne szaty. Na skórze zakrywającej twarz wymalowano oczy i usta. Jak wskazywały starannie uczesane i splecione długie, brązowe włosy, była to mumia kobiety. Zgodnie z modą elegantek peruwiańskich nogi od kostek do kolana były pomalowane czerwoną farbą. Obok mumii znajdowały się naczynka z pudrem, czernidłem i pachnidłami, lustro z polerowanego kamienia, kolczyki, grzebienie oraz szczątki ubiorów i naczynia zjedzeniem, które miały służyć zmarłej w jej życiu pozagrobowym. W grobowcach mężczyzn leżała broń i ozdoby, natomiast obok dzieci ich zabawki.

Tomek onieśmielony przerwał zaglądnienie do grobowców.

- No cóż? Przyjrzałeś się? - zagadnął Smuga.

- Tak, mumie doskonale zachowane. To zapewne dzięki suchemu, górskiemu powietrzu.

- Masz rację. Peruwiańczycy zazwyczaj zamuroвывали wejście do chulpy. Tutaj jednak nie musieli tego czynić. Chodź, pokażę ci skarbiec.

Weszli do sąsiedniej sali. Smuga przyświecał kagankiem. Tomek w osłupieniu spoglądał na szczerozłote i srebrne posągi bogów i królów, symbole Inti wysadzone drogocennymi kamieniami, naczynia, tarcze, misy napełnione złotym piaskiem i perłami. Po długiej chwili odwrócił się do Smugi.

- A więc odkrył pan bonanzę[131]! - rzekł podniecony. - To pewno część skarbów, którymi Atahualpa chciał okupić swe życie[132].

- Ocalenie części skarbów kosztowało Inków oraz ich poddanych całe morze krwi. Gdyby teraz biali dowiedzieli się o tym złocie, kraina wolnych Kampów znów obficie spłynęłaby krwią - odparł Smuga, uważnie obserwując młodego przyjaciela.

- Jestem tego pewny! Chodźmy stąd, na tych skarbach ciąży klątwa podstępnie wymordowanych Indian. Nie mówmy o tym odkryciu nikomu, nawet naszym najbliższym.

- Cieszę się, Tomku, że propozycja ta wyszła od ciebie. My dwaj na pewno dochowamy tajemnicy. Chodźmy, mało już zostało nam czasu, a mamy jeszcze tyle do omówienia.

Smuga starannie zamknął wejście do grobowca, a potem otworzył prawe, tajemne przejście. Znaleźli się w niezbyt wielkiej pieczarze, której otwarty wylot leżał wprost pod ostrym występem skalnym.

W samym wylocie pieczary stały dwa szeroko rozstawione drewniane słupy. Pomędzy nimi, nisko nad kamienną posadzką, zwisała duża owalna rama z bambusu, wypleciona w środku siatką z lian.

W pieczarze było dość widno, bowiem srebrzysta poświata księżycowa i krwawe błyski ognia z wulkanu oświetlały ją dostatecznie. Smuga postawił kaganek na posadzce, a potem poprowadził młodego przyjaciela do samego wylotu pieczary.

- Cóż to za dziwaczne urządzenie? - zapytał Tomek, przyglądając się wyplecionej lianami ramie.

- Wspomniałem ci, że pieczara ta znajduje się bezpośrednio pod występem skalnym, z którego strącano w przepaść ludzi jako ofiary na cześć bogom - odparł Smuga. - Otóż ofiarami były przeważnie młode dziewczęta, czasem córki wodzów, dostojników państwowych, a nawet władców. Przebiegli kapłani widocznie nie obawiali się zbytnio gniewu swych bogów, gdyż wynaleźli urządzenie, dzięki któremu czasem mogli ocalić od śmierci niektóre ofiary.

- Już domyślam się, jak to robili - powiedział Tomek. - Wysuwali tę sieć, a gdy dziewczyna w nią wpadła, wciągali do pieczary.

- Tak właśnie czynili, później zaś oznajmiali ludowi, że bogowie prześlagnani ich modłami zwrócili ofiarę.

Tomek pochylił się nad siecią. Liany, z których ją wypleciono, były świeże i elastyczne. Potem wysunął ramę daleko nad przepaść. Urządzenie działało bez zarzutu.

- Dziwne, że urządzenie to przetrwało w tak doskonałym stanie tyle czasu - rzekł spoglądając na przyjaciela.

- To ja założyłem nowe wiązania i sieć - wyjaśnił Smuga. Tomek jeszcze bardziej przybliżył się do Smugi.

- W jakim celu pan mnie tu przyprowadził? Po co pan mi to wszystko mówi? - zapytał jakby nie swoim głosem.

- Pragnę za wszelką cenę uratować twoją żonę i Nataszę. Przed moim przyjściem do was rada wodzów postanowiła ułagodzić gniew bogów, składając ofiarę z dwóch białych kobiet. Gdyby nie ten przeklęty wulkan, może by do tego nie doszło. Byłeś w ruinach miasta w dolinie. Jak głosi legenda, zostało ono zniszczone przez trzęsienie ziemi, któremu towarzyszyły wybuchy wulkanu. Obecnie wulkan znów grzmi i dymi. Kampowie są przekonani, że wdzierając się do ich krain obraziliście bogów. Tak podszeptał radzie wodzów jeden z czarowników.

- Więc oni chcą stracić z tej skały Sally i Natkę?! - zapytał Tomek poruszony do głębi. - A co z Marą, żoną Haboku?!

- Właśnie miałem zapytać cię o tę Indiankę. Więc to żona tego dzielnego Haboku? Jej nic nie grozi. Ofiarą dla prześląganania bogów mają być tylko dwie białe kobiety. Mężczyźni natomiast, jeśli zgodzą się walczyć w szeregach Kampów, mogą ocalić swoje życie.

- Czy nie można ich odwieść od tego okrucieństwa? Może ja i Nowicki moglibyśmy zastąpić kobiety?

- Nie, one nie są im potrzebne tak, jak wy! Wasza odwaga podczas bitwy zjednała wam ich uznanie. Muszę zachować pozory lojalności wobec tego wyroku.

- Dzisiaj przed południem wszyscy, z wyjątkiem Sally i Nataszy, zostaniecie uwięzieni w moim mieszkaniu. Gdy słońce stanie w zenicie, nastąpi złożenie ofiary. Rozpoczną się modły i tańce; wtedy otworzysz ukryte przejście i sprowadzisz swoich do pieczary. Nie zapomnij tylko zamknąć rygla, gdy opuścicie moje mieszkanie. Z Nowickim przyjdiesz tutaj i będziecie czekać. Musisz umówić się z Sally i Nataszą, aby każda z nich krzyknęła, przed samym rzuceniem się w przepaść. Gdy usłyszycie krzyk, natychmiast wysuniecie się.

- Czy to nie będzie za późno?

- Na pewno nie.

- A cóż mamy uczynić później?

- Umkniecie podziemnym korytarzem poza obręb miasta. W pieczarze przygotowałem dla was kuźmy. Zarzucicie je na swe ubrania. Są tam również dwa karabiny, rewolwer, amunicja, dwa łuki ze strzałami i trzy noże. Uzbierałem trochę żywności, lecz starczy jej najwyżej na dzień lub dwa. Potem musicie coś ustrzelić z łuku. Z bronią palną bądźcie ostrożni. Echo roznosi huk po górach.

- Dlaczego pan tak mówi, jakby pan wcale nie miał zamiaru z nami uciekać?!

- Słuchaj, drogi chłopcze, w tej chwili czynię wszystko, co tylko w mej mocy, aby ocalić wasze życie. Gdybym umknął z wami, Kampowie podnieśli by na nogi wszystkie okoliczne,

sprzymierzone plemiona wolnych Indian. Schwytaliby nas w przeciągu jednego dnia. A wtedy... już nie byłoby dla nikogo ocalenia. Jestem ich swego rodzaju maskotką-wodzem. Już kilkakrotnie dowodziłem nimi przeciwko Kaszybom i Amahuakom, z którymi są w ustawicznej wojnie.

- Zabiją pana, gdy stwierdzą, że uciekliśmy!

- Nie przerywaj mi, Tomku. Jako wódz biorę udział w składaniu ofiary. Dopilnuję, aby nie pomieszali wam szyków. Przez cały czas będę przy Sally i Nataszy. Potem, gdy was nie zastaniemy, powiem, że zostaliście porwani przez złe duchy.

- Przecież nie uwierzą w to!

- Jestem innego zdania. To duże, naiwne dzieci. W życiu codziennym nawet pogodni i weseli. Za to czarów i czarowników boją się jak ognia. Chyba tylko Kampowie zachowali jeszcze dawną religię Inków, czyli wiarę w Słońce. Nienawidzą białych ludzi, a wobec wrogów są bezwzględni i okrutni. Mnie sami tutaj sprowadzili i chociaż jestem ich więźniem, to przecież krzywdy mi nie robią. Mam nawet pewien wpływ na nich. Myślę, że po waszej ucieczce dam sobie jakoś radę.

- Czy pan zamierza tu pozostać na zawsze?!

- Ależ skąd! Jeśli nie schwytają was, później spróbuję umknąć. Sam już wcześniej się do tego przygotowywałem. Czy masz przy sobie mapę?

Tomek wyjął mapę Ameryki Południowej i szkic zrobiony przez siebie. Usiedli na ziemi przy kaganku. Smuga z zainteresowaniem przyjrzał się szkicowi.

- Twoja mapa jest naprawdę doskonała - pochwalił. - Uważnie rozglądałem się podczas pościgu po Grań Pajonalu. Teraz słuchaj uważnie, powiem ci, dokąd macie uciekać. Na Pachitei można czasem napotkać statki płynące do Limy, ale to dla was zbyt daleka droga. Znajdujemy się obecnie mniej więcej w tej okolicy Andów. Jeśli pójdziecie na południowy wschód, to w przeciągu kilku dni dotrzecie do Perene, skąd już przez Tarmę prowadzi droga kołowa do Oroyi. Stamtąd pojedziecie koleją do Limy[133]. Miałem kiedyś w Limie dobrego znajomego. Nazywa się Habich[134], jest tam profesorem, spróbuj go odnaleźć.

- A w którą stronę pan zamierza uciekać?

- Nie należy powtarzać tej samej sztuczki dwa razy. Jeśli mi się poszczęści, będę umykał wprost na południe ku granicy boliwijskiej.

- To niebezpieczna przeprawa dla jednego człowieka. Odprowadzę kobiety do miasta i natychmiast wyruszam z odsieczą dla pana. Zaopatrzeni w żywność i broń, tutaj będziemy czekali - mówiąc to nakreślił znak na mapie. - Pójdzie ze mną kapitan Nowicki, Zbyszek a także Haboku ze swymi ludźmi.

- Czy naprawdę masz zamiar to uczynić?

- Zrobię to, jak mnie pan tu widzi! - stanowczo odparł Tomek. - Będziemy czekali w pobliżu granicy boliwijskiej, choćby do końca życia. Tylko ze względu na Sally i Nataszę odejdę stąd bez pana.

Smuga w milczeniu coś rozważał, potem przyjrzał się mapie.

- Cóż, skoro tak postanowiłeś, daję ci dwa miesiące na odprowadzenie kobiet do Limy. Potem przybądź z wyprawą gdzieś w te okolice i czekajcie na mnie. Będę szedł tędy - Smuga kreślił znaki i linie na mapie, a następnie przenosił je na szkic zrobiony przez Tomka. - Jeśli nie schwytają was i nie przyprowadzą z powrotem, spróbuję umknąć równo w sześćdziesiąt dni po was.

- Rozumiem. Co trzeci dzień, zaraz po zachodzie słońca, będę nadawał znaki ogniowe z jakiejś wysokiej góry.

- No, Tomku, wkrótce świt, musimy się pożegnać - rzekł Smuga, chowając jedną z map. - Odprowadzę cię. Zapoznaj naszych przyjaciół z planem ucieczki. Najdrobniejsza niedokładność lub pomyłka może spowodować tragiczne następstwa. Do widzenia, drogi chłopcze! Uściskaj wszystkich ode mnie.

Tomek porwał Smugę w ramiona. Z trudem tłumił łkanie. Wiedział, że jeśli plan Smugi zawiedzie, to Sally i Natasza zginą straszną śmiercią, sam nie widział jednak innego wyjścia.

Smuga doskonale orientował się, co odczuwał jego ulubieniec. Chyba po raz pierwszy w życiu do nieustraszonego serca Smugi wkradł się podstępny lęk. Bez wahania oddałby własne życie za tych drogich przyjaciół, lecz nie mógł liczyć na litość i względy Kampów. Sam przecież był ich jeńcem! Toteż siłą woli stłumił własne obawy.

- Tomku, czeka nas wszystkich ciężka, okrutna próba. Trzymajmy się w karbach. Wierzę w ciebie, w Nowickiego i Haboku. Oby tylko Sally i Natasza nie załamały się w decydującej chwili!

Tomek smutno uśmiechnął się przez łzy i odparł- Jestem pewny, że Sally odegra wspaniale swoją rolę. Wie pan, że ona wprost przepada za niezwykłymi przygodami i niebezpieczeństwami. Powinna urodzić się mężczyzną. Lękam się tylko o Natkę. Od chwili zaginięcia pana stała się bardzo nerwowa.

- Zapewnij ją, że będę przy niej do ostatniej chwili.

- To na pewno podtrzyma ją na duchu. Mocno uścisnęli sobie dłonie.

- Niech pan zapamięta, będę szedł z wyprawą wzdłuż wschodnich stoków Andów. Będziemy tutaj w pobliżu za sześćdziesiąt dni -jeszcze raz odezwał się Tomek.

- Skoro nie chcesz ustąpić, zgoda. Chodźmy już!